



KATARZYNA
MISIOŁEK

*Ironia
losu*



KATARZYNA
MISIOŁEK

Ironia losu



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Spis treści

W otulonej dyskretnym półmrokiem...
Początek lipca przyniósł ochłodzenie...
Na nową sąsiadkę wpadłam dzień później...
Niektórym kobietom macierzyństwo służy...
Konrad na sobotnią kolację zapowiedział się...
Spaliłem kurczaka...
Przez pięć kolejnych dni Jacek...
Dzień później Hubert miał...
Następnego dnia w drodze z pracy...
Niedziela wstała ciepła i słoneczna...
Na oddalony od naszego miasteczka...
W dużym, pełnym obrazów salonie...
Hotel Babel mieścił się na peryferiach...
Bukiet przyszedł na mój firmowy adres...
W piątek od rana łało...
Cześć, ciociu...
Siedziałyśmy przy kuchennym stole...
Rowerem nad pobliski zalew jedzie się...
Wyjeżdżam na kilka dni do Niemiec...
Cześć, Marzenko! Słuchaj...
Kiedy wróciliśmy do siebie, dochodziła północ...
Otwierałam frontowe drzwi...
Marzena? Jak miło, że wpadłaś!
Skąd masz tę bliznę?
To było jedno z tych miejsc...
Nie bardzo pamiętam...
Początkiem kwietnia spędziłam kilka dni...
Kiedy podjechałam na parking...
Dzień później, zakopana w pościeli...

W otulonej dyskretnym półmrokiem letniego wieczoru sypialni było cicho i duszno. Pomruki oddalającej się burzy przetaczały się jeszcze nad miasteczkiem, jednak gwałtowny deszcz zdążył już ustać. Stykając się jedynie łydkami, nadzy i błogo rozleniwieni, leżeliśmy obok siebie na szerokim łóżku ze skotłowaną, ciemnofioletową pościelą. Za ścianą ktoś włączył muzykę – cichy soul sączył się zmysłowo, leniwie. Przymknęłam oczy, na jedną krótką chwilę dając się ponieść cudownemu uczuciu odrealnienia. Muzyka pieściła zmysły w sposób, który uruchamiał wyobraźnię. Wystarczyło zamknąć oczy i przenieść się myślami na odległe plaże słonecznej Hiszpanii. Za oknem ktoś przeciągle zatrąbił. Natarczywy dźwięk klaksonu wyrwał mnie z błogiej zadumy i przywrócił do rzeczywistości.

– Która godzina? – zapytałam.

Jacek sięgnął po leżące na nocnym stoliku papierosy, pstryknęła zapalniczka.

Za oknem zagrzmiało, najwyraźniej burza nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

– Parę minut po dwudziestej pierwszej – rzucił.

Nie znosiłam, kiedy palił w łóżku. Widząc go palącego tutaj, momentalnie przypominałam sobie opowiadaną przez mojego dziadka historię starszej kobiety, która spłonęła we własnej sypialni, zasnąwszy z żarzącym się pomiędzy palcami papierosem. I jeszcze te cuchnące tytoniem zasłony i zatęchły, niedający się wywietrzyć zapach, który przeszkadzał wszystkim, oprócz pozbawionego węchu palacza... Nie chciałam jednak psuć nastroju, dlatego darowałam sobie wszelkie komentarze. Zresztą spotykaliśmy się u niego. To nie ja będę spała w przesiąkniętym dymem pokoju, więc nie do mnie należała decyzja.

– Zjesz coś? Mam kawałek ciasta marchewkowego.

– Od kiedy jadasz ciasto marchwiowe? – zdziwiłam się.

Powiedział, że kupił je dla mnie i pocałował mnie w brzuch.

– Masz ładny pępek – zauważył.

Parsknęłam śmiechem.

– To chyba najbardziej wyszukany komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam...

– Bo oryginalny ze mnie facet – mrugnął do mnie.

Wsunęłam palce w jego włosy.

– Lubię cię taką.

– Jaką?

– Pachnącą seksem – powiedział.

– Pachnącą seksem kobietę o ładnym pępku?

Roześmiał się cicho i spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Myślisz czasem o mnie? – zapytał, gładząc moje udo.

– Czasem – przyznałam.

– Tylko czasem?

– Nie bądź zachłanny. – Pstryknęłam go w nos i poprosiłam o kawałek ciasta.

Jacek sięgnął po popielniczkę, strzepnął popiół z papierosa i wstał z łóżka. Zanim zostawił mnie samą w sypialni, uchylił okno. Nasycone ozonem powietrze wdarło się do niewielkiego pokoju i radośnie poruszyło firankę. Uniosłam się na łokciu. Powinnam już iść, ale wyjątkowo nie chciało mi się wychodzić z pościeli. Rzadko pozwalałam sobie na takie lenistwo, jednak tego wieczoru nie miałam ochoty dosłownie na nic...

– Proszę, królowo. Z odrobiną bitej śmietany, jak lubisz. – Jacek zjawił się w sypialni z kawałkiem ciasta na dużym głębokim talerzu ze złożonym brzegiem. – Wybacz, wszystkie małe talerzyki są w zmywarce.

Wzruszyłam ramionami, biorąc od niego ciasto. Smakowało wybornie i na moment zapomniałam o kaloriach.

Błysnął flesz.

– Wiesz, że nie znoszę, kiedy robisz mi zdjęcia – skrzywiłam się.

– Jesteś piękna.

Zlizałam z łyżeczki bitą śmietanę, on pstryknął kolejne zdjęcie.

– Jesteś złośliwy. Tego o tobie nie wiedziałam – mruknęłam.

– Tylko się z tobą drocę, nie widzisz? Daj kawałek – poprosił, wskazując na mój talerz.

Nakarmiłam go resztką marchewkowego ciasta i poprawiłam włosy.

– Powinnam się zbierać – powiedziałam.

– Daj spokój, masz mnóstwo czasu – zaprotestował.

– Sama nie wiem... Zanim dojadę do domu, będzie prawie dwudziesta druga. Hubert dzwoni czasem ze szpitala, żeby pogadać i powinnam...

– Powiesz, że byłaś pod prysznicem. – Jacek wszedł mi w słowo i przesunął dłonią po mojej piersi. – Nie lubię, kiedy o nim mówisz – dodał z przekąsem.

– Cóż... Czy ci się to podoba, czy nie, to mój mąż – rzuciłam ostrym tonem.

Nie odpowiedział.

Za oknem błysnęło. Ciemniejące niebo przecięła srebrna nić błyskawicy, w oddali przetoczył się kolejny grzmot.

– Jacek, nie kłóćmy się. Nie dzisiaj – poprosiłam cicho, odstawiając pusty talerz na stary drewniany stolik.

Milczał.

Wyciągnęłam do niego rękę, jednak wciąż był na mnie zły. Obrócił się do mnie plecami i szerzej uchylił okno.

– Przecież od początku wiedziałeś, że jestem mężatką. Nie ukrywałam przed tobą niczego, nie kłamałam... To tylko romans, odrobina zabawy. Oboje się na to zgodziliśmy, pamiętasz? Miało być lekko, miło i przyjemnie. Zero emocjonalnego zaangażowania, zero przepychanek, pretensji, gorzkich żalów. Pamiętasz, jak dobrze się bawiliśmy na naszych pierwszych randkach? Czemu nie możemy trzymać się tego, co mamy? – zapytałam cicho.

Jacek usiadł na łóżku i ponownie pogładził moją nagą łydkę. Po chwili zapalił kolejnego papierosa i zaciągnął się dymem. Milczeliśmy i to milczenie pomiędzy nami zrobiło się niemal ciężkie od niewypowiedzianych słów.

– Nie chcę dłużej się tobą dzielić – powiedział w końcu mój kochanek. – Nie chcę, słyszysz?! Nie potrafię! – dodał podniesionym głosem.

Podaliśmy mu ciężką kryształową popielniczkę.

– Zgaś tego peta.

Zaciągnął się jeszcze raz, bez słowa zdusił niedopałek i zapatrzył się w mokre od niedawnej ulewy okno.

– Nie możesz mieć do mnie pretensji, Jacek. Nigdy, nawet przez chwilę, niczego przed tobą nie ukrywałam – powtórzyłam.

Spojrzał na mnie ze złością. Zauważyłam, że drży mu prawa powieka.

– Przez siedem miesięcy wiele może się zmienić, nie sądzisz?! Siedem miesięcy, do cholery! Tyle razem jesteśmy!

– My nigdy nie byliśmy razem, Jacek! – powiedziałam z naciskiem.

– Wybacz, ale inaczej to widzę! Zaczęło mi na tobie zależeć, nie możesz tego zrozumieć?! Jak możesz być taką cholerną egoistką, Marzena?! Mówisz, że nadal kochasz męża, ale bez skrępowań go zdradzasz! Mówisz, że coś do mnie czujesz, ale nie chcesz być ze mną na poważnie! Gdzie w tym wszystkim jakikolwiek sens?!

– Nie wiem, co mam odpowiedzieć, Jacek. Może przez jakiś czas powinniśmy przestać się widywać? – szepnęłam.

– Nawet tak nie żartuj! – obruszył się. – Przepraszam, nie chciałem na ciebie naskoczyć – dodał łagodniejszym tonem.

– Nieważne, zostawmy to – ucięłam dyskusję.

– Jak chcesz.

Wstałam i podeszłam do okna.

Zapatrzone w ciemne niebo Jacek bawił się zapalniczką, jakby koniecznie musiał czymś zająć ręce. Przytuliłam się do jego pleców i przez chwilę staliśmy w milczeniu. W końcu sięgnęłam po swoją torebkę i sprawdziłam komórkę. Brak jakiegokolwiek wiadomości od męża przyjąłam z dużą ulgą. Nie znosiłam, kiedy Hubert odzywał się, w czasie gdy byłam u Jacka. Wiedziałam, że to idiotyczne, ale czułam się wtedy tak, jakby... wiedział.

– Napijesz się kawy? – Głos kochanka wyrwał mnie z niewesołych rozmyślań.

– O tej porze? Do rana nie zmrużyłabym oka – uśmiechnęłam się i schowałam telefon do torebki.

Moja sukienka leżała na fotelu pod oknem – lniana, biała, na cienkich ramiączkach. Kobięca i niewinna, chociaż teraz zmięta, niemal zbrukana. Włożyłam stanik, który znalazłam pod poduszką, i sięgnęłam po majtki. Leżały pod łóżkiem, tuż obok zużytej prezerwatywy, i nagle poczułam się jak zwykła dziwka.

Jak mogę robić Hubertowi coś takiego? – pomyślałam i w przypiływie nagłej paniki, półnaga wybiegłam z niewielkiej sypialni.

W łazience panował przyjemny półmrok. Włożyłam stringi i usiadłam na skraju wanny. Jacek pojawił się w progu jakąś minutę później i zapalił światło. Zmrużyłam oczy i poprawiłam zmierzwiłone włosy. Nie chciałam patrzeć w lustro, jakbym nie potrafiła spojrzeć sobie w twarz, musiałam jednak poprawić makijaż. Kiedy mój kochanek stanął tuż za mną i objął mnie ramionami, pomyślałam, że jestem żalonna.

Czterdziestotrzyletnia, niegłupia i przez lata wierna mężowi, nagle wplątałam się w historię, która zmierzała prosto w otchłań jakiegoś szmatławego, rodzinnego melodramatu. Co, jeśli Hubert się dowie? Co, jeśli na dobre ode mnie odejdzie? Czy będę potrafiła bez niego żyć? Jak mogę go kochać, skoro od ponad pół roku pieprzę się z innym? – przeszło mi przez myśl.

Jacek rozpiął mi stanik.

– Przestań! Mówiłam ci, że muszę się zbierać – syknęłam, nagle dziwnie poirytowana.

Jednak kiedy musnął ustami moje sutki i delikatnie ukąsił mnie w szyję, dałam się ponieść chwili. Tym razem zapomnieliśmy o prezerwatywie. Kochaliśmy się na zimnej łazienkowej podłodze i było mi tak dobrze, tak cholernie przyjemnie. W końcu on wstał, podał mi rękę i zapytał, czy mam ochotę na wspólną kąpiel. Zawahałam się. Hubert miał nocny dyżur i w zasadzie mogłabym zostać u Jacka do rana. Jednak romans z tym młodszym o osiem lat przystojnym blondynem wolałam traktować niezobowiązująco. Spotkania na boku to jedno, ale spanie w jego łóżku to zupełnie inna historia. Powiedziałam więc, że niebawem się zdzwonimy, i w pośpiechu związałam włosy w kucyk.

– Uciekasz, kluczysz, wymykasz mi się... Może dlatego tak cholernie cię pragnę? Czasem w środku nocy wydaje mi się, że oszaleję. Zupełnie jakby twoja ciągła nieobecność bolała mnie fizycznie – powiedział.

– Dramatyzujesz – rzuciłam lekkim tonem, w duchu jednak przyznałam, że jego zaangażowanie naprawdę mi pochlebiało.

Mógł przecież mieć każdą. Wysoki, świetnie zbudowany, jasnooki i dowcipny, z całą pewnością podobał się kobietom. Wybrał mnie. I chociaż do niedawna tylko się nim bawiłam, nagle poczułam strach. Co, jeśli on zbyt mocno się zaangażuje? Zacznie mnie nachodzić? Wydzwaniać po nocach? Szantażować? Nie, to nie ten typ, przekonywałam samą siebie, jednak dziwny niepokój towarzyszył mi przez cały wieczór.

Do domu dotarłam przed dwudziestą trzecią.

Tym razem mąż nie zadzwonił.

Do północy czytałam książkę, wtulona w przesiąkniętą zapachem wody kolońskiej Huberta poduszkę, jednak telefon uparcie milczał. W końcu wzięłam kolejny tego wieczoru prysznic, owinęłam się ulubionym ręcznikiem męża i zostawiając na podłodze mokre ślady stóp, przeszłam do kuchni. Na widok zdobiących posadzkę wilgotnych plam uśmiechnęłam się pod nosem. Hubert dostawał szafu, kiedy widział mnie biegającą boso, z mokrymi nogami. Ale Huberta nie było w domu, a ja nie miałam pojęcia, gdzie są moje pantofle.

Położyłam się kilka minut przed pierwszą. Byłam senna i bolał mnie nadwerężony kilka dni wcześniej bark, jednak pomimo zmęczenia długo nie mogłam zasnąć. Natłok myśli, migawki wspomnień ze spotkania z kochankiem i dławiący niepokój, który towarzyszył mi od dłuższego czasu, skutecznie spędzały mi sen z powiek. Kiedy w końcu udało mi się zapaść w niespokojną drzemkę, dochodziła czwarta nad ranem.

Obudziłam się z bólem żołądka i dziwnym przeczuciem, że stanie się coś złego. Dopiero podgrzany w mikrofali kawałek szarlotki z cynamonem i wypita z kubka męża kawa z mlekiem nieco poprawiły mi nastrój. W kuchni pachniało frezjami, które Hubert dostał od wdzięcznych rodziców swojego małego pacjenta. Zmieniłam kwiatom wodę i postawiłam ciemnopomarańczowy wazon w bardziej widocznym miejscu, na stole.

Zanim wyszłam do pracy, odezwał się Jacek – moja komórka rozświergotała się, kiedy dojadłam resztkę zapomnianego przez męża wiśniowego jogurtu.

– Tak, słucham? – Świetnie wiedziałam, kto dzwoni, więc powiedziałam to wyjątkowo oficjalnym tonem.

– Śniłaś mi się – zaczął.

– I niech zgadnę, pewnie byłam bardzo niegrzeczna? – roześmiałam się.

– Nic z tych rzeczy. Byliśmy w kościele. Braliśmy ślub, wyobraź sobie. Miałaś na sobie krótką, czerwoną sukienkę i wyglądałaś bosko. Żeby było śmieszniej, Hubert trzymał nasze obrączki i sprawiał wrażenie bardzo przejętego. Przysięgłaś mi w każdym razie wierność do grobowej deski, a twój mążus nawet słowem nie pisnął – dodał Jacek złośliwym tonem.

– Skąd wiesz, że to był on, skoro nigdy dotąd nie widziałeś go na oczy? – zapytałam.

Powiedział, że w snach takie rzeczy po prostu się wie.

– W każdym razie...

– Muszę kończyć – przerwałam mu i zanim zdążył coś jeszcze dodać, rozłączyłam się bez słowa pożegnania.

Mąż zadzwonił chwilę później.

– Z kim rozmawiałaś? – zapytał, kiedy odebrałam. – Usiłowałam się dodzwonić, ale było zajęte.

– Z sąsiadką – skłamałam. – Jak ci minął dyżur?

– Marnie – przyznał.

Po jego głosie poznałam, że jest skrajnie zmęczony i zalała mnie fala czułości.

– Zrobię dziś naleśniki ze szpinakiem. O której będziesz?

– Pewnie jakoś po piętnastej. Kocham cię – powiedział.

– Ja ciebie też – szepnęłam.

– Kupię jakieś ciasto. Na co masz ochotę?

Powiedziałam, żeby dał spokój, bo jestem na diecie, ale tylko się roześmiał.

– Jesteś idealna. Zawsze byłaś. A o dietach możesz zapomnieć. Kupię sernik i zjemy w ogrodzie. Tylko ty, ja i butelka dobrego wina... Może w końcu otworzymy to czerwone, które przywieźliśmy z Chorwacji?

– Wygląda na to, że mamy dziś randkę – powiedziałam i nagle zachciało mi się płakać.

W co ja się wpakowałam? – pomyślałam, kiedy mąż się rozłączył. Czego aż tak mi brakowało, że musiałam szukać szczęścia na boku? A może nie chodziło o szczęście? Może to tylko potrzeba silnych wrażeń, chęć przeżycia odrobiny szaleństwa pośrodku tej codziennej cukierkowej rutyny, która bywała tak przesłodzona, że chwilami aż mdła? Może nie robię nic takiego... W końcu nie ja pierwsza zafundowałam sobie na boku romans z młodszym facetem. To przecież tylko zabawa, odrobina pikanterii, zwykła odskocznia od prozy życia, szczypta zapomnienia – powtarzałam sobie w myślach w drodze do pracy. I chociaż przez resztę dnia nieczyste sumienie jeszcze mnie podgryzało, spędzony w towarzystwie męża wieczór okazał się całkiem beztroski. Upiliśmy się i poszliśmy do łóżka. Myślałam o kochanku, szybko jednak wróciłam do rzeczywistości. To Hubert, mój Hubert, facet, którego kocham od lat, za którym jeszcze niedawno szalałam. To on mnie całuje, dotyka, pieści... Czemu więc myślę o pocałunkach Jacka, o jego ciepłych dłoniach pod moją sukienką?

Początek lipca przyniósł ochłodzenie. Gwałtowne burze z gradem i porywistym wiatrem, które przez ostatnie dni nękały okolicę, ustąpiły miejsca siąpiącej z szarosinego nieba mżawce, sukienki na ramiączkach oddały pierwszeństwo swetrom, bluzom i getrom.

Tamtego czwartku wróciliśmy z zakupów. Wyprawy do olbrzymiego supermarketu pod miasteczkiem były dla mojego męża czymś w rodzaju uświęconego rodzinnego rytuału. Ja nigdy nie przepadłam za kluczeniem pomiędzy sklepowymi alejkami, ale Hubert mógłby wziąć do ręki każde opakowanie, słoik czy butelkę. Wyładowywaliśmy z bagażnika wypełnione po brzegi torby, kiedy na chodniku przed naszym bliźniakiem zatrzymała się zdezelowana półciężarówka firmy przewozowej. Zerknęłam na kierowcę. Wysiadł z samochodu w towarzystwie niewysokiego korpulentnego chłopaka i drapiąc się w głowę, przeszedł na tył furgonetki. Zauważyłam, że obaj mają na sobie ciemnowiśniowe kombinezony z napisem na plecach „Zdzisiek przeniesie Twoje graty!” i obaj wyglądają tak, jakby byli skrajnie zmęczeni. Ten starszy w końcu zauważył, że mu się przyglądam i puścił do mnie oko. Odwróciłam głowę, zażenowana sytuacją, on tymczasem wskoczył na pakę i radośnie pogwizdując, zaczął się kręcić wokół załadowanych na półciężarówkę mebli.

– Wygląda na to, że ktoś się w końcu wprowadza. – Hubert zerknął w stronę okien pustej do niedawna połówki domu i uważniej przyjrzał się poobijanemu samochodowi.

– Zanieś to do lodówki, zanim fasolka się rozmrozi. – Podałam mu zakupy i wyjęłam z bagażnika zgrzewkę wody mineralnej.

Na weekend zapowiedział się z wizytą Konrad – dwudziestojednoletni syn Huberta z pierwszego małżeństwa. I chociaż nie paliłam się do spotkania z raczej niechętnym mi pasierbem, wiedziałam, że będę musiała przynajmniej zrobić jakąś dobrą kolację... Na szczęście chłopak nie był wybredny. Zapiekanka z kurczakiem, piwo i sałatka powinny załatwić sprawę.

– Są jeszcze jakieś torby?! – Głos męża wyrwał mnie z zamyślenia.

– Nie, tylko woda! – odkrzyknęłam i zamknęłam bagażnik.

– Jak myślisz, kto się wprowadzi? – W kuchni Hubert podał mi szklankę porzeczkowego soku i wziął ode mnie zgrzewkę z mineralną. – Nie powinnaś sama tego dźwigać. Później narzekasz, że boli cię kręgosłup.

– Daj spokój, przesadzasz. – Pocałowałam męża w szyję i duszkiem wypiłam sok.

– To ona? – Ze szklanką wody w ręku Hubert stanął przy oknie i wyraźnie zainteresowany rozwojem sytuacji, przyglądał się rozładunkowi.

Zerknęłam mu przez ramię. Mężczyźni wnosili właśnie na sąsiednią posesję masywny, obity purpurowym materiałem fotel. Wysoka szczupła blondynka koło trzydziestki stała przy otwartej na oścież furtce. Była ubrana na sportowo, jednak nawet welurowy dres w odcieniu mięty nie zdołał ukryć idealnej figury. Atrakcyjna i wyjątkowo kobieca – oceniłam w duchu nieznaną. Hubertowi też wyraźnie wpadła w oko. Nie musiał nawet nic mówić – po tylu wspólnych latach świetnie przecież znałam jego gust.

– Wygląda na to, że trafiła ci się gorąca sąsiadeczka – uśmiechnęłam się nieco złośliwie.

– Pozwolisz, że tego nie skomentuję – mruknął, zanim wrzucił do kosza karton po znalezionej w lodówce resztkę mleka. – Przeteterminowane... Tylko miejsce zajmuje – dodał.

Dopijając sok, przyjrzałam się mężowi i pomyślałam, że wygląda na zrelaksowanego. Najwyraźniej solidnie odespał ostatni dyżur i był w znacznie lepszym nastroju.

– Kupiłam drobiowe kabanosy, Konrad za nimi przepada – powiedziałam.

– Miło, że pamiętałaś – ucieszył się Hubert. – Stęskniłem się za nim, wiesz?

– Dawno się nie widzieliście...

– Bardzo dawno. Czasem tak się nawet zastanawiam, czy to ja jestem złym ojcem, czy raczej to on ma mnie w głębokim poważaniu. Jakiś czas temu wielokrotnie proponowałem mu spotkania, ale nigdy nie miał dla mnie czasu. W końcu sobie odpuściłem, ale może zbyt pochopnie? Może on czeka, aż wykażę się inicjatywą i coś dla nas zorganizuję?

– Jesteś dobrym ojcem, Hubert. Co do tego nie mam nawet cienia wątpliwości.

– Wjadę do garażu. – Mąż ewakuował się z kuchni, zanim zdążyłam prosić go o pomoc w zapełnianiu lodówki.

Uśmiechnęłam się pod nosem, świetnie wiedząc, że pozostawione przed domem auto było tylko pretekstem do wyjścia. Hubert właściwie od zawsze lubił jeździć ze mną do marketu, jednak układanie rzeczy w lodówce zdawało się być ponad jego siły. Dawniej strasznie mnie to irytowało, ale w końcu pogodziłam się z losem. Były przecież o wiele większe problemy niż nieporadność mojego męża w zarządzaniu artykułami spożywczymi.

Kończąc opróżniać siatki, wyjrzałam przez okno. Półciężarówka firmy przewozowej wciąż stała przed sąsiadującą z naszym domem połówką bliźniaka, jednak nigdzie nie widziałam właściciela i jego pomocnika.

Hubert wrócił do kuchni kilka minut później i wyjął z szafki patelnię.

– Zrobię kolację – powiedział, prosząc, żebym podała mu jajka.

– Jajecznicą? – zapytałam.

– Tak, a co? Nie masz ochoty?

– Zjeść bym zjadła, ale jest pewien problem. Zapomniałam kupić jajek...

– Oj, a taką miałem ochotę na jajecznicę. No nic, zadowolę się bagietką z tuńczykiem. Gdzie dałaś...

– W dolnej szafce – weszłam mu w słowo.

Hubert nigdy nie pamiętał, gdzie są konserwy, co zawsze mnie bawiło.

– Odjechali. – Kroiłam pietruszkę, kiedy mąż ponownie zerknął przez okno.

– Firma przewozowa?

– Tak. Za to sąsiadeczka właśnie wyszła pobiegać – relacjonował.

– Utrzymanie takiej figury musi mieć swoją cenę.

– Faktycznie, zgrabna dziewczyna – przyznał Hubert.

– Powinnam być zazdrosna? – zapytałam kokieteryjnym tonem.

W tym samym momencie w mojej torebce odezwała się komórka.

– A to kto? Może Marta? – mruknął mąż i sięgnął po mój telefon.

– Zostaw, to może być moja szefowa! – Spanikowana, dosłownie wyrwałam mu z ręki komórkę i szybko wyszłam z kuchni.

Dzwonił Jacek, którego w pamięci mojego telefonu miałam zapisanego jako „Bogusię W.”. Odebrałam podenerwowana. Mąż był przecież tuż obok i znowu dopadły mnie wyrzuty sumienia.

– Czemu dzwonicz? Przecież umawialiśmy się dopiero na niedzielę – szepnęłam.

Powiedział, że jest w mojej okolicy.

– Gdybyś mogła na moment się wymknąć, będę czekał na naszym parkingu.

– Kompletnie oszalałaś?! Hubert jest w domu – syknęłam, jednak na moim kochanku ten wybuch nie zrobił najmniejszego wrażenia.

– Uruchom wyobraźnię, kotku. Zawsze byłaś kreatywna. Czekam – rzucił w słuchawkę, zanim się rozłączył.

Z bijącym mocno sercem wróciłam do kuchni.

Hubert kroił pomidory, a leżąca na stole rozkrojona na kilka części bagietka czekała na porcję masła. Rozsmarowałam je na kromkach i wyjrzałam przez okno. Wciąż mżyło, zaczęło się też ściemniać. Idealna aura na potajemną schadzkę, pomyślałam.

– Podasz sól? – Mąż oblizał majonez z palców i sięgnął po opakowanie kolorowego pieprzu.

– Masło i majonez?

– Czasem tak lubię – wzruszył ramionami Hubert.

Podaliśmy mu solniczkę i powiedziałam, że pójdę się przejść.

– Kto wie, może niedługo zacznę się umawiać z nową sąsiadką na wieczorny jogging – rzuciłam sztucznie lekkim tonem.

– Myślałem, że jesteś głodna – zdziwił się.

– Zjem, kiedy wrócę. Daj mi pół godzinki.

– Kto dzwonił? Marzena, co się dzieje? – Hubert odłożył trzymany w dłoni nóż i posłał mi badawcze spojrzenie.

Zrobiło mi się gorąco, wiedziałam jednak, że nie ma już odwrotu. Powiedziałam, że wychodzę, słowo się rzekło, kobyłka u płotu, czy jak to tam dalej leciało.

– Dzwoniła Marta. Chce ode mnie pożyczyć tę nową czarną kieckę – zełgałam całkiem gładko, chociaż serce tłukło mi się w piersi jak szalone, niczym pragnący wyrwać się z ciasnej klatki uwięziony ptak.

Każde kolejne kłamstwo przychodzi mi coraz łatwiej, pomyślałam chwilę później. I muszę być całkiem niezłą aktorką, skoro mąż nadal niczego nie podejrzewa...

– Tę czarną, którą kupiliśmy w Gdańsku? Nie wciśnie się w nią. Nie ze swoją zwałistą figurą. – Hubert dość surowo ocenił sylwetkę mojej starszej siostry i zabrał się do krojenia żółtego sera.

– Ostatnio trochę schudła – powiedziałam, lojalnie stając w jej obronie.

– Skoro tak mówisz...

Mąż wrócił do przygotowywania kolacji, więc wymknęłam się z kuchni, zarzuciłam na ramiona szary pulower, w którym zazwyczaj pieliłam ogródek, i wyszłam na mżawkę.

Idąc w stronę furki, zastanawiałam się, czy Hubert obserwuje mnie z kuchennego okna, nie miałam jednak odwagi, żeby się obejrzeć. Ulica była pusta, zniknęły nawet jeżdżące na desce dzieciaki sąsiadów, które od samego rana robiły mnóstwo hałasu i rzucały na chodnik złocene opakowania po tanich,

oblanych mleczną czekoladą batonikach z marcepanem, które lubił również mój mąż. Starając się iść swobodnym spacerowym krokiem, minęłam ostatnie szeregowe domki i skręciłam w Sosnową. Wychodziłam zza zakrętu, kiedy wpadłam na jedną z sąsiadek – starsza pani szła szybkim, chwiejnym krokiem, dosłownie ciągnięta przez młodego wilczura.

– Florek, zwolnij! – krzyknęła na psa, szarpiąc za smycz. – Marzenko, wieki cię nie widziałam! – uśmiechnęła się na mój widok.

Skinęłam jej głową i wymamrotałam pod nosem „dobry wieczór”, modląc się w duchu, żeby nie zapytała, dokąd idę. Szczęściem pies pociągnął ją w stronę pobliskiego lasu i minęłyśmy się na wąskim chodniku, nie wdając się w sąsiedzkie pogawędki. Ostatnie metry pokonałam, niemal biegnąc. Jakbym chciała wyprzedzić i zostawić w tyle własne sumienie, jakbym marzyła o ucieczce od własnego życia, które okazało się być inne, niż sobie niegdyś wymarzyłam...

Jacek, oparty o maskę swojej terenowej hondy, czekał na „naszym” parkingu za torami, na tyłach od dawna nieczynnego, na wpół zrujnowanego hotelu, w którym kiedyś było niewielkie kasyno. Przez kilka lat, jeszcze zanim wprowadziliśmy się z mężem do naszego bliźniaka, interes szedł ponoć całkiem dobrze, później jednak młody właściciel zadarł z lokalnymi gangsterami, którzy regularnie dewastowali mu hotel, dopóki się z niego nie wyniósł. Część sąsiadów, z którymi o tym rozmawiałam, twierdziła, że mafiosi usiłowali zastraszyć młodego biznesmena, grożąc porwaniem jego trzyletniej córki, ale nigdy nie potrafiłam ocenić, ile prawdy było w tej akurat pogłosce.

– Lubię cię w tym swetrze – powiedział Jacek.

Papieros w jego dłoni żarzył się w zapadającym mroku, nie widziałam jednak jego twarzy. Kiedy do niego podeszłam, ostatni raz się zaciągnął i rzucił niedopałek na beton. Widok wyczekującego mnie z utęsknieniem kochanka jednocześnie przyniósł mi radość i sprawił ból.

– Co, kotku? Jesteś nie w sosie? – Ujął mnie pod brodę i pocałował w usta.

Oddałam mu pocałunek, jednak wciąż byłam wściekła. Morska nuta jego wody kolońskiej przywiodła mi na myśl obraz skotłowanej ciemnofioletowej pościeli i naszych ubrań byle jak rzuconych na podłogę, zmiętych, przesiąkniętych wonią grzechu. Dziwka! Tak będą mnie nazywać, kiedy już wszyscy się dowiedzą prawdy o mnie, niewiernej żonie? Wzdrygnęłam się. Dlaczego to my, kobiety, od wieków jesteśmy oceniane o wiele surowiej niż mężczyźni, którzy są przecież o wiele bardziej rozwiązli?

– Nie powinieneś tutaj przyjeżdżać! Nie powinieneś dzwonić, wyciągać mnie z domu w taki sposób, nękać i...

– Też miło cię widzieć. – Jacek przerwał mi w pół zdania i przyciągnął do siebie. – Tęskniłem. Chryste, jak kurewsko za tobą tęskniłem – wyszeptał, zanim znowu mnie pocałował.

– Chodź, nie mamy wiele czasu. – Pociągnęłam go w stronę budynku dawnego hotelu.

W środku cuchnęło moczem, a walające się po ziemi puste puszkami po piwie z pewnością miały niewiele wspólnego z romantyczną scenerią. Nie o tym jednak myślałam, kiedy Jacek szarpał się z perłowymi guziczkami mojej sukienki. Sweter zdjął ze mnie już na parkingu i rzucił na maskę hondy. Drżałam z zimna i jednocześnie cała płonęłam, jakby od środka trawiła mnie gorączka. Ściana za moimi plecami była chłodna i chropowata. Jacek zsunął moje stringi, uniósł mnie z zaskakującą łatwością i dosłownie się we mnie wbił. Krzyknęłam. Po nasypie za budynkiem z łoskotem przetoczył się pociąg. Jacek oddychał świszcząco, czułam, że zaraz dojdzie. Skończył chwilę później – zdecydowanie zbyt szybko... Chciałam więcej i jednocześnie czułam ulgę. Jeszcze parę minut i wrócę do domu. Hubert niczego się nie domyśli, a ja nadal będę mogła udawać czułą i kochającą żonkę, którą przecież gdzieś

w głębi duszy wciąż pragnęłam być.

– Musiałem cię zobaczyć – wyszeptał wtulony w moje włosy kochanek.

Przeczesałam je rękoma i zapięłam zmiętą sukienkę. Przeklętych perłowych guzików było całe mnóstwo. Trzęsły mi się ręce, drżały kolana.

– Nic nie powiesz? – Pogłaskał mnie po policzku. – Jesteś rozpalona.

– Muszę iść – szepnęłam.

Jacek wyjął z kieszeni marynarki moje upchnięte tam wcześniej stringi i posłał mi wściekłe spojrzenie. Pomyślałam, że szybko zmienia mu się nastój. Włożyłam majtki, starając się nie nadepnąć na jakiś odłamek szkła. Przyglądał mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, w końcu poprosił, żebym jeszcze została.

– Pogadajmy, przejdźmy się. Albo jedźmy na szybką kolację. Tu niedaleko jest bar, w którym można zjeść...

– Muszę iść, Jacek! – podniosłam głos.

– To jakaś twoja mantra? Bo ostatnio powtarzasz to na okrągło – burknął.

– Nie powinienesz być do mnie dzwonić! – syknęłam. – Umawialiśmy się, że widzimy się tylko w ustalonych terminach. Kiedy Hubert ma dyżur albo...

– Albo co?! Mam się grzecznie gdzieś przyczaić i czekać, aż łaskawie zaszczycisz mnie swoją obecnością?! – krzyknął.

– Zasady ustaliliśmy na samym początku. Zgodziłeś się na nie, pamiętasz?!

– Zasady?! Gramy w pieprzonego chińczyka czy co?! – huknął na mnie. – Marzena, nie traktuj mnie, jak psa!

– Jak psa?! Przyszłam do ciebie, nie zauważyłeś?! Czego jeszcze ode mnie oczekujesz?!

– Wszystkiego – powiedział ostro.

– Przykro mi, Jacek, ale „wszystko” to zbyt wielkie słowo...

Nie odpowiedział.

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę wyjścia. Pod moimi butami chrzęściło szkło, w powietrzu wciąż unosił się smrodek uryny. Jacek szedł tuż za mną, dosłownie czułam na karku jego oddech. Potknęłam się. Złapał mnie za łokieć, zrównał się ze mną i objął w pasie.

– Kiedy na ciebie czekałem, wylazło stąd dwóch nieźle zapitych gości – powiedział.

– Tym bardziej nie powinniśmy się tutaj spotykać. Czasem śpią tu bezdomni, a okoliczne dzieciaki urządzają zakrapiane imprezy. Poza tym może nas zobaczyć ktoś z moich sąsiadów – rzuciłam.

– Tym lepiej. Odrobina dreszczyku zawsze mile widziana. – Jacek uśmiechnął się łobuzersko i wyjął z kieszeni zapalniczkę. – Czyli co? Widzimy się w niedzielę?

– Nie wiem jeszcze na sto procent. Hubert ma co prawda dyżur, ale ma się u nas zjawić jego syn. Obiecałam, że będę w domu, zrobię kolację i...

– I co?! Nie będziesz przecież niańczyć dwudziestojednolatka, do ciężkiej cholery! Najwyżej wciśniesz mu jakiś kit i przyjedziesz do mnie. Zrobię spaghetti, nie jedz niczego przed wyjściem. – Jacek pocałował mnie w usta i dodał, że jeszcze się odezwie.

– Nie esemesuj w nocy, czasem zapominałam wyciszyć dźwięk – poprosiłam.

– Czyli co? Nie mogę już nawet do ciebie pisać?

– Nie w nocy! Jacek, czemu nie potrafisz zrozumieć sytuacji?! – podniosłam głos.

– Bo to ty ją komplikujesz, Marzena!

– Komplikuję?! Proszę cię tylko, żebyś... Zresztą nieważne. Pójdę już. – Poglądziłam go po policzku i wymknęłam się z budynku.

Nie czekałam na niego, udało mu się jednak dotrzymać mi kroku.

– Odwiozę cię – powiedział, podając mi sweter.

Na szyi poczułam jego ciepły oddech i pomyślałam, że byłoby cudownie zrobić to jeszcze raz. Zaraz potem wrócił mi rozsądek. Zerknęłam na zegarek i nerwowo poprawiłam włosy. Jeśli zaraz nie wrócę do domu, Hubert gotów jeszcze wybrać się na poszukiwania. Odkąd w pobliskim parku w jasny dzień brutalnie napadnięto młodą kobietę, mąż zrobił się nadopiekuńczy.

– Wsiadaj! Nie będziesz się samotnie przechadzać w tej seksownej kiece. – Jacek przesunął dłonią po moim pośladku i dodał, że bym wskakiwała do samochodu.

– To stara, kupiona kiedyś w ciucholandzie sukienka – powiedziałam.

– Co nie zmienia faktu, że wyglądasz w niej wyjątkowo ponętnie.

– Dzięki – mruknęłam, wkładając sweter i przejrzałam się w bocznym lusterku.

Nie najgorzej – oceniłam.

Jacek stał obok, ryjąc w rozmięklej po deszczu ziemi czubkiem eleganckiego skózanego buta.

– No wsiadaj, nie daj się prosić. – Mój kochanek otworzył drzwiczki od strony pasażera i ponaglająco zabębnił palcami o dach wozu.

– Nie żartuj. I tak sporo ryzykowaliśmy.

– Jest ciemno – rzucił.

– Nie rozśmieszaj mnie. To parę kroków stąd, kilka minut spaceru.

– Jak chcesz. – Jacek w końcu ustąpił i sięgnął po papierosy.

– Nie powinieneś tyle palić – rzuciłam na odchodnym.

– Będę tęsknić – powiedział.

Zanim na dobre się pożegnaliśmy, pocałował mnie w usta i wsunął mi za ucho niesforny kosmyk włosów.

– Powinnaś go zostawić. Nie jesteś z nim szczęśliwa – rzucił tym swoim charakterystycznym tonem, który doprowadzał mnie do szału.

Powiedziałam, że nie ma pojęcia, o czym mówi.

Chyba go uraziłam...

Zapytał, kim w takim razie jest dla mnie, ale nie miałam ochoty od nowa tłumaczyć mu reguł naszego związku.

Powinnam definitywnie to zakończyć, pomyślałam w drodze do domu. Jednak na myśl, że nigdy więcej nie będziemy się kochać, zakręciło mi się w głowie. Jeszcze parę tygodni, góra trzy, cztery miesiące, powiedziałam sobie i od razu lepiej się poczułam. Zupełnie, jakby te rzucane mojemu skowyczącemu sumieniu ochłapy na trochę ukoły wyrzuty.

Kiedy wróciłam do domu, Huberta nie było. Na stole, obok talerza z przygotowaną dla mnie kolacją, leżała niewielka zielona karteczka.

Wyszedłem się przejść, będę przed dwudziestą pierwszą – z łatwością odczytałam staranne, rozbajająco infantylnie zaokrąglone pismo Huberta.

Więc wyszedł...

Tak nagle, niespodziewanie? Nie lubił przecież samotnych spacerów. Zawsze wolał usiąść na balkonie z kieliszkiem wina w ręku i posłuchać muzyki. Czemu więc teraz, pośrodku tego dżdżystego chłodnego wieczoru, zapragnął wyjść z domu zaraz po tym, jak wyszłam z niego ja? Śledził mnie? A może od dawna o wszystkim wiedział? – głowiłam się.

Bagietka była smaczna, jednak na dobre straciłam apetyt. Może dopadła mnie paranoja, a może... O innej możliwości wolałam nawet nie myśleć. Kolacji nie dojadłam. Po szybkim prysznicu nalałam sobie za to szczyrce wermutu i owinięta spranym frotowym szlafrokiem, usiadłam z laptopem na kolanach. Weszłam na forum o zdradzie, które od pewnego czasu obsesyjnie wręcz śledziłam. Dwa nowe posty! – ucieszyłam się, otwierając pierwszego.

Wtorek, dwudziesta druga trzydzieści osiem, a jego wciąż nie było – pisała Królowa_Śniegu. – Położyłam spać Martynkę, nastawiłam pralkę i obejrzałam kawałek jakiejś idiotycznej komedii, ale w głowie kołatała mi się tylko jedna myśl – „gdzie jesteś, sukinsynu?!” Wiedziałam, że znowu ma romans, to nie był pierwszy raz. A jednak, podobnie jak wtedy, udawałam ślepą i głuchą. Wrócił przed północą. Niemal zasypiałam, kiedy reflektory jego terenówki omiotły fasadę domu. Zacisnęłam powieki i starałam się panować nad oddechem. Do środka wszedł, pogwizdując. Nigdy nie przejmował się tym, że obudzi mnie czy naszą córeczkę... Kiedy wślizgnął się do łóżka, wstrzymałam oddech. „Śpisz?” – zapytał. Nie odpowiedziałam. Przez kilka kolejnych dni Mariusz zjawiał się w domu coraz później, wymyślał też coraz nowsze wymówki. Stale psuł mu się samochód (nowy mercedes, ha, ha, ha!), stale miał nawał pracy bądź w pocie czoła wypisywał pisma procesowe.

Tamtej środy wybrałam się z Martynką do parku. Mała gonila za gołębiami, ja spacerowałam wokół fontanny. Nagle pociemniało mi w oczach i runęłam na ziemię. Pamiętam jeszcze przenikliwy krzyk córki, później była już tylko ciemność. Ocknęłam się w karetce, córka płakała, sanitariusze mówili do mnie coś, czego nie rozumiałam. W szpitalu zrobili mi badania, które nie wykazały jednak niczego niepokojącego. „Najprawdopodobniej dostała pani ataku paniki. Żyje pani w ciągłym stresie, ma pani poważne problemy?” – zapytała drobniutka siwa lekarka ze spiętymi w babciny koczek włosami. Parsknęłam śmiechem. Ja i atak paniki? Nie byłam w końcu do cholery neurotyczną bohaterką z filmów Woody’ego Allena! Z drugiej jednak strony... Czy świadomość, że człowiek, który przysięgał mi przed ołtarzem miłość i wierność, a szlaja się z kim popadnie, nie może być aż tak przytłaczająca? – zastanawiałam się, czekając na wypis. Powiadamić męża zabroniłam, nie chciałam go widzieć.

W drodze z kliniki, trzymając za rączkę wciąż przestraszoną Martynkę, która zapytała, czy niedługo umrę, skręciłam w stronę biurowca, gdzie pracuje mój mąż, ale zmieniłam zdanie. Urządzenie publicznego widowiska niczego nie da – zdecydowałam. Wróciłam więc do domu, poczytałam córce bajkę, zrobiłam zupę i zajęłam się domem. Mariusz wrócił przed dwudziestą, więc jak na niego dość wcześnie, i zaczął mi wciskać te swoje kłamstewka

o nawale pracy. A później poszedł pod prysznic. Sprawdziłam jego komórkę i znalazłam kilka SMS-ów od tej blond wydry z jego kancelarii. Była singielką, jedną z tych, które są zainteresowane tylko i wyłącznie karierą. Posiadanie faceta nie jest dla nich priorytetem, ale sypianie z cudzymi mężami jak najbardziej. Podeszłam do okna i podniosłam rolety. Mieszkająca naprzeciwko brunetka koło czterdziestki wsiadała właśnie do samochodu. Ciekawe, dokąd może jechać świeżo upieczona wdowa? – zastanawiałam się, samotnie siadając do stołu.

I nagle przyszedł mi do głowy zupełnie niedorzeczny pomysł. Nekrolog ukazał się dwa dni później, w jednej z najpoczytniejszych lokalnych gazet. „Z olbrzymim żalem zawiadamiam o tragicznej śmierci mojego Męża, mecenasa Mariusza Roztockiego” – napisałam. Telefon rozdzwonił się od samego rana, Mariusz dostał jakiegoś amoku. „Dowiem się, kto mi wyciął taki numer!” – krzyczał, miotając się po domu. „W zasadzie nie musisz się wysilać, bo sama ci powiem. Ja. Bo dla mnie już nie żyjesz” – rzuciłam, patrząc mu prosto w oczy. Chwilę później spakowałam siebie i dziecko. „Chyba cię pogięło, jeśli myślisz, że pozwolę ci zabrać Martynę!” – wrzeszczał. Zagroziłam mu policją i ustąpił. Pojechałam na wieś, do rodziców. Kiedyś nienawidziłam tego miejsca, teraz wydało mi się piękne. W końcu mogłam oddychać! Dziś jesteśmy po rozwodzie, zaczynam od nowa. Część moich koleżanek nie może zrozumieć, jak mogłam zostawić męża prawnika, pięciusetmetrową willę i dostatnie życie, które mi zapewnił. Tylko moja najlepsza przyjaciółka rozumie. Mariusza staram się nie widywać, kiedy przychodzi do dziecka, rozmawia z moimi rodzicami. Flądra, z którą ma romans, przyjechała z nim ostatnio na wieś, zabrać moją córkę na weekend. W pierwszej chwili chciałam wybiec przed dom i kazać jej trzymać się z daleka od Martynki, ale tym razem rozsądek zwyciężył. Mariusz to jej ojciec, nie powinnam robić im problemów. Zdradził mnie, więc odeszłam, ale córki w naszą szarpaninę mieszać nie chcę. Jedno jest pewne. Nieprędko komuś zaufam... Miłość jest piękna na filmach i taka plugawa w życiu. A może to tylko ja miałam takiego pecha?

Drugi post był nieco mniej obszerny, za to równie przygnębiający.

Mówią, że nie warto łapać dwóch srok za ogon – zaczęła BellaRagazza. – Zaryzykuję stwierdzenie, że dwóch facetów za ogony również nie warto łapać w tym samym czasie... Karol to typ, który nazywam testosteronowym. Imponujące mięśnie pod przyciasną koszulką, w garażu szpanerskie czarne BMW. Prawdę mówiąc, zawsze wolałam typ cichego wrażliwego intelektualisty i za takiego właśnie wyszłam, a jednak coś się między nami zaczęło dziać.

Karol był wtedy moim szefem, prowadził klub fitness, w którym byłam recepcjonistką. Przespaliśmy się ze sobą któregoś wieczoru, kiedy odwiózł mnie do pustego domu. Mój Mirek był akurat za granicą. Zawsze myślałam, że kobiety, które zdradzają mężów, to zwykłe szmaty. Nic niewarte, puste lale, które zwyczajnie się nudzą. Aż tu nagle niespodzianka – trafiłam do ich grona. W łóżku z Karolem było niezmiernie i szybko zdałam sobie sprawę, że wsiąkłam. Myślałam o nim dzień i noc, marzyłam o kolejnym spotkaniu, a w pracy wodziłam za nim maślanym wzrokiem. Któregoś dnia obudziłam się koło piątej nad ranem, zerknęłam na pochrapującego męża i doszłam do wniosku, że nie mam ochoty ciągnąć dalej tego małżeństwa. Tym bardziej że Mirek nie mógł mieć dzieci. Na początku jakoś mi to nie przeszkadzało, pogodziłam się z tym. Teraz zapragnęłam rodziny i czegoś

nowego. Karola.

Nie lubię niejasnych sytuacji, więc uczciwie przyznałam mężowi, że kogoś mam i poprosiłam o rozwód. Wyszedł z domu na deszcz i wrócił dopiero rano. Ale nie chciał rozmawiać. Spakowałam więc trochę swoich rzeczy i przeniosłam się do siostry. Karola złapałam przed pracą, nie mogłam się doczekać, kiedy mu powiem. Nie zareagował jednak tak, jak się spodziewałam. „Odbiło ci, kurwa?! To miała być tylko zabawa, ja się na żadne stałe związki nie piszę!” – warknął. A później powiedział, żebym lepiej wracała do męża, bo z nami koniec.

I oto jestem. Trzydziestodwuletnia, porzucona, zapłakana. Byłam pewna, że Karol się ucieszy! Liczyłam na to, że razem zamieszkamy, może nawet weźmiemy ślub. A on już dwa dni po moim wyznaniu pojawił się w pracy z jakąś dwudziestoletnią panną, która ostentacyjnie się na nim uwiesiła! Oczywiście koleżanki zdążyły się domyślić, że mam romans z szefem i śledziły każdy mój krok. A ja popłakiwałam w toalecie, w końcu napisałam wymówienie. Jutro wyjeżdżam do Warszawy, kuzynka obiecała, że pomoże mi stanąć na nogi. Mirek wysłał mi dziś SMS-a: „Nikt NIGDY nie pokocha Cię tak, jak ja Cię kochałem...” Rozryczałam się, bo w sumie miał rację. Był dla mnie za dobry, a ja odpłaciłam mu czymś takim. Nie wiem, po co to piszę... Powiecie pewnie, że sama sobie nagrabiłam. Może i tak. Ale kiedy człowiek traci rozum, ciężko podejmować właściwie decyzje... – przeczytałam.

Chwilę później trzasnęły frontowe drzwi i mąż zawołał mnie z dołu.

– Jesteś już?!

– Tak, na górze! – odkrzyknęłam, czując niewysłowioną ulgę.

Sądząc po lekkim tonie, jakim zadał pytanie, z całą pewnością o nic mnie nie podejrzewał.

Na nową sąsiadkę wpadłam dzień później. Wynosiłam właśnie śmieci, ona wracała z porannej przebieżki. Przedstawiła się jako Patrycja i posłała mi szeroki uśmiech. Mżyło, jednak przystanęłyśmy na chodniku, żeby zamienić dwa słowa. I chociaż znałyśmy się zaledwie chwilę, rozmowa zupełnie dobrze się kleiła. Z bliska jest jeszcze bardziej atrakcyjna, pomyślałam z lekkim uczuciem zazdrości, tymczasem otworzyła swoją furtkę i spontanicznie zaprosiła mnie na poranną kawę.

– Chyba że się śpieszysz... Już prawie ósma, pewnie zaraz jedziesz do pracy – zawahała się.

Powiedziałam, że mam jeszcze trochę czasu i chętnie wypiję małą kawę. Idąc przez jej bliźniaczo podobny do naszego niewielki ogródek, zauważyłam, że na murku przed domem ustawiła kilkanaście pustych kolorowych doniczek.

– Kiedyś lubiłam hodować egzotyczne kwiaty, ale jakoś nie miałam do nich ręki. Donice chyba będę musiała sprzedać i to za marne grosze, bo z całą pewnością nie znajdę dla nich miejsca w domu – powiedziała sąsiadka, kiedy zauważyła, że przyglądam się zdobiącej murek ceramicznej kolekcji.

– Na te w kolorowe paski sama chętnie się skuszę. Chciałam akurat kupić kilka niewielkich kaktusów na łazienkowy parapet. Tę największą, pomarańczową, też chętnie przygarnę. Muszę w końcu przesadzić fikusa.

– Zaklepane! – roześmiała się Patrycja, sięgając po zawieszony na szyi klucz. – Wybacz bałagan, dopiero się rozpakowuję – dodała, kiedy już weszłyśmy do środka.

Kartony były wszędzie. Tekturowe pudła pedantycznie opisane przez gospodynię starannym, chociaż nieco koślawym pismem, piętrzyły się wzdłuż ścian, stały na schodach i zajmowały każdy wolny kawałek podłogi pod pozbawionymi jeszcze firan oknami. Pomiędzy nimi upchnięto kilkanaście worków z zimowymi ubraniami, z których wystawały skrawki wełnianych swetrów, szalików i kolorowych chust, a na jednym z kartonów stał kiczowaty porcelanowy pelikan.

– Nie pytaj. To jeden z nietrafionych prezentów, które żal wyrzucić i jednocześnie wstyd ustawić na widoku. Jakieś dwa lata temu mój przyjaciel był na Florydzie i przywiózł mi tego nieszczęsnego pelikana... Ponoć kupił go od jakiejś ślicznej kubańskiej dziewczynki, która handlowała takimi figurkami w towarzystwie babci i chyba tylko historia tego dziecka nie pozwala mi pozbyć się kłopotliwej pamiątki. Ale jeśli chciałabyś go kupić, nie będę miała nic przeciwko – roześmiała się Patrycja.

– Wybacz, ale chyba sobie daruję.

– Tak właśnie podejrzewałam... Mam jeszcze porcelanowego krokodyla, gdybyś była zainteresowana – dodała lekkim tonem.

– Dobrana para – uśmiechnęłam się.

– Słuchaj, znasz może jakąś dobrą, godną polecenia ekipę remontową? Zanim to wszystko ogarnę, będę tutaj musiała pomalować. – Sąsiadka posłała mi kolejny uśmiech i nastawiła wodę na kawę.

Zauważyłam, że nie ma czajnika – zapewne zapodział się gdzieś podczas przeprowadzki. W zastępstwie używała niewielkiego, odrapanego czerwonego garnka w białe kwiaty, który wyglądał tak marnie, jakby został bezdusznie porzucony przez poprzednich właścicieli – parę emerytowanych nauczycieli akademickich, którzy wyprowadzili się stąd parę miesięcy wcześniej.

– Cieszę się, że kupiłaś ten dom. Przez długi czas zamartwialiśmy się z Hubertem, że trafią nam się

jacyś koszmarni sąsiedzi – powiedziałam.

– Cieszę się, że nie uznajesz mnie za koszmarną sąsiadkę – roześmiała się Patrycja.

– O ile nie masz rozwrzeszczanych dzieciaków w wieku przedszkolnym, ujadającego od rana do nocy jamnika i nie zamierzasz otwierać nam za ścianą tak zwanej agencji, z całą pewnością jesteś aniołem – rzuciłam rozbawionym głosem.

– Żadnych dzieci i psów. Co do agencji, to całkiem ciekawy pomysł. Zastanawiam się właśnie nad jakimś nowym biznesem. – Patrycja zabawnie zmarszczyła nos i postawiła na stoliku dwie eleganckie biało-złote filiżanki. Zapachniało kawą.

– Poprzedni nie wypalił? – zapytałam.

– Wręcz przeciwnie, interes idzie świetnie. Tyle że firma należy do mojego wkrótce już byłego męża, z którym nie chcę mieć nic wspólnego. Słodzisz? – zapytała.

– Półtorej łyżeczki, jeśli można.

Podawała mi duży słoik z etykietką po truskawkowym dżemie, w którym trzymała cukier, i obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

– Uroki przeprowadzki. Pamiętam, jak kilka lat temu serwowałam gościom wigilijny barszcz w pożyczonych od teściowej talerzach. Nasz najlepszy stołowy serwis wyłukł się podczas transportu, czego długo nie mogłam przeboleć, bo przywieźliśmy go aż z Francji. Hubert wydał wtedy na niego nasze ostatnie pieniądze. – Uśmiechnęłam się do wspomnień.

– Dobrze znałaś poprzednich lokatorów? Byli tutaj szczęśliwi? – zmieniła temat Patrycja.

– Tak, myślę, że tak. Ona hobbystycznie szyła szmaciane maskotki, które sprzedawała czasem na odpuszcie. On lubił piec, bywało, że w niedzielę wpadał do nas z domowym chlebem czy szarlotką. Mieli dwie córki, które bardzo o nich dbały. Młodsza w końcu zabrała ich do siebie, stąd przeprowadzka i sprzedaż domu.

– A wy?

– Co my? Pytasz, czy jestem szczęśliwa? – zdziwiłam się jej bezpośredniością, która kojarzyła mi się z włoską manią wypytywania o każdy możliwy szczegół. Czuałam jednak, że znalazłyśmy wspólny język i zupełnie nie przeszkadzało mi to, że Patrycja zasypuje mnie tyloma pytaniami.

– Po prostu pytam, czy długo jesteś mężatką? – zapytała Patrycja, oblizując łyżeczkę z cukru. – Wybacz, mam straszne maniery – dodała z rozbajającym uśmiechem. – Więc co z tym twoim małżeństwem? O ile mogę zapytać. Bywam chyba zbyt otwarta, żeby nie powiedzieć wścibska. Tak przynajmniej słyszałam.

– Niedługo minie szesnaście lat, odkąd jesteśmy razem. Znamy się odrobinę dłużej, ale ślub wzięliśmy prawie szesnaście lat temu – powiedziałam, a na myśl o mężu poczułam jakieś dziwne ukłucie w sercu.

Gdyby tylko wiedział...

– Imponujący staż, gratuluję. – Patrycja założyła nogę na nogę i zapatrzyła się w okno. – U mnie nie jest aż tak różowo. Z pierwszym mężem wytrzymałam niecałe półtora roku. Rozwód wzięliśmy jeszcze na studiach, poszło nawet gładko. Zero wspólnego majątku do podziału, brak dzieci... Rodzice też nawet bardzo nie protestowali. Może dlatego, że nie mieliśmy z Arturem ślubu kościelnego? Za Mariusza wyszłam pięć lat później, tym razem tak, jak zażyczyła sobie rodzina – z wielką pompą. Ślub w kościele, wesele w dworcu nad jeziorem, cała sala gości, welon, płatki róż i co tylko zdołasz sobie wyobrazić. Z początku było nam nawet dobrze, ale po pewnym czasie odkryłam, że to, co wzięłam za miłość, było

zwykłym zauroczeniem. Zaczęły się awantury, on robił się coraz bardziej zaborczy, agresywny, despotyczny. Kiedy poprosiłam o rozwód, wpadł w szal. Robił burdy w mojej pracy, wystawał przed firmą, śledził mnie, kiedy wychodziłam ze znajomymi. Już wtedy wiedziałam, że jest zdolny do naprawdę gwałtownych reakcji, ale nie dałam się zastraszyć. Pożyczyłam od rodziców trochę kasy, kupiłam tę połówkę domu, zaczynam wszystko od nowa. Mariusz na razie odpuścił, może nawet pogodził się z losem. Tak to mniej więcej wygląda. – Sąsiadka lekko wzruszyła ramionami i przesunęła w moją stronę miseczkę z okrągłymi zbożowymi ciasteczkami. – Częstuj się, proszę. Zanim wyszłam pobiegać, zjadłam sześć ciastek i bardzo bym chciała mieć współniczkę w tej zbrodni – dodała i wsypała do swojej kawy dodatkową, szokującą ilość cukru.

Zauważyłam, że ma ładne dłonie – szczupłe, długie palce i zadbane, pociągnięte białym lakierem paznokcie.

– Dwukrotna rozwódka i to przed trzydziestką? Okoliczne plotkary będą piały z zachwytu – zażartowałam.

Roześmiała się i odrzuciła do tyłu długie jasne włosy.

– Trzydziestka już mi stuknęła, i to prawie pięć lat temu. Ale dzięki, zawsze byłam łasa na pochlebstwa, a wyszło na to, że wyglądam młodo – powiedziała rozbawionym tonem.

Zjadłam ciastko i na moment w zagraconym najprzeróżniejszymi bambetlami salonie zapadła cisza. W końcu Patrycja zapytała, czym się zajmuję i zaczęłam jej opowiadać o działalności mojej zaangażowanej w ekologię firmy. Udawała, że słucha, jednak nie wyglądała na zainteresowaną – albo nudził ją temat, albo nagle zaczęła się śpieszyć. Odruchowo zerknęłam na zegarek i postanowiłam się zbierać.

– Jeśli za jakiś kwadrans nie wyjdę do pracy, znowu się spóźnię – rzuciłam.

– Jasne, nie powinnam zabierać ci tyle czasu – powiedziała sąsiadka, ale zapewniłam ją, że świetnie się bawiłam.

Odprowadziła mnie do furtki. Ubrany w nową koszulę i swoje ulubione jasne spodnie Hubert wsiadał akurat do samochodu, co nie uszło jej uwagi.

– Czym się zajmuje twój mąż? – zapytała jeszcze, zanim się pożegnaliśmy.

– Jest pediatrą, pracuje w szpitalu dziecięcym na Jodłowej – powiedziałam, obserwując wsiadającego do auta Huberta.

Pomachał mi i lekko się uśmiechnął, ale to nie na mnie skupił całą uwagę. Patrzył na Patrycję. Zbyt długo, jak na mój gust, i ze zbyt widocznym błyskiem w oku. Poczulałam palącą zazdrość i szybko zrobiło mi się głupio – sąsiadka sprawiała wrażenie wyjątkowo sympatycznej osoby, a ja oceniałam ją po pozorach. To, że była atrakcyjna i młoda, automatycznie nie czyniło z niej mojej rywalki. Zresztą Hubert mnie kocha, zawsze mnie kochał. To ja powinnam zadać sobie pytanie, co tak naprawdę jeszcze do niego czuję, skoro coraz częściej myślę o zbliżającej się niedzieli i niecierpliwych dłoniach Jacka na mojej nagiej skórze...

Wieczorem znowu się rozpadało. Mżawka przeszła w regularną ulewę, zrobiło się jednak odrobinę cieplej. Z wełnianym pledem na kolanach siedziałam na balkonie z kryminałem w ręku, kiedy w zasięgu mojego wzroku pojawiła się nowa sąsiadka. Tym razem miała na sobie obcisłą czerwoną sukienkę i wyglądała tak, jakby wybierała się na uroczystą kolację. W szpilkach sprawiała wrażenie jeszcze

wyższej, niż zapamiętałam, a elegancko zakręcone włosy nie pozostawiały złudzeń – z całą pewnością wystroiła się dla jakiegoś przystojniaka. Kiedy zamykała na klucz swoją furtkę, zauważyłam, że ma na sobie cieniutkie pończochy z pojedynczym paskiem na łydce, takie, jakie zawsze podobały się mojemu mężowi. Kokietka, uśmiechnęłam się pod nosem, bo nawet szarpiąc się z parasolką, Patrycja wyglądała po prostu świetnie. Chwilę później w uliczkę wjechał czarny mercedes z logo firmy taksówkarskiej na drzwiach. Odłożyłam książkę. Sąsiadka poprawiła włosy i nerwowym gestem wygładziła czerwoną sukienkę. Czując się trochę jak wścibska raszpla, śledziłam ją wzrokiem, dopóki nie wsiadła do czekającej po drugiej stronie uliczki taryfy.

Telefon odezwał się chwilę później. Dzwoniła Aldona – mieszkająca po sąsiedzku matka trójki drobiazgu i największa plotkara w całej okolicy.

– Widziałaś to, co ja? Sąsiadeczka nie próżnuje. Jeszcze dobrze się nie rozwiodła, a już szuka kolejnego gacha – syknęła mi w słuchawkę, kiedy odebrałam.

– Skąd wiesz, że się rozwodzi? – zapytałam, bo jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że Patrycja szczerze i prosto z mostu rozmawia ze złośliwą i mało sympatyczną Aldoną.

– Słyszałam od znajomej. Kiedyś z nią pracowała i co nieco mi opowiedziała. To już jej drugi rozwód, wyobraź sobie! W dodatku ten jej pierwszy mąż podobno ostro imprezował, a kolejny parę razy ją pobił i...

– Z pierwszym była jeszcze na studiach. To chyba normalne? – wtrąciłam swoje trzy grosze, przerywając jej monolog.

– A ty skąd to wiesz? – zdziwiła się.

Zrozumiałam, że chlapnęłam zbyt dużo, ale było już za późno...

– Obiło mi się o uszy, ale wiesz, jak ludzie plotkują – powiedziałam szybko, chcąc jakoś załagodzić sytuację.

Aldona nie skomentowała. Zmieniła temat i zapytała, co czytałam.

Zrozumiałam, że musiała mi się przyglądać z okna – mieszkała dokładnie naprzeciwko nas i za każdym razem, kiedy zjawiałam się na naszym niewielkim zadaszonym balkonie, widziała mnie jak na dłoni.

– Całkiem dobrą książkę. Podrzucę ci, jak skończę – powiedziałam na odczepnego, czego szybko pożałowałam.

– To może do mnie wpadniesz? Mojego Szymka nie ma czwarty dzień, a ja mam dość tkwienia z dziećmi w domu. Gdyby tak nie lało, wypuściłabym tę rozwrzeszczaną zgrają do ogrodu, ale w ten deszcz... Szkoda gadać. To co, zajrzysz? Mam drożdżowe ciasto i naprawdę świetną kawową nalewkę – kusiła.

Nie miałam najmniejszej ochoty wybierać się do niej z wizytą. Wiedziałam jednak, że będzie mnie zadreczać, dopóki się nie zgodzę. Dość dawno się nie widziałyśmy, co było dodatkowym powodem jej nachalności. Przez te parę tygodni zdołała już pewnie zebrać sporą liczbę plotek, którymi koniecznie będzie się chciała ze mną podzielić. Skrzywiłam się. Czułam jednak, że tym razem się nie wywinę. Obiecałam więc, że zjawię się za kwadrans i z dużą ulgą zakończyłam rozmowę. Nie lubiłam Aldony – co do tego nie miałam nawet cienia wątpliwości. Była jednak naszą najbliższą sąsiadką i chcąc nie chcąc, musiałam z nią utrzymywać w miarę przyjacielskie relacje. Ciężko się w końcu mieszka naprzeciwko kogoś, z kim drze się koty – to akurat świetnie pamiętałam z naszego dawnego mieszkania – konflikt z sąsiadami może się człowiekowi odbić czkawką...

Niektórym kobietom macierzyństwo służy. Innym potomstwo ciąży niczym kamień u szyi. Aldona bez dwóch zdań należała do tej drugiej kategorii... Drzwi otworzyła w poplamionym musztardą szarym dresie. Ciemnoblonde włosy miała tłuste i byle jak spięte tandetną różową spinką, na nogach przydeptane, zbyt duże kapcie. Staralam się omijać wzrokiem sraczkowatą plamę na jej piersi, ale zauważyła moje spojrzenie.

– Antek właśnie mnie upaśćkał – wytłumaczyła się, chociaż, jak dla mnie, musztarda wyglądała na dawno zaschniętą.

– Nie przejmuj się, ja i tak tylko na chwilę – powiedziałam, mając nadzieję, że nie dalej jak za pół godziny uda mi się ewakuować.

Oczywiście Aldona miała zgoła inną wizję naszego spotkania.

– Wchodź, wchodź! Wreszcie się nagadamy! – cieszyła się. – Dawno miałam do ciebie dzwonić, bo nie podoba mi się ta nowa – dodała z przekąsem.

– Nawet jej nie znasz...

– A ty niby tak dobrze ją znasz? Jeszcze zobaczysz, że mam rację! Kiedy zaczniesz strzelać oczami w stronę twojego Huberta, nie będziesz taka wyrozumiała! – mruknęła sąsiadka, potykając się o olbrzymią plastikową koparkę, którą któreś z jej dzieci porzuciło na środku dywanu. – Skaranie boskie z tymi smarkaczami! – syknęła, ze złością wkopując zabawkę pod odrapaną komodę na wysokich nogach.

Szłam za nią, starając się nie wdepnąć w nic, co mogło być kawałkiem podeschniętej pizzy, czy zagubionym klockiem Lego o ostrych krawędziach. Uśmiechnęłam się pod nosem, przypominając sobie zamieszczone swego czasu przez koleżankę życzenia z okazji Dnia Chłopaka. „Obyś, chuju, wdepnęła w Lego na bosaka!” – napisała na Facebooku pod adresem swojego byłego. Śmiałam się wtedy tak, że oblałam się kawą, za to Hubert, który akurat zerkał mi przez ramię, uznał tekst za żenująco wulgarny.

– Uważaj, klocki! – Aldona przesunęła nogą kilka drewnianych belek i wyraźnie poirytowana także wsunęła je pod komodę.

Przedpokój był wąski, ciemny i pełen dziecięcych zabawek. Mocno przybrudzoną, pomazaną woskowymi kredkami ścianę w bliżej nieokreślonym odcieniu zdobiły poprzyklejane przezroczyście plastrem dziecięce rysunki, zrolowany kolorowy dywanik tkwił na wpół wciśnięty pod drewniany stolik przy wejściu do salonu. Kiedy go mijałyśmy, Aldona wepchnęła dywan głębiej, najpewniej obawiając się, że wywinę orła. Przy okazji spadł jej lewy pantofel, ukazując wściekle różową skarpetę z ziejącą na pięcie dziurą. Salon był równie zabałaganiony, ale tutaj chociaż ściany były czyste. Sąsiadka chyba wyczuła, że surowo oceniam jej domowe pielesze, bo odwróciła się w moją stronę ze zbolalym wyrazem twarzy i powiedziała, że czasem ma ochotę zamknąć za sobą frontowe drzwi i więcej nie wracać.

– Wiesz, jak ci ludzie, co to wychodzą po fajki i wszelki ślad po nich ginie. Już naprawdę nie mam siły tego wszystkiego ogarniać, skoro po paru godzinach wygląda tutaj dokładnie tak samo. – Wzruszyła ramionami i zapaliła ozdobną lampę przy lustrze. – Zobacz, same zniszczenia – wskazała palcem stłuczoną porcelanową figurkę, której nieszczęsne szczątki leżały na ławie. – Wczoraj wyszłam na moment do mamy i Antek rozbił ją piłką... Tyle razy prosiłam, żeby nie grali w piłkę w domu! Ale to jak grochem o ścianę, każda rozmowa z nimi kończy się moją porażką – westchnęła teatralnie, wyraźnie spragniona mojego współczucia.

– Daj spokój, z dziećmiakami tak to już bywa. Broją, bałaganią – powiedziałam, chociaż wcale nie byłam tego taka pewna.

Moja starsza siostra też ma trójkę. Jednak u niej jest tak czysto, że można by jeść z podłogi. Żeby było śmieszniej, Marta pracuje na pełen etat, czego nie można powiedzieć o Aldonie, która odkąd urodziła najstarszą córkę, siedzi w domu.

– Czego się napijesz? – zapytała sąsiadka.

Chwilę później wkopała pod ławę swoje przydeptane pantofle i w samych skarpetach ruszyła w stronę kuchennej wnęki. Zauważyłam, że w drugiej skarpetce też ma dziurę, a tył jej spodni od dresu „zdobi” ciemna plama, nad której pochodzeniem wolałam się nawet nie zastanawiać.

Poprosiłam o szklankę mineralnej i rozejrzałam się za jakimś wolnym od porozrzucanych gratów kawałkiem sofy, na którym mogłabym usiąść. W salonie panował ciężki, wręcz gęsty zaduch, jakby Aldona przez wiele dni nie otwierała okien.

Wróciła po chwili, z brzydsko rozdartą paczką słonych paluszków i szklanką wody. Kiedy stawiała poczęstunek na ławie, opakowanie paluszków rozdarło się do reszty, co skomentowała, rzucając tak zwanym mięsem. Stałam przy oknie, nie bardzo wiedząc, w którym miejscu mogłabym przysiąść. Aldona nie widziała jednak problemu.

– Siadaj – powiedziała, jednym ruchem zrzucając z kanapy leżące tam lalki Barbie, samochodziki, gazety i puste torebki po chipsach.

Nie przejmując się nami, pięcioletni bliźniacy gonili się wokół stołu, a siedząca w fotelu pod oknem siedmioletnia Marysia bawiła się lalkami.

– Antek, uspokój się! – Bóg wie czemu, Aldona skarciła tylko jednego syna i ku mojej niewysłowionej uldze lekko uchyliła okno. – Uspokój się, mówię! Czekaj, aż ojciec wróci, to dopiero z tobą pogada!

– Ale to on mnie zaczepia! Mamo, to ooon! – bronił się dzieciak, oskarżając brata.

– Idźcie do siebie! – Aldona chyba do reszty straciła cierpliwość, bo złapała jednego z chłopców za kołnierz czerwonej bluzy i pociągnęła w stronę drzwi. – Już, do siebie!

– Mamusiu, Antek powiedział, że babcia jest stara. – Piskliwy głos siedzącej dotąd cicho Marysi dopełnił czary goryczy.

Aldona krzyknęła na córkę, żeby nie rozrzucała zabawek i kazała jej iść za braćmi.

– Pilnuj ich, słyszysz?! – huknęła na małą.

Przestraszona dziewczynka posłała mi spłoszone spojrzenie. Jak na swój wiek była rozczulająco drobna i bladziutka. Tylko oczy miała wyraziste – duże, błękitne, zapewne po Szymku.

– Ile razy trzeba powtarzać?! Już was tu nie ma! – Aldona chwyciła się pod boki i ruszyła w stronę skulonej w przepastnym fotelu córki.

– Niech zostaną, ja i tak zaraz będę się zbierać – wzięłam małą w obronę, ale sąsiadka bynajmniej nie zamierzała ustąpić.

– Muszą w końcu sprzątnąć swoje pokoje, zanim do reszty stracę cierpliwość. Chryste, co ja sobie myślałam, kiedy marzyłam o dzieciakach? – westchnęła i usiadła na wyraźnie niestabilnym krześle z poplamionym obiciem.

– Każda matka miewa gorsze dni. Z trójką jest ci pewnie ciężko, ale...

– Ciężko to mało powiedziane. – Aldona weszła mi w słowo i cisnęła w kąt pokoju lalkę z urwaną

ręką. – Zobacz, jak to wygląda! Demolują chałupę, jak jakaś dzicz! Ledwo remontowaliśmy, a już wszystko upačkane, zaplamione, podarte! Mój Szymek na zbyt wiele im pozwala i tak się to właśnie kończy... A wracając do remontów, podobno ta nowa szuka dobrej ekipy? Mogłabym jej polecić mojego kuzyna, nam odstawił dom za naprawdę niewielkie pieniądze – dodała sąsiadka.

– Ta nowa ma na imię Patrycja – powiedziałam.

– No, nieważne. Jak ją tam zwa, tak zwa. – Aldona obojętnie wzruszyła ramionami i dodała, że jej kuzyn to naprawdę świetny fachowiec. – Przemek pracował nawet w Londynie, wyobraź sobie! Wieżowiec budowali gdzieś na peryferiach, widziałam zdjęcia! Ja to bym się bała w ogóle tam wejść, a on śmigał po tej budowie jak jakiś małpiszon – dodała, a ja przypomniałam sobie wiecznie skacowanego, żylastego chłopaka z zieloną bandaną na głowie. Rzucił niedopałki do mojego ogrodu, kłął jak szewc i bezczelnie stawiał swoją zdezelowaną furgonetkę tuż przy mojej bramie – słowem typ, którego wrogowi bym nie poleciła...

– Zawsze możesz wspomnieć, że znasz fachowca od budowlanki – powiedziałam dyplomatycznie, chociaż intuicyjnie czułam, że Patrycji z całą pewnością nie przypadłby do gustu niechlujny i zbyt głośny chłopak.

– Myślisz, że złapie przynętę? – Aldona wyjęła z przetłuszczonych włosów różową spinę i potrząsnęła głową nad stołem. – Szymek wraca wieczorem. Powinam się jakoś ogarnąć, a nie chce mi się nawet iść pod prysznic. Zaczynam się zastanawiać, czy tak już będzie zawsze – ja w domu, z tą rozwrzeszczaną dziczą, on wiecznie w służbowych rozjazdach. Mam dość, prawdę mówiąc. Zaczęłam sobie nawet szukać jakiejś pracy, ale gdzie mnie przyjmą bez matury, bez doświadczenia? Robiłam niby kiedyś w warzywnym, ale to było lata temu, zaraz po szkole – sąsiadka nerwowo podrapała się po szyi i wbiła wzrok w zalane deszczem okno.

– Może idź, zajmij się sobą, a ja posiedzę z dziećmiakami? – zaproponowałam bardziej z grzeczności niż życzliwości.

Nie żebym miała ochotę bawić się w niańkę. Po prostu nagle zrobiło mi się jej żal. Na szczęście Aldona z właściwym sobie pesymizmem odrzuciła ofertę.

– Daj spokój, chwili byś z nimi nie wytrzymała – machnęła ręką i nachyliła się w moją stronę. – Słuchaj, widziałam cię parę dni temu z jakimś facetem. Wysoki, przystojny blondyn po trzydziestce. Co to za gość? – zapytała, nagle zmieniając temat.

To musiał być Jacek. Naprawdę bardzo się starałam nie poddawać panice.

– Blondyn po trzydziestce? – zapytałam, chcąc zyskać na czasie.

Udawałam zdziwioną i mogłam tylko mieć nadzieję, że sąsiadka nie wychwyci w moim głosie nawet cienia zdenerwowania.

– Tak. Bardzo przystojny, dobrze zbudowany. Rozmawialiście przy jego samochodzie, w okolicach dawnego kasyna – potwierdziła.

– A tam, to już wiem! To kumpel z mojej poprzedniej firmy. Pomaga mi w pewnym projekcie, czasem wyskakujemy razem na piwo – skłamałam zaskakująco gładko.

– Żonaty? – zapytała sąsiadka, co wydało mi się wyjątkowo śmieszne.

Co jej do tego? Chyba nie zamierza do niego startować w tym swoim niechlujnym, poplamionym dresie? – pomyślałam złośliwie, tymczasem ona wyraźnie czekała na odpowiedź.

– Świeżo rozwiedziony. – Dalej brnęłam w kłamstwo.

Tak naprawdę Jacek był zdeklarowanym kawalerem, ale co ją to w końcu obchodziło?

– Słuchaj, póki pamiętam... Dasz mi przepis na ten sernik bez pieczenia? – zmieniłam temat, modląc się, żeby Aldona zapomniała o Jacku.

– Jasne, wyślę ci mejlem – powiedziała.

A to nowość, pomyślałam. Jeszcze niedawno zarzekała się, że internet to zło, z którego ona korzystać nie zamierza.

– Zjesz coś? – zapytała sąsiadka.

Odmówiłam. Na samą myśl o jedzeniu czegokolwiek w panującym dookoła bałaganie, zrobiło mi się słabo. Zresztą świetnie pamiętałam imieniny jej Szymka, na które Aldona zaprosiła nas z Hubertem jakieś dwa lata wcześniej. Byłam z nią w kuchni, kiedy przypadkiem upuściła na podłogę kawałek ciasta. Złapałam za zmiotkę, chcąc wyrzucić makowiec do kosza, ale ona tylko się uśmiechnęła, położyła ciasto z powrotem na talerzyku i mruknęła, że da bratowej. „Nigdy tej żmii nie lubiłam” – skwitowała całą sytuację, a ja przez cały wieczór miałam przed oczami nieświadomą niczego siostrę Szymona...

– Ja w sumie coś bym zjadła – rzuciła Aldona i odkroiła sobie spory kawałek drożdżowego ciasta, który nałożyła na pełen okruszków talerzyk znaleziony na parapecie. – Jesteś pewna, że nie masz ochoty? – upewniła się.

Pokręciłam głową i zapatrzyłam się w okno.

– Pytałaś już męża, czy to prawda, że szczepionki powodują autyzm? – zapytała z ustami pełnymi ciasta.

– Nie pytałam, ale nie sądzę, żeby...

– To zapytaj – weszła mi w słowo sąsiadka, wyraźnie dając do zrozumienia, że moje zdanie zupełnie jej nie obchodzi.

W tym samym momencie do salonu wtargnęli usmarowani czekoladą bliźniacy, na których widok Aldona dosłownie wpadła w szal.

– Powiedziałam, że macie siedzieć u siebie! I czemu samowolnie dobraliście się do nutelli?! – krzyknęła.

Chłopcy nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Jeden dał nura pod stół, drugi z wrzaskiem zaczął biegać wokół sofy, na której siedziałyśmy.

– Mamo, patrz, strzelam! Mamoooo! – rozdarł się, uderzając w oparcie sofy połamanym kijem od miotły.

– Uspokójcie się! – Aldona wyglądała tak, jakby zaraz miała dostać udaru.

– Posłuchaj, naprawdę będę się zbierać. Hubert prosił, żebym zrobiła naleśniki, a nie byłam jeszcze nawet na zakupach – zaczęłam.

– Zostań jeszcze, co ci nagle tak śpieszno? Masz auto, to podskoczysz do delikatesów. Gdybym miała prawo jazdy, życie byłoby łatwiejsze – westchnęła Aldona.

– Czemu go nie zrobisz? – zdziwiłam się.

– A stać nas na cokolwiek? Co sobie trochę kasy odłożę, to idzie na dzieciaki. Dentysta, leki, zabawki, ubrania. Rosną jak chwasty, a ja tylko biegam po sklepach i kupuję – burknęła sąsiadka najwyraźniej urażoną moją sugestią.

Która matka mówi, że jej dzieciaki rosną jak chwasty? – pomyślałam mocno zniesmaczona, tymczasem

ona złapała za ucho jednego z synów i kazała mu wracać do jego pokoju. Chłopiec zaczął płakać, z kolei jego brat przeciągle wył, udając syrenę jadącego z odsieczą ambulansu. Rozbolała mnie głowa. Chyba nawet nie od tego wrzasku, co od pełnej rezygnacji, mało przyjemnej atmosfery, która panowała w zabałaganionym i dusznym domu sąsiadki.

Wstałam.

Liczyłam na to, że przemknę w stronę przedpokoju, w czasie gdy Aldona skupia uwagę na synu. Niestety... Zauważyła, że się zbieram i dosłownie zmusiła mnie do pozostania.

– Nie wygłupiaj się, ledwo weszłaś! Siadaj, zaraz zrobię nam kawy. Albo jeszcze lepiej, zaczniemy w końcu tę nalewkę. – Sąsiadka wyjęła z barku kieliszki i postawiła je na ławie.

Mój był brudny. Wyglądał na niedomyty, jednak Aldona nawet na niego nie spojrzała, jakby w jednej chwili zapomniała o swoim pomyśle.

– Wiem, że się powtarzam, ale naprawdę nie podoba mi się ta nowa – powiedziała. – Widziałaś ją dzisiaj? Odpicowana jak pod latarnię! Dziwkarska kiecka, szpileczki... Pewnie bzyka się z jakimś przystojniakiem, chociaż jeszcze nie ma rozwodu. Wygląda na puszczalską, nie? Przyjrzałam jej się wczoraj, kiedy wyszła pobiegać. Kręciła tym chudym tyłkiem tak, że wszyscy żonaci faceci w promieniu kilku kilometrów tracą pewnie niebawem głowę. Była tu nawet dziś rano, wpadła z kawałkiem ciasta, ale ja się nie dam nabrać. Udaję taką milusią, ale to pewnie jedna z tych, co to...

Wyłączyłam się. Po prostu przestałam słuchać. Aldona paplała jak nakręcona. Miała zaczerwienione z emocji policzki, tłuste włosy śmiesznie tańczyły wokół pucułowatej twarzy. Kiedy się w końcu zamknęła, chyba tylko po to, żeby wziąć głębszy oddech, powiedziałam, że naprawdę będę już lecieć. Wyglądała na zawiedzioną, tym razem jednak już mnie nie zatrzymywała.

W drodze do drzwi przypomniałam sobie przeczytaną gdzieś w sieci informację o badaniach pewnej nowojorskiej profesor. Badaczka twierdziła, że Polki to najbardziej sfrustrowane kobiety na ziemi. Mistrzyni słownej agresji, intrygantki i fałszywe przyjaciółki, marzące tylko o tym, żeby dopiec koleżance. Rywalkami są dla nas nawet najlepsze koleżanki, matki, siostry czy dobre znajome. Czytając wtedy te rewelacje, czułam się skrajnie poirytowana. Jednak opuszczając duszny salon Aldony, byłam gotowa przyznać, że coś w tym jest.

Biedaczka powinna uważać, bo któregoś dnia zatruje się własnym jadem, pomyślałam. I chociaż Aldona jest jedną z najbliższych mieszkających sąsiadek, z którą powinnam utrzymać w miarę dobre relacje, obiecałam sobie, że nieprędko do niej zajrzę. Sposób, w jaki wyrażała się o Patrycji, był tak podły, że aż niewiarygodny. Najśmieszniejsze było to, że jeszcze nawet jej nie poznała...

Konrad na sobotnią kolację zapowiedział się co prawda z dużym wyprzedzeniem, jednak nie raczył się na niej zjawić... Oczywiście o zmianie planów nikogo nie uprzedził. Zrobiłam warzywną tartę pod beszamelem i czekałam z podaniem jej do stołu niemal do dwudziestej pierwszej. W końcu straciłam cierpliwość.

– Sprawdź swoją komórkę, może chociaż wysłał ci SMS-a – poprosiłam Huberta, który coraz bardziej podenerwowany krążył od okna do okna.

– Sprawdziłam. Nie napisał nawet słowa. Zaczynam się martwić, że coś się stało. Trzeba było jechać po niego na stację, ale się uparł, że dotrze do nas sam. Miał być po osiemnastej, a tu już prawie dziewięta wieczorem! Wiem, że sam się nakręcam, ale w takich chwilach moja wyobraźnia kreuje naprawdę koszmarnie wizje. Może coś mu się stało? Może ma jakieś problemy? Swego czasu na okrągło popalał trawkę, ale...

– Hubert, uspokój się. I co ma trawka do niesłowności? Ile on tego wypala? Dwa, trzy skręty miesięcznie?

– Skąd miałbym wiedzieć, ile tego wypala?! – Hubert spojrzał na mnie jak na wariatkę.

Był wyraźnie poirytowany i nie mógł sobie znaleźć miejsca.

– Usiądź, uspokój się. – Pogłaskałam go po plecach. – To dorosły chłopak, poradzi sobie. A trawkę sama kiedyś popalałam. Wiesz przecież, że tuż po studiach przez kilka miesięcy pracowałam w Niemczech jako barmanka. Tam trawka była wszędzie i jakoś nikomu z jej powodu nie działa się krzywda. Pamiętam, jak któreś nocy upaliłam się w towarzystwie mojego szefa. Wylądowaliśmy na dachu jego kamienicy, rozłożyliśmy leżanki i pomimo że noc była chłodna, przesiedzieliśmy tam do świtu. Wstawało słońce, kiedy znalazła nas jego żona... Była z pochodzenia Turczynką, cholernie zaborczą kobietą. Ruszyła na nas z tasakiem, wyobrażasz sobie? Bluzgała na przemian po turecku i po niemiecku, a ja, uciekając przed nią, skręciłam kostkę i ledwo udało mi się dokuśtykać do mieszkania. Ale to z pewnością nie była wina trawki – roześmiałam się.

– Nie jestem jakimś zagorzałym przeciwnikiem zioła, Marzena! Mówię tylko, że się denerwuję! Konrad zawsze miał pochrzanione pomysły, wiesz przecież. Martwię się, nic na to nie poradzę!

– To przestań! Pewnie zaraz się zjawi, nigdy nie był punktualny – powiedziałam. – Siadaj, zjedźmy coś. Od obiadu nie miałeś niczego w ustach, a ta tarta po kolejnym podgrzaniu nie smakuje już tak samo.

– Poczekajmy jeszcze jakiś kwadrans – poprosił mąż, więc niechętnie ruszyłam do kuchni i zajęłam się doprawianiem zupy.

O dwudziestej pierwszej dwadzieścia osiem do reszty straciłam cierpliwość.

– Hubert, przepraszam cię, ale jestem tak głodna, że aż mnie mdli. Jedzmy, póki ciepłe, ile razy mam to odgrzewać? – powiedziałam.

– Może masz rację, zjedźmy coś. – Hubert nałożył mi na talerz solidną porcję tarty i usiadł naprzeciwko mnie przy naszym zbyt dużym dla nas dwojga, masywnym stole w jadalni.

Jedząc, prawie nie rozmawialiśmy. Hubert napomknął jedynie o mało sympatycznej wymianie zdań z ordynatorem, ja pobieżnie streściłam mu przedpołudniową wizytę u mojej nowej dentystki.

Przed dwudziestą drugą mąż włączył telewizor i z kieliszkiem wina w ręku usiadł na sofie w salonie.

– Zadzwoń do niego, przecież widzę, że się denerwujesz. – Usiadłam na skraju kanapy i wsunęłam palce w gęste, siwiejące na skroniach włosy Huberta.

– Dzwoniłem. Nie odbiera.

– Na pewno ma jakiś powód. Przecież...

– Czekaj, wysłał SMS-a... – Pisk przychodzącej wiadomości sprawił, że mąż przerwał mi w pół zdania i sięgnął po swoją leżącą na ławie komórkę. – No tak, jasne. Olał nas i nawet nie przeprosił. Spotkał w centrum znajomych, będzie później.

– Przynajmniej nie musimy się dłużej denerwować.

– Smarkacz! Zawsze coś wykombinuje. Przyjeżdża na niecałe półtora dnia i robi wszystko, żeby spędzić tutaj jak najmniej czasu – zachnął się Hubert.

– Jest młody, nie myśli w takich kategoriach – broniłam pasierba, jednak Hubert wyraźnie był wściekły.

– Myślałem, że pogadamy. Cholera, specjalnie zamieniłem się z kolegą na dyżury, a on co? Olał nas! Martwię się o niego i chyba nie powinno cię to dziwić. Tak beztrudno rzucił studia, co gorsza nie wiem, jakie ma dalsze plany. Miał iść na socjologię, ale nagle mu się odwidziało... Chciałbym jakoś nim pokierować, pomóc mu wybrać, coś doradzić. Ale on ma w głębokim poważaniu wszystkie moje sugestie, zupełnie jakby żył tylko po to, żeby zrobić mi na złość. Wiesz, jak się cieszyłem, kiedy dostał się na psychologię?! Byłem pewny, że go to wciągnie, a on zrezygnował po niecałym roku! I jeszcze ten cholerny zespół! Grywać do kotleta może sobie w weekendy, ale z tego przecież kiedyś rodziny nie utrzyma!

– Jest młody, szuka swojej drogi. Nie możesz zbytnio go naciskać, bo do reszty zaprzepaścisz wasze dobre relacje.

– Do reszty? Czyli, że co? Nagle jestem złym ojcem?! – mąż podniósł głos, co nieczęsto mu się zdarzało.

Nie miałam jednak żalu – wiedziałam przecież, że jeśli chodzi o Konrada, robi się wyjątkowo drażliwy. Kochał syna, starał się być dla niego wzorem, przyjacielem i powiernikiem. Miał też wyrzuty, że nie był przy nim, kiedy chłopak dorastał – po rozwodzie z Bożeną, matką mojego pasierba, rzadko go widywał. Kontakty z czystej złośliwości utrudniała była żona. Od kilku lat spotykają się co dwa, trzy miesiące, jednak Hubert wciąż chyba czuje jakiś niedosyt, jakby za wszelką cenę chciał nadrobić cały ten stracony czas.

– Masz ochotę na lody? – zapytałam. – Kupiłam czekoladowe, Konrad zawsze je lubił. Są też orzechowe z bakaliami i resztką waniliowych.

Mąż odstawił kieliszek z niedopitym winem i posłał mi zmęczony uśmiech.

– Dzięki, Marzenko. Naprawdę się starasz, a ja...

– Wiem, kotku. Nie mówmy już o tym. Jesteś dobrym ojcem i młody na pewno to wie. On cię kocha, chociaż wyraża to dość szczególnie.

– Czyli jak? Olewając mnie w taki sposób? – fuknął Hubert.

Usiadłam obok niego i zacisnęłam palce na jego dłoni. Miał zimne ręce i nadal wyglądał na mocno poirytowanego.

– Czemu bierzesz to do siebie? Napisał ci przecież, że wpadł na znajomych. Wskoczyli pewnie na kilka piw, zasiedzieli się w jakimś pubie. Wiesz, jak bywa w jego wieku. Spotkał parę osób, a do

północy zejdzie się ich dwa razy tyle. Upiją się, zedrą sobie gardła, powyglupiają się. Wróci w nocy, rano będzie spał do południa, ale w końcu pogadacie. Nie miej żalu, nie zmuszaj go do częstszych spotkań, młodzi nie lubią tego typu presji.

– Przecież wiesz, że po południu muszę być w szpitalu! Chciałem pogadać teraz, na spokojnie!

– Więc obudzisz go trochę wcześniej. Odeśpi kiedy indziej – powiedziałam.

– Dla ciebie wszystko zawsze jest takie proste. – Hubert złapał mnie za rękę i posadził sobie na kolanach. – Wygląda na to, że mamy wolną chatę – zmienił temat.

– Zaszalejemy? – zapytałam.

– Co masz na myśli, kusicielko?

– Dziki seks.

– Jak bardzo dziki? – Hubert rozpiął mi sweter i przez materiał cienkiej bluzki pieścił moje piersi.

Pomyślałam o ostatniej nocy z Jackiem, szybko jednak skupiłam się na mężu. Kochaliśmy się na sofie, czego dawno nie robiliśmy. Było miło i swojsko, chociaż trochę za krótko. Hubert zdawał się błędzić gdzieś myślami, ja zaczęłam sobie wyobrażać, że dzwonię do Jacka i opowiadam mu o wszystkim. Ostatnio lubiłam go drażnić, wzbudzać w nim zazdrość, wkurzać.

Natarczywy dzwonek do drzwi odezwał się, kiedy w pośpiechu zbieraliśmy z sofy swoje porozrzucane ciuchy.

– To Konrad? Miał być w nocy – szepnęłam.

– Popraw sobie kołnierzyk. – Mąż sięgnął do mojej bluzki i pocałował mnie w czubek nosa. – Kocham cię – dodał.

– Ja ciebie też – powiedziałam i od razu poczułam się fatalnie.

Jacek... Ostatnio coś się między nami zmieniło. Na początku była między nami tylko pałaca żądza, jednak od jakiegoś czasu pożądałam go i nienawidziłam jednocześnie. Czy to w ogóle możliwe? Z drugiej jednak strony, czemu by nie? *Odi et amo...* Już Katullus przecież o tym pisał, pomyślałam i nerwowo poprawiłam włosy. Wiedziałam, że Konrad wciąż nie do końca mnie akceptuje. Byłam żoną jego ojca od niemal szesnastu lat, a on nadal uważał mnie za intruza. Sama miałam w stosunku do niego dość mieszane uczucia. Znałam go od dziecka, od jego piątych urodzin. Hubert zabrał nas wtedy do wesołego miasteczka, żebym mogła poznać jego syna. Pamiętam, że młody zadarł mi wtedy nowe pończochy i cały się lepił od cukrowej waty. Później nie widziałam go przez dłuższy czas. Hubert pokazał mi zdjęcia z pierwszej komunii, kolejnych urodzin i ich „męskiego” wyjazdu do Mielnia, jednak nie przyprowadzał go do mnie, jakby się bał, że nie zdołam go w pełni pokochać... Czasem, kiedy o tym rozmawialiśmy, zapewniałam męża, że naprawdę darzę Konrada ciepłymi uczuciami. Był w końcu całkiem słodkim, chociaż bardzo nieśmiałym chłopcem. Jakiś czas później, kiedy już stał się zamkniętym w sobie, burkliwym i złośliwym nastolatkiem, wybraliśmy się w trójkę na obiad. Hubert dwoił się wtedy i troił, żeby atmosfera przy stole była w miarę strawna, pamiętam jednak, że Konrad posyłał mi krzywe spojrzenia i ostentacyjnie milczący, po prostu gapił się w okno. W końcu, kilka lat po tamtym obiedzie, po którym strasznie się z mężem pokłóciliśmy, chłopak przeistoczył się w raczej małomównego młodego mężczyznę. Ze względu na męża wciąż starałam się żywić do niego możliwie najcieplejsze uczucia, jednak niechęć, z jaką pasierb zazwyczaj się do mnie odnosił, raczej tego nie ułatwiała...

– Jesteś pijany? – Wyraźnie zde gustowany głos Huberta wyrwał mnie z niewesołych myśli.

– Byłem w pubie, czego się spodziewałeś? – odburknął mężowi syn i obaj weszli do salonu.

– Cześć – powiedziałam, siląc się na uśmiech.

– Cześć – odezwał się jak echo Konrad, jednak nawet na mnie nie spojrzał.

Zauważyłam, że zmężniał. Wyraźnie nabrał ciała i zapuścił włosy. Dawniej sięgały mu do podbródka, teraz niemal do ramion. Zapytałam, czy ma ochotę na kolację. Powiedział, że zjadł kebab i jest napchany do granic możliwości.

– Pościeliłam ci na górze, w pokoju z telewizorem – zaczęłam.

– Wolałbym się przespać na dole, jeśli nie macie nic przeciwko.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł. Dość dawno tam nie odkurzałam, ale...

– Pościelę sobie sam – wszedł mi w słowo Konrad.

Wymieniliśmy z Hubertem spojrzenia. Mąż wciąż wyglądał na lekko poirytowanego, jednak nie oponował.

– Rób, co chcesz – powiedział tylko i zniknął mi z oczu.

Zapytałam pasierba o podróż. Odkąd razem ze swoją nową dziewczyną mieszkał w Grudziądzu, miał do nas ładny kawałek drogi.

– Jak to w pociągu, syf, kiła i mogiła. Do tego brudny kibel i pięćdziesiąt minut opóźnienia – burknął, wciąż nie patrząc mi w oczy.

Herbaty nie chciał. Nie chciał też wina, piwa i wody mineralnej, więc w końcu zostawiłam go samego i poszłam na górę.

Tamtego wieczoru Hubert długo z nim rozmawiał. W naszej sypialni zjawił się dopiero koło pierwszej w nocy, nie miał jednak dobrych wieści.

– Mówi, że jednak nie idzie na kolejne studia. Planuje wyjazd do Holandii i chyba nikt nie jest w stanie wybić mu tego z głowy. Przepraszam, obudziłem cię? – Mąż, nie zapalając nocnej lampki, wsunął się pod kołdrę.

– Nie spałam – powiedziałam.

– Od jakiegoś czasu wyglądasz na dziwnie zestresowaną. Chodzisz po nocach, stale sprawdzasz komórkę. Co się dzieje? Masz jakieś problemy w firmie? Marzena, pogadajmy. Ostatnio mam takie nieprzyjemne wrażenie, że kompletnie cię nie znam. Ciebie, Konrada, własnej siostry... Każdy żyje gdzieś obok, zupełnie jakby nagle rozdzieliła nas ściana z pancernej szkła.

– Co ty wygadujesz? – zapytałam łamiącym się głosem.

– Mówię ci, jak się czuję. Mam takie wrażenie...

– Kocham cię, wszystko jest w porządku, Hubert – zapewniłam go.

I żeby tylko dłużej nie rozmawiać, żeby tylko on nie mówił więcej takich rzeczy, od których pękało mi serce, wsunęłam dłoń w luźne spodnie od jego pizamy i szepnęłam, że mam ochotę na seks. Tamtej nocy kochaliśmy się jeszcze raz, tuż po piątej nad ranem. Wyrwani ze snu przez ulewny deszcz, wtuleni w siebie, w kompletnej ciszy chłodnego poranka cieszyliśmy się wypracowaną przez lata bliskością, która nie potrzebowała słów.

Definitywnie kończę z Jackiem – obiecałam sobie rano, obserwując przygotowującego śniadanie męża.

Kiedy jednak wieczorem mój kochanek zadzwonił i powiedział, że czeka u siebie, pobiegłam do jego mieszkania, myśląc już tylko o tym, że zaraz weźmie mnie w ramiona, a ja chociaż na moment zapomnę o całym bożym świecie. Najbardziej dziwiła mnie ta dwoistość, w której nagle zaczęłam żyć – zawsze kochałam mój poukładany domowy świat. Czemu więc jednocześnie pragnęłam czegoś zupełnie innego? Czy zawsze musimy pragnąć tego przekłętą jabłka, które dojrzewało na jabłoni pokusy?! Czy nigdy nie możemy się zadowolić tym, co w danym momencie dał nam los? Miałam przecież wszystko. Jak to możliwe, że chciałam jeszcze więcej? I czy można dostać więcej, mając już tak wiele? – zastanawiałam się w drodze do samochodu.

Jacek odprowadził mnie na parking, ale nie pozwoliłam mu się tam pocałować.

– Daj spokój, Marzena, to niedorzeczne! Jest prawie pierwsza nad ranem, a dookoła żywego ducha! – parsknął, rozeźlony tym, że go odepchnęłam.

– Dobranoc – powiedziałam, wsiadając do auta.

Zapinałam pasy, kiedy on zastukał w szybę, którą niechętnie uchylałam.

– Pchły na noc, karaluchy pod poduchy! Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – zapytał.

– Wracaj do łóżka, Jacek – szepnęłam.

– Wróc tam ze mną – mruknął.

– Mam gdzie spać – powiedziałam, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Jasne. I masz nawet z kim! To musi być przyjemne uczucie, co? Być pożądaną przez dwóch zakochanych facetów?! – podniósł głos.

Wyłączyłam silnik i wysiadłam na mżawkę.

– Naprawdę chcesz się teraz kłócić?! – krzyknęłam.

Nie odpowiedział. Przyciągnął mnie do siebie, wsunął dłonie pod mój żakiet i dosłownie wpił się w moje usta.

– Teraz możesz wracać do domu – powiedział.

– Czasem zachowujesz się jak kompletny dupek – syknęłam.

– Nie zauważyłem, żeby kiedykolwiek wcześniej ci to przeszkadzało – rzucił kpiarskim tonem.

Odjechałam bez pożegnania. Policzki płonęły mi z pożądania przemieszanego z furią, dłonie drżały tak mocno, że musiałam zacisnąć je na kierownicy. Nie trzymaj kierownicy tak kurczowo, bo przy większych wybojach połamiesz sobie palce – powiedział mi kiedyś instruktor przygotowujący mnie do egzaminu. Dziwne, jakie rzeczy zupełnie niespodziewanie się człowiekowi przypominają, pomyślałam, wyjeżdżając z parkingu przed blokiem Jacka. Ulice były niemal puste. Minął mnie jedynie wóz patrolowy, półciężarówka i jakiś zdezelowany czarny samochód na zagranicznych numerach. Dopiero niedaleko domu, zwalniając przed pulsującymi na żółto światłami wyłączzonej sygnalizacji, zauważyłam wsiadającą do samochodu wysoką młodą kobietę. Dokąd jedzie? – zastanawiałam się. Do kochanka? Do chorej matki? Pacjenta? Mijając jej auto, usiłowałam dostrzec rysy jej twarzy, ale stanęła w słabo oświetlonym miejscu, z dala od rzucanego przez uliczne latarnie bursztynowego światła.

Po powrocie do domu zaparzyłam herbatę, włączyłam laptopa i weszłam na forum sprawdzić, czy są jakieś nowe posty. Dwa nowe wpisy pojawiły się kilka godzin wcześniej, żadnej z tych dziewczyn do tej pory tam nie widziałam. Otworzyłam pierwszy wpis i mrużąc oczy w skąpym świetle nocnej lampki,

zaczęłam czytać.

Kilka dni temu dowiedziałam się, z kim zdradza mnie Dariusz. Przycisnęłam przyjaciółkę i w końcu się wygadała. Co gorsza, okazało się, że wszyscy nasi wspólni znajomi od dawna wiedzieli o jego romansie – pisała Erynia888. – Sprawdziłam jej konto na Facebooku i okazało się, że ma na tyle tupetu, żeby wrzucać na nie fotki z moim mężem! Pisała o nim „mój Misiaczek”! JEJ Misiaczek! Obejrzałam ponad dwadzieścia zdjęć, na których się obejmowali, całowali, trzymali za ręce, albo przynajmniej patrzyli sobie w oczy. Jej durne przyjaciółeczki wrzucały oczywiście komentarze. Życzyły jej, żeby wszystko jak najszybciej się ułożyło, a mnie nazywały głupią i ślepą krową, która nie potrafi dostrzec, że mąż już jej nie kocha...

Przed komputerem się rozplakałam, później zajrzałam do dziewczynek. Obie tak słodko spały. Przypomniałam sobie dzień, w którym przyszły na świat. Dwie zapłakane, różowe twarzyczki, łzy wzruszenia w oczach Dariusza, mój ból połączony z poczuciem szczęścia tak olbrzymiego, że aż przerażającego. Zanim skończyły roczek, setki razy zakradaliśmy się do ich pokoju, żeby przyjrzeć się, jak śpią. Później każdy wspólny dzień stawał się coraz bardziej oczywisty, rutyna zaczęła nas podgryzać, szarogęsić się po domu, na który wydaliśmy wszystkie zarobione za granicą oszczędności. Ale wtedy jeszcze miałam pewność, że wyszłam za właściwego człowieka. Aż tu nagle słyszę, że mój mąż posuwa tę wypełnioną kolagenem, opaloną na karotę cipę!

Dzień później dowiedziałam się, gdzie ona pracuje. Okazało się, że jest sekretarką w hurtowni mrozonek i najprawdopodobniej łączyła ją kiedyś intymna relacja z dwa razy od niej starszym żonatym szefem. Moja nienawiść była tak paląca, że aż śmieszna. Wyobrażałam sobie, że wpadam do biura, ruszam na nią z pazurami i wydrapuję jej oczy! Ale nie, nie mogę iść do więzienia. Mam przecież trzyletnie córeczki. Dlatego poprzestałam na przebiciu jej opon i zrysowaniu lakieru. Niech się zdzira domyśli, kto jej załatwił nowe auto! Wieczorem Dariusz jakoś dziwnie mi się przyglądał, jakby WIEDZIAŁ, kto stoi za zniszczeniem samochodu kochanki. Siedzieliśmy w każdym razie za stołem, a ja udawałam niewiniątko. Podałam mu nawet zapiekankę, żałując, że nie mam tyle odwagi, żeby doprawić ją psimi odchodami, które jak zwykle zostawił przed naszą furtką spaniel sąsiadów.

W nocy mąż chciał się kochać. Obudził mnie koło drugiej, był jak zawsze nachalny. „Przestań!” – powiedziałam, ale jego dłonie sunęły już w stronę moich piersi, język lizał małżowinę ucha, a nabrzmiały członek obijał się o moje pośladki. Wyobraziłam sobie, jak wchodzi w tę przechodzoną zdzirę i zerwałam się z łóżka. „Co jest?!” – zapytał. Był wściekły. Złapałam za stojącą na nocnym stoliku ślubną fotografię i cisnęłam w niego ciężką ramką. „Wynoś się, słyszysz?! Wypierdalaj z naszego domu, kutasie zawszony!” – wrzeszczałam, zupełnie tracąc nad sobą kontrolę. Tak, wiem, strasznie to brzmi. Rzadko klnę, nie znoszę wulgarnych kobiet. Ale wtedy mogłabym go zabić, jakby nienawiść zamieniła mnie w jakąś obcą, ziejącą wściekłością imitację mnie samej. Zerwał się z łóżka i zapalił boczne światło. „Rozcięłaś mi wargę. Pojebało cię?!” – warknął, zbierając z podłogi ostre odłamki szkła z roztrzaskanej ramki. „Powiedziałaś, wynoś się!” – krzyknęłam. Zaczął wrzeszczeć, że nie mam prawa go wyrzucać, że to też jego dom. Rąbnęłam głową o ścianę, zaczęłam się okładać pięściami po twarzy. Z nosa buchnęła krew, ale ja nie czułam bólu. Przyglądał mi się z niedowierzaniem, zszokowany przemianą w wariatkę, której nigdy wcześniej we mnie nie widział. W końcu ruszył w moją stronę. „Przestań, oszalałaś? Zrobisz sobie krzywdę...” –

zaczął. Odepchnęłam go i wybiegłam z sypialni. Później, bosa, w samej nocnej koszuli, wybiegłam z domu i zadzwoniłam do drzwi sąsiadów, łomocząc w nie pięściami. „Ratunku, on mnie zabije!” – krzyczałam. Dariusz wybiegł za mną na chodnik, ale sąsiadka zdążyła już otworzyć frontowe drzwi. Na szczęście nigdy nie zamykała na noc furtki, ktoś lata temu złamał jej klucz.

Policja przyjechała kilka minut później, spisali moje zeznania, zaproponowali pomoc psychologa. Postanowiłam – rozwodzę się, ale jemu zatruję życie tak, że długo się nie pozbiera. Zachciało mu się romansu, niech się tą suką nacieszy! Ale mnie zapamięta na zawsze, do usranej śmierci! Bo to mnie ślubował przed ołtarzem miłość, nie tej wywłóce! I jaki rodzaj mężczyzny wdaje się w romans w niespełna cztery lata po ślubie?!

Dziś rano zadzwonił jego ojciec, wielki pan mecenas. Chciał ze mną poważnie porozmawiać, przemówić mi do rozsądku, jak się wyraził. Odłożyłam słuchawkę i wyszarpałam kabel z gniazdka. A teraz siedzę i płaczę, czuję się tak, jakby ktoś strącił mnie w niekończącą się lodową szczelinę. Czemu to właśnie mnie spotkało? Jak spojrzę w oczy znajomym? Czy moje koleżanki też mają za sobą takie upokarzające epizody, chociaż świetnie udają, że wszystko u nich w porządku? Mam ochotę napełnić wannę gorącą, pachnącą wanilią wodą i tworzyć sobie żyły. Ale nagle zaczyna płakać jedna z naszych bliźniaczek i wraca mi rozum. Ja mam się zabić? JA? Niech ta puszczańska sucz zdechnie w mękach!

Ostatnio czytałam o rzucaniu uroków. Zawsze wierzyłam, że jestem dobrym człowiekiem, aż tu nagle zamówiłam w sieci laleczkę voodoo! Ale nie będę się zadręczać, nie ja powinnam mieć wyrzuty sumienia. Zresztą te tandetne okultystyczne gadzety można teraz ponoć kupić nawet w empiku. Więc odbiorę przesyłkę i bez chwili wahania wbiję pierwszą igłę! Ta szmata odebrała mi męża, ale ze mną się nie zadziera! To ja jestem jego żoną, nie ona! I to do mnie on wróci na kolanach! Do mnie! – przeczytałam.

Nietknięta herbata zdążyła już wystygnać, a ja tkwiłam przed laptopem wpatrzona w opisaną przez młodą kobietą historię. Tyle złych emocji, tyle nienawiści... Tak właśnie kończy się czysta, nieskażona niczym miłość, kiedy wpuszcza się do łóżka postronne osoby – pomyślałam, czując palące wyrzuty sumienia.

Malinowa–Panna wyraziła się znacznie zwięźlej.

W ten weekend mój mąż przyznał się do zdrady i z płaczem wyznał, że ma HIV. Zaraził się od kochanki, ponoć nie wyglądała na „taką”. Błagał, żebym mu wybaczyła, ale nie potrafię nawet na niego patrzeć. Jutro idę na badania, chcę to mieć za sobą. Ale najpierw spakuję swoje rzeczy i przeniosę się do siostry. Rodzice jeszcze nic nie wiedzą, nie wiem, jak im to wytłumaczę... Planowaliśmy przecież pierwsze dziecko, chcieliśmy kupić większe mieszkanie, a teraz będą mi pobierać krew, żeby ją przebadac na obecność śmiertelnego wirusa?! Leszek wygląda jak cień dawnego siebie, ale nie potrafię wykrzesać z siebie nawet odrobiny współczucia. Ta, która go zaraziła, pracuje ponoć w tym samym banku i ma dwie kilkuletnie córki. Kto zaraził ją? Jakie to zresztą ma znaczenie? Boję się... Czy ktoś może mnie jakoś pocieszyć?

Spaliłem kurczaka. – Jacek powitał mnie w progu w śmiesznym kuchennym fartuszkuzdobionym kolorowymi wyszywanymi kwiatami. – No nie patrz tak, to prezent od byłej – mrugnął do mnie. – Zjesz sałatkę? Zrobiłem tosty, jest sernik...

Powiedziałam, że już jadłam.

Wyglądał na zawiedzionego, ale niczego nie skomentował. Mruknął tylko coś o przeklętym deszczu i czekał, aż ściągnę wilgotny żakiet. Kiedy go ode mnie odbierał, zauważyłam, że ma brzydko rozciętą dłoń. Zapytałam, co się stało. Powiedział, że składał sąsiadce komodę i skaleczył się przy pracy. Miałam ochotę zapytać, co to za sąsiadka, ale nie chciałam okazywać zazdrości. To on zazwyczaj bywał o mnie zazdrosny i w sumie lubiłam ten układ. Wydawał mi się prosty i słuszny, sprawiał, że czułam pewną przewagę.

– Spóźniłaś się – zauważył. – Jak twój pasierb?

– Nie znoszę tego słowa – skrzywiłam się.

– Dobrze, więc jak syn Huberta?

– Naprawdę chcesz teraz rozmawiać o Konradzie? – zapytałam ostrym tonem.

– Strasznie drażliwa się zrobiłaś. Cokolwiek powiem, zawsze masz jakieś ale... Chcesz piwa? Chyba że wolisz drinka? – Sięgnął po wilgotną parasolkę, którą położyłam na komodzie, i cisnął ją w kąt przedpokoju. – To co? Czego się napijesz?

– Wszystko jedno – wzruszyłam ramionami i poprawiłam przed lustrem lekko skręcone z powodu mżawki włosy.

Jacek zapalił światło w korytarzu i uważnie zmierzył mnie wzrokiem.

– Wyglądasz na wykończoną. Najwyraźniej familijne spędy ci nie służą – rzucił kąśliwie.

– Nie bądź złośliwy. Wiesz, że tego nie lubię – syknęłam.

Nie odpowiedział.

Przez krótką chwilę obserwował, jak rozpinam złoczone paski od nowych sandałków, w końcu zniknął w kuchni. Kiedy się poznaliśmy, lubił ściągać mi buty. Klękał, ujmował w dłonie moją kostkę i powoli, celebując każdą chwilę, rozpinął zamek zamszowych kozaczków, które wtedy nosiłam. Jednak pewnego dnia dał sobie z tym spokój i już nigdy więcej mi w tym nie pomógł...

– To piwo czy drink?! – Dochodzący z kuchni głos Jacka wyrwał mnie z zamyślenia.

Poprosiłam o dzin z tonikiem. Powiedział, że tonik się skończył, ale może skoczyć do delikatesów. W tym samym momencie rozdzwoniła się jego komórka. Zazwyczaj, kiedy byliśmy razem, ignorował swój telefon. Teraz jednak odebrał i w pośpiechu wyszedł na balkon. Obserwowałam go przez duże, na wpół rozsunięte panoramiczne okno. Wyglądał na ożywionego i mocno gestykułował, więc od razu się domyśliłam, że musi do niego dzwonić jakaś atrakcyjna kobieta. Rozmawiał przez dłuższą chwilę i w końcu poczułam złość. Nie po to w pełnej konspiracji wyrwałam się z domu, żeby samotnie tkwić na jego sofie!

Kiedy wrócił do salonu, zapytałam, kto dzwonił. Chwilę później zniechęciłam się za to pytanie, jednak słowo się rzekło...

Irytująco lekkim tonem powiedział, że dawna znajoma.

– Znajoma? A może Sylwia?

– A nawet jeśli? Czyżbyś była odrobinę zazdrosna? – Jacek usiadł koło mnie i położył dłoń na moim udzie.

– Nie bądź śmieszny! – rzuciłam ostrym tonem i strąciłam jego rękę.

Uśmiechnął się, jednak nie odpowiedział.

Wstał, rozlał nam piwo i podał mi jeden z kufli. Spiłam pianę i przymknęłam oczy, wygodnie sadowiając się na sofie. W głębi mojej torebki odezwała się komórka. Nie miałam pewności, czy dzwoni mąż, jednak od razu na nowo się spięłam na myśl o czekającym na połączenie Hubercie.

– Nie odbierzesz? – Jacek podał mi leżącą do niedawna na skórzanym pufie torebkę i przyglądając mi się z wymownym uśmieszkiem, wypił pierwszych kilka łyków swojego piwa.

Dzwoniła Marta.

Na myśl, że ignoruję siostrę w taki sposób, od razu poczułam wyrzuty sumienia, jednak nie odebrałam.

– Kupiłem też krakersy. Zjesz?

– Mówiłam ci, już jadłam.

– Rozumiem. Nic nie przebije rodzinnej kolacyjki, tak?

– Kolację mieliśmy zjeść wczoraj. Tyle że Konrad się nie zjawił. Wpadł na jakichś znajomych i zasiedział się w centrum.

– Przykro mi.

– Nic takiego się nie stało – wzruszyłam ramionami.

– A jak tam wasze relacje? Syn Huberta dalej uważa cię za swojego największego wroga? – zapytał Jacek.

Poczułam złość. Sposób, w jaki mówił o mojej rodzinie, zaczął mnie drażnić. Wyrażał się o nich ze słyszalną w głosie pogardą, jakby mnie oceniał, jakby uważał, że marnie się między nami układa. Co mógł o nas wiedzieć, skoro nigdy nie widział na oczy Huberta?! Jakim prawem wyrażał te swoje irytujące opinie, skoro nie miał pojęcia, co tak naprawdę między nami jest?! Byłam mężatką od szesnastu lat! Większość tego czasu była dobra, zdarzały się też gorsze chwile, jak w każdym małżeństwie. Nie życzyłam sobie jednak, żeby ktokolwiek przyglądający się mojej rodzinie z boku wygłaszał na jej temat pogardliwe opinie!

– Co? Znowu powiedziałem coś nie tak? – zapytał Jacek.

– Nie powinnam ci wspominać o moich problemach z Konradem – powiedziałam cicho. – Nie wydaje mi się właściwie, że rozmawiamy o tym tu i teraz...

– Czemu? Myślałem, że gramy w otwarte karty. Ty wiesz o mnie wszystko.

– Naprawdę? Wszystko?

– Absolutnie wszystko. Opowiedziałem ci o problemach brata, długach, które spłacałem przez lata, alkoholizmie ojca, związku z Sylwią. Wspomniałem ci o konflikcie z byłym szefem, o bójce z najlepszym kumplem, pobycie w Norwegii, pracy przy sortowaniu cholernego łososia! Wiesz o mnie wszystko, Marzena! – podniósł głos.

Na wzmiankę o jego związku z Sylwią mimowolnie się zjeżyłam. Jacek wielokrotnie mi powtarzał, że

między nimi od dawna wszystko jest skończone, ale lekobieca intuicja podpowiadała mi, że on tak łatwo o niej nie zapomni. Kochał ją, co do tego nie miałam nawet cienia wątpliwości. Kiedyś, po kilku głębszych, powiedział mi, że była jedyną kobietą, z którą mógłby się ożenić. W sumie nawet mnie to nie dziwiło – piękna, inteligentna i jasnowłosa pani doktor biochemii mogła zawrócić w głowie każdemu. Rzuciła go jakiś rok przed naszym pierwszym spotkaniem i ponoć zrobiła to bez klasy. Jednak kiedy o niej mówił, błyszczały mu oczy i czułam, że mógłby jej wybaczyć nawet to, w jaki sposób od niego odeszła...

– Kociątko, powiedz mi, czemu ostatnio stale się kłócimy? – Jacek odgarnął mi włosy z czoła i usiadł bliżej.

Nasze kolana lekko się stykały, czułam ciepło bijące od jego ciała i świeży, morski zapach wody kolońskiej. Pachniała intensywnie, kojarzyła się z wakacjami nad Bałtykiem i zimnym, wietrznym dniem na pustej, podmytej sztormem plaży. Któregoś dnia po powrocie z randki zdałam sobie sprawę, że moje dłonie pachną męską morską nutą i pomyślałam, że taką samą wodę powinnam kupić mężowi. Hubert przyjął prezent z entuzjastyczną radością, a ja jeszcze długo miałam z tego powodu wyrzuty.

– Nic nie powiesz? – zapytał.

– Przesadzasz.

– Ja przesadzam? A może ty ignorujesz fakty?

– Posłuchaj, Jacek. Jeśli masz teraz zamiar...

Nie dokończyłam, bo odezwał się dzwonek.

– Zapraszałeś kogoś? Przecież wiedziałeś, że przyjadę! – W nagłej panice zerwałam się z sofy, co wyraźnie go rozbawiło.

– Wyluzuj, to pewnie sąsiad – uśmiechnął się krzywo.

Kiedy ruszył w stronę drzwi, przygryzłam wargi i nerwowo poprawiłam włosy, wyobrażając sobie, że nagle do salonu wchodzi Hubert. Wiedziałam, że to idiotyczne – mąż był przecież w szpitalu i co istotniejsze, z całą pewnością nie wiedział, gdzie spędzam wieczór. Jednak zrodzona w mojej głowie wizja tak mnie przeraziła, że zaczęły mi się trząść dłonie.

– Wchodź, chłopie. Dobrze, że wpadłeś. Miałem do ciebie dzwonić w sprawie najbliższego zebrania – usłyszałam głos Jacka, który po chwili wrócił do salonu w towarzystwie niewysokiego szczupłego szatyna po czterdziestce.

Gość miał na sobie sztruksy, flanelową koszulę i szelki, dzięki którym przypominał mi uczącego mnie lata temu w liceum profesora od fizyki. Kamiński też nosił szelki i uwielbiał flanelowe koszule.

– Poznajcie się. To jest Maciej, mój sąsiad zza ściany. A to Marzena, stara przyjaciółka – powiedział Jacek.

Wstałam i podałam rękę niespodziewanemu gościowi. Miał spoconą dłoń i chyba był lekko speszony moją obecnością. Nie lubię oceniać ludzi, myśląc stereotypami, ale koleś wyglądał mi na typowego starego kawalera. Kogoś, kto nie ożenił się do czterdziestki i raczej już tego nie zrobi.

– To ja wpadnę kiedy indziej, bo nie chciałbym...

– Siadaj, chłopie, nie wygłupiaj się. – Jacek podsunął mu jeden ze skórzanych pufów i zapytał, czy ma ochotę na browar.

Wróciłam na sofę i dopiłam piwo. Sąsiad Jacka ukradkiem mi się przyglądał, nie próbował jednak zagaić rozmowy. Nerwowo poprawiłam włosy i przekręciłam na palcu złotą obrączkę, dopiero po chwili

zdając sobie sprawę, że zapomniałam ją zdjąć. Jacek nie znosił jej widoku, co zawsze mnie śmieszyło. Zupełnie jakby wyobrażał sobie, że wystarczy zsunąć z palca złoty krążek, żeby cała nasza sytuacja uległa diametralnej zmianie...

– Długo się znacie? – Maciej w końcu przemówił, przerywając krępujące milczenie.

Otwarłam usta, żeby odpowiedzieć, ale Jacek mnie uprzedził.

– Poznaliśmy się na studiach – skłamał lekko mój kochanek i podał kumpłowi piwo.

– Stare przyjaźnie z dobrych, szczenięcych lat... Z wiekiem człowiek docenia je coraz bardziej – uśmiechnął się nowo przybyły.

Zauważyłam, że trzęsą mu się ręce. Zacisnęłam palce na kuflu z piwem. Moje dłonie także drżały, wciąż też czułam się niepewnie, niemal przyłapaną na gorącym uczynku...

– Zjesz coś? Mam sałatkę z kurczakiem! – Jacek, który wyjątkowo dobrze czuł się w roli gościnnego gospodarza, przyniósł z kuchni paterę z pokrojonym sernikiem i postawił ją na ławie. – Częstujcie się. Marzena oczywiście jest na diecie, ale może się skusi – mrugnął do mnie. – Wybierasz się jutro na kosza? Może bym się z tobą zabrał? – zapytał mój kochanek, zwracając się do sąsiada.

– Nie wiem jeszcze. Auto mi szwankuje.

– Podrzucę cię, co za problem?

– W takim układzie chętnie. – Maciej, który wyglądał na zadowolonego z propozycji, sięgnął po kawałek oblanego czekoladową polewą sernika.

– Wpadłem wczoraj na Nowackiego ze spółdzielni. Ponoć w końcu mają nam odnowić fasadę – powiedział Jacek.

– O, super – wymamrotał Maciej z pełnymi ustami.

Przyglądałam się im, dopijając piwo i nie mogłam się zdecydować, co takiego ich łączy. Na pewno nie była to przyjaźń. Ich rozmowa była nudna, kompletnie pozbawiona emocji i płytką. Sprawiali wrażenie ludzi, którzy z jakiegoś zagadkowego powodu są niemal skazani na swoje towarzystwo, chociaż nawet się nie lubią.

– Będę się zbierać. Chciałem tylko zapytać, czy nie pożyczyłbyś mi wiertarki, ale to może poczekać. Masz gościa, nie chcę przeszkadzać – powiedział Maciej, odsuwając talerzyk po serniku.

Czekolada w kąciку jego ust sprawiała, że wyglądał jak duży dzieciak. Wstał. Okruchy ciasta z jego flanelowej koszuli spadły prosto na nowy beżowy dywan. Ponieważ jestem raczej pedantyczna, od razu pomyślałam o odkurzaczu, ale Jacek chyba niczego nie zauważył.

– Miło było poznać. – Maciej podał mi spoconą dłoń, którą ponownie musiałam uścisnąć, przy okazji przypominając sobie, że według zasad savoir-vivre'u to kobieta pierwsza wyciąga rękę do mężczyzny.

W przedpokoju Jacek rozmawiał z sąsiadem jeszcze dłuższą chwilę, w końcu usłyszałam trzask zamykanych frontowych drzwi. Pomimo że Maciej nie zabawił długo, nawet ten kwadrans, który z nami spędził, mocno wytrącił mnie z równowagi.

– Po co w ogóle go wpuściłeś?! – naskoczyłam na Jacka.

– O co ci znowu chodzi?! Chciał pożyczyć wiertarkę, sama słyszałaś.

– Trzeba to było załatwić w progu, a nie zapraszać go na piwo! Wiesz, jak się czułam, kiedy tak podejrzliwie na mnie spoglądał?! Gość nie jest chyba idiotą, mógł się domyślić, jakiego rodzaju znajomość nas łączy! – wybuchałam.

– A nawet jakby? Wypiliśmy wspólne piwo i pewnie więcej go nie zobaczysz. Z czym masz problem?
– wzruszył ramionami Jacek.

– To niewielkie miasto – syknęłam. – Powiedziałyby nawet – zwykła dziura. W dodatku los bywa przewrotny. Co, jeśli to jakiś znajomy Huberta albo ktoś, kto kiedyś coś skojarzy?! Pomyślałeś o tym?!

Powiedział, że jak zawsze przesadam i objął mnie ramieniem.

– To tylko sąsiad. Koleś nie wtyka nosa w cudze sprawy, nie obchodzą go plotki. Uspokój się, zjedz coś.

– Obserwując was, miałam wrażenie, że nawet się nie lubicie. Rozmowa wyraźnie kulała, jakby między wami było wręcz niezręcznie – powiedziałam.

– Bo pewnie jest. W sumie masz rację, niewiele nas łączy. Czasem jeździmy razem pograć w kosza, bywa, że rozmawiamy o sprawach spółdzielni mieszkaniowej. Ale Maciej to porządny koleś, można na niego liczyć. Czasem pożycza mi kasę, już kilka ładnych razy uratował mi tyłek.

– Tu jest pies pogrzebany. Skaczesz koło niego na palcach, bo pożycza ci kasę – stwierdziłam.

Nie odpowiedział.

Wyszedł na balkon i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w migoczącą tysiącem świateł panoramę miasta. Jego osiedle mieściło się na niewielkim wzgórzu, dzięki czemu wieczorem miał z balkonu fantastyczny widok na okolicę.

Kiedy wrócił do pokoju, zapytałam, co właściwie studiował.

– Bo kiedyś wspominałeś, że masz tylko maturę – dodałam.

– Tak. Politechnikę rzuciłem po niecałym roku. Ojciec ostro wtedy pił, ja poznałem koleśki, z którymi wyjechałem do Berlina. Przez prawie dwa lata pomieszkivaliśmy w czymś w rodzaju squatu. Piątka dzieciaków z Polski, którym nie przeszkadzał brud, smród i ubóstwo. Gnieździliśmy się w tym na wpół zrujnowanym domu, dzieląc go z jakąś parą z Rumunii i trójką młodych Bułgarów. Jadaliśmy to, co udało się ukraść albo znaleźć w kontenerach za supermarketami, piliśmy tanie wino i chociaż brzmi to dość marnie, zawsze uważałem, że to jeden z najlepszych okresów mojego życia – powiedział Jacek. – Co? Zszokowałem cię?

– Nie. Zdałam sobie jedynie sprawę, że jednak nie wiem o tobie wszystkiego – uśmiechnęłam się.

– Fakt, „wszystko” to bardzo pojemne słowo – powiedział, głaszcząc mnie po nagim ramieniu. – Myślałem o tobie, wiesz?

– Też o tobie myślałam – przyznałam.

Pocałował mnie. Smakował wypitym przed chwilą piwem i czekoladą. Oddałam mu pocałunek, ale w końcu odwróciłam głowę.

– Jacek, nie... Nie jestem w nastroju.

– Myślałem, że kochanka zawsze jest w nastroju – rzucił marnym żartem.

Ubodło mnie to określenie, wkurzyło. Było w nim coś... Sama nie wiedziałam, jak to określić.

– Pojadę już. – Gwałtownie wstałam z sofy i w pośpiechu założyłam zakiet.

– Jak chcesz – powiedział, wzruszając ramionami.

Zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy odkąd się poznaliśmy, on nie zaczął mnie namawiać, żebym jeszcze została. W przedpokoju, czekając, aż ubiorę buty, zapytał tylko, czy może do mnie zadzwonić wieczorem. Powiedziałam, że raczej nie, bo w domu jest Konrad i pożegnałam się z nim, rzucając krótkie

„cześć”.

Na zewnątrz jeszcze bardziej się rozpadało. Walcząc ze starą parasolką, niemal biegłam przez ciemny parking. Wsiadałam do samochodu, kiedy ponownie zadzwoniła moja siostra. Rzuciłam parasolkę na tylne siedzenie i tym razem odebrałam, co wyraźnie ucieszyło Martę.

– No hej, dzwonię i dzwonię! – powitała mnie wyrzutem. – Gdzie ty się włóczysz? Chciałam do was zajrzeć, ale nikt nie otworzył mi drzwi. A sterczałam przed waszą furtką chyba z dziesięć minut! Na całym parterze świeciło się światło, ale nikt się nie pofatygował, żeby mnie wpuścić. Mówiłaś, że jest dziś u was Konrad, chciałam się przywitać...

– Przepraszam, Martuś. Młody pewnie siedział ze słuchawkami na uszach i nie słyszał dzwonka – powiedziałam.

– No dobrze, a ty? Byłam pewna, że jesteś w domu! Komórki nie odbierasz, dzwonka nikt nie słyszy...

Powiedziałam, że odwiedziłam starą przyjaciółkę. Siostra zapytała, którą, więc wcisnęłam jej bajeczkę o dawno niewidzianej, poznałej na aerobiku koleżance, która właśnie się rozwodzi. Całe szczęście nie podjęła tematu, nadal jednak czułam się fatalnie.

Ostatnio okłamuję każdego, kto w jakiś sposób jest mi bliski, pomyślałam, kiedy Marta się rozłączyła.

Pół godziny później zadzwonił mąż. Miał zmęczony, łamiący się głos i był wyraźnie przybity. Zmarł jeden z jego małych pacjentów, co Hubert zawsze w jakiś sposób przeżywał. Rozmawialiśmy przez dłuższą chwilę, a sącząc do słuchawki kolejne banały, myślałam tylko o tym, że właśnie wróciłam ze schadzki z kochankiem, którego od miesiący nie potrafię wybić sobie z głowy.

– Kocham cię – powiedział mąż, zanim zakończył rozmowę, i dodał, że chciałby teraz leżeć przy mnie w naszej sypialni.

Rozpłakałam się, co on wziął pewnie za wzruszenie, a może smutek?

– Takie jest życie. Popieprzone i podłe, a my możemy tylko iść dalej, udając, że nad czymkolwiek panujemy – powiedział łagodnym głosem.

– Też cię kocham – szepnęłam.

– Muszę kończyć. Śpij dobrze – zakończył rozmowę.

Pomimo fatalnego samopoczucia zasnęłam niemal od razu. Śnił mi się Jacek. Kochaliśmy się w pełnej pianej wannie, a stojący w uchylonych drzwiach nagi i ociekający wodą Hubert, przyglądał nam się z nieodgadnionym wyrazem twarzy i szklanką whisky w dłoni.

Przez pięć kolejnych dni Jacek się do mnie nie odzywał. Nie napisał nawet jednego SMS-a, chociaż zazwyczaj wysyłał mi nawet kilka wiadomości dziennie. Krążyłam wokół telefonu, niczym rozsierdzona tygrysyca w przyciasnej klatce, jednak komórka uparcie milczała. Szóstego dnia wybrałam jego numer, ale nie odebrał. Skurwiel! Wiedziałam, że się gniewał – wkurzył go pewnie sposób, w jaki ostatnio się pożegnaliśmy. Jednak nigdy dotąd nie ignorował mnie w tak oczywisty sposób. Siódmego dnia wyłączyłam komórkę. Nie przestałam się jednak zastanawiać, czy on akurat przypadkiem nie dzwoni i już po niespełna półgodzinie włączyłam ją z powrotem. Niestety, jedyna wiadomość, jaka w tym czasie do mnie dotarła, pochodziła od operatora sieci...

Wieczorem, zupełnie niespodziewanie, Hubert zaprosił mnie na kolację.

– Mateusz zrobił dla nas rezerwację w Bałkańskiej – powiedział.

Nie byłam zachwycona tym pomysłem, zaplanowałam sobie spokojny wieczór w domowych pieleszach.

– Gdybyś łaskawie wspomniał mi o tym wcześniej, ułożyłabym chociaż włosy! – skwitowałam.

– W kucyku też ci ładnie. Zresztą to niezobowiązujące przyjacielskie spotkanie – dodał. – No nie bocz się, kotku. Ubierz tę nową kieckę, podmaluj oko i po problemie. – Mąż przyciągnął mnie do siebie i przez dłuższą chwilę trzymał w ramionach.

W końcu mruknął, że musi się napić kawy i dodał, że o dziewiętnastej powinniśmy być w centrum.

Prawdę mówiąc, nie miałam najmniejszej ochoty na towarzystwo nadętego kolegi męża po fachu i jego głupio rozchichotanej, sporo od niego młodszej żony. Z drugiej jednak strony wszystko było lepsze od ciągłego wpatrywania się w wyświetlacz mojej komórki... Malując się, nasłuchiwałam dźwięku telefonu, ale panującą w domu ciszę zakłócała jedynie dochodząca z dołu muzyka, którą włączył mąż. Zanim wyłączyłam laptopa, zerknęłam na forum o zdradzie, na które zaglądałam już niemal każdego dnia. Nowy post był tylko jeden. Czterdziestokilkuletnia kobieta, która parę tygodni wcześniej pytała internautki, czy powinna wybaczyć mężowi niewierność, teraz informowała, że jednak go pogoniła...

„Wynoś się!” Jednym krótkim zdaniem przekreśliłam ponad dwadzieścia lat małżeństwa... Ale czy mogłam postąpić inaczej? – pisała Rusałka. – Gdzieś w głębi ducha miałam nadzieję, że Tomasz zacznie mnie błagać o wybaczenie, jak już to robił wcześniej, ale on tylko wyszedł z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Spakował się tak szybko, jakby nagle wszystkie nasze wspólne lata skurczyły się do rozmiaru trzech niewielkich walizek i sportowej torby, z którą chadzał na siłownię. Kiedy upychał rzeczy do swojego samochodu, nasz siedemnastoletni syn zamknął się u siebie w pokoju i włączył dudniącą muzykę, jakby chciał zagłuszyć swoje własne myśli, a zapłakana córka stała przy oknie, wpatrując się w zalaną deszczem szybę. Mąż odjechał chwilę później. Zanim wszedł do samochodu, nawet nie spojrzął w stronę domu. Stałam na balkonie, dopóki tylne światła jego volkswagena nie zniknęły pośród siąpiącej mżawki i zapadającej ciemności. Więc to już. Koniec, pozamiatane. Dzieci pewnie mnie znienawidzą, to ja będę tą, która wyrzuciła z domu ich najdroższego tatusia...

Część z Was radziła mi, żeby wybaczyć. Zagryźć zęby, wypłakać się w samotności i dać

mu jeszcze jedną szansę. Może niektórym to się udaje, ale ja nie potrafię! Ostatniej nocy przyglądałam mu się, kiedy spał, i zdałam sobie sprawę, że pomimo upływu lat wygląda niemal tak samo, jak w czasach naszej podróży poślubnej. Ale zewnętrzna powłoka nie oddawała tego, co w środku. Wewnątrz przegnił, zdradził wszystkie wartości, którym hołdowaliśmy, odwrócił się od nas.

Jego kochanka ma na imię Justyna i jest ode mnie sporo młodsza. Szczyt banału z lukrowaną otoczką. Poznał ją w samolocie. Wracał z delegacji, ona z pogrzebu kuzyna. Rozpłakała się zaraz po starciu, on siedział obok, dał jej chusteczkę. Zaczęła mu opowiadać o szpitalu, zmaganiach z chorobą i chłopaku, który nie miał jeszcze dwudziestki, a już nie żył. Kiedy przestała płakać, wypili po drinku i zaczęli rozmawiać o pracy. Jej fart, a mój pech, że byli z tej samej branży. A dwójka agentów nieruchomości zawsze znajdzie wspólne tematy. Zanim wylądowali w Krakowie, wymienili się wizytówkami. Ponoć nie było między nimi żadnych obietnic i przeciągłych spojrzeń, ale oboje wiedzieli, że niebawem się spotkają. Skąd to wszystko wiem? Tomasz mi opowiedział. Tego dnia, kiedy błagał mnie o wybaczenie, a ja powiedziałam, że może kiedyś... Dopiero kilka tygodni później dowiedziałam się, że zerwał z kochanką, bo go szantażowała. Zagroziła, że o wszystkim mi powie, więc wolał zrobić to pierwszy. Gdyby nie to, pewnie do dziś by się z nią spotykał.

Wyrzuciłam go tydzień po naszej ostatniej poważnej rozmowie, nie mogłam się zmusić, żeby spojrzeć mu w oczy, a co dopiero zrobić mu miejsce we własnym wnętrzu, przyjmując go w siebie. Nie chodzi mi nawet tylko o seks, chodzi o wszystko. Zdradzając mnie, odebrał mi wszystkie dobre wspomnienia, zablokował we mnie pozytywne emocje. Nie potrafiłabym go już kochać, nie znosiłam nawet widoku jego cholernej szczoteczki do zębów w naszej łazience! Dlatego właśnie wyrzuciłam z siebie to jedno krótkie zdanie. „Wynoś się!” A on tak szybko się spakował i odjechał.

A teraz płaczę, chociaż wiem, że powinnam być silna. Córka też popłakuje po kątach, widzę, że wciąż ma czerwone oczy. Wychodząc za Tomasza, byłam pewna, że to już na zawsze. Okazało się jednak, że słowo „zawsze” ma termin ważności, taki sam jak wiśniowy jogurt czy skondensowane mleko.

Ale to nic, ja zawsze spadam na cztery łapy. Tak przynajmniej mawiał o mnie dziadek. Jestem jeszcze w miarę młoda, mam świetną pracę, jakoś się pozbieram. Trzymajcie się, Dziewczyny, chyba nic tu po mnie... Wypłakałam się Wam, dostałam od Was wiele ciepłych słów i wracam do życia. „Padłaś? Popraw koronę i powstań!” – jak mawia moja nastoletnia córka. Zawsze mnie śmieszy ten tekst, jest taki idiotyczny. Tak czy inaczej, bądźcie dzielne, a naszym zdradzieckim mężom krzyżyk na drogę! Mówi się, że karma prędzej czy później wraca, pamiętajcie. Pojutrze lecę służbowo do Berlina i wiecie co? Może też popłaczę się w samolocie i wypiję drinka z jakimś fajnym facetem? Tyle że ja nie zadam się z żonatym. Zbyt dobrze wiem, jak boli bycie zdradzoną. Trzymajcie za mnie kciuki, okay? Rusalka.

Przeczytałam to, z trudem tłumiąc łzy.

– Marzena, długo jeszcze?! – Zamykałam laptopa, kiedy mąż krzyknął z półpiętra, że powinniśmy już jechać.

– Idę! Pali się?! – odkrzyknęłam.

Zanim wyszłam z sypialni, przeciągnęłam usta błyszcznikiem i poprawiłam włosy. Telefon w mojej

torebce nadal uparcie milczał, co doprowadzało mnie do szału.

– Wsiadaj już! Guzdrzesz się dzisiaj wyjątkowo! – Hubert pogonił mnie, kiedy wyszłam przed furtkę.
– Zamknęłaś okno w kuchni?

– Nie. Myślałam, że ty zamkniesz – zdziwiłam się. – Cholera, faktycznie otwarte – mruknęłam, odwracając się w stronę domu.

– Daj mi je, ja się wrócę. – Mąż wyjął mi z ręki klucze od domu i pędem przebiegł przez ogród.

Wsiadłam do samochodu i zapięłam pasy. W tym samym momencie zadzwoniła moja komórka. Wyjęłam ją z torebki z nadzieją, że to w końcu Jacek, ale dzwoniła jedna z firmowych koleżanek, która chciała tylko zapytać o przepis na kurczaka.

– Przy okazji dokręciłem wodę, bo jak zwykle kapało z kranu. Chyba jednak będę musiał powymieniać te uszczelki! – Hubert wślizgnął się na fotel kierowcy i wyjął ze schowka miętówkę. – Chcesz?

– Nie.

– Ładnie dziś wyglądasz.

– Skąd wiesz, skoro nawet na mnie nie spojrzalesz? – zapytałam.

Zerknął na mnie, wyraźnie zdziwiony.

– Oczywiście, że spojrzalem! Przecież mówię – ładnie wyglądasz – powtórzył.

– Dzięki.

– Co cię znowu ugryzło, Marzena?

– Nic, jedźmy już.

– Dawniej narzekałaś, że nigdzie nie wychodzimy. Miałaś pretensje, że na okrągło pracuję, a teraz nagle...

– Powiedziałam, jedźmy już, okay?! – podniosłam głos.

– Mówisz, masz – mruknął.

Drogę przez wyjątkowo zakorkowane centrum pokonaliśmy w milczeniu, które mogłoby być krępujące dla dwójki obcych ludzi, ale było całkiem swobodne dla par takich jak my – małżonków, którzy powiedzieli już sobie niemal wszystko i to na każdy z możliwych tematów. Do restauracji dotarliśmy kilka minut spóźnieni. W środku było nieprzyjemnie duszno i od razu pożałowałam, że założyłam na sukienkę gruby jesienny żakiet. Kiedy precyzyjnie się przez zapchaną do granic możliwości salę, Mateusz i Jolanta już na nas czekali. On jak zawsze nienagannie ubrany, w ciemnym garniturze i jasnej koszuli. Jedwabny krawat w kolorze cappuccino ładnie kontrastował z jego śniadą cerą, w krótko przyciętych włosach połyskiwał żel. Ona była odważnie wydekoltowana, opalona na ciemny brąz i zwyczajowo wypindrzona. Zauważyłam, że wyraźnie powiększyła sobie usta i jeszcze bardziej wychudła, co z jej skrajnie kościstą figurą upodabniało ją do anorektyczki. Nazwanie jej po prostu szczupłą byłoby w każdym razie eufemizmem roku.

Na nasz widok Mateusz wstał, pocałował mnie w rękę i szarmancko podsunął mi krzesło. Jolanta nie raczyła podnieść kościstego tyłka, posłała za to powłóczyście spojrzenie mojemu mężowi. Od początku przeczuwałam, że to będzie ciężki wieczór, jednak pomimo mojego zwyczajowego opanowania z trudem powstrzymałam chęć wyjścia na zewnątrz. Hubert wyglądał za to na całkiem zrelaksowanego. Rozmowa

oczywiście od razu zeszła na szpitalne problemy, więc szybko się wyłączyłam. Jedzenie było smaczne, chociaż jak dla mnie może odrobinę zbyt ostro przyprawione. Byłam jednak głodna, więc rozprawiłam się z całą dorodną porcją bakłażanowej zapiekanki i sącząc wino, jednym uchem słuchałam Joli paplającej o niedawnej wizycie w Mediolanie.

Po deserze wymknęłam się do łazienki, gdzie od razu sprawdziłam telefon.

Cisza...

Jacek wciąż uparcie milczał, a ja zdałam sobie sprawę, że moja wcześniejsza wściekłość przeradza się w poczucie upokorzenia. Mówił, że mu na mnie zależy. Padły nawet słowa „kocham cię”, a teraz rzucił mnie bez słowa, z dnia na dzień? – myślałam bliska łez.

Żona Mateusza pojawiła się w damskiej toalecie dosłownie minutę później i nie zważając na moją skwaszoną minę, zaczęła nawijać o zajęciach jogi, na których ostatnio cudownie się ponoć zrelaksowała.

– To lepsze niż seks, kochana! Zresztą powiedzmy sobie szczerze, że ostatnio nie śpiam już z Matim tak często jak kiedyś – rzuciła zaskakująco lekkim tonem, po czym wyjęła z torebki błyszczczyk i z widocznym zachwytem w oczach zapatrzyła się w swoje odbicie w dużym lustrze. – A wy? Jak wam się układa? Ten twój Hubert to mi wygląda na niezłego ogiera – dodała i wybuchła głośnym, wulgarnym śmiechem.

Powiedziałam, że nie narzekam i szybko ucięłam dyskusję.

Jolanta schowała do torebki kosmetyczkę i uważnie mi się przyjrzała.

– Strasznie jesteś spięta, a przecież znamy się nie od dziś – powiedziała z wyrzutem po chwili. – Macie jakieś problemy? – zainteresowała się.

– Żadnych – mruknęłam.

– Żadnych? Bo uwierzę! Kochana, nie mnie takie bajki wciskaj! Tyle lat po ślubie, to przecież...

– Do czego ty właściwie zmierzasz, Jolu? – weszłam jej w słowo.

– No mówię, że jakieś problemy mieć musicie!

– I ty właśnie tu i teraz koniecznie chcesz je poznać? – zapytałam.

– Rany, nie musisz od razu być taka zgryźliwa. Chciałam pomóc – syknęła.

Wzruszyłam ramionami i nie czekając na nią, wyszłam z toalety. Może i byłam niegrzeczna, ale w tym akurat momencie naprawdę miałam to gdzieś. Swoją drogą, też się znalazła terapeutka od siedmiu boleści! – pomyślałam.

Kiedy wróciłam do stolika, Mateusz pisał SMS-a, a Hubert rozmawiał z młodą atrakcyjną kelnerką. Od razu wyczułam, że dziewczyna jest w jego typie – zresztą chyba tylko ślepy by się nie zorientował, że między nimi iskrzy. Na widok wyraźnie flirtującej z moim mężem dziewczyny poczułam nagły przypływ zazdrości, co zakrawało na naprawdę grubą ironię. W końcu kto jak kto, ale ja nie miałam chyba prawa być zazdrosna?

– Poprosiłem o rachunek – powiedział mąż, kiedy ta mała kokietka w końcu się zabrała. – Wyglądasz na zmęczoną, wszystko okay?

Powiedziałam, że boli mnie głowa.

– Zaraz coś zażyjesz. W aucie mam chyba ibuprom.

– Daj spokój, po prostu się nie wyspałam.

– Mimo wszystko...

– Hubert, nic mi nie jest. Naprawdę. – Pocałowałam męża w gładko ogolony policzek, a zapach jego wody kolońskiej obudził wspomnienia ostatniej nocy z... Jackiem.

– W sobotę robimy grilla. Wpadniecie? – Jolanta pojawiła się przy naszym stoliku, kiedy zakładałam żakiet.

Idąc przez salę, lekko się zatoczyła i dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że jest wyraźnie pijana.

– Przykro mi, mam dyżur – powiedział Hubert.

Zauważyłam, że zapłacił za całą naszą czwórkę, co nieco mnie zdziwiło. Ostatnio też on stawiał. Mateusz nie sprawiał jednak wrażenia człowieka zażenowanego całą sytuacją i pomyślałam, że w końcu ich towarzyskie układy to nie moja sprawa.

– A ty? Wpadnij, pogadamy, napijemy się. Przywiozłam z Włoch świetne wino – zwróciła się do mnie Jolanta.

Skłamałam, że umówiłam się z siostrą i z dużą ulgą się z nimi pożegnałam.

Na zewnątrz mżyło.

– Dawno nie było tak paskudnego początku lata – mruknęłam w drodze do samochodu.

– Dzięki, że ze mną poszłaś. Wiem, że ich nie znosisz, ale...

– Nie ich, tylko jej – weszłam mężowi w słowo. – Czasem tak się zastanawiam, jak taki inteligentny facet mógł się ożenić z idiotką pokroju Jolanty? Wiem, że jestem wredna, ale taka jest prawda. Ta laska powinna sobie znaleźć jakiegoś jeżdżącego bmw typka z przerostem karku – dodałam złośliwie.

– Dla niektórych facetów liczy się głównie wygląd. A czego jak czego, ale urody nie można Jolce odmówić. Może i jest pusta, ale żebyś widziała, jaką furorę zrobiła ostatnio na konferencji w Rabce. Jeden z niemieckich profesorów dosłownie się na jej widok ślinił – powiedział Hubert.

Roześmiałam się.

– Mówisz poważnie? Uważasz ją za atrakcyjną? Według mnie jest jak tania podróbka torebki od Prady. I ta jej marchewkowa opalenizna! Żona lekarza, a spędza bite godziny w solarium, jakby nigdy nie słyszała o czerniaku.

– Jezu Chryste, Marzena! Zawsze musisz oceniać ludzi tak surowo?! Byli ostatnio na Maderze, może tam się tak opaliła?! – podniósł głos mąż.

Zdałam sobie sprawę, że jest dziwnie wytrącony z równowagi i nie ma ochoty na rozmowę.

Byliśmy kilkanaście metrów od auta, kiedy w kieszeni marynarki męża rozdzwoniła się komórka. Dochodziła dwudziesta trzecia, ale takie wieczorne telefony nie były dla mnie zaskoczeniem. Zdarzało się przecież, że dzwonili spanikowani młodzi rodzice małych pacjentów Huberta, do których w skrajnych przypadkach jeździł z wizytą nawet po nocach. Mąż nie rozmawiał długo, od razu jednak zauważyłam, że musiało się stać coś złego. Kiedy skończył, usiadł na ciągnącym się wzdłuż cichej ulicy kamiennym murku i ukrył twarz w dłoniach.

– Hubert? Co się dzieje? – Nie zważając na wilgoć, usiadłam obok niego i zacisnęłam palce na jego dłoni.

Miał zimne ręce i wyglądał na roztrzęsionego.

– Moja kuzynka nie żyje – powiedział po dłuższej chwili milczenia.

– Co? Lidka? – wyjąkałam kompletnie zszokowana. – Co się stało? Miała wypadek? Hubert, powiedz coś! Z dziewczynkami wszystko w porządku?

– Ugryzła ją osa i dostała wstrząsu anafilaktycznego. Zmarła na oczach dzieci i swojej matki, zanim w ogóle zdążyła do nich dotrzeć karetka – powiedział mąż łamiącym się głosem.

Siedzieliśmy na murku jeszcze przez jakiś kwadrans, w końcu wzięłam od niego kluczyki i powiedziałam, że poprowadzę. Nie zaprotestował, chociaż widział, że wypłam do kolacji kieliszek wina. Jechałam wolno, z trudem panując nad trzęsącymi się dłońmi. I chociaż robiłam wszystko, żeby skupić się na drodze, w głowie dźwięczał mi radosny, perlisty śmiech Lidki. Widziałyśmy się jakiś miesiąc temu i wydawała mi się taka promienna. Powiedziała, że planują z Bartoszem trzecie dziecko i obiecała, że niebawem do mnie zadzwoni. Pożegnałyśmy się wtedy przed witryną księgarni na kolejowym dworcu i taką ją zapamiętałam – w kwiecistej sukience na ramiączkach, beztroską i roześmianą, z kryminałem Nele Neuhaus w ręku.

Rozpłakałam się dopiero w domu, pośrodku naszej kuchni, w której w zeszłą Wigilię Lidka pomagała mi doprawiać świąteczny barszcz.

Hubert siedział w milczeniu, z kamienną twarzą i zaciśniętymi w pięści dłońmi. Pogładziłam go po karku i objęłam ramionami, ale wciąż tkwił w fotelu bez ruchu, zupełnie jakby był przy mnie jedynie ciałem.

Dzień później Hubert miał dwudziestoczerogodzinny dyżur. Zanim wyszedł, prosiłam go, żeby z kimś się zamienił, ale nie chciał słyszeć o takiej opcji.

– Wolę siedzieć w pracy niż tutaj, beczynnienie... – powiedział tylko, dopił kawę i w pośpiechu wybiegł na deszcz.

Obserwowałam go przez kuchenne okno. Przygarbiony i osowiały, wciąż wyraźnie przeżywał nagłą śmierć Lidki. Zanim wszedł do samochodu, upuścił kluczyki. Podnosząc je, spojrzał w moją stronę, jakby czuł, że mu się przyglądam. Pomachałam mu, siląc się na uśmiech. Skinął głową i wszedł do auta. Kiedy odjechał, umyłam zalegające w zlewie naczynia i zapatrzyłam się w zalane deszczem szyby. Brakowało mi Jacka. Co zaskakujące, chyba nawet nie tyle seksu z nim, co zwykłej rozmowy. Telefon leżał na stole, straciłam już jednak nadzieję, że on się odezwie. Może zdał sobie sprawę, jak bardzo bezsensowny jest nasz związek, a ja nie mam prawa mieć do niego żalu, myślałam. Jednak sposób, w jaki się ze mną rozstał, budził rozgoryczenie. Facet z klasą mówi przynajmniej „do widzenia”...

Wieczór włókł mi się w nieskończoność. W telewizji nie leciało nic sensownego, pożyczona od siostry książka szybko mnie znudziła, a czas jakby zatrzymał się w miejscu.

Dwudziesta pierwsza osiem, dwadzieścia trzy, czterdzieści...

Kwadrans po dwudziestej drugiej wzięłam długi gorący prysznic i przebrałam się w nocną koszulę. Pomimo niewyspania nie czułam się jakoś szczególnie senna, postanowiłam się jednak położyć i posłuchać muzyki. Stojąca w kącie sypialni wieża była nowa. Hubert kupił ją dopiero niedawno i nie miałam jeszcze okazji przesłuchać paru płyt, które kilka dni wcześniej dostarczył kurier. Wybrałam najnowszy krążek Dido i wsunęłam CD do odtwarzacza. Zanim jednak rozległa się muzyka, usłyszałam sygnał przychodzącego SMS-a. Jacek! – pomyślałam z bijącym sercem, ale to tylko moja siostra Marta pisała, że nie może się doczekać naszej przyszytygodniowej kawy. Nagle wyobraziłam sobie, jak opowiadam jej o Jacku. O dzikim, soczystym seksie, który niczym na wpół surowy stek był czymś, czego nigdy wcześniej nie próbowałam. Z Hubertem było inaczej. Delikatniej, spokojniej, bardziej czule. Jacek brał mnie w pozycjach, o które męża nie śmiałabym nawet prosić, i traktował jak tanią dziwkę. Hubert wiele z siebie dawał, Jacek lubił głównie brać. Wydawać by się mogło, że powinnam bardziej docenić męzowskie starania niż egoizm kochanka, było jednak inaczej. Ostatnio stale się kłóciliśmy, ale tego też mi brakowało. Z mężem rozmawiałam bez emocji, zupełnie jakbyśmy posługiwali się napisanymi lata wcześniej skryptami. Z Jackiem wszystko było gwałtowne, rozszalałe, kipiące od podekscytowania. Przy kochanku miałam wrażenie, że codziennie skaczę na głęboką wodę. Przy mężu bez wysiłku unosiłam się na jej powierzchni...

Ubrałam się w parę sekund – wiedziona jakimś nagłym impulsem, chora z tęsknoty i dziwnie rozgorączkowana, założyłam na nocną koszulę beżowy trencz, wsunęłam stopy w znoszone srebrno-czarne baleriny i pobiegłam do garażu. Moje kilkuletnie volvo było niemiłosiernie brudne, jednak nie o tym myślałam, kiedy wsiedałam do auta.

Wyjeżdżając zza bramy, z niepokojem rozejrzałam się dookoła, jednak nasza uliczka była cicha i pusta.

Jacek mieszkał niedaleko, jakieś dziesięć minut drogi od mojego domu, w północnej części miasteczka, na zalesionym wzgórzu, z którego zimą okoliczne dzieciaki zjeżdżały na sankach. Dojeżdżając pod jego blok, zwolniłam. Nagle dopadła mnie wizja mojego kochanka kotłującego się w pościeli ze

swoją była dziewczyną Sylwią i zazdrość dosłownie odebrała mi oddech. Zjechałam na chodnik i przez dłuższą chwilę siedziałam w samochodzie, usiłując się opanować. W końcu pokonałam ostatnie kilkaset metrów i podjechałam pod jego blok. Parking był zapełniony, jednak jakimś cudem udało mi się wcisnąć moim autem pomiędzy śmietnik a brudnego opla. Kiedy wysiadałam, znowu zaczęło kropić. Rozłożyłam parasolkę i spojrzałam w górę, w stronę okien mieszkania mojego kochanka. Znajdowało się na ostatnim piętrze niewielkiego zadbanego bloku, a od strony parkingu miałam widok jedynie na jego kuchnię i niewielki komputerowy pokój. Okna były ciemne, wiedziałam jednak, że to o niczym nie świadczy. Jacek mógł przecież oglądać telewizję w salonie, mógł się kąpać albo czytać w łóżku przy świetle nocnej lampki.

Podeszłam do klatki i mimowolnie zerknęłam w stronę jednego z pobliskich miejsc parkingowych. Samochód Jacka stał pod blokiem, jednak nagle opuściła mnie cała odwaga. Naprawdę chcę się tak upokorzyć? Facet od tygodnia nie dzwoni, nie raczył nawet wysłać mi SMS-a, a ja chcę mu złożyć nocną wizytę? – pomyślałam. Starszy otępy gość z psem zjawił się chwilę później, ciągnąc na smyczy ujadającego wściekle wilczura, wyszedł z klatki Jacka i zmierzył mnie zaciekawionym spojrzeniem. Spuściłam głowę i w pośpiechu ruszyłam w stronę samochodu. Tego by brakowało, żeby ktoś mnie tu przyuważył – wzdrygnęłam się, przypominając sobie badawczy wzrok Macieja, jego idiotyczne szelki i dziwną, niezręczną więź łączącą go z Jackiem.

W aucie siedziałam jeszcze przez dłuższą chwilę, jakbym miała nadzieję, że Jacek dojrzy z okna mój wóz i zadzwoni do mnie na komórkę. Telefon wciąż jednak milczał, a bębniący o dach volva deszcz sprawił, że poczułam się senna. Wyjęłam ze schowka miętowe gumy, wsunęłam sobie do ust przedostatnią, włączyłam silnik i wolno zawróciłam w stronę mojego osiedla. Może i kiedyś w pewien sposób mi na Jacku zależało, ale tak na pewno się nie poniżę – powiedziałam sobie. Ironią losu wydawał mi się fakt, że nie dbałam o niego zbyt wiele, dopóki mnie nie odrzucił...

Mijając stację benzynową, skorzystałam z okazji i zatankowałam. Kupiłam też ulubione lody Huberta i magazyn motoryzacyjny, który czytał. Czekaając w kolejce do kasy, zdałam sobie sprawę, że jeden z młodych sprzedawców otwarcie gapi się na mój biust. Mimowolnie zlustrowałam się wzrokiem w jednym z wiszących nad wejściem okrągłych luster i dotarło do mnie, że rozpiął mi się trenecz, spod którego wystawała nocna koszula z nadrukiem w infantylne krówki... Chłopak z obsługi posłał mi szeroki uśmiech i wziął ode mnie pudełko z lodami, które „skasował”.

– Wciąż leje – mruknął.

– Leje i nie ma zamiaru przestać. – Stojący za moimi plecami wążacz spontanicznie włączył się do rozmowy i zaczął psioczyć na wyjątkowo wredne lato.

– Chciałem jechać pod namiot, ale w takiej sytuacji... – Chłopak zza kasy podał mi zapakowane do firmowej reklamówki zakupy.

Podałam mu banknot dwustuzłotowy.

– Dzięki – mruknął i z wysuniętym koniuszkiem języka zaczął odliczać resztę.

Wążacz stanął obok mnie i napał bruchem na regał z prasą.

– Jak tak dalej pójdzie, znowu zaleje pół miasteczka. Jeszcze ze dwa, trzy dni takich intensywnych opadów i wyleje rzeka – rzucił schrypniętym głosem nałogowego palacza.

Ziewnęłam.

Chłopak zza kasy dorzucił coś o zeszłorocznych podtopieniach i równie szeroko ziewnął.

Poprosiłam o jeszcze jeden magazyn motoryzacyjny.

– Osiem dziewięćdziesiąt – powiedział znużonym tonem.

Podalam mu pięćdziesięciozłotowy banknot i mimowolnie zerknęłam na zegarek.

– A drobniej nie będzie? – zapytał młody kasjer.

– Ja mam drobne, rozmienię – wšasz od razu zaoferował pomoc.

Sympatyczny gość, pomyślałam i podałam mu pięćdziesiątkę.

– A panią to ja skądś znam – powiedział, kiedy brałam od niego pięć zmiętych dziesiątek.

– Nie sądzę – ucięłam dyskusję.

– Dałbym głowę, że...

– Poproszę jeszcze miętowe gumy – weszłam mu w słowo, posyłając uśmiech chłopakowi zza lady.

Wšasz wyraźnie się zirytował, nie powiedział jednak nawet słowa.

Wychodząc z budynku stacji, jeszcze raz sprawdziłam telefon, ale Jacek wciąż się nie odzywał. Pies go trącał, pomyślałam i cisnęłam torbę z zakupami na przednie siedzenie. Jasne, mogłabym tam teraz wrócić i wyrzyczyć mu prosto w twarz, jaki z niego dupek. Dochodziła jednak północ, a ja musiałam się w końcu wyspać. Wyłączyłam więc komórkę, wróciłam do domu i starając się nie myśleć o Jacku, położyłam się w pustej sypialni. Jednak, pomimo zmęczenia, sen nie nadchodził. Leżałam, gapiąc się w sufit, a myśli dryfowały po mojej głowie, kłębiły się, domagały uwagi. Hubert w zmiętym chirurgicznym kitlu, z przekrwionymi oczami, niewyspany i głodny, myślący o zmarłej nagle kuzynce. Lidka w jednej ze swoich kwiecistych sukienek, ciągnąca za rączkę rozwrzeszczaną młodszą córkę. Jacek nagi, z tym błakającym się w kąciku ust uśmieszkiem – twarze i wspomnienia przewijały się w mojej głowie niczym w kalejdoskopie.

Zasnęłam dopiero koło drugiej, ale sen nie przyniósł ukojenia. Koszmar, który śniłam, był jednym z najokropniejszych snów mojego życia. Nie wiem, co to było za miejsce... Piwnice opuszczonego kościoła? Lochy gotyckiego zamku? Paryskie katakumby, które lata temu zwiedzaliśmy z Hubertem? Stałam w każdym razie po kolana w lodowatej wodzie, a wilgotne, pełne żelaznych kolców ściany napierały na mnie, jakby miały zamiar mnie zmiażdżyć. Krzyczałam, usiłując znaleźć wyjście, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Nagle zobaczyłam Huberta – szedł z płonąca pochodnią w dłoni, ubrany w długą zwiewną szatę, brodaty, obcy i taki bliski jednocześnie. Zaczęłam go błagać o pomoc, skowyczeć o litość, zaklinać, żeby mnie zabrał z tego przeklętego miejsca. Ale on tylko pokiwał głową, smutny, milczący, dziwnie zawzięty. Strażnicy zjawili się w lochu chwilę po nim – trzech postawnych, wysokich mężczyzn w ciemnych szatach. Wszyscy nieśli zapalone pochodnie, których blask tworzył na wilgotnych ścianach tajemnicze cienie. Ten, który podszedł do mnie pierwszy, zacisnął palce na moim ramieniu i zbliżył twarz do mojej twarzy. „Cudzołożnica!” – krzyknął. Zaczęłam uciekać, ale nogi ugrzęzły mi w jakiejś cuchnącej, kleistej mazi. Strażnicy złapali mnie pod ramiona i wywlekli na zewnątrz. Świtało, kiedy przywiązana do pala, ogarnięta nieludzkim wręcz strachem krztusiłam się od gryzącego dymu, a tańczące wokół mojej twarzy płomienie zaczynały lizać moje nagie łydki, podchodzić wyżej i wyżej... Obudziłam się z ochryplym krzykiem, zlana zimnym potem, roztrzęsiona. I chociaż świetnie wiedziałam, że to tylko wyrzuty sumienia kreują w mojej wyobraźni takie upiorne wizje, długo nie mogłam się z tego koszmaru otrząsnąć.

Przed piątą nad ranem wysłałam SMS-a mężowi. „Myślę o Tobie” – napisałam. Nie odpisał. Powiedziałam sobie, że pewnie śpi, w końcu na niektórych dyżurach zdarzało mu się przespać

przynajmniej kilka godzin. Jednak jakaś część mnie zaczęła sobie wmawiać, że Hubert o wszystkim wie, że nie odpisując, na swój sposób mnie karze. Przed szóstą zesłam do kuchni i wyjęłam z lodówki kupione wieczorem lody. Noc była chłodna i wilgotna, jednak mimo że drżałam z zimna, nałożyłam do miseczki olbrzymią porcję waniliowego przysmaku. Hubert odpisał koło szóstej. „Wciąż nie mogę w to uwierzyć” – przeczytałam. I nagle zdałam sobie sprawę, że częściej niż o Lidce, myślałam o... Jacku. Jestem złym człowiekiem. Egoistyczną, próżną, znudzoną paniusią, której zachciało się posmakować cudzołóstwa. Pustą, bezmyślną idiotką, która w końcu zapłaci za każdą chwilę zakazanej zabawy, pomyślałam i stojąc z miską po lodach w dłoni, w podkoszulku męża i jego grubych zimowych skarpetach na stopach, wybuchłam gwałtownym płaczem.

Nagle pomyślałam o Ewie, dawno niewidzianej koleżance z poprzedniej pracy, z którą w tamtych czasach dość często chodziłam na drinka. Ewa była żoną prawnika, matką dwóch nastoletnich dziewczynek i raczej szczęśliwą osobą. Jej mąż był kilka lat od niej starszy i nieprzytomnie w niej zakochany. Dużo podróżował służbowo i przywoził jej prezenty z każdego zakątka świata. Czasem nawet jej zazdrościłam, bo chwilami lubiła zbyt przesadnie się chwalić. Złota bransoletka z Dubaju, szwajcarski zegarek wysadzany diamentami, szpilki od Manolo, torebka od Prady – pokazywała mi czasem te cudenka, obnosząc się nie tyle z podarkami, co z tą ślepą mężowską miłością, którą otaczał ją jej Waldek. Na lekcje konnej jazdy zapisała się, kiedy usłyszała w radio o nowo otwartej szkółce jeździeckiej pod miasteczkiem. Początkowo paplała tylko o koniach, upadkach i dojazdach pod miasto. Pomiędzy tymi opowieściami coraz częściej zaczęło jednak padać imię Aleksander i w końcu zdałam sobie sprawę, że coś jest na rzeczy. „Tak, zakochałam się” – przyznała, kiedy ją o to zapytałam. Później dodała, że od jakiegoś czasu z nim sypia. Był rozwiedzionym ojcem jednego z dziesięciolatków, którego poznała w jeździeckiej szkółce. Facetem, dla którego postanowiła zaryzykować swoje ponad piętnastoletnie małżeństwo. Przez długie miesiące Waldek nie miał pojęcia, że Ewa go zdradza, i w tej błogiej nieświadomości nadal obsypywał ją prezentami. Kiedy jednak sprawa się wydała, pokazał swoje drugie, znacznie mroczniejsze oblicze, z oddanego męża i opiekuna zmieniając się w... prześladowcę. Najpierw odebrał jej prawa rodzicielskie, robiąc z Ewy pijaczkę i nieodpowiedzialną matkę. Jako prawnik miał układy, nie miał za to skrupułów. Wieść o zdradzie żony wyzwoliła w nim najgorsze instynkty. Znalazł przekłamanych świadków, ustawił całą rozprawę. Później wyrzucił ją z domu, dosłownie na bruk. Zatrzymała się u siostry, ale nie pozwolił jej nawet zabrać swoich rzeczy. „Za każdą jedną szmatę, którą nosiłaś na tyłku, zapłaciłem z własnej kieszeni!” – powiedział jej ponoć. Bizuteria też przepadła. Część Waldek sprzedał, część ukrył poza domem. Dziewczynki nastawił przeciwko niej, opowiadając im wysrane z palca bzdury. Mówił, że matka ich nie kocha, że jest puszczalską dziwką, sypia z przygodnie poznanymi facetami. Staralam się Ewę wspierać, pomóc jej jakoś przez to przejść, podnieść ją na duchu. Była jednak w rozsypce, a jej najnowszy amant ewakuował się, kiedy tylko dostał od kogoś pogróżki... Ewa pomieszkiwała u siostry i coraz więcej piła, w końcu wylądowała w klinice psychiatrycznej, po tym, jak usiłowała się zabić, i tylko dzięki szybkiej interwencji policji udało się uniknąć tragedii. Dziś jest w Szwecji, gdzie pracuje w domu opieki dla pacjentów onkologicznych w terminalnym stanie. Wiem, że nadal nie ma kontaktu z pełnoletnimi już córkami i jest sama... Straciła wszystko, idąc za głosem serca, ale przynajmniej mogła powiedzieć, że kochała Aleksandra. Ja nie kocham Jacka, to na pewno nie jest miłość. Mimo to ryzykuję własnym małżeństwem, ładując się w romans bez przyszłości, w zupełnie bezsensowną historię. Jednak najważniejsze pytanie, które kołata mi się po głowie, dotyczy Huberta. Kim okaże się mój mąż, kiedy już o wszystkim się dowie? Jak zareaguje? W jaki sposób mnie ukarze? I kim będę ja, kiedy stracę dom, ciepłe, bezpieczne miejsce u boku Huberta i to wszystko, co przez lata wokół siebie budowałam? – zastanawiałam się, wchodząc pod prysznic.

Przed ósmą zadzwoniłam do męża.

– Kocham cię – powiedziałam, kiedy odebrał.

I chociaż naprawdę pragnęłam włożyć w to wyznanie całą siłę swoich uczuć, w moim głosie usłyszałam jakąś obcą, fałszywą nutkę...

– Coś się stało? – zapytał.

– Nic. Po prostu o tobie myślałam...

– Nie dzwonimy już do siebie z takimi rzeczami, zauważyłaś? Nagle zrobiło się jakoś dziwnie konkretnie. Kupiłeś majonez? Odebrałeś swój garnitur z pralni? Zazwyczaj o to mnie pytasz, kiedy dzwonisz – powiedział Hubert zmęczonym głosem.

– Spałeś chociaż troszkę?

– Marnie.

– Pomyślałam, że wieczorem wyskoczymy na dłuższy spacer. Masz ochotę?

– Zobaczymy. Muszę kończyć. – Mąż rozłączył się bez pożegnania, a mnie znowu zachciało się płakać.

Kim ja w ogóle jestem? Czego chcę od życia? Kogo tak naprawdę kocham? Najprostsze pytania, na które przez lata świetnie znałam odpowiedź, nagle zrobiły się piekielnie wręcz trudne...

Następnego dnia w drodze z pracy zaszłam do cukierni pani Niny. Właścicielka, zbliżająca się do osiemdziesiątki pogodna i energiczna kobieta, która każdego dnia przynajmniej przez kilka godzin stała za ladą, przyjaźniła się jeszcze z moją babcią. Kiedy już wymieniliśmy uprzejmości, kupiłam spory kawałek kokosowego placka z ananasem i obiecałam, że pozdrowię od niej męża. Huberta pani Nina znała i lubiła – kilka lat wcześniej leczył w szpitalu jej najmłodszą wnuczkę.

– Proszę przekazać doktorowi, że moja wnusia jeszcze czasem o niego pyta – uśmiechnęła się staruszka, kiedy pakowałam do siatki ciasto.

– Przekażę – uśmiechnęłam się.

– Ale ty, Marzenko, coś marnie wyglądasz – zauważyła pani Nina.

Cóż... Najwyraźniej romanse mi nie służą, pomyślałam, na głos wciskając kobiecie bajeczkę o letnim przeziębieniu.

– Ziąb taki, że w sumie nic dziwnego. Niby lato, a ciągle siąpi. Noce takie zimne, że sypiam pod zimową kołdrą. – Pani Nina pokiwała głową ze zrozumieniem i wcisnęła mi jeszcze dwadzieścia deka promocyjnych ciastek zbożowych.

Wychodząc z cukierni, wpadłam na Honoratę, mieszkającą po sąsiedzku właścicielkę siedmioletniej suczki o wdzięcznym imieniu Luna.

– Marzena, cześć! Słuchaj, mam sprawę! – zaczęła koleżanka, kiedy przystanęłyśmy na chodniku. – Powiedz mi, czy twój mąż nadal przyjmuje w przychodni na Złotej?

– Tak, ale tylko raz w tygodniu.

– A dałabyś mi numer? Od rana mam awarię neta, a mój bratanek znowu ma wysoką gorączkę...

– Może podam ci komórkę Huberta?

– Byłoby super! – Honorata wyraźnie się ucieszyła. – Masz chwilę? Chodź, wypijemy szybką kawę, pogadamy. Niby mieszkamy po sąsiedzku, a wieki cię nie widziałam.

– Chciałabym, ale muszę jeszcze zajrzeć do szpitala. Wiozę mężowi kilka dokumentów, które jak najszybciej musi podpisać – skłamałam, zdając sobie sprawę, że każde kolejne łgarstwo przychodzi mi z coraz większą lekkością.

Prawda była taka, że nie miałam ochoty na kawę z Honoratą. Lubiłam ją, była świetną, zawsze uśmiechniętą babką. Jednak rozmowa zeszlaby pewnie na moje małżeństwo, a to ostatnimi czasy był temat, którego wolałam nie podejmować. Podałam jej więc numer komórki Huberta i szybko się pożegnałam.

– Może któregoś dnia wybierzemy się razem nad wodę? Jak już przestanie siąpić – rzuciła jeszcze w ślad za mną.

– Jasne, chętnie! Zadzwoń! – obiecałam, świetnie wiedząc, że szybko się do niej nie odezwę.

Na naszą uliczkę dotarłam jakiś kwadrans później i wiedziona nagłym kaprysem, zadzwoniłam do drzwi nowej sąsiadki. Przez dłuższy czas nikt jednak nie otwierał i już miałam ruszyć w stronę furki, kiedy w progu stanęła Patrycja. Pomimo późnego popołudnia była w kusym, satynowym szlafrocisku, bosa i z wyraźnie potarganymi włosami.

Zmieszałam się, bo nagle całe to najście wydało mi się wyjątkowo nietaktowne.

– Przepraszam, że tak bez zapowiedzi, ale chciałam w końcu porządnie powitać nową sąsiadkę. Jestem nie w porę? Wyglądasz, jakbyś spała – powiedziałam.

– Bo spałam. Ciężka noc. Ale to długa historia. Wejdz, proszę. Fajnie, że wpadłaś. – Patrycja wzięła ode mnie zapakowane w różowy papier ciasto i ruszyła w stronę salonu. – Z cukierni pani Niny? Zdążyłam się już przekonać, że to najlepsze słodczyce w miasteczku – uśmiechnęła się.

W salonie było duszno, jednak znacznie mniej chaotycznie. Zauważyłam, że sąsiadka zdążyła już rozpakować sporo kartonowych pudeł i poukładać część rzeczy na dużym drewnianym regale. W oknach pojawiły się też firany, a na komodzie doniczka z niewielką paprotką.

– I jak ci się tu mieszka? – zapytałam, kiedy usiadłyśmy na królującej pośrodku pokoju welurowej sofie, która – nie wiedzieć czemu – bardziej sprawiała wrażenie teatralnego rekwizytu niż zwykłego mebla.

– Póki co, fantastycznie – uśmiechnęła się Patrycja. – Pokroję placek i zrobię nam kawy. Chyba że masz ochotę na drinka? Będiesz jeszcze dziś prowadzić?

– Trudno powiedzieć. Chyba nie.

– To co? Może wina? Uwielbiam takie leniwe popołudnia. – Nie czekając na moją odpowiedź, sąsiadka wyjęła z barku dwa śmiesznie pękate kryształowe kieliszki.

Na alkohol nie miałam jednak ochoty.

– Chyba poprzestanę na kawie – powiedziałam.

– Jasne, jak wolisz. A tak a propos – myślisz, że otwarcie kawiarni w centrum ma jakikolwiek sens? – zapytała Patrycja.

– Planujesz rozkręcić własny biznes?

– Wypadałoby w końcu zacząć zarabiać. Jadę na resztkach oszczędności, nie mogę znaleźć stałego etatu. Na własny interes rodzice chętnie pożyczyliby mi część kasy, muszę tylko wymyślić coś dochodowego. Myślałam też o kafejce internetowej, ale czy ja wiem... Teraz praktycznie każdy ma w domu neta. Pomysł z kawiarnią bardziej mnie kręci. Miło byłoby stworzyć takie nastrojowe miejsce z duszą, prawda? Wymyśliłam już nawet nazwę – Cafissima. Cholera, nie mam pojęcia, gdzie są filizanki. Nie masz nic przeciwko wypiciu kawy w garnuszku?

– Kawa to kawa, nie przejmuj się. A pomysł z kawiarnią może i wypali? W centrum jest co prawda sporo lokali, ale ludzie lubią nowości. Gdybyś otworzyła elegancki, ale niezbyt drogi bar, to kto wie – może się uda? – powiedziałam.

– Boże, byłoby super! Jestem cholernie zmęczona szukaniem pomysłu na siebie. – Patrycja opadła na sofę, a kolorowy szlafroczek podwinął jej się wyżej, ukazując zgrabne, opalone na ciemny brąz nogi. – Kupiłam sobie rower. Stary ukradli mi sprzed piekarni i zarzekałam się, że nowego szybko sobie nie sprawię, ale zaczęło mi brakować leniwych popołudniowych przejażdżek nad wodę. Jeździsz czasem? – zapytała.

– Zdarza mi się. Huberta co prawda ciężko wyciągnąć na takie wycieczki, ale bywa, że samotnie kręcę się nad pobliskim zalewem – powiedziałam.

– Gdybyś miała ochotę na babską wyprawę, daj znać. – Patrycja wstała w momencie, w którym zagotowała się woda, i klasnęła w dłonie.

– Wiem, gdzie są filizanki!

Roześmiałam się.

– Całkiem nieźle to wszystko ogarniasz. Ja po prostu nienawidzę przeprowadzek, a trochę ich przeżyłam. Pół roku po naszym ślubie Hubert dostał propozycję pracy z uniwersyteckiego szpitala dziecięcego i wyładowaliśmy na krakowskim Prokocimiu. Później była Łódź i Centrum Zdrowia Dziecka, w końcu Szczecin, Warszawa i oto jestem z powrotem na prowincji, w rodzinnym miasteczku, z którego w młodości tak bardzo chciałam się wyrwać. Wiesz, czego zawsze zazdrościłam mężowi? Tego, że zawsze kochał swoje rodzinne strony. Wychował się trzydzieści kilka kilometrów stąd, w równie zabitej dechami dziurze jak to miasteczko. Ale nigdy nie czuł potrzeby wyrwania się w świat, wręcz przeciwnie – zawsze powtarzał, że czuje się mocno związany z tą okolicą i chętnie zostanie tu na zawsze.

– Nie wiedziałam, że jesteś niezadowolona...

– Teraz już chyba mi przeszło. Kocham nasz dom, ogród, pobliski zalew. Ale dawniej tak tęskniłam za atmosferą wielkiego miasta, że potrafiłam wziąć niespodziewany urlop, żeby tylko podjechać na kawę do stolicy.

– Kochana, uwierz mi, twój życiorys i tak brzmi imponująco. Ja nigdy nie miałam nic przeciwko życiu na walizkach, ale rzadko zdarzało mi się podróżować. Żeby było śmieszniej, pakowanie idzie mi całkiem, całkiem... – powiedziała Patrycja i nalała wrzątku do dwóch fikuśnych, wyjętych z kartonu biało-niebieskich filiżanek.

Ciasto z piekarni pani Niny było odrobinę zbyt słodkie, ale i tak obie zjadłyśmy po dwa kawałki. Ja w ramach obiadu, ona – podobno – w drodze wyjątku, gdyż nieczęsto pozwalała sobie na taką kaloryczną bombę.

– Słuchaj, mam nadzieję, że się nie wkurzysz, ale będę miała psa. Bez obaw, tylko na trochę. Moja najlepsza przyjaciółka Dorota wyjeżdża na parę tygodni za granicę i nie ma z kim zostawić Gapy. Wiem, że nocne ujadanie za ścianą to marne klimaty, ale ponoć Gapa jest spokojna. To ośmioletnia charcica, sama słodycz. Tak przynajmniej reklamuje ją Dora. Nie macie z Hubertem nic przeciwko? Nie chciałabym, żeby zaraz na początku były między nami jakieś niesnaski – rzuciła Patrycja chwilę po tym, gdy oblizała łyżeczkę z kokosowej masy.

Zapewniłam ją, że jakoś przeżyjemy.

– Jeśli chodzi o psy, mamy z mężem silną alergię na jamniki. Suczka poprzednich właścicieli szczekała całymi dniami i prawdę mówiąc, czasem miałam ochotę kupić kuszę i... Jezu, strasznie to zabrzmiało – roześmiałam się. – Kocham zwierzęta, ale tamten pies... Przeżyliśmy taką gehennę, że zaczęliśmy nawet myśleć o przeprowadzce.

– Rany, aż tak? Współczuję. W kwestii ujadających psów nie mam żadnych doświadczeń, ale bliźniaki u byłych sąsiadów za ścianą to też nie bagatela. Mariusz sypiał z zatyczkami w uszach, mnie zdarzało się uciekać na noc do przyjaciół. Dzieciaki cierpiały na kolki i strasznie płakały – powiedziała Patrycja.

– A jak ci się układa z Mariuszem? Wspominałaś, że różnie ostatnio między wami bywało i...

– Fakt, różnie bywało. Rozchodziliśmy się w dość fatalnej atmosferze, ale to już chyba przeszłość. Powoli zaczynamy się dogadywać. Dwa dni temu wpadł nawet do mnie z niespodziewaną wizytą. Kupił kwiaty, przyniósł moje ulubione czekoladki i sprawiał wrażenie skruszonego.

– Nie daj się nabrać na jakieś gładkie słówka. Po tym, jak się ostatnio zachowywał, powinnaś go chyba stąd wykopać – poradziłam jej.

– W sumie nawet miałam taki zamiar, ale wypiliśmy za dużo wina i... sama wiesz. – Patrycja

uśmiechnęła się wymownie i dopiła swoją kawę.

– Żartujesz?

– Niestety nie. Prawdę mówiąc, ostro nas poniosło. Ale bez obaw, to jednorazowy incydent. Mam już na oku kogoś innego, Mariusz też ma chyba jakąś nową laskę. W każdym razie obiecał, że pomoże mi finansowo z rozkręceniem nowego biznesu i brzmiał całkiem przekonująco.

– Jesteś pewna, że chcesz pożyczyć pieniądze akurat od niego? – Nieco ostudziłam jej zapał.

– Nie bardzo mam wyjście, Marzena. Rodzice coś mi tam dorzucają, ale sami wiele nie mają... A od znajomych pożyczać nie chcę, bo sama wiesz, jak jest...

– A ta twoja nowa fascynacja, to kto? – zmieniłam temat.

– Rafał? Dwudziestosześcioletek – roześmiała się Patrycja i sięgnęła po swój telefon. – Mam parę jego fotek, to zaraz zobaczysz, jakie ciacho wpadło mi w oko. Jednak młodszy faceci to jest to, kochana – dodała.

Zerknęłam na wyświetlacz jej nokii. Chłopak faktycznie wyglądał obłądnie i nagle naszła mnie chęć, żeby opowiedzieć Patrycji o moim romansie z Jackiem. W końcu kto lepiej mnie zrozumie niż ona? Wyglądała na wyluzowaną i czułam, że w żaden sposób by mnie nie oceniała. Jednak na myśl, że dosłownie za ścianą sypia przecież mój nieświadomy niczego mąż, straciłam ochotę na takie zwierzenia. Wystarczająco podle się czułam, przyprawiając Hubertowi rogi. Rozpowiadanie o tym po sąsiadach wydało mi się szczytem podłości.

– Zamyśliłaś się. Wszystko okay? – zapytała Patrycja.

Skłamałam, że boli mnie głowa i zaczęłam się zbierać.

– Wpadłam wczoraj na twojego męża – powiedziała nagle. – Wraciałam z joggingu, on mył auto na podjeździe. Marnie w każdym razie wyglądał, jak z krzyża zdjęty. Macie jakieś problemy? Nie chcę być wścibska, ale gdybym mogła jakoś pomóc...

Podziękowałam jej za dobre chęci i opowiedziałam o Lidce. Słuchała ze łzami w oczach, a kiedy skończyłam, spontanicznie mnie objęła. Pomyślałam, że chyba znalazłam nową przyjaciółkę i z tą myślą wróciłam do domu, w którym czekał na mnie ponury i milczący Hubert.

Niedziela wstała ciepła i słoneczna, a ciągnące się w nieskończoność mokre i wilgotne dni wydały mi się już tylko złym wspomnieniem. Wieszłam pranie na tyłach ogrodu, kiedy kątem oka zauważyłam przemykający przez trawnik cień. Odwróciłam się gwałtownie, a trzymane przeze mnie frotowe prześcieradło spadło na mokrą od porannej rosy trawę. Pośrodku mojego ogrodu stał Jacek – ubrany w nową kraciatą koszulę, którą kupiłam mu na wyprzedazy, i sprane dżinsy – i wyglądał na cholernie z siebie zadowolonego. Na jego widok radość z faktu, że w końcu sobie o mnie przypomniał, plątała się ze zmieszaniem i palącym wstydem. Nie mogłam uwierzyć, że był aż tak bezczelny, żeby zjawić się w moim ogrodzie!

– Oszalałeś do reszty?! – syknęłam.

– A nawet jakby? – Wzruszył ramionami i wsunął sobie do ust zerwane chwilę wcześniej źdźbło trawy.

– Nie możesz tutaj przychodzić! I jak w ogóle udało ci się wejść?

– Furtka była otwarta, a dobry doktor od rana jest w szpitalu. Nie martw się, dzwoniłem.

– Dzwoniłeś do szpitala?! Masz tupet, cholera!

– A czemu nie? Przecież to lekarz, każdy ma prawo o niego pytać. Dowiedziałem się w każdym razie, że twój mąż ma dzisiaj dyżur i oto jestem. Powinnaś się chyba ucieszyć, w końcu na tym polega piękno każdego romansu. Na tak zwanej konspiracji. – Jacek mrugnął do mnie i zrobił kilka kroków w moją stronę.

Zerknęłam w kierunku ogrodu Patrycji – nasze posesje dzielił jedynie niewysoki drewniany płotek. Na szczęście sąsiadki nie było akurat na zewnątrz, a po zadbanym, świeżo skoszonym trawniku biegała jedynie Gapa, biało-brązowa charcica angielska.

– Stęskniłem się za tobą. – Jacek przesunął dłonią po moim pośladku.

– Przestań! Nie tutaj! – zbeształam go.

– Dobrze, pani profesor – mrugnął do mnie i wyszczerzył zęby w chłopięcym uśmiechu, który najwyraźniej działał na wszystkie kobiety, niestety, włącznie ze mną.

Nierozwieszane do końca pranie radośnie powiewało na sznurach. Głównie męzowskie bokserki i skarpety, ale był też gościnny komplet pościeli i moja falbaniasta nocna koszula, którą Hubert przywiózł mi kiedyś z Belgii.

– Sielsko tutaj aż zęby bolą. – Jacek zlustrował wzrokiem rosnące przy płocie róże i pociągnął mnie w stronę domu.

W salonie, ledwo zasunęliśmy za sobą panoramiczne rozsuwane drzwi od niewielkiego tarasu, kochanek lekko ugryzł mnie w szyję i niecierpliwie zaczął rozpinać mój sweter.

Zapytałam, gdzie, do cholery, podziewał się przez ostatnie dni.

– Postanowiłem z tobą skończyć. Po tym, jak ode mnie wyszłaś, miałem dość. Tyle że to nie takie proste. Tęskniłem – powiedział.

Popatrzyłam mu w oczy. Miał takie jasne, szczere spojrzenie, ale czy mogłam mu ufać?

– Całymi dniami bawiłem się telefonem, marząc o tym, żeby wybrać twój numer. A później

przypominałem sobie awanturę, jaką mi urządziłaś i to, jak wyszłaś. Nie chciałaś się ze mną kochać, byłaś dziwnie zdystansowana. Pomyślałem, że to nie ma sensu. Ale dziś wstałem i zrozumiałem, że muszę cię zobaczyć, po prostu muszę. Kurwa, czemu to wszystko musi być tak zagmatwane? Czemu nie możesz w końcu podjąć jakiejś konkretnej decyzji? Marzena, musisz ostatecznie wybrać! Ja albo on?! Ja czy twój cholerny mężuś, ten podtatusiały pajac, którego już nawet nie kochasz! – podniósł głos Jacek.

– Kocham. Nigdy nie przestałam kochać Huberta, słyszysz? I nie każ mi między wami wybierać – powiedziałam cicho.

– Bo? Jestem na straconej pozycji, tak?

– Jacek, nie przypieraj mnie do muru, słyszysz?! Nie naciskaj, nie wywieraj presji! Chcesz znowu się kłócić?!

– Świetnie kłamiesz, wiesz? Na początku sprawiałaś wrażenie kobiety, która straciła dla mnie głowę. Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że całkiem nieźle udawałaś zaangażowanie. Że po prostu cię to bawiło...

– Ciii... – Pociągnęłam go w stronę sofy i zdjęłam z niego koszulę. – Nie kłóćmy się, proszę – dodałam, gładząc jego plecy.

– O nie. Pozwól, że ja wybiorę miejsce – powiedział. – Gdzie jest sypialnia? Zawsze chciałem zobaczyć, jak śpisz, i właśnie nadarzyła się okazja.

Zaprotestowałam.

Może i jestem dziwką, ale moja małżeńska sypialnia była miejscem, którego nie miałam zamiaru pokazywać Jackowi! On jednak nigdy łatwo nie ustępował. Rozejrzał się po salonie i spojrzał w stronę schodów na górę.

– Zróbmy to tam, proszę. – Przygryzł płatek mojego ucha i sunąc dłońmi w dół moich pleców, wyszeptał, że myśli już tylko o tym, żeby w końcu we mnie wejść. – No chodź.

Przymknęłam oczy i oparłam się o ścianę. Jacek polizał mnie po szyi i rzucił na dywan mój sweter. Jego ręce były wszędzie – pieścił moje piersi, głaskał szyję, muskał wewnątrz ud i wrażliwy na dotyk dół pleców. Poddałam się i pociągnęłam go w stronę schodów.

W sypialni było ciemnawo. Wciąż jeszcze nie podniosłam rolet, a niezasłane, skotłowane po nocy łóżko, nagle wydało mi się wyjątkowo wyuzdane. Jacek pchnął mnie na materac i zwałił się na mnie całym swoim ciężarem. Po chwili poczułam go w sobie i na jeden moment udało mi się zapomnieć o tym, że leżymy na zmiętej, rzuconej na poduszkę piżamie męża, którą w pośpiechu tam zostawił. Po wszystkim, kiedy z głową we wgłębieniu jego ramienia odpoczywałam, usiłując wyrównać oddech, zadzwoniła moja komórka leżąca na nocnej szafce.

Sięgnęłam po telefon, ale Jacek był szybszy.

– Hubert dzwoni – powiedział ironicznym tonem.

– Oddaj mi to! – krzyknęłam, ale tylko się roześmiał i wyciągnął rękę z telefonem nad głowę, tak, żebym nie mogła go dosięgnąć.

Komórka wciąż dzwoniła – natarczywa, nieco infantylna melodyjka w sielskiej ciszy sobotniego poranka.

– Oddawaj! – Uderzyłam go w ramię, ale nie ustępował.

– A może ja odbiorę? Jak myślisz, co powiedziałyby doktorek, gdybym teraz odebrał twój telefon? „Marzena nie może rozmawiać, bo właśnie bierze prysznic”. Myślisz, że twój niedomyślny

świątoszkowaty ślubny w końcu by się połapał, że przyprawiasz mu rogi? – zaśmiał się chrapliwie, zanim oddał mi komórkę.

Umilkła w momencie, w którym wzięłam ją do ręki, ale i tak nie odebrałabym jej przecież w obecności kochanka.

Podniosłam z podłogi zmiętą kraciastą koszulę i rzuciłam nią w Jacka.

– Wynoś się stąd! Nie powinieneś być w ogóle tutaj przychodzić! – powiedziałam ostro.

– Daj spokój, kociątko, nie dąsaj się. Tylko żartowałem, droczyłem się z tobą. Oddzwoń do mężunia i po problemie. Nawet słowem nie pisnę, kiedy będziecie rozmawiać, przysięgam. – Jacek pocałował mnie w szyję i przejechał ręką po mojej piersi.

Skrzyżowałam ramiona i sięgnęłam po leżącą na łóżku górę od pizamy męża.

– No oddzwoń, bo biedak pewnie się martwi. Może chciał pogadać o czymś ważnym? Wiesz, co ma kupić na obiad, kiedy jedziecie na zakupy, takie tam. Uroki małżeńskiego życia, co, słońce? – szydził Jacek.

– Chryste, już rozumiem! Ty jesteś dosłownie chory z zazdrości o niego. Nienawidzisz go i za wszelką cenę chcesz upokorzyć!

– Z zazdrości? A czego niby miałbym mu zazdrościć? Gość niedługo skończy czterdzieści sześć lat, ma zaczątki piwnego brzucha i wyraźne zakola. – Mój kochanek wziął do ręki zdjęcie, które zrobiliśmy rok wcześniej na działce u znajomych, i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w fotografię Huberta. – Skoczę do łazienki, okay? – dodał po chwili. – Mogę wziąć prysznic?

– Wolałabym, żebyś już poszedł – powiedziałam cicho.

– Jesteś niegościnna, kotku. Tego o tobie nie wiedziałem – rzucił, po czym pogwizdując, zaczął nakładać spodnie. – Napiłbym się kawy, ale pewnie powiesz, że nie podasz mi niczego w kubku mężusia, co?

Nie odpowiedziałam.

– Daj spokój, żartuję. – Jacek nagle się rozpromienił i przeczesał palcami włosy. – Zadzwonię jutro, umówimy się na kolację – dodał.

Odprowadziłam go przed furtkę, jakbym się bała, że zmieni zdanie i zaszyje się gdzieś w ogrodzie. Szukał w kieszeni kluczyków od swojej hondy, kiedy przed moim domem stanęła srebrna toyota mojej siostry Marty.

Zamarłam.

Co jej powiem, kiedy zapyta, kto ode mnie wychodził? – zastanawiałam się gorączkowo, tymczasem z auta Marty wysiadła moja nastoletnia chrześnica Michalina.

– Cześć, ciociu! – rzuciła pełnym dziewczęcego entuzjazmu tonem, po czym zmierzyła wzrokiem wciąż stojącego na chodniku Jacka.

Idź już – błagałam go w myślach, ale najwyraźniej całkiem dobrze się bawił.

– Nie przedstawiś mnie? – zapytał.

– Tak, oczywiście. To jest Jacek, mój dawny uczelniany znajomy – skłamałam.

– Michalina. – Młoda omdlewającym gestem podała mu rękę i spłonęła panieńskim rumieńcem.

Zauważyłam, że założyła wisiorek ode mnie i kolczyki, które kupił jej Hubert.

Chwilę później z samochodu wygramoliła się czerwona od upału Marta, którą Jacek szarmancko cmoknął w rękę i przepuścił przez półotwartą furtkę.

– Przystojny – szepnęła moja siostra, kiedy w końcu odjechał.

Skinęłam głową, myśląc tylko o tym, że pewnie mam rozwichrzone włosy i cała pachnę seksem.

Weszliśmy do środka. Omiotłam wzrokiem salon, jakbym się bała, że coś, jakiś drobny szczegół, który przeoczyłam, zdradzi, co tu wyprawialiśmy. Pokój wyglądał jednak zwyczajnie, nic nie wskazywało na to, że wydarzyło się coś niecodziennego czy zakazanego.

– Miałyście wpaść po południu – przypomniałam jej.

Siostra spojrzała na mnie wyraźnie zaskoczona.

– Ale chyba w niczym wam nie przeszkodziłyśmy? – zapytała z lekkim przekąsem.

– Nie żartuj – udałam oburzoną, jednak siostra nie wyglądała na przekonaną.

– Marzena, jeśli coś na boku kombinujesz z tym przystojniaczkiem, pamiętaj, że takiego porządnego faceta jak Hubert już nigdy nie znajdziesz – powiedziała cicho, zerkając w stronę kręcącej się po tarasie córki, która na chwilę wyjrzała na zewnątrz.

– Bzdury opowiadasz – syknęłam, jednak zdradliwy rumieniec na moich policzkach dał chyba Marcie sporo do myślenia.

Napięcie rozładowała Michalina, która po powrocie do salonu oznajmiła, że przyjechała pożyczyć od nas namiot i nie pytając mnie o zgodę, otworzyła drzwi przestronnej spiżarni. Trzymaliśmy tam także sprzęt wędkarski, narty i parę drobiazgów na biwak.

O tym, że siostra mogła przyjechać jeszcze kilka minut wcześniej i otworzyć sobie drzwi zapasowym kluczem, który wręczyłam jej przed naszym zeszłorocznym wyjazdem do Grecji, wolałam w ogóle nie myśleć. Gdyby nakryła mnie in flagranti z Jackiem... Nie, nie wyobrażałam sobie nawet takiego upokorzenia.

– Słyszałam o Lidce. – Marta zawiesiła głos, jakby nie chciała, żeby rozmowa o nagłej śmierci kuzynki Huberta dotarła do beztroskich nastoletnich uszu jej córki. – To takie upiorne, przerażające. W jednej chwili jesteś matką, żoną i młodą kobietą, a w drugiej... Co za koszmarnie bezsensowna śmierć!

– Marta, proszę cię! Wypłakałam już wszystkie łzy i nie chcę teraz o tym mówić! – Nie wiedzieć czemu, podniosłam na siostrę głos.

– Jasne, rozumiem. Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro. Ledwo ją znałam, ale i tak... Boże, kiedy pomyślę o jej dziewczynkach... Jak to znoszą?

– Jak to dzieci... Myślę, że nawet do starszej nie dotarła jeszcze nieodwracalność tego, co się stało – powiedziałam.

– Czasem tak się zastanawiam, jak by sobie poradziła moja rodzina, gdybym... Michaśka jest jeszcze taka dziecinna, a chłopcy...

– Przestań, nawet tak nie myśl! – Objęłam siostrę ramieniem i przez dłuższą chwilę siedzieliśmy zatopione we własnych myślach.

W końcu Marta wstała, nalała sobie wody mineralnej i spojrzała mi prosto w oczy.

– Masz romans z tym facetem, prawda? – zapytała ledwie słyszalnym szeptem.

Zerwałam się zza stołu, przy okazji strącając solniczkę.

– Jezu, co ci nagle odbiło?! Nie mam przecież żadnego romansu!

– Kłamiesz, Marzena. Widzę, że kłamiesz, ale okay. Nie chcesz gadać, to nie. – Marta nie wyglądała na urażoną, ale czułam, że moje kłamstwo ją ubodło.

– No dobra, podoba mi się i trochę flirtujemy. Ale nie sypiam z nim, nie wygłupiaj się – dalej brnęłam w kłamstwo.

– Skoro tak mówisz. – Marta odstawiła na bok szklankę po wodzie i powiedziała, że muszą uciekać.

Nie zatrzymałam jej, wręcz przeciwnie – nie mogłam się doczekać, kiedy wsiądzie do samochodu i odjedzie. Wyszły chwilę później – nieświadoma panującego między nami napięcia Michalina, taszcząca namiot, i wyraźnie zamyślona Marta. Zamykając za nimi frontowe drzwi, pomyślałam, że cena za tych kilka krótkich chwil dobrej zabawy okazała się zbyt wysoka. To, że raniłam męża, to jedno. Ale utraty dobrych relacji z siostrą nie potrafiłabym sobie chyba wyobrazić. Spojrzałam na telefon. Leżał na komodzie, tam gdzie zostawiłam go po wyjściu Jacka. Wyobraziłam sobie, że wybieram numer idącej w stronę samochodu Marty i prosto z mostu przyznaję się do romansu. Szybko jednak wrócił mi zdrowy rozsądek. Nie musiałam się nikomu spowiadać, do cholery! Rozumiałam, że Marta się o mnie martwiła, miała zresztą powody. Zawsze lubiła Huberta i pewnie nie wyobrażała sobie naszego rozstania. Z drugiej jednak strony byłam dorosłą, wolną kobietą, która miała chyba prawo do własnego życia? Kiedy byliśmy nastoletnimi smarkulami, Marta zawsze narzekała na wścibskość naszej matki. Niedaleko jednak padło jabłko od jabłoni, bo sama od jakiegoś czasu zachowywała się podobnie, pomyślałam, wracając na tył ogrodu.

W niewielkiej różowej misce nadal tkwiła resztką zapomnianego prania. Rozwiesiłam mężowskie koszule, podniosłam z trawnika frotowe prześcieradło, starając się nie myśleć o dniu, w którym kupiliśmy je z Hubertem w jednym z warszawskich supermarketów, i wróciłam do domu.

Patrycja wyszła na połączony z naszym zadaszony balkon, kiedy podlewałam pelargonie.

– Cześć, Marzenko! Pomyślałam, że skoczmy dziś na jakąś babską kawę. Masz plany na popołudnie? – zapytała.

– Nie, chyba nie...

– To co? Dasz się zaprosić?

– Pewnie, chętnie – uśmiechnęłam się.

– Sąsiadka z przeciwka nie spuszcza z nas wzroku – powiedziała Patrycja, zerkając w stronę domu Aldony, która nie przejmując się tym, że świetnie ją widzimy, obserwowała nas zza odsłoniętej, oberwanej z żabek firany. – Wczoraj wpadłyśmy na siebie w sklepie, a ona udawała, że mnie nie widzi. Stałyśmy dosłownie dwa metry od siebie, a ona odwróciła się do mnie plecami i udawała zajęta wybieraniem makaronu. Nie wiem, o co jej chodzi, ale ona od początku coś do mnie ma... Niechęć, jaka od niej bije, dosłownie wibruje.

– Zwykła rodzima zawiść, nic wielkiego. Co ładne i nietuzinkowe, to kole w oczy, nie wiesz o tym? – wzruszyłam ramionami, bagatelizując całą sprawę.

– Pewnie tak... Żółć dosłownie uszami jej się wylewa – skrzywiła się Patrycja.

– Ma niełatwe życie i niełatwy charakter, a to jak wiadomo mało strawna dla otoczenia mieszanka. Siedzi w domu z dziećmi, które ją drażnią, mąż stale w trasie, pracy nie ma od lat, kasy też ciągle jej brakuje... Przyznasz, że tego typu scenariusz może zrodzić poważną frustrację – mruknęłam.

– Powiedziałałabym coś o byciu kowalem własnego losu, ale może masz rację? Nie zawsze układa się nam tak, jak byśmy chcieli – przyznała Patrycja. – Wpadnę po ciebie koło siedemnastej, okay? Mam ochotę na mrożoną kawę w tej kawiarni przy ratuszu – dodała.

– O, świetnie! Dawno tam nie byłam. Ostatnio chyba ze dwa lata temu, razem z kolegami męża. Świętowali otwarcie nowego szpitalnego skrzydła i kupiliśmy olbrzymi czekoladowy tort. Po wyjściu stamtąd poszliśmy do Stu Czartów, gdzie wypiliśmy za dużo dzinu z tonikiem i w końcu zwymiotowałam połączoną z alkoholem, czekoladowo-waniliową masę – przypomniałam sobie.

– Urocze wspomnienie, bardzo apetyczne – roześmiała się Patrycja. – Słuchaj, nasza sfrustrowana sąsiadka dalej tkwi w oknie.

Spojrzałam na dom Aldony. Faktycznie, koleżanka wpatrywała się w nas z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i zaciśniętymi ustami.

– To się dopiero nazywa złe oko – mruknęła Patrycja, odwracając się do niej plecami i oparta o barierkę zapytała, kto do mnie wpadł przed południem.

– Siostra z córką. Wspominałam ci już chyba o Michalinie? – powiedziałam.

– Pytam o tego apetycznego blondyna, który przyjechał hondą – sprecyzowała.

Zaczerwieniłam się.

– Okay, nie dociekam. – Patrycja od razu zauważyła, że temat jest niezręczny. – Dobra, idę nastawić pralkę. Do zobaczenia koło siedemnastej – uśmiechnęła się.

Do domu wróciłam z płonącymi uszami i bijącym sercem. Zmieniając pościel w sypialni, usiłowałam sobie przypomnieć, czy kochaliśmy się przy uchylonych balkonowych drzwiach. Co, jeśli sąsiadka coś słyszała? Co, jeśli wyszła na balkon i zdała sobie sprawę, że jestem z kimś, kto z całą pewnością nie jest Hubertem? – zadreślałam się.

Popołudniową kawę odwołałam, wymawiając się nagłą migreną. Patrycja wyglądała na lekko zawiedzioną, ale musiałam myśleć głównie o sobie. Gdybym z nią poszła i nie daj Boże wypła trochę alkoholu, mogłabym chlapnąć o wiele za dużo. Lubiłam nową sąsiadkę, czułam się z nią niemal zaprzyjaźniona. Jednak z całą pewnością nie chciałam widzieć w jej oczach niezdrowej ciekawości, z jaką zapewne spoglądałaby na Huberta, wiedząc o moim romansie z Jackiem.

Wieczorem włączyłam laptopa i przejrzałam cztery najnowsze historie z forum o zdradzie.

Mój chłopak właśnie mnie rzucił. Powiedział, że zakochał się w innej, że to ta jedyna. Wychodząc, zapytał, czy po resztę rzeczy może wpaść dopiero w przyszłym tygodniu. Powiedziałam, że tak, nie ma problemu, a później wyjęłam z szuflady olbrzymie krawieckie nożyce i pocięłam wszystkie jego koszule, krawaty i ulubione podkoszulki – zwierzyła się światu IzaBella.

Kolejny post był autorstwa mężczyzny.

No proszę, jaki tu babiniec! Towarzystwo wzajemnej adoracji ocierające sobie wirtualne łezki. Ale coś Wam powiem – nie tylko mężczyźni potrafią łamać serca! – pisał Jan Paweł Trzeci. – Moja żona jeszcze niedawno twierdziła, że jestem facetem jej życia. Ale to było, zanim poznała mojego szefa... Sam ich sobie przedstawiłem, to dopiero ironia losu, co? Oczywiście, jak na naiwnego rogowca przystało, dość długo byłem ślepy i głuchy, chociaż niepokojące sygnały wydawały się raczej oczywiste. Anita nagle zaczęła zniknąć wieczorami,

a jeśli już była w domu, snuła się po nim zupełnie nieobecna duchem. W końcu wyznała mi prawdę – nie chciała mnie dłużej oszukiwać i chce rozwodu. Podpisałem rozwodowe papiery, a przy okazji złożyłem wypowiedzenie, bo nie mogłem dłużej patrzeć na zadowoloną z siebie nalaną gębę mojego szefa, który jest ode mnie osiemnaście lat starszy, ale za to solidnie nadziany. Anita twierdzi, że to miłość, ale przecież wiem, jaka potrafi być pazerna na kasę... Skalkulowała sobie, że małżeństwo ze mną nie opłaci jej się tak bardzo, jak związek z nim. Willa z basenem, sportowy wóz w garażu, a na podjeździe terenówka, wakacje na Bali, gdziekolwiek to, kurwa, jest – moja była zawsze świetnie umiała liczyć profity.

Ale wiecie co? Tydzień temu stała się naprawdę śmieszna rzecz – dowiedziałem się, że Borowiecki ją rzucił! Znudziła mu się, przejadła, spowszedniała. Wróciła do mamusi, bo przecież w domu, który jeszcze kilka miesięcy temu wspólnie spłacaliśmy, mieszkają już obcy ludzie. Wczoraj nawet napisała mi SMS-a, chce się spotkać i pogadać. Dacie wiarę? Zrobiła ze mnie pośmiewisko w całej mojej branży, odebrała godność, złamała i podeptała pieprzone serce, a teraz chce ze mną pić kawę! Wiem, że nie ma pracy – będąc z nim, nie musiała się wysilać. I chociaż nigdy nie byłem złośliwy, tak mi jakoś dziwnie lekko na duszy. Z całą pewnością nigdy nie zabrałbym jej na Bali, Bora-Bora czy w inne snobistyczne rejony, ale naprawdę ją kochałem. Szkoda tylko, że w dzisiejszych czasach uczucia też przelicza się na pieniądze.

Pijana Baletnica napisała krótko i dosadnie.

Jeśli miłość do kogoś boli tak bardzo, jakby całe twoje ciało nakłuwały tysiące lodowych szpikulców, nie warto kochać...

Ostatnią z historii przeczytałam dość pobieżnie. Dziewczyna, która podpisała się jako Black-Candy, opisywała swój krótki i burzliwy związek z niezrównoważonym emocjonalnie chłopakiem. Z jej słów wynikało, że gość bywał o nią chorobliwie wręcz zazdrosny i urządzał jej dzikie sceny zazdrości. Żeby było śmieszniej, sam nie miał żadnych skrupułów, żeby sypiać ze swoją sąsiadką...

Na oddalony od naszego miasteczka o jakieś pół godziny drogi cmentarz dotarliśmy kwadrans przed ceremonią. Hubert słaniający się na nogach z niewyspania, wbity w nowy ciemny garnitur, ja w nieco przyciasnej czarnej sukience i butach z imitacji skóry węża, które kupiłam sobie tuż przed ubiegłorocznym sylwestrem. Były zbyt wysokie i wyjątkowo niewygodne, nie mogłam jednak znaleźć moich ulubionych czarnych szpilek. Byliśmy mniej więcej w połowie wysadzonej tujami alejki, kiedy potknęłam się na nierównym bruku i gdyby nie Hubert, pewnie bym upadła. Mąż objął mnie w pasie i delikatnie przyciągnął do siebie. Ciepło jego ciała w pewien sposób podniosło mnie na duchu.

Przed niewielką kamienną kaplicą z witrażowymi oknami kręciło się kilkunastu żałobników. W środku trwało jeszcze nabożeństwo żałobne wyznaczone na wcześniejszą godzinę, więc znajomi i rodzina zmarłej czekali na zewnątrz. Zauważyłam matkę Lidki – z zaczerwienionymi od płaczu oczami, w starej, niemodnej ciemnej garsonce, miała w dłoniach chusteczkę, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem. Obok stała najlepsza przyjaciółka Lidki, Daria, którą poznałam na ostatnich urodzinach kuzynki męża. Ostatnie urodziny... Gdybyśmy wtedy wiedzieli, pomyślałam ze smutkiem. I chociaż robiłam wszystko, żeby nie rozplakać się publicznie, popłynęły pierwsze łzy. Kiedy szukałam w torebce chusteczek, mąż przystanął i posłał mi krzepiący, chociaż blady uśmiech. Weszliśmy na schody. Dolne stopnie były lekko ukruszone i ten brak dbałości o szczegóły dziwnie mi nie licował z powagą tego miejsca. Hubert szeptem zapytał, czy wyłączyłam komórkę i skinął głową jakimś wbitemu w ciemny garnitur wysokiemu facetowi z drugim podbródkiem.

Zbierałam się na odwagę, żeby podejść do matki Lidii, tymczasem mąż przywitał się ze szczupłą kobietą o końskiej twarzy. Rozmawiali o nagłej chorobie jakiegoś Halskiego, co, biorąc pod uwagę okoliczności, wydało mi się wyjątkowo przygnębiające. Stałam tuż obok Huberta, wciąż trzymając go pod rękę, i nagle zdałam sobie sprawę, jak wielu rzeczy o nim nie wiem. Miał swój świat, problemy, o których nie miałam pojęcia. Otaczali go zupełnie mi obcy ludzie. Zapewne niejedną raz obojętnie mijałam ich na ulicy, nie zdając sobie sprawy, że należą do grona jego znajomych. Owszem, część z jego współpracowników znałam i regularnie widywałam. Niektórzy byli jednak obcymi twarzami w tłumie, nigdy wcześniej nie widziałam ich na oczy.

– Niecałe dwa miesiące temu byliśmy razem na sympozjum w Krynicy. Wyglądał jak okaz zdrowia – szepnęła kobieta z końską twarzą.

Domyśliłam się, że wciąż mówi o tajemniczym Halskim, którego choroba wyraźnie zasmuciła mojego męża.

– Mówią, że najgorsze są pierwsze miesiące. Kiedy już otrząśnie się po usłyszeniu diagnozy i pogodzi się z rzeczywistością, zacznie walczyć – powiedział Hubert.

– Podobno leczy się u jakiegoś cenionego w środowisku onkologicznym profesora, ale rokowania nie są zbyt optymistyczne. Taki młody facet... Przecież on niedawno urządzał trzydzieste szóste urodziny, pamiętasz? – pokiwała głową jego rozmówczyni. – Najbardziej żał mi jego dziewczyny. Mają małe dziecko, chcieli się pobrać. Jaki to wszystko ma sens, cholera? – zapytała szeptem kobieta.

Hubert nie odpowiedział i na chwilę zapadła nieco niezręczna cisza. W końcu kobieta z końską twarzą, do której mój mąż powiedział „Iwonko”, zapytała Huberta, czy załatwił już sprawę z ordynatorem, a ja wyłączyłam się z rozmowy, ponieważ w żadnym, nawet najmniejszym stopniu, nie

dotyczyła mnie i moich problemów. Rozmawiali przez kilka minut, szeptem wymieniając uwagi. W końcu znajoma męża po szybkim pożegnaniu ruszyła w stronę wejścia do kaplicy, a ja zapytałam Huberta, skąd ją zna.

– Pracujemy razem. Iwona to dawna licealna koleżanka Lidki. Jest analityczką w moim szpitalu – wyjaśnił. – W dzieciństwie były najlepszymi przyjaciółkami. Pamiętam Iwonę, jak w kuchni mojej ciotki piekła z nią ciasto. Lidka nie lubiła kuchennych obowiązków, ale Iwona uczyła się od jej matki gotowania. Może dlatego, że sama miała tylko ojca i tęskniła za matczynym ciepłem? Kiedyś upiekły z moją ciotką szarlotkę z cynamonem, którą kazały mi posypać cukrem pudrem. Kiedy matka Lidki wyszła na moment z kuchni, podkradłem kawałek, krojąc ciasto kuchennym nożem. Później zdecydowałem, że lepiej pokroić całą szarlotkę i ułożyć ciasto na paterze. Nie zauważyłem jednak, że nóż był brudny, wcześniej ciotka kroiliła nim czosnek i jeszcze przez długie tygodnie wysłuchiwałem, że zepsułem deser – szepnął mi na ucho Hubert. – Dziwne, jakie rzeczy przypominają się człowiekowi w takich okolicznościach – dodał ze smutkiem.

– Będzie mi Lidki brakować. Naszych wspólnych świąt, pogaduszek, ploteczek. Wymieniania się książkami, rozmów o głupotach. Miała dwójkę dzieci, pracę, męża i dom na głowie, ale nadal była w niej taka dziewczęca radość życia. Cieszyła się każdym dniem, każdym najmniejszym drobiazgiem, jakby wiedziała... Hubert, myślisz, że mogła widzieć? Że przeczuwała, jak mało czasu jej zostało?

– Przeczuwała? Co? Że ugryzie ją cholerna osa i umrze na oczach przerażonych dziewczynek? Nonsens – obruszył się mój mąż. – Chodź, wejdźmy do środka – dodał łagodniejszym tonem.

Bożenę, była żonę mojego męża, zauważyłam na chwilę przed tym, zanim weszliśmy do kaplicy – stała nieco na uboczu i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy wpatrywała się w Huberta. W wąskiej ciemnoszarej sukience wyglądała szczupło i zaskakująco atrakcyjnie. Schudła? A może po prostu świetnie dobrała fason kiecki? – zastanawiałam się.

Hubert zauważył ją dosłownie chwilę później i lekko się uklonił. Uśmiechnęła się ledwie kącikami ust, ale aż jej zalśniły oczy.

– Co ona tu robi? – szepnęłam, zaciskając palce na dłoni męża.

– To pogrzeb. Każdy ma prawo przyjść – powiedział zirytowany.

– Powinieneś mi powiedzieć, że będzie!

Spojrzał na mnie ze złością.

– I co? Zrobiłabyś sobie staranniejszy makijaż? Marzena, wiem, że się nie znosicie, ale to nie czas i nie miejsce na dyskusje o waszych niesnaskach.

Nie odpowiedziałam.

Jakąś minutę później podeszła do nas matka Lidki. Hubert ją objął i długo tulił.

Bożena wciąż stała z boku – na skraju alejki, tuż przy marmurowej ławce, na której leżała jej niewielka lakierowana torebka. Posłałam jej złe spojrzenie, ale udawała, że mnie nie widzi. Dyskretnie poprawiła włosy i ruszyła w stronę kaplicy.

Kiedy weszliśmy do środka, zajęła już miejsce – w jednej z pierwszych ławek, chociaż z tego co wiedziałam, ledwo Lidkę znała...

Hubert postanowił usiąść tuż za nią, co wyjątkowo wytrąciło mnie z równowagi. Przez całą ceremonię czułam piżmowy zapach jej perfum i wpatrzona w tył jej głowy wyobrażałam ją sobie przed ołtarzem z moim mężem uboku. My mieliśmy już tylko ślub cywilny – to ona przed laty przysięgała mu miłość,

w welonie i nieskazitelnie białej sukni, czego zawsze jej zazdrościłam. Tak samo jak więzi łączącej ich ze względu na syna. Gdybyśmy to my się rozstali, mąż zniknąłby pewnie z mojego życia na dobre. Oni mieli jednak Konrada i chociaż nie rozeszli się w szczególnie przyjaznych okolicznościach, kiedy rozmawiali o swoim jedynaku, sprawiali wrażenie wciąż sobie bliskich, pomyślałam.

Pogrzeb był krótki i przejmująco smutny. Zapłakane buzie córek Lidki, szloch jej matki i ściągnięta bólem twarz młodego wdowca sprawiły, że sama znowu zaczęłam płakać i nie mogłam się uspokoić.

Mąż na jedną chwilę położył dłoń na moim kolanie, jednak nawet ten ciepły gest z jego strony nie zdołał ukoić emocji.

Bożena siedziała sztywna, jakby połknęła kij golfowy, a zapach jej ciężkich perfum mieszał się z wonią kadzidła i zdobiących trumnę z ciemnego drzewa lilii. Wbiłam wzrok w jej kark, jakbym samą siłą woli chciała zmusić byłą żonę Huberta do wstania i opuszczenia kaplicy, jednak nawet nie drgnęła. Wciąż prosta, wręcz groteskowo usztywniona, wpatrywała się w ołtarz. Ksiądz był nieprzyzwoicie wręcz przystojny, młody i zachrypnięty. Mówił coś o bramach do lepszego świata, które otwały się na oścież, żeby przyjąć naszą zmarłą siostrę Lidkę i prawie wybuchłam nerwowym śmiechem. Jaki świat może być lepszy dla matki, która w tak tragiczny sposób osierociła dwójkę małych dzieci? Spojrzałam na dziewczynki. Starsza, Wiktoria, płakała wtulona w babcię. Młodsza, ze szmacianą lalką w rękę i kciukiem w buzi, sprawiała wrażenie sennej i lekko oszołomionej. W wieku trzech lat nie zdawała sobie pewnie sprawy z upiornej nieodwracalności śmierci, siedziała więc spokojnie, bawiąc się wełnianymi włosami nieco sfatygowanej, zapewne ulubionej szmacianej przytulanki.

Spojrzałam na męża. Jeszcze przed momentem Hubert siedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, wpatrując się w piękny obraz Madonny wiszący nad bocznym ołtarzem. Jednak kiedy kilku ubranych na czarno mężczyzn podeszło do ciemnej trumny, wstrząsnął nim gwałtowny szloch. Zacisnęłam palce na jego dłoni i zerknęłam na Bożenę. Pochyliła głowę jak do modlitwy, jednak przez całą ceremonię nawet raz nie zapłakała. Zresztą wcale jej się nie dziwiłam – Lidkę spotkała ponoć tylko dwa razy w życiu. Na swoim ślubie przed laty i niedługo później, na chrzcinach Konrada. I chociaż czułam, że wpadam w jakąś skrajną paranoję, pomyślałam, że zjawiała się na pogrzebie tylko i wyłącznie po to, żeby spotkać Huberta...

Nad grobem, kiedy rozbrzmiały przejmująco smutne dźwięki żałobnej trąbki, po raz kolejny spojrzałam w jej stronę. Tak jak przypuszczałam, patrzyła prosto na mojego męża. Złapałam go pod rękę i posłałam jej pełne wyższości spojrzenie. Dopiero kiedy na trumnę rzucono pierwsze grudki cmentarnej ziemi, przyszły wyrzuty sumienia. Kochałam Lidkę, od początku byłyśmy sobie bliskie. Czemu więc, stojąc nad jej rozkopanym grobem, zionę zazdrością o więź łączącą kiedyś mojego męża i jego byłą żonę? – zastanawiałam się. A może to tylko taki trik udęczonego rozpaczą umysłu? Chwilowe oderwanie od tego smutnego, letniego dnia i pożegnania, które tym razem nie niesie ze sobą obietnicy ponownego spotkania...

W dużym, pełnym obrazów salonie było nieprzyjemnie duszno. Zupełnie jakby wszystkie szepty i westchnienia pofrunęły pod sufit i ciężką chmurą rozpaczony zawisły nad naszymi głowami. Znad komody śledził nas wzrokiem uwięziony w olejnym portrecie pradziadek Lidki, mężczyzna o poważnej, zamyślanej twarzy i dużych ciemnych oczach ukrytych za staromodnymi, okrągłymi okularami. W czarnym surducie, z zaczesanymi gładko do tyłu siwiejącymi włosami, przypominał mi nieco widywaną w szkole podobiznę Bolesława Prusa. Usiadłam w fotelu przy drzwiach i spojrzałam w stronę okna. Rozbolała mnie głowa, w uszach szumiało. Pokój wibrował od głosów, ściany zdawały się wokół nas zacieśniać. Pomimo że na zewnątrz świeciło słońce, ktoś zapalił oba zdobione kryształami żyrandole i do połowy zasłonił ciężkie aksamitne story. Zrobiło mi się słabo, przez chwilę byłam pewna, że runę na podłogę. Marzyłam o uchyleniu okna, ale ciotka przed chwilą je zamknęła... Gryzący dym z cygara zbliżającego się do osiemdziesiątki chrzestnego ojca mojego męża mieszał się z leciutką wonią perfum, męskiej wody kolońskiej, rozlanego alkoholu i potu. Chciało mi się pić i nieprzyjemnie pulsowało mi w głowie, jakby ktoś umieścił wewnątrz mnie tykającą coraz głośniejszą bombę. Najgorsza była jednak świadomość, że oto zebrani w gronie najbliższych, na dobre żegnamy młodą, pełną życia kobietę, której kilkuletnie córeczki bawiły się w kącie pokoju. Obie w aksamitnych ciemnogrnatowych sukienkach, ze splecionymi starannie włosami. Smutne, ciche, przygaszone. Inne dzieci, popiskując, goniły się wokół domu, ale one dwie trzymały się osobno. Jakby podświadomie czuły, że w tym dniu powinny zachować powagę... Lalkę, którą czesały, kupiłyśmy z Lidką w Gdańsku. Tamtego dnia lał ciepły rześisty deszcz, a my spacerowałyśmy Długą i potrącane przez niezrażonych paskudną aurą turystów, wybierałyśmy prezenty. Wisiorek z bursztynem dawno zgubiłam. Lalka przetrwała, żeby ukazać mi się teraz, na pogrzebie kobiety, która zabrała ją pod własny dach. Boże jedyny, o czym ja w ogóle myślę? – skrzywiłam się, rozmasowując sobie skronie. Rozmawiający ze swoim wujkiem Hubert posłał mi uważne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: jestem przy tobie, widzę cię. Dopóki śmierć nas nie rozłączy... Nagle wyobraziłam sobie, że coś mu się przytrafia. Wpada pod samochód, dostaje zawału, ma jakiś koszmarny wypadek. Nie potrafiłabym bez niego żyć, pomyślałam, a jakiś cichy wredny głos w mojej głowie zapewnił mnie, że owszem, jakoś bym pewnie musiała. Spojrzałam na mamę Lidki. Siedziała za suto zastawionym stołem, szklanym wzrokiem wpatrując się w okno. Jej zięć coś do niej mówił, ale sprawiała wrażenie kogoś, kto na jakiś czas oderwał się od rzeczywistości i zaprzątnięty jest tylko własnymi myślami. Żaden mięsień nie drgnął na jej twarzy, przyoblekła ją w coś na kształt maski, za którą ukryła cały swój ból. Maski, która pewnego dnia pęknie i uwolni emocje. Pewnego dnia, ale jeszcze nie dzisiaj. Miałam ochotę podejść i pogłaskać ją po szczupłej, pełnej wątrobowych plam dłoni, ale nie znalazłam w sobie na tyle odwagi, żeby w ogóle się do niej zbliżyć.

– Zjedz coś, Marzenko. Rano nawet kawy nie dopiłaś... – Hubert w końcu uwolnił się od zagadującego go wuja i podał mi talerzyk z kilkoma miniaturowymi kanapkami.

Pasta jajeczna, łosoś, ogórek... Wyobraziłam sobie zapuchniętą od płaczu matkę Lidki, krojącą bagietki na stypę i zrozumiałam, że z całą pewnością nie zdołam niczego przełknąć.

– Przynieś mi coś do picia – poprosiłam Huberta.

– Kawę? Herbatę?

– Whisky.

– Marzena, daj spokój. Na pusty żołądek? – zaprotestował mąż, w którym najwyraźniej obudził się

lekarz.

– Nieważne, zapomnij. – Podniosłam się z fotela i z ulgą opuściłam duszny salon.

W przedpokoju, także pełnym obrazów, zapadnięta w olbrzymi fotel z zagłówkiem, siedziała jakaś starsza kobieta. Posłałam jej coś na kształt uśmiechu i zapukałam do łazienkowych drzwi. W środku ktoś płakał. Nawet poprzez dochodzący z salonu gwar rozmów wyraźnie słyszałam przejmujące, zduszone łkanie. Oparłam głowę o wytapetowaną ścianę i przymknęłam oczy. Wiele bym dała, żeby być już w domu. Ściągnąć przyciasne buty, zrzucić żałobną sukienkę, pozbyć się przekłętą stanika, którego fiszbyny wbijały mi się w żebra. Minęło dobrych kilka minut, zanim z łazienki wyszła jedna z przyjaciółek zmarłej kuzynki Huberta. Znałam ją zarówno z widzenia, jak i opowieści Lidki. Ponoć jej mąż zajmował się prawem handlowym i świetnie zarabiał, a ona marzyła o trzecim dziecku, którego on z całą pewnością nie chciał. Wymieniłyśmy przelotne spojrzenia, ale ona szybko odwróciła wzrok. Jakby publiczne okazywanie uczuć żenowało ją nawet na stypie... Miała czerwone oczy, niedbale spięte włosy i oczko w czarnych pończochach. Skinęłam w jej kierunku głową, a ona przytrzymała mi drzwi.

– Przykro mi – szepnęłam.

Nie odpowiedziała, chyba zabrakło jej słów.

W łazience przysiadłam na brzegu wanny i z ulgą zsunęłam z nóg szpilki. Bijący od kafelków chłód przyniósł ulgę moim obolałym stopom. Unoszący się w powietrzu zapach obcych perfum mieszał się z nutką tytoniu i taniego lakieru do włosów. Zerknęłam na pełną kosmetyków półkę, zastanawiając się, czy Lidka trzymała jeszcze część swoich rzeczy w domu rodziców. Czy używała kremu do rąk, którego tubka stała na obramowaniu umywalki? Cesała się szczotką z różową rączką? Spoglądała w to lustro, zastanawiając się nad swoim życiem, małżeństwem, przyszłością?

Ktoś zapukał do drzwi łazienki.

– Chwileczkę! – krzyknęłam, niechętnie wkładając stopy w buty.

Zanim wyszłam, nalałam do umywalki zimnej wody i zanurzyłam w niej rękę. Pulsowanie w głowie lekko ustąpiło, jednak wciąż czułam się tak, jakby spowijała mnie gęsta nieprzenikniona mgła. Idąc przez korytarz, zauważyłam Huberta. Pochylał się nad matką Lidki, mówiąc jej coś na ucho. Zatrzymałam się w progu, oparłam o pomalowaną na brązowo framugę. Nie chciałam wracać do salonu, nie mogłam! Robiło mi się słabo na samą myśl o tym, że znowu zanurzę się w tej bezbrzeżnej rozpacz, która dosłownie biła z wypełnionego żałobnikami pokoju. Zerknęłam na męża. Nadal rozmawiał ze swoją ciotką. Sprawiała wrażenie zupełnie nieobecnej duchem. Cofnęłam się i ruszyłam w stronę otwartych na oścież frontowych drzwi.

Na ocienionej winoroślą werandzie, zbici w zwartą grupkę, stali młodzi mężczyźni w ciemnych garniturach, sądząc po strzępkach rozmowy, którą usłyszałam, znajomi Lidki z pracy. Jeden z nich, wyraźnie mną zainteresowany, posłał mi uśmiech, który w tych okolicznościach wydał mi się wyjątkowo niestosowny. Zignorowałam go i ruszyłam w stronę rozstawionych w głębi ogrodu wiklinowych mebli. Mijałam niewielką drewnianą szopę, kiedy zauważyłam Kacpra, dwunastoletniego siostrzeńca Huberta. Chłopak zdjął marynarkę i rzucił ją na trawę, podwinął rękawy koszuli i usiłował właśnie zapalić papierosa.

– Daj mi to – powiedziałam, biorąc od niego zapalniczkę.

Na mój widok dzieciak zerwał się na nogi i wyraźnie spanikowany, rozejrzał się dookoła.

– Powie ciocia mojemu tacie? – wykrztusił, czerwieniejąc na twarzy.

– Zastanowię się – powiedziałam.

Za szopą, starannie ułożone w niewysoki stos, leżały równo przycięte deski. Usiadłam na nich i wystawiłam twarz do słońca.

– Ciociu, ale nie mów tacie, dobrze? – Kacper usiadł obok mnie i poluzował krawat. – Nie znoszę tego cholerstwa! – mruknął.

– Od dawna się tym podtruwasz? – zapytałam.

– Nie, no skąd – zmieszał się. – Czasem, w szkolnej szatni, ale tylko tak dla jaj...

– Wiesz, że palenie skraca papierosa? – wysiliłam się na kiepski żart.

Chłopiec zarechotał, przyglądając się trzymanemu między palcami papierosowi.

– To też mi daj. – Wzięłam od niego peta i przerzuciłam go przez płot.

– Nieładnie tak śmiecić – mruknął Kacper. – Czemu umieramy? – zapytał nagle. – To znaczy, nie miałbym nic przeciwko, gdyby każdy miał gwarancję dożycia osiemdziesiątki. A ciocia Lidka była jeszcze młoda. To znaczy już trochę stara, ale chyba jeszcze nie aż tak...

– Nie wiem, Kacper. Bardzo chciałabym wierzyć, że tam gdzieś na górze jest ktoś, kto ma rozpisany jakiś genialny plan. Że każda jedna śmierć jest jego częścią, że w końcu wszystko to ułoży się w jakąś spójną, logiczną i fantastyczną całość. Wiesz, jak w puzzlach. Każdy element pasuje do siebie idealnie, wszystko cudownie ze sobą współgra. Problem w tym, że ja jednak w to nie wierzę.

– I wszystkie te dzieci...

– Jakie dzieci? – zdziwiłam się.

– Te ze szpitala wujka Huberta. Podśluchałem kiedyś, jak mama mówiła do taty, że u wujka na oddziale czasem umierają dzieci... Myślisz, że niebo istnieje?

– A ty? – odpowiedziałam pytaniem.

– Myślę, że później nie ma już nic. Tylko ziemia i robaki – powiedział chłopak pełnym rezygnacji tonem. – Oglądałem niedawno taki dokument i widziałem, jak rozkłada się człowiek. Wiedziałaś, ciociu, że są na świecie miejsca, gdzie antropolodzy sądowi przyglądają się fazom rozkładu zwłok? To takie wydzielone...

– Dobrze jest wierzyć w coś więcej, Kacper – weszłam mu w słowo, zmrożona zaskakującym tematem rozmowy.

– W co?! W aniołki na chmurkach?! Właśnie skończyłem dwanaście lat i na pewno nie jestem idiotą! A księża mieszają nam w głowach. Bramy do lepszego świata? Zjedzą nas wszystkich robaki i tyle! – krzyknął Kacper, zrywając się z desek.

Chwilę później podniósł z ziemi swoją zmiętą marynarkę i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę domu.

Siedziałam przy szopie jeszcze przez jakiś kwadrans, usiłując poukładać galopujące w mojej głowie myśli. W końcu wstałam i wróciłam do pełnego żałobników, dusznego salonu. Szukając wzrokiem męża, zauważyłam Bożenę – jadła czekoladowe ciasto, wyraźnie delektując się smakiem. Nieczuła pinda – pomyślałam ze złością. Na mój widok odłożyła talerzyk z niedojedzonym przekładającym i podeszła do Huberta. Ujęła go pod ramię.

Zagryzłam wargi, starając się nie okazywać emocji.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Lidka zaraz wejdzie do pokoju – usłyszałam głos Hanki, siostry mojego męża.

– Cześć, Haniu. Nie widziałam was przy grobie. – Ucieszyłam się na widok szwagierki, z którą przyjaźniłam się od ładnych paru lat.

– Byliśmy tylko w kaplicy, później przyjechaliśmy tutaj. Nie znoszę tej chwili, kiedy na trumnę leżą pierwsze grudki ziemi, nie byłabym w stanie... Zresztą to dość skomplikowane... Nasz Kacper dostał jakiejś obsesji, stale powtarza, że wszyscy w każdej chwili możemy umrzeć. Umówiłam go już z psychologiem dziecięcym, miejmy nadzieję, że to pomoże.

– Skąd mu się to wzięło? – zapytałam, kątem oka zerkając w stronę Bożeny, która nienaturalnie modulując głos, nadal niemal wisiła na moim mężu.

– Nie wiem... Pewnego dnia Hubert znalazł go kręcącego się po szpitalu. Chciał zobaczyć chore dzieciaki z jego oddziału. Później tragicznie zginęła siedemnastoletnia siostra jego klasowego kolegi i nagle nasz syn zaczął dosłownie na okrągło mówić o śmierci. Ogląda jakieś przerażające dokumenty, ślęczy nad starą encyklopedią po dziadku, za pieniądze z kieszonkowego kupił sobie „Trupią farmę” Bassa... A ostatnio obudził nas w środku nocy, żeby sprawdzić, czy oddychamy, wyobrażasz sobie?! Obudziłam się, a on sterczał przy naszym łóżku, pochylając się nad Andrzejem!

– Może to przejściowe? Nie znam się na dzieciakach, ale w jego wieku chyba dość szybko traci się zainteresowanie? – pocieszyłam Hankę.

– Mam nadzieję. Zobaczymy...

– Chodź do kuchni, napijemy się czegoś mocniejszego.

Kieliszki znalazłam w kredensie, resztkę czerwonego wina w spizarce.

– Chryste, jaka jestem głodna! – Hanka usiadła na taborecie i zrzuciła z nóg szpilki. – I jeszcze te przeklęte buty! Trzeba było ubrać baleriny...

– Ile ci nalać? – zapytałam.

– Dosłownie dwa łyki. Nie, nie, za dużo! Cholera, chcieliśmy wam powiedzieć w nieco radośniejszych okolicznościach, ale cóż... Jestem w ciąży. Andrzej od dawna marzył o drugim dziecku i w końcu się zdecydowaliśmy. Lepiej późno niż wcale, co? – uśmiechnęła się Hanka.

Odstawiłam trzymaną w rękę butelkę i objęłam szwagierkę.

– Fantastyczne wieści! Który to już tydzień? Gratuluję, Hubert pewnie oszaleje ze szczęścia!

– Słuchaj, a zostałabyś matką chrzestną? Bardzo bym chciała...

– Jasne, że tak! Dziękuję, że poprosiłaś. Jezu, jak się cieszę! Wreszcie jakiś promyk słońca pośród tego koszmarnego dnia. Tęsknię za Lidką, wiesz?

– Ja też. Wczoraj znalazłam w szufladzie książkę, którą mi pożyczyła. Planowałam ją zabrać na wakacje, ale teraz... Chryste, znowu się rozklejam. – Hance załamał się głos. Jednym haustem wypić symboliczną ilość wina, które jej nalałam, i wstała z krzesła. – Zrobię nam to kakao – powiedziała.

Wyjęłam z lodówki mleko i znalazłam w szafce niewielki emaliowany garnuszek. Młodsza siostra mojego męża krzątała się po kuchni boso, niewygodne buty wkopała pod stół. Pomyślałam, że pomimo zaczerwienionych od płaczu oczu wyglądała na szczęśliwą i w pewien sposób promiennie. Może sprawiła to radość z powodu ciąży, może po prostu hormony...

– Pójdę po Huberta. Powiesz mu, skoro ja już wiem – uśmiechnęłam się, kładąc na blacie mleko.

Męża znalazłam w salonie. Z Bożeną przy boku wysłuchiwał monologu starszego mężczyzny z bródką, którego znałam jedynie z widzenia.

– Przepraszam najmocniej, muszę na moment porwać Huberta – wysiliłam się na wymuszony uśmiech i pociągnęłam go w stronę kuchni.

– Zgadnij, co chcemy ci powiedzieć – zaczęła Hanka. Bosa, z puszką kakao w dłoni, sprawiała wrażenie wyczekującej ulubionego deseru małej dziewczynki.

– Chryste, nie mam pojęcia. Zawile łamigłówki to dziś ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Chodzi o Kacpra? – zapytał Hubert zmęczonym głosem.

– Chodzi o to, że znowu będziesz wujkiem, braciszku! – Szwagierka pocałowała mojego męża w gładko ogolony policzek i zapytała, czy ma ochotę na kakao.

– Rany, fantastyczne wieści, Hanuś! Wiem, że od dawna coś tam przebąkiwaliście o drugim dziecku, ale jakoś nie spodziewałem się efektów.

– A to czemu? Tylko nie mów, że ciąża w moim wieku to już ryzyko – roześmiała się Hanka.

– Nie przesadzajmy. Masz trzydzieści sześć lat, poza tym nie będziesz pierworódką – mrugnął do niej mój mąż i żartobliwie potargał jej włosy. – Wiesz, że jestem z ciebie dumny, siostrzyczko, prawda?!

– Dumny to będziesz dopiero, kiedy wypchnę z siebie dzieciaka. Kacpra rodziłam prawie dwadzieścia godzin, pamiętasz? I zaczynam się właśnie zastanawiać, czy tym razem nie powinnam poprosić o cesarkę...

– O tym na pewno jeszcze na spokojnie sobie pogadamy. Nie dziś, nie tu. Zawsze są plusy i minusy, sama wiesz. Zrób mi to kakao. – Hubert sięgnął po leżącą na blacie, do połowy rozkrojoną bagietkę i zaczął się rozglądać za nożem.

– W salonie wciąż jest mnóstwo jedzenia – powiedziała Hanka.

– Mniejsza z tym, sami się obsłużymy. – Hubert już znalazł w lodówce pikle i wyjął z szafki majonez. – Kiedy byłem smarkaczem i wpadałem tu, żeby zobaczyć się z Lidką, wszystko było dokładnie tak samo poukładane. Wujek wymienił szafki i odnowił kuchnię, ale noże nadal są w szufladzie pod oknem, a lodówka stoi na swoim odwiecznym miejscu...

– Starsi ludzie nie lubią zmian – powiedziałam cicho.

– Martwię się o ciocię... Stracić córkę w tak koszmarnych okolicznościach... Chryste, jak ona sobie poradzi? – zapytała cicho Hanka.

– Jest wierząca, to zawsze jakoś pomaga – powiedział Hubert, wyjmując ze słoja resztkę ogórków.

– Siedzimy tu, wpięprzamy pikle z majonezem i gadamy o śmierci. Życie naprawdę jest pochchrzanie – mruknęłam, a Hanka wybuchła nerwowym śmiechem.

– Niektórzy mówią, że kiedy kobieta zachodzi w ciążę, ktoś w najbliższej rodzinie umiera – powiedziała cicho.

– Zabobony! – uciął dyskusję mój mąż. – Co tak śmierdzi?

– Cholera, mleko! – Hanka postawiła na kuchenkę ronderek z mlekiem na kakao i zupełnie o nim zapomniała.

Przesunęłam w bok kolorową donicę z kaktusem i otworzyłam okno.

– Mam ostatnio przerażająco koszarne sny. – Hanka, uzbrojona w kuchenną rękawicę, zdjęła z palnika garnuszek z gorącym mlekiem.

– Daj to, zanim się oparzysz. – Hubert zrobił dla nas kakao i podał mi ronderek. – Kobiety w ciąży często śnią kosmary – dodał.

– Przedwczoraj śniło mi się, że zabiłam Jędrka. Zaciukałam męża kuchennym nożem! To normalne?

– Modliszka z ciebie. Młode w drodze, chłop stał się zbędny – zażartował Hubert.

– Mówię serio! Martwi mnie to. – Hanka upiła kilka łyków kakao i odstawiła kubek na płytę. –

O matko, znowu mi niedobrze.

– Przepisać ci coś na mdłości? Masz dobrego lekarza?

– Jasne, że mam dobrego lekarza! Cholera, chyba będę rzygać. – Hanka pognała w stronę drzwi i zostaliśmy sami.

– Kacprowi przyda się rodzeństwo – powiedziałam.

– Hanka pewnie poprosi cię na chrzestną.

– Już mnie poprosiła – uśmiechnęłam się.

Chciałam dodać coś jeszcze, kiedy do kuchni weszła mama Lidki.

– Nie siedźcie tu sami, chodźcie do nas. Mazurkiewiczowie zaraz wychodzą, trzeba się pożegnać – powiedziała.

Teraz, kiedy weszła w rolę pani domu, sprawiała wrażenie nieco przytomniejszej niż w salonie, jednak wciąż miała dziwnie zamglone spojrzenie i obcy, matowy głos.

– Potrzebujesz jakiejś pomocy, ciociu? – zapytał Hubert.

– Nie, niczego mi nie trzeba. Ktoś wymiotuje w toalecie – powiedziała starsza kobieta zmęczonym głosem.

– Hania. Jest w ciąży – wtajemniczył ciotkę Hubert. – Dziewczynki będą miały nowego towarzysza zabaw...

– Jedno życie odchodzi, inne się zjawia – odpowiedziała. – Jestem dziś taka zmęczona...

– Ciociu, usiądź. Napijiesz się czegoś? Jadłaś coś dzisiaj? – Hubert zajął się ciotką, która wyglądała tak, jakby uszła z niej resztką energii.

– Lidzia zawsze mówiła, że chciałyby mieć trzecie dziecko. Marzyła o synku, ale teraz... – Matka Lidki bezradnie rozłożyła ręce. – Czym ja sobie zasłużyłam na taki los? Taką piękną córkę miałam, taką dobrą – rozszlochała się.

Objęłam ją i długo głaskałam po rzadkich siwych włosach.

– Sprawdzę, co z Hanką – powiedział Hubert, zostawiając nas same.

– To taki dobry chłopak – szepnęła cicho ciotka męża.

– Kto? – dziwiłam się.

Spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– Hubert. Twój mąż.

Resztę popołudnia spędziłam, żegnając wymykających się ze stypy gości, myjąc stosy talerzy i uspokajając coraz głośniejsze wrzeszczące dzieciaki. Część żałobników już się rozeszła, ale starzy znajomi rodziców Lidki nadal okupowali salon, w którym gęste od cygarowego dymu powietrze dosłownie stało. Pierwsza żona Huberta wyszła jako jedna z ostatnich. Żegnając się ze mną, bez słowa skinęła mi głową, za to na moim mężu znów dosłownie się uwiesiła.

– Odprowadzisz mnie do samochodu? – wyszczebiotała.

– Nie znoszę tej baby – szepnęłam do Hanki, która wyszła ze mną na werandę. – Zobacz, ktoś

powciskał niedopałki w donice z paprociami – skrzywiłam się.

– Doskonale cię rozumiem. Kiedy jeszcze była żoną Huberta, musiałam się naprawdę mocno zmuszać, żeby wysiedzieć chociażby dwie godziny w jej towarzystwie. Nie wiem nawet, co tak właściwie do niej mam... Jest w niej coś...

– Gadziego? Jest śliska jak podstępnie wpełzający do sypialni wąż – mruknęłam, opróżniając donice z powciskanych w ziemię petów.

– Tak, myślę, że to całkiem trafne określenie. – Hanka uśmiechnęła się nieco złośliwie i zerknęła w stronę furtki. – Trzeba mieć tupet, żeby zjawić się na pogrzebie kogoś, kogo ledwo się znało, i od początku skupiać na sobie całą uwagę! – dodała.

– Cóż... Miło wiedzieć, że mamy co do niej dokładnie te same odczucia – uśmiechnęłam się do szwagierki, która podsunęła mi pustą miskę po podjadanych przez znudzone dzieciaki orzeszkach.

– Wrzuć tu te pety, zaraz to umyję – powiedziała.

Dochodziła siedemnasta, kiedy dostałam wysłanego z nieznanego numeru SMS-a. „Myślę o twojej soczystej cipce” – jedno zdanie, które mogło na dobre zrujnować wszystko. Wiadomość odczytał mój mąż i bez słowa podał mi telefon. Jacek! – zrozumiałam od razu. Kochanek już wcześniej wysyłał mi sprośne teksty z różnych nieznanych mi numerów. Stałam z komórką w ręku, z osłupieniem wpatrując się w wyświetlacz. Przecież mówiłam mu, że idę tego dnia na pogrzeb! Jak mógł napisać coś takiego?! Co mu strzeliło do łba?!

– O co chodzi? Podejrzewasz, kto wypisuje do ciebie takie świństwa? – Mój cudownie ufny, niemal dziecięco naiwny mąż, objął mnie w pasie i zapytał, jak długo to trwa.

– Nie wiem... Nigdy wcześniej niczego takiego nie dostałam. To pewnie jacyś smarkacze głupio się bawią – powiedziałam, starając się mówić spokojnym, pewnym głosem.

– Daj, skasuję to. – Hubert wziął ode mnie telefon i usunął kompromitującego SMS-a. – Może powinnaś zmienić numer? – dodał.

Jakby to dało cokolwiek, pomyślałam.

Przez resztę dnia czułam się fatalnie. Spotykając się z Jackiem w jego mieszkaniu, w pewien sposób dystansowałam się od swojego dotychczasowego życia. A przynajmniej udało mi się to sobie wmówić. Jednak to, w jak prostacki sposób wdarł się pomiędzy moją pogrążoną w żałobie rodzinę, niemal bezczeszcząc ten smutny dzień... Tego nie mogłam puścić mu płazem!

– Nigdy, przenigdy więcej nie wysyłaj mi takich rzeczy na komórkę! – warknęłam, kiedy zamknięta w łazience wybrałam jego numer.

– Tęsknię za tobą, Marzena. Gdybyś nie odsuwała mnie na boczny tor za każdym razem, kiedy masz coś lepszego do roboty, to może...

– Coś lepszego do roboty?! Byłam na pogrzebie kuzynki męża!

– Rozumiem, ale...

– Nigdy, przenigdy więcej, nie wysyłaj mi takich rzeczy, słyszysz?! – weszłam mu w słowo.

Nie odpowiedział.

– Słyszałeś, co mówiłam, Jacek? – powtórzyłam, kręcąc się po niewielkim pomieszczeniu, w którym nagle poczułam się, jak w klatce.

– Wybacz, nie miałem pojęcia, że aż tak cię to rozwścieczy! Okay, może wysłałem tego SMS-a nie

w porę, ale żeby od razu robić taką aferę? Co cię ugryzło? Chyba mogę czasem poświntuszyć? Gdybyś częściej...

Rozłączyłam się, nie czekając, aż dokończy. Trzęsły mi się ręce, drżał głos. Pomyślałam o mężu. Hubert to dobry człowiek, szlachetny. Każdy inny na jego miejscu podejrzewałby już coś ohydneho, zdradzieckiego. Każdy, ale nie on. On wolał wierzyć, że to głupi szczeniacki żart, niż dopuścić do siebie myśl, że jego ukochana żona może zadawać się z innym... Być może gdzieś w głębi duszy podejrzewał, że kryje się za tym SMS-em coś bardziej plugawego niż żenujący wygłup. Wolał jednak oszukać samego siebie, niż podejrzewać o zdradę mnie – zrozumiałam.

Hotel Babel mieścił się na peryferiach naszego miasteczka, tuż przy trasie wylotowej na Warszawę. Z zewnątrz niepozorny, klockowaty i szary, w środku prezentował się całkiem okazale – marmury, donice z palmami, obite pluszem fotele w przestronnym holu. Była nawet fontanna i czasem śmialiśmy się z mężem, że powinni wpuścić do niej złote rybki. Bywałam w Babelu dość często – sylwester, branżowe konferencje, w których brał udział Hubert, doroczny Bal Medyka – wszystkie większe imprezy odbywały się w jego wnętrzach. Może właśnie dlatego byłam w takim szoku, kiedy Jacek powiedział, że zarezerwował tam dla nas pokój. Zorientowałam się dopiero, kiedy zjechał z głównej drogi i skręcił w stronę hotelowego parkingu. Jeszcze parę minut wcześniej myślałam, że jedziemy do Indyka z Rusztu – niewielkiej podmiejskiej gospody, w której jadaliśmy czasem wspólne obiady...

– niespodzianka! Łazienka z jacuzzi i szampan z truskawkami. Dawno nie zaszaleliśmy, co kociątko?
– Mój kochanek odpiął pasy, nachylił się w moją stronę i pocałował mnie w szyję.

Nie mogłam uwierzyć, że jest aż tak bezmyślny!

– Przecież to niedorzeczne! Przynajmniej kilka razy w roku bywam tutaj z mężem! Personel może mnie rozpoznać, zresztą w barze siedzi teraz pewnie połowa miasteczka. Wpada tu na kawę nasz sąsiad, bywają znajomi Huberta! Zawracaj, bo ja nie wysiadam! – krzyknęłam, kiedy Jacek znalazł miejsce pomiędzy autokarem na niemieckich numerach a dużą szpanerską terenówką.

Zdenerwował się. Zresztą to chyba zbyt mało powiedziane, wyglądał na naprawdę wkurwionego.

– Chryste, czy ty chociaż raz byłaś z czegoś zadowolona?! Zrobiłem rezerwację, zamówiłem dla nas masaż, chciałem, żebyś poczuła się komfortowo! Ale nie, znowu coś poszło nie tak! Masz paranoję, Marzena! Nie rozumiesz, że nie cały świat kręci się wokół ciebie?! Wejdziemy do holu, nikt nawet na ciebie nie spojrzy, pójdiesz w stronę wind, ja załatwię wszystko z recepcją i będzie po sprawie. Nie masz wytatuowanego na czole stanu cywilnego! Nikt nie obrzuci cię kamieniami za cudzołóstwo! – huknął na mnie.

– Jacek, nie chce mi się nawet o tym dyskutować... Po prostu jedźmy gdzie indziej, okay? – powiedziałam zmęczonym głosem.

– Gdzie?! Do tej nory co ostatnio?! – obruszył się.

– Do ciebie.

Nie odpowiedział.

W ciężkim milczeniu, bębniąc palcami o kierownicę, śledził wzrokiem jeden z cofających autokarów. Wsunęłam rękę w jego włosy i przez dłuższą chwilę głaskałam go po głowie. Przymknął oczy i oparł się o zagłówek.

– Jacek, jeśli naprawdę nie rozumiesz takich rzeczy, to ja...

– Znudziło mi się przesiadywanie u mnie, nie przyszło ci to do głowy?! – krzyknął.

– To może powinieneś sobie znaleźć wolną kobietę? – powiedziałam, siląc się na spokój.

– A może ja nie chcę wolnej kobiety?!

– To szanuj fakt, że jestem zajęta! – krzyknęłam, zupełnie tracąc panowanie nad głosem.

W przypływie bezsilnej złości walnęła pięścią w kierownicę.

– Zawsze możemy jechać do Paradiso – powiedziałam cicho.

– To prawie trzydzieści kilometrów stąd.

– I co? Żał ci na benzynę?

– Śmieszna jesteś – mruknął.

Włączyłam radio. Leciał stary kawałek Madonny i Jacek od razu go ściszył. Położyłam rękę na jego karku.

– Po prostu jedźmy do ciebie – poprosiłam. – Chyba że masz ochotę na kolację?

– Nie boisz się, że zobaczy nas jakiś znajomy twojego męża?

– Restauracja to coś innego niż hotel. Mogę chyba zjeść kolację ze znajomym?

– Znajomym? Tak o mnie mówisz, kiedy ktoś pyta?

– A co mam mówić, Jacek?! Że pieprzymy się, jakby za chwilę miał się skończyć cały cholerny świat?! – wybuchłam.

Skrzywił się i wyjął z kieszeni paczkę Marlboro.

– Nie musisz być wulgarna.

– A ty nie musisz być taki cholernie drażliwy!

W milczeniu wyjął ze schowka zapalniczkę i zapalił papierosa.

– Zdajesz sobie sprawę, że regularnie mnie podtruwasz? – zapytałam.

Nie odpowiedział.

Wysiadł z auta, trzasnął drzwiami i przez kilka minut palił, przechadzając się wzdłuż otaczającego parking muru. W końcu wrócił do samochodu, wsunął sobie do ust miętową gumę i poluzował krawat. Wiedziałam, że ich nie znosi. Zazwyczaj ubierał się swobodniej, w ciemne podkoszulki, skórzane kurtki i sprane džinsy. Tego akurat dnia miał jakieś spotkanie na mieście i wyglądał niczym rasowy biznesmen. Ciemnoszary garnitur ładnie podkreślał kolor jego jasnych oczu, jedwabny krawat w kolorze czerwonego wina ładnie współgrał z prążkowaną koszulą.

– Chcesz? – Kiedy podsunął mi paczkę gum, przecząco pokiwałam głową. – W zasadzie nie miałaś racji, wiesz? Powinnaś użyć czasu przeszłego. Bo my się już nawet nie pieprzymy. My na okrągło skaczymy sobie do gardeł – dodał.

– Coś sugerujesz? – zapytałam cicho.

Spojrzelśmy sobie w oczy. On lekko się uśmiechnął i cała ta buzująca w nas wściekłość w jednej chwili wyparowała.

– Przepraszam, po prostu jestem zmęczony – powiedział.

– Zdejmij to. – Sięgnęłam do jego krawata i odpięłam mu górny guzik od koszuli.

Rzucił krawat na tylne siedzenie, a ja ponownie zaproponowałam, żebyśmy pojechali do niego.

– Zrobimy nam omleta, napijemy się wina – kusiłam.

– Właściwie to mam ochotę na kolację w centrum. Co powiesz? Zjesz ze znajomym? – Mrugnął do mnie, zanim ruszył.

Wolałabym jechać do jego mieszkania, jednak czułam, że tym razem powinnam mu ustąpić. Może chociaż w ten sposób zrekompensuję mu „ewakuację” spod Babelu.

Rozpadało się, kiedy dojeżdżaliśmy do centrum. Na parkingu przy ratuszu Jacek wyjął z bagażnika duży czarny parasol i okrył moje odsłonięte ramiona swoją marynarką. Przez chwilę kluczyliśmy po wąskich zaułkach naszego miasteczka, w końcu przystanęliśmy przed jedną z restauracji.

– Wejźmy tutaj, nie ma co wybrzydzać. Coraz bardziej leje i znacznie się ochłodziło. – Jacek pchnął ciężkie drzwi z zawieszonym nad wejściem szyldem Makaronissimo.

Znałam tę niewielką, utrzymaną we włoskim stylu restaurację z opowiadań siostry. Ponoć serwowali w niej fantastyczne spaghetti i równie świetne desery.

– Tutaj? – Mój przyjaciel podszedł do jednego ze stolików w głębi sali i odsunął dla mnie krzesło. – Byłem tu niedawno ze znajomym, którego odbierałem z dworca. Zamówiliśmy fantastyczne lasagne.

Siadając, rozejrzałam się po lokalu, na szczęście nie zauważyłam żadnej znajomej twarzy.

– Rozglądasz się? Marzena, wyluzuj! – Jacek opuszkami palców musnął moją dłoń.

Cofnęłam rękę i sięgnęłam po menu.

– Co polecasz?

– Weź coś z łososiem, zazwyczaj jest świetny – powiedział.

– Nie wiedziałam, że bywasz tu aż tak często...

– Bywałem.

– Z Sylwią? – zapytałam, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

– Między innymi – przyznał.

– Nie brakuje ci tego?

– Czego? – zdziwił się.

– Związku z kobietą, którą możesz publicznie chwycić za rękę – sprecyzowałam.

– Są istotniejsze sprawy od tego, czy możemy publicznie się obściskiwać, nie sądzisz? – Wzruszył ramionami.

Kelner podszedł, kiedy przeglądaliśmy kartę win. Zamówiliśmy grillowanego łososia z warzywami, kieliszek chianti dla mnie i herbatę dla Jacka.

– Opowiedz mi o Berlinie – poprosiłam, kiedy czekaliśmy na nasze zamówienia. – Z kim wtedy byłeś, o czym marzyłeś...

– O czym marzyłem? Wiesz, kiedy człowiek musi się skupić na „tu” i „teraz”, bujanie w obłokach schodzi zazwyczaj na drugi plan. Florica, Rumunka, która przez jakiś czas z nami mieszkała, zjawiała się w szóstym miesiącu ciąży. My mogliśmy nie dojadać, ale ją trzeba było wykarmić. Początkowo żarcia mieliśmy niewiele, ale z czasem poznaliśmy miasto, dogadaliśmy się z ludźmi. Pieczywo dostawaliśmy od zaprzyjaźnionego Czecha, któremu w zamian sprzątaaliśmy piekarnię. W jednym z supermarketów na obrzeżach pracował świetny Sycylijczyk, który otwierał nam zabezpieczającą śmietniki kratę, żebyśmy mogli wyjąć warzywa z kontenerów. Wyrzucali wszystko, jak tylko przekroczyło datę przydatności, co dla nas było kosmosem. Czuliśmy się niemal jak w raj. Marnie to zabrzmiało, ale czasem miałem wrażenie, że to, co wyjęliśmy ze śmietnika, smakowało lepiej niż żarcie, które dostawałem w rodzinnym domu... Florica uwielbiała jogurt kawowy, zawsze na niego polowałem. Chłopacy szukali głównie parówek i kabanosów, czasem serów i warzyw. Pewnego razu przynieśliśmy na squat całą skrzynkę bananów. Ich jednym felerem były ciemne plamki na skórce, wyobrażasz sobie? Miliony ludzi na świecie głodują, a ci skurwiele z kierownictwa marketów wyrzucają tony jedzenia prosto na śmietnik! Dopiero całkiem

niedawno przeczytałem gdzieś w sieci, że jest ruch nazywany freeganizmem. W Polsce tacy „zbieracze” nazywają się kontenerowcami. Część z nich nawet nie jest biedna, to po prostu sposób na życie. Sprzeciwiają się nadmiernemu konsumpcjonizmowi współczesnego świata. Tyle że oni, w przeciwieństwie do nas, nie szukają w kontenerach mięsa. Ponoć zatrucie nim jest szczególnie niebezpieczne. Szczęściem nic takiego nam się nie przytrafiło – powiedział Jacek.

Usiłowałam wyobrazić go sobie jako młodego, przeszukującego olbrzymie kontenery chłopaka, ale jakoś nie potrafiłam. Dla mnie był już tylko zaradnym młodym mężczyzną, kimś, kto zostawił za sobą pełen alkoholu i patologii dom, żeby zacząć własne, lepsze życie.

– Co się stało z tą dziewczyną? – zapytałam.

– Z Floricą? Którejś nocy, leżąc na rzuconych na podłogę tekturach, zaczęła krzyczeć, że chyba rodzi. Mówiła takim żenującym angielskim, że ledwo ją zrozumieliśmy. W dodatku nad miastem przechodziła akurat wyjątkowo gwałtowna burza. Pioruny były jak oszalałe, a ona tak rozdzierająco wrzeszczała... Początkowo jej chłopak uspokajał nas, że wszystko idzie dobrze. Ponoć kiedyś pracował jako paramedyk i twierdził, że panuje nad sytuacją. Dopiero po czternastu godzinach jej gehenny pobiegliśmy szukać lekarza, chociaż Viorel nadal twierdził, że doktor nie będzie potrzebny. Karetkę wezwał jeden z Bułgarów, niespełna osiemnastoletni chłopak, który wyglądał na przerażonego rozwojem akcji i zaskakującą obojętnością Viorela. Zabrali ją do szpitala, gdzie zrzekła się praw do dziecka. Wróciła po paru dniach i przez dłuższy czas popłakiwała po kątach. W końcu poznała jakiegoś Brazylijczyka i nawiązała z nim do Hamburga, a Viorel przygruchał sobie Polkę spod Pińczowa. Zamieszkała w jego części domu, donosząc pozostawione przez Floricę ciuchy, w tym uszytą przez nią ze skrawków najprzeróżniejszych materiałów, sięgającą kostek falbaniastą kiecę. – Jacek uśmiechnął się do wspomnień i dodał, że to stare dzieje, zupełnie inne życie. – Chociaż czasem jeszcze tęsknię za tamtym uczuciem bezgranicznej wolności, wiesz? Za życiem, które działo się „tu” i „teraz”, za ludźmi, którzy dzielili z nami tę opuszczoną rudę z ciekącym dachem i zagrzybionymi ścianami.

– Masz jeszcze kontakt z kimś z tamtej grupy? – zapytałam.

– Nie, skąd. Viorel, który podobno swego czasu grał na perkusji, wyjechał niedługo po tym, jak związał się z Aśką. Ponoć planowali dotrzeć do Lizbony, ale diabli wiedzą, gdzie ostatecznie wylądowali. Młodzi Bułgarzy wynieśli się kilka tygodni później i zostaliśmy sami – czterech młodych i gniewnych wyrzutków.

– Mówiłeś, że było was pięciu.

– Wtedy już tylko czterech... Sylwek zginął tamtego lata, kiedy Florica urodziła córkę – został dźgnięty nożem przed jednym z gejowskich klubów, o czym dowiedzieliśmy się zupełnie przypadkiem dopiero kilka tygodni później. Niedługo potem po Adama przyjechał ojciec – chłopak wymiękł i zadzwonił po starego. Pamiętam moment, w którym na zaśmieconej, wąskiej uliczce przed naszą rudą zatrzymał się elegancki mercedes jego dzianego tatuśka. Gość był radcą prawnym, raczej porządnym facetem. Bardzo nalegał, żebyśmy i my wrócili z nim do Polski, ale żaden z nas nie był zainteresowany. Michał dostał akurat całkiem niezłą pracę w jednym z tanich hoteli na obrzeżach miasta, Grzesiek był na zabój zakochany w jakiejś Albance.

– A ty? – zapytałam.

– Co ja?

– W kim ty byłeś zakochany?

– Szczerze? W tamtych czasach tylko i wyłącznie w sobie, chociaż nie ukrywam, że było parę

dziewczyn...

– Parę dziewczyn? Nie miałam pojęcia, że taki z ciebie Don Juan – uśmiechnęłam się krzywo. – A czy wśród tych paru dziewczyn była jakaś szczególna?

– Czy ja wiem? Może Oksana?

– Rosjanka?

– Ukrainka. Miała niesamowity tatuaż w kształcie zionącego ogniem smoka, który zajmował całe jej plecy...

– Ohyda – skrzywiłam się, bo jakoś wyjątkowo nie lubiłam widoku wytatuowanej skóry.

– Czemu? Całkiem nieźle to wyglądało. Zwłaszcza kiedy... Nieważne, wybacz. – Jacek uśmiechnął się pod nosem.

Chciałam coś powiedzieć, ale zjawił się kelner.

– Proszę bardzo, smacznego – powiedział sztucznie entuzjastycznym głosem i zabraliśmy się za jedzenie.

Kolacja faktycznie smakowała wyśmienicie, nasze wyjście zakończyło się jednak nieprzyjemnym akcentem. Czekaliśmy na rachunek, kiedy Jacek zostawił mnie na moment samą i wyszedł na zewnątrz, żeby zadzwonić do brata. Kiedy wrócił, zastał przy naszym stoliku podpitego gościa w średnim wieku, który wyraźnie usiłował mnie poderwać. Byłam pewna, że Jacek zwyczajnie każe mu spadać, ale on złapał go za kłapy marynarki i pchnął na sąsiedni stół. Z brzękiem szkła runęła na podłogę cała zastawa.

– Jacek! Zostaw go, oszalałeś?! – krzyknęłam zaskoczona jego agresywną reakcją.

Na szczęście dwóch młodych kelnerów szybko ich rozdzieliło. Pozostał jednak duży niesmak, a szokowane spojrzenia innych gości sprawiły, że chciałam zapaść się pod ziemię ze wstydu.

Na zewnątrz ruszyłam przed siebie, nie oglądając się na Jacka. Złapał mnie za ramię i przycisnął do mokrej od deszczu ściany jednej z kamienic.

– Przepraszam, poniosło mnie – powiedział.

– Nie lubię porywczych mężczyzn, Jacek! Tamten facet był pijany i zwyczajnie żałosny! Rozchełstana koszula, pomięta marynarka, gęba czerwona jak u potencjalnego zawałowca. Musiałeś go przewrócić?! – wkurzyłam się.

– Zaczepiał cię i uznałem, że...

– Mniejsza z tym, chodźmy już – weszłam mu w słowo.

– Przepraszam, Marzena, naprawdę. Po prostu jestem o ciebie zazdrosny, nie rozumiesz tego? Kocham cię! Szaleję za tobą i nie znoszę nawet myśli, że jakiś facet jest na tyle blisko, żeby móc cię dotknąć – powiedział.

– Odwieź mnie w okolice domu – poprosiłam.

– Mieliśmy jechać do mnie – zaprotestował. – Marzena, nie możesz wiecznie mnie zwodzić, słyszysz?! Zamieszkać ze mną, uporządkuj w końcu ten burdel, pośrodku którego żyjesz! Kocham cię, cholera! Zostaw tego pieprzonego rogowca i wprowadź się do mnie! – podniósł głos.

Jego palce na moim ramieniu zaciskały się coraz mocniej, w oczach miał furję.

– Puść mnie – powiedziałam cicho.

Zabrał rękę, jednak wciąż stał na tyle blisko, żebym czuła na twarzy jego gorący oddech.

– Nie odejdę od męża, Jacek. Myślałam, że akurat to od początku było jasne.

– Kochasz mnie, przecież wiem! – Oskarżycielsko wycelował palcem w moją twarz i wałnął pięścią w ścianę za moimi plecami. – Kochasz mnie, słyszysz?! – wrzasnął.

Odepchnęłam go i zaczęłam biec w stronę najbliższego postoju taksówek. Dogonił mnie parę metrów dalej i łamiącym się głosem zaczął błagać o wybaczenie. Bez słowa wsiałam do taryfy i zatrzasnęłam drzwi. Niestety, zanim ruszyliśmy, Jacek je otworzył i wślizgnął się na tylne siedzenie.

– Pan jedzie czy wysiada? – zapytał starszy taksjarsz, nawet nie odwracając głowy.

– Pani wysiada, przepraszamy za zamieszanie – powiedział Jacek. – Nie wygłupiaj się, podrzucę cię – dodał.

– Zostaw mnie w spokoju. Na dziś mam cię dość – szepnęłam.

– Marzena, po prostu chodźmy do mojego auta!

– Wypieprzaj z mojej taksówki! – wrzasnęłam.

Kierowca nie reagował. Dopiero kiedy poprosiłam, żeby wezwał policję, kazał Jackowi opuścić pojazd.

– Jeśli myślisz, że zostawisz mnie w taki sposób, to grubo się mylisz! – warknął mój kochanek, zanim wysiadł na deszcz.

– Grozisz mi? – zapytałam.

Nie odpowiedział.

Trzasnął drzwiami i szybkim krokiem ruszył w stronę zaułka, z którego przed momentem wyszliśmy.

– Dokąd? – Irytująco obojętny głos starszego kierowcy wyrwał mnie z naprawdę ponurych myśli.

– Mógł pan chyba jakoś zareagować? – syknęłam.

– Nie mieszam się w nie swoje sprawy, szanowna pani. A już z całą pewnością nie ingeruję w kłótnie kochanków – powiedział kierowca z przekąsem. – Jedziemy czy dyskutujemy? – dodał równie cierpkim tonem.

Podałam mu adres i przymknęłam oczy. Trzęsły mi się ręce i bolała głowa, jednak najgorsza była myśl, że sypiałam z mężczyzną, o którym tak naprawdę niewiele wiedziałam. Wspomnienie porywczoci, z jaką rzucił się na tamtego podpitego gościa, a później furii, z jaką przyparł mnie do ściany i krzyczał, żebym zostawiła Huberta, sprawiły, że po raz pierwszy zaczęłam się go bać.

Po powrocie do domu, z kieliszkiem wina w ręku, odpaliłam mojego laptopa i wrzuciłam w Google imię i nazwisko kochanka. Niestety, nie dowiedziałam się niczego, czego już bym nie wiedziała. Profilu na Facebooku nie miał. Udało mi się znaleźć w sieci stronę warsztatu samochodowego, który prowadził razem z przyjacielem, i w zasadzie to było tyle. Pobieźnie przejrzałam ofertę warsztatu i weszłam na forum o zdradzie. Nowych postów nie było, więc cofnęłam się do wcześniejszych wpisów, których jeszcze nie czytałam. Zatrzymałam się na dwa tysiące dwunastym roku, tam jeszcze nie zagłędałam. Najciekawsza wydała mi się opowieść Wiedźmy79. Przeczytałam ją ze łzami w oczach i z bijącym gwałtownie sercem.

Zdradziłam. Wiem, że to miejsce, w którym dodają sobie otuchy ci zdradzeni. Ale zanim rzucicie we mnie kamieniem, wysłuchajcie całej prawdy. Mówi się, że dobry mąż nie pije i nie

bije. Zawsze się zastanawiałam, jakim kobietom to wystarczy? Mój Rafał też nie pił i nie bił. Zawsze grzeczny, nigdy wulgarny, słowem ideał. Tylko czemu już nawet na mnie nie patrzył? Czemu mijaliśmy się w drzwiach mieszkania bez słowa, nie spoglądając sobie w oczy, nie pragnąc się nawzajem, nie ciesząc się na swój widok? Trwało to wszystko ponad pięć lat, cała ta nasza obojętność. I nagle, jak grom z jasnego nieba, miłość od pierwszego wejrzenia. Mówią na to piorun sycylijski, bo taki ogrom uczuć potrafi zwalić z nóg. Wpadliśmy na siebie w tramwaju, o ironio losu, tuż przy placu Wszystkich Świętych. Poznaliśmy się od razu, chociaż od czasów naszej matury trochę czasu minęło. Kochałam się w nim w liceum, on chyba też odrobinę się we mnie durzył. Może właśnie dlatego ta szybka wspólna kawa wydała nam się takim fantastycznym pomysłem? Palec serdeczny jego prawej dłoni zdobiła wąska złota obrączka, którą raz po raz nerwowo przekręcał. Zapytałam o jego żonę. Powiedział, że ma na imię Aneta i jest pracoholiczką. Tak właśnie ją podsumował, dwoma zdaniami. O mężu wspominałam niechętnie. Analityk giełdowy, małomówny, poważny. Dodałam, że pali i całe mieszkanie cuchnie dymem, a Jerzy wymownie się skrzywił. Po wyjściu z restauracji wymieniliśmy się numerami. Przez cały wieczór zastanawiałam się, czy zadzwoni, ale on uparcie milczał.

Dopiero w nocy zdałam sobie sprawę, że gdzieś pomiędzy gadkami o jego żonie i szkole mojego syna, totalnie się nim zauroczyłam. On chyba czuł to samo, bo dzień później wysłał mi SMS-a. O szóstej trzydzieści rano! Przez cztery kolejne miesiące nie potrafiłam myśleć o nikim innym i na niczym innym się skupić. Ale oboje jeszcze się wtedy przed tym romanssem broniliśmy. Nie możemy – mówiliśmy sobie. Nie powinniśmy – powtarzaliśmy, jednocześnie pożerając się wzrokiem, chłonąc każdy gest, spojrzenie, mrugnięcie. W końcu biologia wygrała z moralnością i dosłownie się na siebie rzuciliśmy. Pierwszy raz zrobiliśmy to w jego samochodzie. Zaparkował pod wiaduktem kolejowym, a ja krzyczałam z rozkoszy, wyrzuciłam z siebie wszystkie te tłumione przez lata emocje, uwolniłam w sobie kobietę. Później był pensjonat Venezia i „nasz” niewielki, wytapetowany na błękitno pokój. Tapeta była tak ohydna, że aż zrobiliśmy sobie na jej tle kilka fotek. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że znajdzie je mój mąż... A przecież tak dobrze je schowałam. „Grzebałeś w moich rzeczach?!” – wrzasnęłam na niego, jakby jego przewinienie było znacznie cięższe od mojego grzechu. Zapytał, co będzie z nami. Co z naszym synem, z rodzicami, którymi wspólnie się zajmowaliśmy, co z całym naszym życiem? „No powiedz! Powiedz, co teraz zrobimy z całym naszym pieprzonym życiem?!” – wrzeszczał Rafał, a ja zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od kilku lat w ogóle okazał jakieś emocje. Podobał mi się taki, wyglądał cholernie seksownie. Dlatego wsunęłam dłonie w jego włosy, stanęłam na palcach i pocałowałam go w usta. Pchnął mnie na wersalkę i kochaliśmy się z pasją, której chyba nigdy wcześniej nie zdołaliśmy z siebie wykrzesać. „Przysięgnij mi, że to zakończysz!” – powiedział, kiedy już się ze mnie wyślizgnął i wtulił twarz w moje nagie piersi. „Przysięgnij mi to, Ewa!” Przysięgłam, owszem. Ale już dwa dni później wylądowałam z kochankiem w „naszym” pensjonacie.

Dziś jestem tak kompletnie skołowana, że niemal nie wiem, jak się nazywam. Męża chyba jeszcze kocham, chociaż jakaś gorzka ta miłość, a Jerzy... Cóż, nie będę kłamać. Bez Jerzego nie potrafię już żyć. Ostatnio powiedział, że rozwiedzie się dla mnie z Anetą, ale ja też muszę odejść od Rafała. Przestraszyłam się, przestałam odbierać jego telefony, ale kiedy przyjechał po mnie do pracy, dosłownie się na siebie rzuciliśmy. Czuję, że surowo mnie osądzicie, może nawet nazwiecie dziwką, ale zrozumcie – siła takiego uczucia jest jak

szalejąca w dolinie nawałnica. Przewraca na swojej drodze wszystko, nie oszczędza niczego. Dlatego wciąż okłamuję męża i równie gładko kłamię kochankowi. Szkoda tylko, że gdzieś pośrodku całego tego chaosu dawno przestałam być szczęśliwa...

Wiedźma zakończyła swoją historię smutnym akcentem, jednak internautki nie miały dla niej litości. Kilka dziewczyn wyzywało ją otwarcie, jedna bluzgała tak, że została karnie usunięta przez admina.

Jej opowieść przypomniała mi moją. To poczucie rozdarcia pomiędzy dwoma różnymi światami było niemal bliźniaczo podobne. Dlatego właśnie wysłałam jej prywatną wiadomość z zapytaniem, jak się to wszystko skończyło. Odpisała niemal od razu. Widocznie, podobnie jak ja, do późna przesiadywała w sieci.

Nie wiem, kim jesteś i czemu Cię to obchodzi, ale skoro chcesz wiedzieć... Kilka tygodni po tym, jak od niego odeszłam, mój mąż miał wypadek samochodowy, z którego ledwie uszedł z życiem. Wróciłam więc, zajęłam się z nim, wozłam go na rehabilitację, karmiłam, tuliłam do snu. Kiedy odzyskał sprawność, powiedział, że zakochał się w rehabilitantce. Ironia losu, co? Pognałam do kochanka, pewna, że teraz możemy w końcu być razem, ale on nie był już zainteresowany. Ponoć na nowo zakochał się w żonie. Więc zmieniłam numer, przenieśliśmy się z synem do rodziców i wmawiam sobie, że przynajmniej coś w życiu przeżyłam. Smutny finał kurewsko banalnej historii, której nie życzę najgorszemu wrogowi. Wybacz mój język, jestem pijana. W winie prawda, czy jak tam kiedyś mawiano... Mam nadzieję, że Twoja historia skończy się lepiej. Pozdrawiam, Ewa.

Położyłam się grubo po północy, jednak pomimo zmęczenia, długo nie mogłam zasnąć. Jacek wysłał do mnie kilka SMS-ów. Przepraszał za swój wybuch i błagał o szybkie spotkanie, jednak nie odpisałam na żadną z jego wiadomości. Mąż milczał. Nie dzwonił, nie esemesował... Głucha cisza, pomyślałam i nagle zdałam sobie sprawę, że właściwie od dość dawna Hubert nie odzywał się do mnie z nocnego dyżuru. Owszem, jeszcze czasem zdarzało mu się dzwonić, jednak robił to o wiele rzadziej niż kiedyś... Czy coś było na rzeczy, czy to po prostu zwykły zbieg okoliczności? – zastanawiałam się, bezsennie leżąc w sprezentowanej nam przez siostrę męża satynowej pościeli.

Bukiet przyszedł na mój firmowy adres – wielki wiklinowy kosz pełen róż, frezji i oryginalnych kwiatów o czerwonych postrzępionych płatkach. Karteczki nie było. Od razu się jednak domyśliłam, od kogo mogły być. Mąż nie robił mi już takich niespodzianek, za to Jacek po naszym ostatnim wieczorze z pewnością miał gigantycznego moralnego kaca...

Dziewczyny, z którymi pracowałam, oczywiście od razu się ożywiły.

– Od męża? Ty to masz szczęście, kochana! Nie dość, że lekarz, to jeszcze romantyk. – Mira z zachwytem zapatrzyła się w bukiet i dodała, że ślubny kupuje jej już co najwyżej sprzęt AGD. – I to z głębokich wyprzedazy – dodała z przekąsem.

Siedząca ze mną biurko w biurko Agata miała zgoła inną wizję.

– Słuchaj, a może ty sobie kogoś przygruchałaś? Chodzisz ostatnio jakaś taka zamyślona... – Posłała mi odrobinę złośliwy uśmiezek.

– Żeby tylko jednego – zażartowałam.

Dziewczyny wybuchły śmiechem, a mnie zdradziecko roztrzęsły się ręce.

– Skoczę na dół po kawę, chcecie? – zapytałam.

Mira powiedziała, że się odchudza i ze zboląłą miną męczennicy sięgnęła po butelkę mineralnej, Agata poprosiła o waniliową latte i dodała, żebym z łaski swojej kupiła jej też cynamonową drożdżówkę.

W niewielkim barku było tłoczno, co wyjątkowo mnie ucieszyło. Nikt nie zwracał na mnie uwagi i mogłam na spokojnie wszystko sobie przemyśleć. Więc wysłał mi kwiaty... Powinnam puścić mu w zapomnienie aroganckie zachowanie, czy może jeden głupi wiecheć to za mało? – zastanawiałam się, drobiąc w miejscu w oczekiwaniu na swoją kolej. Stojąca przede mną dziewczyna w oficjalnym beżowym kostiumie oszłamiająco pachniała perfumami, których nazwy nie znałam. Miałam ochotę zapytać ją, czym się spryskała, ale nie odważyłam się do niej zagadać. Była chyba jedną z prawniczek z kancelarii na trzecim piętrze. Czasem widywałam ją w windzie, ale zawsze sprawiała wrażenie kogoś, kto niekoniecznie ma ochotę na wymuszoną rozmowę o banałach.

Jacek zadzwonił parę minut później. Jadłam właśnie drożdżówkę z serem, kiedy odezwała się moja komórka. Odebrałam po dłuższym wahaniu, nie byłam pewna, czy w ogóle chcę z nim rozmawiać.

– Tęsknię za tobą – powiedział.

– Bardzo oryginalny tekst – syknęłam.

– Szczery. Dostałaś kwiaty?

– Owszem, był kurier.

– I co?

– Ładne. Oficjalna wersja jest taka, że są od Huberta.

– Są ode mnie – burknął, zupełnie jakbym jeszcze się tego nie domyśliła i na chwilę w słuchawce zapadła cisza. – Przyjedziesz dzisiaj? – zapytał w końcu.

Powiedziałam, że mam już plany na wieczór i życzyłam mu miłego dnia. Nie rozłączył się jednak, wręcz przeciwnie. Wyraźnie go uraziłam, bo nagle zmienił ton.

– Słuchaj, jak długo będę się jeszcze musiał przed tobą kajać, co?! W końcu nic takiego się nie stało, do cholery! Niektóre kobiety byłyby pewnie zadowolone, że stanąłem w ich obronie! – rzucił nieprzyjemnie szorstkim tonem. – Marzena, nie bądź wredną suką, nie lubię takich kobiet! – dodał.

Przerwałam połączenie.

Nie będę tego słuchać! Nie muszę...

Do domu zaczęłam się zbierać nieco wcześniej. Rozboliła mnie głowa i zdecydowałam, że urwę się już po szesnastej. Kosz z kwiatami zostawiłam na moim biurku. Ciężko mi było wyobrazić sobie, że wnoszę go do domu i stawiam na ławie w naszym salonie.

– Żebyśmy mogły cieszyć się nimi we trzy – powiedziałam, zakładając żakiet.

Mira posłała mi rozanielone spojrzenie, za to w czujnym wzroku Agaty zauważyłam podejrzliwość. Domyśla się? – zastanawiałam się, w drodze do windy. A z drugiej strony, nawet jeśli, to co? Nie znaliśmy jej z Hubertem na gruncie prywatnym. Była tylko jedną z firmowych koleżanek, statystką przewijającą się przez moje życie od poniedziałku do piątku, od dziewiątej do piątej, nikim więcej. Jasne, całkiem dobrze się dogadywałyśmy, ale to wszystko – pocieszyłam się, wsiadając do samochodu.

Mijając plac Wszystkich Świętych, wstąpiłam do mieszczącej się tam, największej w miasteczku księgarni i kupiłam mężowi książkę, którą od jakiegoś czasu planował przeczytać. Przed domem, szukając w torebce kluczy od furki, natknęłam się na Aldonę. Sąsiadka wracała akurat ze sklepu, ciągnąc za rękę rozwrzeszczanego syna. Dzieciak miał na sobie upačkaną czekoladą bluzę, ona wyglądała tak, jakby nie zmrzyła nocą oka.

– Cześć – powiedziałam, modląc się w duchu, żeby nie wciągnęła mnie w żadną przesiąkniętą jadem dyskusję.

Na szczęście chyba się śpieszyła, bo mruknęła pod nosem jakieś powitanie i szybkim krokiem przeszła na drugą stronę naszej wąskiej uliczki.

Hubert gotował. W białym podkoszulku i kraciastych bokserkach, ze świeżo umyтыми, wciąż jeszcze wilgotnymi po prysznicu włosami... Dawniej nie przepadał za mieszaniem w garnkach, ale ostatnio chyba go wciągnęło. Może pod wpływem tych modnych kulinarnych programów, których prowadzący, bluzgając i rzucając patelniami, od czasu do czasu podają na wizji całkiem dobre przepisy?

– Hej – przywitałam go.

„Zostaw tego pieprzonego rogacza i wprowadź się do mnie!” – w tym samym momencie przypomniałam sobie podłe słowa Jacka i poczułam się naprawdę strasznie.

– Jesteś głodna? – zapytał mąż i oblizał trzymaną w ręku drewnianą łyżkę.

W kąciku ust miał resztkę sosu, a ja zdałam sobie sprawę, że od dawna nie witamy się pocałunkiem. Kiedyś był to nasz rytuał, ale to było, zanim znokautowała nas małżeńska rutyna.

Mąż podniósł pokrywkę i dosypał do garnka słodkiej papryki.

– Będzie spaghetti? – zapytałam, ściągając żakiet.

– Z klopsikami. Z przepisu mojej babci – uśmiechnął się.

Więc jednak to nie pani Gessler zawdzięczam nagłą mężowską przemianę – uśmiechnęłam się pod nosem i pocałowałam go w kark.

Zapytał, co tam u mnie w pracy. Wzruszyłam ramionami, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że nie mam ochoty o tym gadać.

Nabrał na drewnianą łyżkę odrobinę sosu i podsunął mi do ust.

– Spróbuj. Według mnie całkiem przyzwoity.

– Ostry. Jak w Chorwacji. Pamiętasz, jak ugotowałaś kiedyś leczo, którego nikt nie mógł przełknąć?

– Ale zjadliwy?

– Ja takie lubię. Wezmę szybki prysznic i możemy jeść – powiedziałam.

– Ktoś do ciebie dzwonił. Jakiś facet. Pytał, kiedy będziesz – powiedział Hubert, zanim zostawiłam go samego w kuchni.

Zamarłam.

– Nie przedstawił się? – wydusiłam w końcu przez ściśnięte nagłą paniką gardło.

– No właśnie nie. Zapytał tylko, kiedy będziesz i szybko się rozłączył. Burak jakiś, jeśli chcesz znać moją opinię. – Mąż, który dawno nie był o mnie zazdrosny, nagle mocno się naindyczył.

Zasugerowałam, że to jakaś pomyłka, ale Hubert był pewny, że chodziło o mnie.

– Cóż, ktokolwiek to był, pewnie jeszcze się odezwie – powiedziałam lekkim tonem.

– Nie guzdraj się tam na górze, bo zaraz jemy – rzucił mąż w ślad za mną.

Prysznica w końcu nie wzięłam. Odkręciłam jednak wodę, której szum powinien skutecznie zagłuszyć mój głos, i wybrałam numer Jacka.

– Cześć, kociątko. Stęskniłaś się? – zapytał.

Brzmiał wyjątkowo beztrosko, co jeszcze bardziej wytrąciło mnie z równowagi.

– Dzwoniłeś dzisiaj na mój domowy numer?! W co ty sobie pogrywasz, co? – syknęłam.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiedział.

– Nie rób ze mnie idiotki! Hubert odebrał i...

– To nie ja, Marzena!

– Nieważne, muszę kończyć.

– Wpadniesz do mnie dzisiaj?

– Powiedziałam ci już, mam inne plany!

– Niech zgadnę – kolacyjka z rogalcem?

– Dupek z ciebie, wiesz?

– Za to jaki przystojny. – Roześmiał się chrapliwie i dodał, że gdybym zmieniła zdanie, będzie czekał w domu.

Powiedziałam, że na pewno do niego nie dotrę i życzyłam mu miłego wieczoru.

– Ho, ho, jak oficjalnie. Dawniej obiecywałaś, że będziesz o mnie myśleć. To jak? Pomyślisz o mnie? Albo jeszcze lepiej – o seksie. Wyobraź sobie, że bierzesz go do...

Zatrzasnęłam kłapkę telefonu, jakby nagle plastik zaczął mnie parzyć. Nie lubiłam wulgarnych mężczyzn, a już na pewno nie zamierzałam sobie urządzać świńskich pogaduszek, kiedy mąż czekał na dole z wczesną kolacją. Swoją drogą, naprawdę niezła ze mnie hipokrytka. Potrafię radośnie się pieprzyć z Jackiem, kiedy Hubert jest na dyżurze, ale sama myśl o jego obecności w domu zamienia mnie w cnotkę...

– Kotku! Co tak długo?! – Mąż wszedł na górę i załomotał w łazienkowe drzwi.

– Przestraszyłeś mnie! – krzyknęłam, zanim zakręciłam wodę.

Po chwili lekko zmoczyłam sobie włosy, owinęłam się dużym włochatym ręcznikiem i wyslizgnęłam się z łazienki.

– Już schodzę, tylko się przebiorę – obiecałam.

– Rozmawiałas z kimś? – Hubert z kuchenną ścierką w dłoni posłał mi pytające spojrzenie.

Wpadłam w panikę. Przez jedną chwilę byłam niemal pewna, że mąż wie o moim romansie. Ale on tylko ziewnął, przetaił zmęczone oczy i posłał mi blady uśmiech. Zaczęłam się tłumaczyć. Że w zasadzie z nikim nie rozmawiałam, tylko nagrałam się Marcie na sekretarkę. Skłamałam całkiem gładko (ostatnio szło mi to coraz lepiej) i wyminęłam męża w wąskim przedpokoju.

– Dzwonił Konrad. Ostatecznie zdecydował, że jednak wyjeżdża do Holandii. Powiedziałem mu, że to marny pomysł, ale najwyraźniej ma moje zdanie tam, gdzie tak radośnie buszują proktolodzy – powiedział, kiedy schodziliśmy na parter.

– Musisz mu pozwolić iść własną drogą, Hubert.

– Łatwo ci mówić! Nie masz dzieci, to nie wiesz...

– Naprawdę będziemy teraz i tym rozmawiać?! – podniosłam głos.

– Czemu krzyczysz? Stwierdziłem tylko fakt.

– Nieważne. Chodźmy jeść, zrobiłam się głodna.

– Nic dziwnego. Znowu pewnie przeżyłaś dzień o kawie i drożdżówkach.

– Przyganiał kocioł garnkowi. Co dzisiaj jadłeś? Batoniki zbożowe? Precle? Zapiekankę z tego syfiastego baru naprzeciwko szpitala?

– Marsa, precla i dwa owocowe jogurty – wymienił, wyraźnie ubawiony.

Kiedy jedliśmy, przyglądałam mu się znad talerza, zastanawiając się, czy jest szczęśliwy. Od wielu lat mieszkaliśmy pod jednym dachem i codziennie mijaliśmy się w biegu, ale nie miałam pojęcia, czego tak naprawdę chce, o czym skrycie marzy. Kiedyś przebąkiwał o kursie nurkowania, ale czy nadal o tym myśli? Czy bywa zmęczony pracą, marzy o jakiejś odmianie, chce od życia czegoś więcej? Tęskni za czymś, a może za kimś? Pragnie nowości, czy lubi tę naszą małą stabilizację? Rozmyśla o innych kobietach, czy wciąż wyobraża sobie seks z własną żoną? Tyle pytań pozostaje bez odpowiedzi, tyle wątpliwości narasta...

Hubert uśmiechnął się do mnie i sięgnął po solniczkę. Lubiłam kurze łapki wokół jego oczu, dodawały mu uroku. Pełne usta, zadbane zęby, gładko ogolona pociągła twarz. Znałam ją tak dobrze, czemu więc nagle wydawała mi się obca?

Zapytał, czy kolacja mi smakuje. Tymczasem ja wyobraziłam sobie, że wie. O mojej drugiej, kurewskiej naturze, Jacku pieprzącym mnie w naszym małżeńskim łóżku i wszystkich tych potajemnych, pełnych rozbuchanego seksu schadzkach, kiedy oddaję się innemu mężczyźnie, chociaż jestem przecież jego żoną. „Jesteś tylko moja” – lubił kiedyś tak mówić. Dawno tego nie słyszałam, podobnie jak wielu innych rzeczy.

Odsunął na bok talerz i wytarł usta lnianą serwetką. Zawsze takie lubił, mówił, że są bardziej eleganckie. Ich pranie i prasowanie doprowadzało mnie do szału, ale w końcu małżeństwo to sztuka kompromisu.

– Chodźmy na górę – powiedziałam.

Wyglądał na zdziwionego.

– Zaraz zacznę się program, który chciałem obejrzeć – zaprotestował.

Wstałam, obeszłam stół dookoła i przytuliłam się do męża.

– Nie masz ochoty? – zapytałam. – No wiesz...

Odpowiedział, że jest zmęczony.

Udawałam, że wszystko gra, ale poczułam się tak, jakby dał mi w twarz. Sama nie wiem, czemu akurat wtedy tak źle to przyjął. Zdarzało się już przecież wcześniej, że inicjowałam seks, a on mówił „nie dziś”. Tym razem jednak poczułam się tak urażona, że wybuchłam płaczem, kiedy tylko zesłam mu z oczu. Może już go nie pociągam? Zestarzałam się? Znalazł sobie inną? Na myśl, że Hubert mógłby mieć romans, zazdrość zacisnęła na moim gardle swoje lodowate stalowe paluchy. Kobiety leciały przecież na lekarzy. Niemal w każdej telenoweli, książce czy filmie był jakiś przystojny, szarmancki doktor, do którego mogły wzdychać bohaterki tych ckliwych mydlanych oper. Sypiał w szpitalu, spotykał młode, chętne pielęgniarki, wyglądał świetnie jak na swój wiek i był czarujący. Tak, czarujący to odpowiednie słowo. Kobiety zawsze mojego męża kochały i co gorsza, on świetnie o tym wiedział.

Wróciłam na dół. Siedzący przed telewizorem Hubert podjadał orzeszki. Masz kogoś? – miałam ochotę zapytać, w końcu jednak dałam sobie spokój. W mojej sytuacji rozmowa o jego ewentualnym romansie przypominałaby bawienie się ogniem nad otwartym kanistrem z benzyną.

– Siadaj, na dwójce będzie dobry dokument. – Mąż przesunął się na sofie i zapytał, czy mam ochotę na orzeszki.

Odpowiedziałam, że boli mnie głowa i pójdę się położyć. Nie zaprotestował. Wręcz przeciwnie – sprawiał wrażenie zadowolonego z mojej decyzji, co do reszty zepsuło mi nastrój.

W piątek od rana lało. Strugi deszczu spływały po szybach wężykowatym ciągiem. Wybudowane w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia biurowce po przeciwnej stronie ulicy niemal ginęły we mgle i ulewie. Dopijając kawę, wyglądałam na zewnątrz, obserwując przemykających chodnikiem bliźnich. Większość zmagła się z targanymi wiatrem parasolkami, tylko jeden młody chłopak biegł, trzymając nad głową skórzaną teczkę na dokumenty. Królowały czernie i szarości, wśród nielicznych przechodniów wyróżniała się jedynie ruda kobieta w czerwonym żakiecie. Przyglądałam się jej, dopóki nie zniknęła za oszklonymi drzwiami do jednego z biurowców. Szła lekkim, niemal tanecznym krokiem i nagle poczułam się stara i dziwnie przytłoczona życiem... Czy była szczęśliwsza ode mnie? Czy większości ludzi powodziło się lepiej? Dlaczego stale zastanawiam się nad życiem, zamiast po prostu je przeżywać? – myślałam, wyglądając przez okno. I czemu czuję się taka cholernie nieszczęśliwa? Chociaż nie, „nieszczęśliwa” to chyba niezbyt fortunnie dobrane określenie. Czułam się wypalona. Zmęczona brzemieniem rutyny, które uformowało mi się na plecach w coś na kształt garbu, przygnieciona codziennością, której przewidywalność dosłownie mnie przerażała.

– Medytujesz, Marzenko? – Asystentka szefowej zjawiała się w naszym pokoju z ulotkami informującymi o nadchodzącej imprezie firmowej i oczywiście skorzystała z okazji, żeby wbić mi szpilę.

Przynajmniej ja odebrałam jej uwagę jako złośliwą aluzję do mojej chwilowej przecież bezczynności.

– Słuchaj, tak przy okazji... Mam do sprzedania czerwone szpilki. Rozmiar trzydzieści siedem, niemal nieużywane. Gdybyś chciała, mogłabym je jutro przynieść, zmierzyłabyś.

– Dzięki, noszę ósemkę – zgasiałam ją.

– Serio? Masz raczej drobne stopy. – Koleżanka omiotła mnie spojrzeniem i dodała, że szefowej zależy na licznej obecności. – Wiesz, jak jest. Kiedy już wykosztuje się na catering, liczy na to, że zjawimy się w komplecie...

– Gdzie tym razem zamówiła jedzenie? Tylko nie mów, że znowu w tej knajpie przy dworcu. W życiu nie jadałam gorszych kanapek – wzdrygnęłam się.

– Nie, nie. Tym razem załatwiła dostawę u tego Włocha z placu Zwycięstwa. Wiesz, z tego baru, w którym ostatnio byliśmy na lunchu. Będzie nawet kawior, chociaż ja osobiście nigdy za nim nie przepadałam. Ale widziałam zamówienie, całość wygląda w miarę apetycznie.

– Brzmi zdecydowanie lepiej – przyznałam.

– Dobra, to ja lecę. Miłej pracy! – Koleżanka rzuciła na moje biurko kilka wściekle różowych ulotek z czarnymi akcentami i ruszyła w stronę drzwi. – Aha, zapomniałabym... Koleś z fundacji Osiem & Osiem odwołał spotkanie.

– To o szesnastej? – zdziwiłam się. – Czemu nie dostałam żadnego mejla w tej sprawie?

– Nie mnie o to pytaj. Lecę!

Patrzyłam w ślad za nią, zastanawiając się, czy to prawda, że sypia z jednym z naszych żonatyh firmowych kolegów. Dawniej jakoś nie głowiłam się nad tym, co ukrywają współpracownicy, jednak od jakiegoś czasu wszędzie węszyłam flirty, romanse i miłości.

Rozdzwonił się telefon. Ziewnęłam i podniosłam słuchawkę, ale rozmowa okazała się pomyłką. Chwilę po tym z późnego lunchu wróciły pracujące ze mną w pokoju dziewczyny, które miały chyba

równie „lewy” dzień jak ja. Przez kolejną godzinę niemal beczynnie tkwiłam za biurkiem. Wysłałam kilka SMS-ów, przejrzałam Onet, Interię i Gumtree, zrobiłam jakiś durny quiz, dojadłam kokosanki i zadzwoniłam do przyjaciółki... Świetnie wiedziałam, że powinnam jak najszybciej obdzwonić kilkanaście fundacji, ale za nic nie mogłam się skupić na pracy. Dziewczynom z mojego pokoju też marnie szło. Mira, szeroko ziewając, co chwilę logowała się na Facebooku, Agata czytała debiutancki thriller młodego pisarza ze Szczecinka. Dopiero przed siedemnastą wszystkie lekko się ożywiłyśmy. Poprawiłam makijaż, dopiłam kawę i zabrałam się za porządkowanie walających się wokół mojego komputera papierów.

– Nie chce mi się wracać prosto do domu. – Mirka wstała zza biurka i z błogością się przeciągnęła. – Co powiecie na drinka, dziewczęta?

– Mówiłaś, że twoja Gaba ma ospę – mruknęła Agata, która oderwała się w końcu od krwawej lektury o grasującej w Szczecinku bestii.

– Tym bardziej nie chce mi się wracać. Młoda marudzi, w kuchni bałagan, do tego stosy prasowania... Może jestem naiwna, ale łudzę się, że podczas mojej nieobecności teściowa ogarnie chociaż część tego bajzlu – powiedziała Mira.

Zerknęłam w stronę okna.

– Pogoda jest w sumie barowa – przyznałam jej rację i wyłączyłam służbowy komputer.

Dawno nie byłyśmy na drinku, zresztą nie miałam w planach nic ciekawszego. Hubert miał dyżur, a na towarzystwo Jacka wyjątkowo straciłam ochotę. Zupełnie jakby cała słodycz naszego romansu nagle gdzieś wyparowała...

– Ty to masz złotą tą teściową. Matka mojego Bartka potrafi tylko krytykować – rzuciła Agata i sięgnęła po swoją torebkę.

– Czyli idziemy? – Mira zignorowała uwagę przyjaciółki, wyraźnie dążąc do przeforsowania swojego pomysłu.

– Dobra, czemu nie? – Wrzuciłam do szuflady biurka swój służbowy telefon i założyłam ciemnogrnatowy żakiet.

W windzie wpadłyśmy na Dorotę – pracującą w kadrach młodą mężatkę, z którą zawsze świetnie się dogadywałam. Mira chyba też, bo od razu zaproponowała, żeby się do nas przyłączyła. Zanim wyszłyśmy na deszcz, ustaliłyśmy, że skoczymy do modnego od niedawna pubu Papaja i zaproponowałam, że wezwę taksówkę. Taksówka podjechała parę minut później. Zbliżający się do czterdziestki kierowca z bujną rudawą czupryną wydawał się zadowolony z towarzystwa czterech roześmianych kobiet. Dorota wślizgnęła się na przednie siedzenie, my we trzy ścisnęłyśmy się z tyłu. Zanim dotarliśmy do Papai, niemiłosiernie wygniotłam sobie kieckę i zadarłam rajstopy o ozdobną sprzączkę torebki.

– No i jakieś dwadzieścia złociszy poszło się gonić – skomentowała Agata. – Sama tego lata podarłam już ze cztery pary pończoch.

– Wszystko przez ten deszcz. Ranki są takie zimne, że gołe nogi nie przejdą – rzuciła z przedniego siedzenia Dorota.

– Ja noszę getry, zawsze to lepsza opcja niż darcie kolejnych par rajtek – wtrąciła swoje trzy grosze Mirka. – Gdybyście się zastanawiały, czy lepiej... – Koleżanka chciała chyba jeszcze coś dodać, ale przerwał jej taksówkarz.

– Pojedziemy Towarową czy Flisacką?

– Obojętne, byle szybko. Mam niewiele czasu i dużą ochotę na tak zwane procenty – pogoniła go Mira, która jak zawsze stresowała się ewentualnym telefonem od teściowej.

Taryfiarz gwałtownie skręcił we Flisacką i dosłownie minutę później utknęliśmy w monstrualnym korku.

– Po prostu super – westchnęła wyraźnie zniecierpliwiona Agata i spryskała się wyjętymi z torebki perfumami o mocnej piżmowej nucie.

Zawsze zadziwiało mnie, ile najprzeróżniejszych rzeczy potrafi ze sobą nosić. O cokolwiek by człowiek ją poprosił, zazwyczaj to miała. Zapasowe pończochy, plastry na otarte pięty, dezodorant w aerozolu, parasol, mały zestaw do szycia, gumy, szczotkę do włosów, grzebień, cienie do powiek, żel przeciwko owadom. Do tego breloczek z pluszowym miśkiem – prezent od siostrzenicy – i zbiorek aforyzmów na każdy dzień, który kupiliśmy jej na urodziny. Jej wielka zamszowa torebka zdawała się być studnią bez dna i czasem się śmiałyśmy, że niczym jedna z bohaterek kultowego niegdyś serialu, jest gotowa na wszystko.

– Dziewczyny, a słyszałyście już o Ani? – zapytała cicho Dorota.

– O jej synku? Tak. Koszmarna historia – powiedziała Mirka.

– Ja nic nie wiem... Co się dzieje? Mówicie o Ance z kadr? – zainteresowała się Agata, poprawiając włosy.

– No tak, przecież innej u nas nie ma. U jej synka podejrzewają białaczkę. U sześciolatka, wyobrażacie sobie? Dowiedziałam się wczoraj i nie mogę przestać o tym myśleć. Właśnie, Marzena, może ty coś już wiesz? W końcu twój Hubert jest lekarzem. – Mirka była wyraźnie żądna szczegółów.

– Hubert nie opisuje mi historii chorób swoich pacjentów, zresztą onkologia dziecięca to nie jego specjalizacja...

– No, ale mogłaś coś słyszeć, nie? Wierzyć mi się nie chce, że to wszystko spada na jedną drobnutką dziewczynę. Rok temu zmarła jej mama, później odszedł mąż, a teraz to... Fatum jakieś, czy coś? Jak to jest, że jednym wszystko się układa, a inni mają zawsze pod górkę? – W głosie Mirki pobrzmiwały nutki współczucia, ale też zwykłego, ludzkiego zaciekawienia.

Zawsze lubiła plotki, zniesmaczył mnie jednak fakt, że w tak niezdrowy sposób interesowała ją ewentualna choroba sześciolatniego dziecka.

– Zmieńmy temat, dziewczyny – poprosiłam. – Ledwo pochowaliśmy kuzynkę męża, mam dość...

– Słyszałam, że ukąsiła ją osa i... – Mirka nie dokończyła, bo siedząca obok niej Agata kopnęła ją w łydkę.

Przed klubem Dorota upuściła na chodnik lusterko. Oczywiście stłukło się na betonie.

– No i siedem lat nieszczęścia... – rzuciła Mirka irytująco lekkim tonem.

I dopiero zgromiona przeze mnie wzrokiem wymamrotała jeszcze, że przecież to tylko zwykły zabobon.

W Papai było przyjemnie chłodno i bardzo klimatycznie. Kilka miesięcy wcześniej odremontowano cały lokal i dobudowano przestronną antresolę, której ozdobą były donice z nadającymi temu miejscu egzotyczny wygląd palmami.

– Kto stawia pierwszą kolejkę?! – Wyraźnie podekscytowana Mira, chcąc przekrzyczeć muzykę,

dosłownie ryknęła mi do ucha.

– Chyba ja. – Dorota poprawiła śmiesznie wystrzępioną rudą grzywkę, zebrała zamówienia i ruszyła w stronę baru.

– To co tam u was, dziewczęta? – zapytała Agata. – Tylko bez gadek o pracy, proszę! – dodała i Mira zaczęła opowiadać o służbowym wyjeździe męża, któremu w środku nocy, na niemal kompletnym odludziu, zepsuł się samochód.

– Na szczęście jakaś kobieta podrzuciła go do miasta...

– Kobieta, mówisz? Młoda? – zainteresowała się Agata. – Oglądałam kiedyś taki film. Gość wsiada do auta jakiejś laski, jadą razem przez pół kraju, a on zakochuje się w niej tak, że postanawia rzucić żonę.

– Podobno była siwa i cuchnęła czosnkiem – mruknęła Mirka.

– Siwa i cuchnąca czosnkiem? Ten twój ślubny to ma wyobraźnię! Idę o zakład, że to była jakaś nieziemska laska – obstawała przy swoim Agata.

Mira wyraźnie się naburmuszyła. Nie odpowiedziała, jakby dążyła do zakończenia niewygodnego tematu. Zacisnęła tylko usta i posłała koleżance wściekłe spojrzenie.

Obserwowałam je, zastanawiając się, kiedy wkradła się pomiędzy nas taka dziwna, nieprzyjazna rywalizacja? Dawniej szczerze się lubiliśmy, ostatnio jednak nasze rozmowy przypominały wbijanie sobie szpilek. Ukłucia były niewielkie, czasem ledwie wyczuwalne. Uważny obserwator wyraźnie jednak dostrzegał, że przyjaźń naszej trójki robiła się mniej zażyła, a bardziej... Sama nie wiem... Podszyci zazdrością? Pełna drobnych złośliwości, które z czasem mogły urosnąć do rangi problemu? Mirka z całą pewnością zazdrościła Agacie męża na stanowisku. Jej Bartek był wicedyrektorem jednego z banków i zarabiał przyprawiające o zawrót głowy sumy. Co gorsza, Agata lubiła się chwalić, co z pewnością nie przysparzało jej sympatii firmowych koleżanek. Jednak nawet jej życie nie było idealne. Mającego spore zadatki na pracoholika Bartosza niemal nigdy nie było w domu i ona z kolei zazdrościła Mirce harmonii w związku, domu, do którego chciało się wracać, czasem nawet życzliwej i pomocnej teściowej. Krótko mówiąc, dogryzały sobie na całego, licytując się, komu lepiej się układa. Mnie też się czasem obrywało. I chociaż starałam się trzymać z daleka od ich słownych przepychanek, bywało, że powiedziałam kilka słów za dużo...

– Ależ kolejka przy barze! W dodatku podrywał mnie jakiś namolny brodaty Angol! – Dorota pojawiła się przy naszym stoliku, wręczając drinka mnie i Mirce. – Dla nas zaraz doniosę – zwróciła się do Agaty, która w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami.

Chwilę później w Papai zjawiała się grupka młodych chłopaków, którzy posyłali w naszą stronę wymowne spojrzenia i wyraźnie usiłowali nawiązać znajomość. Ignorowałyśmy ich jednak na tyle skutecznie, że w końcu opuścili stolik i z kuflami piwa w dłoniach weszli na antresolę.

Drugą kolejkę stawiała Mirka. Podając mi mojego drinka, wylała odrobinę na blat naszego stolika. I tak już trochę się lepił. Kiedy nieco wypiliśmy i wyraźnie się zrelaksowałyśmy, zaczęłyśmy gadać jedna przez drugą, wzajemnie się przekrzykując.

W końcu zeszło na nieobecnych.

– A słyszałyście, że Ilona ma romans? – Dorota, bawiąc się kolorową palemką od swojego drinka, rzuciła nam łakomy kąsek.

– Serio? – zdziwiła się Mira. – A z kim?

– To jest właśnie najlepsze! Z tym nowym blondynem z recepcji! – Rzuciła Dorota z płonącymi

od emocji policzkami.

– Przecież ona ma świetnego męża! Pamiętacie zeszłoroczną imprezę firmową? Wszystkie jej go zazdrościłyśmy. Fajny facet. Wygadany, dowcipny... – Agata wyglądała na wstrząśniętą.

– Mąż to mąż, a kochanek... – Dorota przerwała dla lepszego efektu i upiła kilka łyków swojego drinka. – Wpadłam na nich w każdym razie w zeszły czwartek. Całowali się w składziku na mopy, wyobrażacie sobie?!

– To chyba nie znaczy, że mają romans. Przecież...

– Nie bądź naiwna, Marzena! – Dorota weszła mi w słowo i dodała, że z Ilony zawsze była cwaniara. – Na męża złapała podtatusiałego kluskowatego architekta, a po kątach zabawia się z młodszymi.

– Czasem trzeba sobie urozmaicić życie – odezwała się nagle Mira, a chwilę później popłynęła opowieść o poznanym przez nią w pociągu młodym inżynierze, kolacji w przydworcowej knajpie i wieczorze u niego. – To po prostu się stało. Nie myślałam o mężu, nie myślałam o konsekwencjach. Pojechaliśmy do niego, zdarliśmy z siebie ciuchy i... – Mira zawiesiła głos, a nasza trójka wbiła w nią mniej lub bardziej zszokowane spojrzenia.

Dopiłam drinka. Mira?! – pomyślałam z niedowierzaniem. Cicha, zakochana w swojej rodzinie Mira, która co tydzień biegała do kościoła i mówiła głównie o dzieciakach? Tak „z doskoku”, z jakimś poznanym w pociągu facetem? Nie mieściło mi się to w głowie. Tymczasem Dorota przyznała, że jej też zdarzyło się zdradzić byłego już męża, czego jakoś nigdy szczególnie nie żałowała.

– Poznaliśmy się w Świnoujściu. Twierdził, że jest oficerem marynarki, ale kto go tam wie. W każdym razie był przystojny, opalony i świetnie zbudowany. A wiecie, jaką mam słabość do jasnookich blondynów... Szaleliśmy przez trzy noce i było naprawdę gorąco. Kiedy odprowadzał mnie na stację, wymieniliśmy się rzecz jasna numerami, ale oczywiście żadne z nas więcej się nie odezwało – wzruszyła ramionami koleżanka. – Czasem nawet żałuję, bo gość był rewelacyjny w łóżku, a z Markiem i tak niedługo potem się rozstałam – dodała.

Pomyślałam o Jacku. O jego języku na moim ciele, dłoniach zsuwających ze mnie bieliznę, niecierpliwych pocałunkach i pikantnych wyznaniach. Chwilę później zobaczyłam w wyobraźni smutną twarz męża i zachciało mi się płakać. Jak mam się teraz z tego wszystkiego wyplątać? Jak mogłam zabrnąć tak daleko w kłamstwo? I czemu, do cholery, nie potrafię raz a dobrze ukrócić całej tej historii?

– Marzena coś dziwnie zamilkła. Czyżby miała coś na sumieniu? – Agata, która od jakiegoś czasu była w stosunku do mnie nieco złośliwa, teraz też zwietrzyła okazję, żeby mi dopiec.

– Taa, marzę o ostrym numerku z gorącym sąsiadem. Więcej grzechów nie pamiętam – rzuciłam sztucznie lekkim tonem, jednak koleżanka nie dała łatwo zbić się z tropu.

– Tylko marzysz? – zapytała.

Poczułam złość.

– Nie zdradzam Huberta, jeśli to insynuujesz! – podniosłam głos.

Dorota spojrzała na mnie ze zdziwieniem, wyraźnie zaskoczona moim gwałtownym wybuchem.

– Może zmienimy temat, dziewczęta, bo wchodzimy na grząski grunt – usiłowała jakoś załagodzić sytuację.

– Niby czemu? Ja nie mam nic do ukrycia. W życiu nie przespałabym się z żadnym obcym facetem, a ludzi, którzy przeskakują z łóżka do łóżka, uważam za wręcz obrzydliwych – rzuciła Agata ostrym tonem.

Pewnie dlatego, że porozwodzie z Bartoszem nie byłoby cię już stać na wszystkie te zakupowe szaleństwa, pomyślałam złośliwie.

– Nie bądź taka święta, kochana – naburmuszyła się tymczasem Mirka i atmosfera przy stoliku nieprzyjemnie się zmieniła.

– Mówię, co myślę, i tyle. – Agata wzruszyła ramionami i dopiła swojego drinka.

Zamilkłyśmy.

Pomyślałam, że to dziwne. Pracujemy ze sobą od kilku lat i chyba wciąż jeszcze się lubimy. Aż tu nagle, po paru głębszych, dosłownie skaczemy sobie do gardeł. Może dlatego, że nasze codzienne rozmowy na firmowe tematy nie budzą aż tylu emocji co dzisiejsza pogawędka? – zastanawiałam się, obserwując dziewczyny. Mira wysyłała SMS-a. Dorota przyglądała się siedzącym przy sąsiednim stoliku mężczyznom, w zamyśleniu nawijając na palec swój srebrny łańcuszek, a wyraźnie naburmuszona Agata sprawiała wrażenie obrażonej na cały świat.

– Przepraszam, skoczę do toalety – powiedziałam cicho.

W łazience było pusto i imponująco czysto. Jedyne rzucony na jasną posadzkę kawałek różowego papieru toaletowego burzył wszechobecny porządek. Spojrzałam w lustro. Wyglądałam zwyczajnie, a o kłębiących się we mnie emocjach świadczył jedynie rumieniec na moich policzkach. Umyłam ręce. W torebce moja komórka zaświergotała sygnałem przychodzącego SMS-a. To mąż pytał, czy jest chleb.

Zadzwoiłam do niego od razu, gdy tylko odczytałam wiadomość.

– Myślałam, że masz dziś dyżur – zaczęłam.

Powiedział, że w ostatnim momencie zamienił się z Wojtkiem Miliczem i zapytał, czy ma zrobić większe zakupy. Poprosiłam o bułki i wędlinę. Rzucił, że kupi też pomidory.

– Będę za jakąś godzinę – obiecał.

Kiedy się rozłączył, zdałam sobie sprawę, że trzęsą mi się ręce i huczy mi w głowie. Nie wiem, jak długo stałam oparta o umywalkę i wpatrywałam się we własne odbicie w lustrze. Dopiero kiedy do toalety wparowała Agata, pośpiesznie poprawiłam makijaż i mruknęłam, że będę się powoli zbierać.

– Słuchaj, przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam... – Zanim sięgnęłam w stronę kłamki, koleżanka okazała niespodziewaną skruchę.

– Daj spokój, po prostu się przekomarzałyśmy. – Wielkodusznie zbagatelizowałam całą sprawę, jednak wspomnienie tamtej wymiany zdań prześladowało mnie jeszcze długo...

Do domu dotarłam z migreną, a widok stojącego przed furtką samochodu męża sprawił, że znowu dopadły mnie wyrzuty sumienia. Muszę skończyć z Jackiem – powtórzyłam sobie po raz chyba setny, gdzieś w głębi duszy czułam jednak, że wcale nie jestem gotowa na rozstanie z kochankiem.

Cześć, ciociu. Słuchaj, mogłabyś na chwilę zejść na dół? – Moja siedemnastoletnia siostrzenica zadzwoniła do mnie, kiedy ślęczałam nad wyjątkowo nudną broszurą.

Musiałam ją przejrzeć przed popołudniowym spotkaniem, ale nie potrafiłam się skupić na zawitych problemach prawnych, którymi była naszpikowana. Jednak nagły, niespodziewany telefon, był świetnym pretekstem do wyrwania się z biurka. Założyłam więc żakiet i wymknęłam się z pokoju.

Przy windzie wpadłam na Agatę.

– Idziesz po kawę? Wzięłabyś mi latte? – zapytała.

– Nie idę po kawę, ale mogę po drodze zajrzeć do baru.

– Super, dzięki! – ucieszyła się koleżanka. – Poszło ci oczko – dodała.

– Tej akurat wiedzy nie potrzebowałam do szczęścia – skrzywiłam się. – Cholera, faktycznie...

– Jest ciepło. Wyskakuj z tych rajstop – mrugnęła do mnie Agata, zanim zniknęła w pokoju z kopiarką.

Czekając na windę, zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś wrócimy do naszych dawnych serdecznych relacji. Po ostatnim wypadku na drinka i ostrej wymianie zdań atmosfera między nami zrobiła się jeszcze bardziej niezręczna. Agata co prawda mnie przeprosiła, ale czułam, że to już nie to samo co kiedyś... Owszem, rozmawialiśmy ze sobą i niby wszystko było w porządku, jednak wkradła się pomiędzy nas jakaś sztuczność.

– Takie piękne nóżki, a pończoszki dziurawe! – Starszy portier mrugnął do mnie, kiedy wysiadłam z windy i ruszyłam w stronę drzwi.

– Pogratulować sokolego wzroku, panie Franku – zażartowałam.

– Marchewkę trzeba jeść! – rzucił w ślad za mną pan Franciszek.

Roześmiałam się, a on ruszył w moją stronę i szarmancko otworzył ciężkie przeszklone drzwi.

Michalina czekała na mnie na skraju pełnego samochodów parkingu. Wyglądała na mocno zdenerwowaną, niemal spanikowaną.

– Miśka, co się dzieje? Chodź, zajdziemy do baru, muszę kupić latte. Przy okazji zjesz coś słodkiego, bo pewnie znowu wyszłaś z domu bez śniadania – zaczęłam, uważnie jej się przyglądając.

– Nie jestem głodna – szepnęła.

Zauważyłam, że ma czerwone oczy, jakby dosłownie przed chwilą płakała.

– Mała, co jest? Coś nie tak z twoją mamą? – zapytałam, nagle wyobrażając sobie wszystkie najczarniejsze scenariusze.

Moja siostra ma raka, wpadła pod samochód, rozwodzi się... Nie! Nie mogę myśleć o takich rzeczach! – powiedziałam sobie.

– Z nią wszystko okay, chodzi o mnie.

– No to mów! Albo chodźmy do tego baru i zaraz...

– Boję się, że jestem w ciąży, ciociu – weszła mi w słowo chrześnica.

– Wow! Potrafisz podnieść ciśnienie, dziewczyno! – Z wrażenia aż przysiadłam na okalającym parking kamiennym murku. – To ktoś z twojej klasy?

– Nie, Marcel już studiuje. W każdym razie kupiłam przed chwilą test ciążowy, ale boję się go zrobić sama. Koleżankom nie chcę nic mówić, bo pewnie zaraz by któraś coś chlapnęła, i pomyślałam o tobie. Ale nie powiesz mojej matce, prawda? – zapytała.

– Nie powiem – obiecałam. – Ale jeśli jesteś w ciąży, sama niebawem się zorientuje.

– Weź to wypluj, ciociu! Na niecały rok przed maturą? Koszmar!

– Myślałam, że jesteś na tabletkach?

– Nie. Byłam, ale fatalnie się po nich czułam i je odstawiłam. Chodźmy do łazienki! Chcę już nasikać na ten patyk i poznać wynik.

– Chodźmy. U mnie w biurowcu czy w barze? Chyba że chcesz jechać do...

– U ciebie w pracy – weszła mi w słowo Michalina. – Oczko ci poszło – dodała, kiedy szliśmy przez parking.

– Wiem. Słyszałam to już dwa razy.

– To ściągnij rajtki, przecież się wypogodziło.

– Tutaj tak. Ale w pokoju mamy klimatyzację. Ściągnę przed wyjściem – wzruszyłam ramionami, chwilę później przypominając sobie o zaplanowanym przez szefową na popołudnie spotkaniu.

Cholera! Będę musiała kupić rajstopy! Chyba że Agata ma w szufladzie zapasową parę, pomyślałam, świetnie wiedząc, że raczej nie poproszę jej o przysługę...

– Chodź tędy! W łazienkach na piętrze jest zawsze ruch jak na dworcu, ale tutaj jest mało uczęszczana toaleta. – Kiedy weszliśmy do budynku, pociągnęłam siostrzenicę w stronę jednego z bocznych korytarzy przy rzadko używanej sali konferencyjnej. Była jasna i olbrzymia, ale większość mieszczących się w budynku firm wolała spotkania na swoich piętrach, a nie zaklepywanie w grafiku walnych posiedzeń na parterze.

– Wchodź! – Chwilę później wepchnęłam spanikowaną Michalinę do jednej z kabin, a sama oparłam się o parapet i przymknęłam oczy.

Niechciana ciąża... Odkąd byłam z Hubertem, jakoś nigdy się nią nie przejmowałam, ale gdybym zaliczyła wpadkę z Jackiem... Byłam co prawda na tabletkach i miałam już swoje lata, jednak myśl o dziecku i o tym, że nawet ja sama nie miałabym pewności, kto jest jego ojcem, na moment dosłownie mnie zmroziła.

– Ciociu? – zza drzwi kabiny odezwała się przytłumionym i łamiącym się głosem Michalina.

– Jestem tutaj, czekam!

– Boję się – powiedziała.

– Wiem. Jeszcze jakaś minutka – uspokajałam ją.

Chwilę później Miśka wyszła z kabiny.

– Sprawdzisz? Ja się boję spojrzeć...

Zerknęłam na test, który wcisnęła mi w rękę.

– Jedna kreska – powiedziałam, a Michalina pisnęła z radości i podskoczyła jak dziecko!

– Dziękuję!

– Mnie dziękujesz? – uśmiechnęłam się. – Wiesz, że powinnaś się wybrać do lekarza. Te testy nie są w stu procentach wiarygodne, poza tym...

– Nie, nie! Mowy nie ma! Nie idę do żadnego lekarza, bo nie jestem w ciąży! – rzuciła, biorąc ode mnie tester. – Sorry, wcisnęłam ci w rękę zasikany kawałek plastiku – dodała rozbawionym tonem.

– Nie przejmuj się – powiedziałam, odkręcając wodę. – A wracając do twoich damsko-męskich przygód – co to za chłopak ten Marcel?

– Fajny – powiedziała Michalina, nie dodając nic więcej.

Teraz, kiedy już zeszło z niej napięcie, szybko odzyskała swój zwyczajowy rezon.

– Pójdę już. I pamiętaj – ani słowa mojej matce! Jeśli coś jej powiesz, nigdy ci nie wybaczę! – zagroziła mi.

– Nie powiem, obiecuję. Ale ty powinnaś lepiej o siebie zadbać, Michalinko. Za kilka miesięcy skończysz osiemnaście lat, musisz już chyba zdawać sobie sprawę z konsekwencji pewnych zachowań. On zawsze z gumką, ty na tabletkach, jasne? Jeśli źle się po nich czułaś, niech jakiś dobry lekarz dobierze ci inne. Nie ma sensu ryzykować i zmarnować sobie życia. Dziecko to fajna sprawa, pod warunkiem że jest się na nie gotowym. Biorąc pod uwagę twój wiek, szczerze wątpię w twoją chęć zostania matką – powiedziałam, przytulając ją.

Pachniała perfumami z waniliową nutą i przez jedną krótką chwilę zastanawiałam się, jak by to było mieć córkę w jej wieku. Szybko jednak wróciłam do rzeczywistości. To nie była moja córka. To Marta będzie musiała mieć na nią oko, nie ja.

– Miśka, słyszałaś, co mówię? – powtórzyłam, kiedy wychodziłyśmy z łazienki.

– Tak, jasne. Dzięki, ciociu! – Młoda przesłała mi w powietrzu pocałunek i pognała w stronę drzwi.

Wychodziłam z budynku firmy, chcąc kupić dla Agaty tę kawę, kiedy zobaczyłam paplającą przez komórkę siostrzenicę – musiała wyjąć telefon z torebki zaraz po naszym pożegnaniu i pewnie dzieliła się właśnie swoją radością z niedoszłym tatuśkiem.

Kilka godzin później, w drodze z pracy, zajrzałam do Hanki. Nie byłyśmy co prawda umówione, ale wiedziałam, że siostra męża jest akurat na zwolnieniu i samotnie siedzi w domu.

– Marzena, hej! Gdybym wiedziała, że wpadniesz, tobym się chociaż uczesała! – Na mój widok Hanka parsknęła śmiechem i przeczesała palcami włosy.

– Jak się czujesz? Kiedy wracasz do pracy? – zapytałam, wchodząc do środka.

– Za parę dni. Prawdę mówiąc, nie mogę już wysiedzieć w domu – powiedziała.

– Jędrka nie ma?

– Nie. Zabrał Kacpra na gokarty, później idą na pizzę i do kina.

– Napięty grafik – zażartowałam, schylając się, żeby rozpiąć sandałki.

– Nie zdejmuj, nie wygłupiaj się! Wchodź, siadaj! Zjesz coś? Mogę zrobić kanapki.

– Jadłam w firmie. Klopsiki w sosie pomidorowym to jeden ze stałych punktów menu – uśmiechnęłam się. – A jak Kacper? – zapytałam chwilę później.

– Różnie. W przyszłym tygodniu idziemy z nim na drugą wizytę do psychologa, poza tym raczej bez zmian. Wczoraj zaczął gadać o śmierci łóżeczkowej, wyobrażasz sobie? Jestem w ciąży, a on mówi o takich rzeczach! W dodatku zaczął sobie wmawiać, że mogę umrzeć przy porodzie...

– Jezu Chryste, skąd mu się to wzięło? – wzdrygnęłam się.

– Mówiłam ci przecież – starsza siostra jego szkolnego kolegi zginęła w wypadku. Od tamtej pory na okrągło kręci się wokół tego tematu.

– Znał tę dziewczynkę? Ile miała lat?

– Siedemnaście. Wracła z dyskoteki, prowadził jej starszy o kilka lat sąsiad. Chłopak pruł jak wariat, w dodatku był pijany. Skończyli na drzewie, nie mieli żadnych szans. Dziewczyna, która siedziała z tyłu, przeżyła, ale nadal jest w śpiączce. Iwona, jej siedząca z przodu kuzynka i kierowca zginęli na miejscu.

– Biedne dzieciaki.

– Daj spokój, nie jestem nawet w stanie o tym myśleć. Minie parę lat i nasz Kacper też pewnie będzie chciał zrobić prawko. A później się zacznie. Nocne rajdy po podmiejskich szosach, brawura, namawiający do idiotycznych zachowań koledzy... Najgorsze jest to, że nawet najlepszy rodzic nie zawsze dzieciaka upilnuje. Kiedy dzieje się coś takiego, ludzie łatwo i szybko oceniają i zawsze czują się lepsi. Oni na pewno nie dopuściliby do czegoś takiego – mówią sobie. Dopiero kiedy to ich dziecku coś się stanie, zaczyna do nich docierać, że nie wszystko jest takie proste... Czasem, kiedy wszyscy już śpią, schodzę na dół do kuchni, siadam za stołem i zaczynam sobie wyobrażać naprawdę okropne rzeczy. Boję się o Jędrka, o Kacpra, o Huberta...

– Wszyscy się czasem boimy – powiedziałam.

Hanka skinęła głową i zapatrzyła się w okno.

– Słuchaj, a jeśli on coś sobie zrobi? Czytałam ostatnio o fali samobójstw wśród nastolatków.

– Hanka, dajże spokój! Nie myśl o takich rzeczach, nie teraz! Dzieci, które odbierają sobie życie, zazwyczaj mają naprawdę dramatyczne powody. Są maltretowane, molestowane, szykanowane przez rówieśników. Kacper to mądry chłopak i jak na swój wiek w miarę dojrzały. Nie zrobiłby wam tego – powiedziałam, przypominając sobie jednocześnie smutną buzię siostrzeńca męża i jego uwagę, że po śmierci zjedzą nas wszystkich robaki...

– Pewnie masz rację. Przepraszam cię, Marzena. Mam jakiś wyjątkowo marny nastój. To chyba przez tę ciążę. Fatalnie się ostatnio czuję, źle śpiam...

– Niedługo powinno być lepiej. Tak przynajmniej mówiły wszystkie moje koleżanki – powiedziałam, głaszcząc jej szczupłe, upstrzone drobnymi piegami ramie.

– Mój Jędrak ma nową asystentkę – zmieniła nagle temat szwagierka. – Trzydziestojednoletkę o wyglądzie top modelki. Powiedz mi, czemu te panienki zawsze wyglądają jak klony lalki Barbie? Cycki jak marzenie, nogi do samego nieba. Gdzie się podziały wszystkie mysie brzydule z krzywymi zębami? Tylko tego było mi potrzeba do szczęścia teraz, kiedy dosłownie puchnę w oczach i zajadam się w naszym łóżku waniliowymi lodami, zagryzając je kiszonymi ogórkami! – powiedziała, a ja parsknęłam śmiechem.

– Wybacz, ale zabrzmiało to niemal komediowo.

– Nie śmiałaś się tak, gdybyś tę dziunię zobaczyła! Metr siedemdziesiąt pięć, jasnoblonde włosy do pasa, kocie oczy i pewność siebie, dosłownie miażdżąca. Wpadła tu któregoś dnia z dokumentami do podpisu i zdążyłam ją zniechęcić od pierwszego wejrzenia. Ale wiem – bzdury gadam. Niedługo pewnie się zaprzyjaźnimy, a mnie będzie głupio – roześmiała się Hanka. – Słuchaj, a może wpadniecie do nas w sobotę? Zrobię dobrą kolację, pogadamy.

– W tę sobotę nie damy rady. Hubert już nas umówił na grilla. Ale dzwoniemy się, obiecuję – powiedziałam.

– Za rok o tej porze będzie już w domu maleńkie dziecko – uśmiechnęła się Hanka.

– Kacprowi dobrze robi rodzeństwo.

– Myślisz? Martwi mnie różnica wieku pomiędzy nimi, wiesz? Kiedy urodzę, młody będzie już miał trzynaście lat.

– Tym lepiej. Nauczy się odpowiedzialności. Nie zamartwiaj się tym, czego i tak nie zmienisz, Hanka. Będzie dobrze!

– Ty to mnie zawsze na duchu podniesiesz – roześmiała się.

Chwilę później zaczęłam się zbierać.

– Zadzwoń niedługo i jakoś się umówimy – obiecałam, całując ją na pożegnanie.

– Czekaj, mam coś dla ciebie! – Hanka poderwała się z sofy i pognęła w stronę sypialni. – Z Sopotu. Kiedy ją zobaczyłam, od razu pomyślałam o tobie. Zawsze lubiłaś ważki – powiedziała Hanka chwilę później, wręczając mi zawieszony na cieniutkim łańcuszku srebrny wisiołek z bursztynowymi elementami.

– Jaka piękna! Dziękuję! Rany, wrzuciłam się! – przytuliłam szwagierkę.

– Tylko się nie chwal Hubertowi, bo jakoś dla niego nic tym razem nie mam – mrugnęła do mnie, kiedy byliśmy przy drzwiach.

– Słowem nie pisnę, skąd ją mam – uśmiechnęłam się, a ona posłała mi w powietrzu całusa.

Wychodząc z jej mieszkania, pomyślałam, że wszystko to jest takie kruche. Hanka traktowała mnie niczym młodszą siostrę, ale przecież nie miała pojęcia, kim naprawdę jestem. Gdyby wiedziała... Gdyby tylko знаła prawdę o mnie i o tym, co ukrywam, splunęłaby mi pewnie pod nogi i zatrzęsła drzwiami przed nosem – przeszło mi przez myśl i już wiedziałam, że piękna srebrna ważka z zielonym bursztynem wyląduje na dnie rzeźbionej szkatułki z biżuterią, gdzie zapomniana spędzi następne miesiące i lata. Nie potrafiłabym chyba jej nosić, nie zasługiwałam na takie drogie prezenty. Nie od Hanki.

Siedziałyśmy przy kuchennym stole. Promienie wpadającego przez okno słońca rozświetlały włosy mojej siostry, dodając im złotego połysku. Zauważyłam, że ma kilka siwych nitek na skroniach i poczułam ukłucie paniki. Przecież niedawno obie miałyśmy po kilkanaście lat! Jak to możliwe, że jesteśmy na półmetku życia? Że czas gna na oślep, pędzi, wiruje, porywając za sobą ludzi i wypluwając ich w najmniej spodziewanym miejscu?

– Szef nazwał mnie dziś idiotką. – Marta odsunęła na bok talerzyk z niedojedzoną galaretką z biszkoptami i zrobiła zabawnie zakłopotaną minę. – W dodatku przy sprzątacze, która teraz dość dziwnie na mnie patrzy. Z taką mieszaniną wyższości i współczucia, cholernie irytującą.

– Wojnar nazwał cię idiotką? Na to są już chyba paragrafy – zasugerowałam, bawiąc się niewielkim widelczykiem do ciasta.

Siostra spojrzała na mnie z politowaniem i wymownie popukała się w czoło.

– Jasne! Zaraz lecę do adwokata! Nie stać mnie na utratę tej pracy, Marzena. Wiesz przecież, że wciąż spłacamy dom. W dodatku Michalina dorasta i stale są jakieś wydatki. Niedługo pójdzie na studia, marzy jej się Kraków. To drogie miasto, trzeba będzie coś jej wysyłać, jakoś pomóc finansowo. O dwójce młodszych już litościwie nie wspomnę. Nie stać mnie na to, żeby powiedzieć temu staremu bucowi „wal się” i raz na zawsze zabrać swoje rzeczy z tego miejsca, którego dosłownie z dnia na dzień coraz bardziej nienawidzę – powiedziała ze skwaszoną miną.

– No, ale może chociaż szczerze z nim pogadaj? To nie pierwszy raz, kiedy on traktuje cię w taki sposób! Skoro gość prowadzi firmę, powinien wiedzieć, co to jest mobbing, do cholery! – podniosłam głos.

Siostra wzruszyła ramionami i chciała coś dodać, ale do kuchni wpadła Michalina.

– Hejka! – rzuciła młoda lekkim tonem i sięgnęła po dzbanek z sokiem.

Na mnie nie patrzyła. Zupełnie, jakby mając świadomość brzemienia naszego wspólnego sekretu, bała się spojrzeć mi w oczy.

– Zjedz trochę galaretki. Od rana nie miałaś niczego w ustach. Są winogrona, jest bagietka. – Marta na widok córki od razu zamieniła się w nadopiekuńczą kwokę, co zawsze w pewien sposób mnie rozczulało.

– Sorry, dieta. – Dziewczyna nawet nie spojrzała w stronę deseru. – Będę lecieć, Marcel po mnie przyjeżdża – dodała.

– Czekał, znowu? Michalina, rozmawiałyśmy już chyba o tym, że...

– Mamo, proszę cię! – wybuchła Miśka i zanim Marta zdążyła zareagować, zniknęła nam z oczu.

Trzasnęły frontowe drzwi.

– Od ponad trzech miesięcy spotyka się z dwudziestolatkiem. Chłopak ma już samochód, studiuje... Jestem przerażona – szepnęła Marta.

– A co, wolałabyś, żeby kochała się w jakimś smarkaczu ze swojej klasy? Dwudziestolatek zawsze jest bardziej dojrzały od siedemnastolatka – mruknęłam, nie bardzo będąc pewna, co ja właściwie wygaduję.

Siostra też zaraz się obruszyła.

– Dwudziestolatek dojrzały?! Proszę cię, dziewczyno! Przyjrzyj się lepiej Konradowi, zanim następnym razem rzucisz taką uwagę. – Marta roześmiała się nerwowo i nałożyła sobie na talerzyk kolejną porcję biszkoptów w galaretkę.

Na wzmiankę o pasierbie lekko się skrzywiłam, co nie umknęło uwagi Marty.

– A co u niego? Wyjechał już do tej Holandii? – zapytała.

– Podobno ma jechać na dniach. Ale Hubert wybucha za każdym razem, kiedy chcę o tym pogadać. Chłopak nie ma zamiaru dalej studiować, a on nie może tego pojąć... Wiesz, jak marzył o tym, żeby jego syn został lekarzem. Później jakoś przełknął informację, że Konrad idzie na psychologię, ale teraz... Szkoda gadać. Miała być socjologia, ale Konrad się rozmyślił. Później wspominał coś o PR, ale też to olał i w końcu jedzie grywać po amsterdamskich knajpach z jakimś poznanym w sieci zespołem. O tym, że może się tam władować w narkotyki, wolę nawet nie myśleć.

– Może jeszcze zmieni zdanie? – pocieszyła mnie Marta.

– W kwestii wyjazdu? Bardzo wątpię.

– W kwestii studiów. Wiesz, pokręci się po świecie, wyszaleje i zrozumie, że szuka czegoś istotniejszego niż beztroska zabawa. Sama przecież przez jakiś czas pracowałaś w Berlinie jako barmanka. Pamiętasz, jak rodzice przeżywali twój wyjazd?

– Pamiętam. Mama rozplakała się, odprowadzając mnie na dworzec, a tato zapowiedział, że jeśli wrócę z brzuchem, nigdy się do mnie nie odezwie.

– Jakie to polskie – roześmiała się Marta. – Dobrze, że nie dali ci słoja kiszonych ogórków na drogę.

– Ogórków nie, ale bułki z kiełbasą miałam. Kiedy jadłam, miałam wrażenie, że cały autokar zajężdża toruńską... Mama spakowała mi też kilka jajek na twardo, a ojciec wcisnął w kieszeń plecaka cztery stówki, które znalazłam dopiero kilka tygodni później. Cztery stówki, wyobrażasz sobie? Grosze, ale dla niego były wtedy całkiem konkretną kasą – uśmiechnęłam się smutno.

– A pamiętasz tego chłopaka z Poznania, którego poznałyśmy w pociągu do Wrocławia? Obiecał, że zabierze nas na...

Siostra nie dokończyła, bo w mojej torebce rozdzwoniła się komórka. Zignorowałam ją jednak i sztucznie lekkim tonem zapytałam Martę, kiedy ostatnio była odwiedzić rodziców.

– Nawet nie zerknęłaś, kto dzwoni – zdziwiła się.

– Pewnie nic ważnego – wzruszyłam ramionami.

W tym samym momencie telefon rozdzwonił się ponownie i zrozumiałam, że nie mogę zrobić kolejnego uniku. Wyjęłam komórkę z torebki. „Bogusia W. dzwoni” – napis na wyświetlaczu nie pozostawił cienia złudzeń. Jacek znowu odezwał się do mnie nie w porę, chociaż napisałam mu przecież SMS-a, że jadę do siostry!

Marta obserwowała mnie zza stołu z miną prokuratora służbisty.

Odebrałam, dosłownie kipiąc z wściekłości.

– Nie mogę teraz rozmawiać – rzuciłam w słuchawkę.

– Mam dzisiaj urodziny, wiesz?

Nie musiał nic więcej mówić, od razu się zorientowałam, że jest pijany. Wyszłam na balkon i zasunęłam za sobą szklane drzwi.

– Oddzwonię – szepnęłam.

– Marzena, nie rozłączaj się! Chciałem z tobą pogadać i nie pozwolę się spławić! Cholera, mogłabyś czasem...

Zatrzasnęłam kłapkę telefonu i roztrzęsiona wróciłam do salonu.

– Wiem, że zaprzeczysz, ale i tak to powiem – władowałaś się w jakąś historię z tym facetem, prawda? Tym, na którego wpadłyśmy kiedyś z Michaliną przed waszym domem. – Marta nie owijała w bawełnę.

– Bredzisz, siostrzyco – powiedziałam.

Czułam jednak, że siostra mi nie wierzy... Drżał mi głos, trzęsły mi się ręce – ciężko ukrywać prawdę, kiedy jest się tak marną aktorką jak ja.

– Wiesz, zawsze myślałam, że jesteśmy sobie bliskie. Ale teraz, kiedy patrzysz mi w twarz i kłamiesz w żywe oczy, nie mam już tej pewności...

– Marta, nie naciskaj! Nie ładuj mi się z butami w życie, okay?! – wybuchłam, wchodząc jej w słowo.

– Nie mów do mnie takim tonem, Marzena! Chciałam tylko...

– Nie będziemy o tym rozmawiać! – krzyknęłam.

Wstała.

Nalałam sobie soku i obserwując obijającą się o okienną szybę muchę, upiłam kilka łyków.

– Nie tobie jednej podoba się ktoś inny niż mąż. Ja też na moment straciłam głowę dla firmowego kolegi, ale wierz mi, do niczego nie doszło. No dobra, całowaliśmy się, ale... Zresztą nieważne. Nie chcesz rozmawiać, rozumiem. Przykro mi tylko, że od jakiegoś czasu właściwie nic o tobie nie wiem – szepnęła Marta ze łzami w oczach.

– Jestem twoją siostrą! Wiesz o mnie wszystko!

– Naprawdę? Wszystko? – ironizowała, jednak nie zamierzałam wdawać się w dyskusję.

W mojej torebce ponownie rozdzwoniła się komórka. Wyciszyłam ją, żałując, że nie wpadłam na to wcześniej, i spojrzałam na Martę. Miała nieprzenikniony wyraz twarzy, znałam ją jednak na tyle, żeby wiedzieć, że jest na mnie wściekła i z całą pewnością mocno zawiedziona.

– Pójdę już – powiedziałam chwilę później i w pośpiechu zapakowałam do torby pożyczony od siostry kryminał, który według niej koniecznie musiałam przeczytać.

– Gdybyś chciała pogadać...

– Wiem, Marta. Kochana jesteś. – Przez dłuższą chwilę stałyśmy objęte, w końcu włożyłam buty i złapałam za klamkę.

Zanim wyszłam, siostra moralizatorskim tonem rzuciła jeszcze, że będę żałować, jeśli stracę Huberta. A kiedy w końcu zamknęła za mną frontowe drzwi, poczułam się tak, jakbym wreszcie mogła swobodnie oddychać.

W drodze do samochodu wybrałam numer Jacka.

– Jedziesz już? – wymamrotał w słuchawkę.

– Odwaliło ci?! Prosiłam, nie dzwoń, będę u siostry! Ale musiałeś...

– Mam dzisiaj urodziny i czuję się kurewsko samotny – wybełkotał.

– Nie wspominałeś przypadkiem, że jesteś spod znaku Skorpiona? Gdybyś miał urodziny dzisiaj,

byłbyś zodiakalnym Lwem – syknęłam.

– Jestem zakochany, słońce. Pal licha znaki zodiaku, muszę cię zobaczyć. Kurewsko za tobą tęsknię, słyszysz? Ja...

– Wytrzeźwiej! – poradziłam mu, zanim się rozłączyłam.

W samochodzie tak trzęsły mi się ręce, że ledwo mogłam trafić kluczykiem do stacyjki. W torebce ponownie odezwała się komórka. Zanim Jacek odpuścił, wyciszony chwilę wcześniej telefon zdawał się wibrować bez końca, wydając z siebie niski i nieprzyjemny dźwięk. Wyjęłam go i cisnęłam na tylne siedzenie. Przed dom zajechałam zdenerwowana i bliska łez. Wciąż zdarzało mi się wręcz rozpaczliwie tęsknić za Jackiem, ale nasz romans zaczynał mi przypominać sprytnie przez niego zastawione sidła. A może to ja sama je na siebie zastawiłam?

Hubert czekał na mnie z kolacją. Bagietka, majonez, ogórki – nie wysilił się, ale rozczulił mnie sam fakt, że przygotował cokolwiek.

– Marnie wyglądasz – zauważył, kiedy weszłam do kuchni.

Zdałam sobie sprawę, że ostatnio mąż powtarza mi to coraz częściej, nie znalazłam jednak żadnej odpowiedzi.

– Skoczę pod prysznic – powiedziałam tylko i z ulgą zrzuciłam z nóg niewygodne beżowe szpilki.

– Dzwoniła Marta – rzucił mąż, zanim zniknęłam mu z oczu.

Zamarłam.

Moja siostra bardzo lubiła Huberta, nie zdarzało im się jednak zbyt często rozmawiać. Oczywiście spotykali się podczas wszelkich rodzinnych spędów, ale nigdy nie szukali ze sobą kontaktu poza „protokołem”. Po co więc dzwoniła do niego zaraz po moim wyjściu? – głowiłam się.

– Marzena, słyszysz mnie? Twoja siostra prosi o przepis na sernik z malinami.

– Dzięki, wyślę jej mejlem – szepnęłam.

Sernik z malinami był naszym sekretnym kodem – zawsze, kiedy Marta chciała poważnie o czymś ze mną pogadać, rzucała tekst o serniku. Zwoływałyśmy wtedy spotkanie przy kawie w centrum i obgadywałyśmy problem, dopóki nie zdecydowałyśmy, co dalej. Jednak w tej sytuacji nie miałam najmniejszej ochoty z nią rozmawiać, bo w zasadzie co mogłabym jej powiedzieć? Wysłałam jej tylko SMS-a, a w nim jedno krótkie zdanie. „Zgubiłam gdzieś ten przepis...”

Nie odpisała.

Przez cały wieczór zastanawiałam się, jak bardzo ją uraziłam, jednak w końcu zdecydowałam, że siostra zbyt natrętnie ingeruje w moje sprawy i dałam sobie spokój z wyrzutami sumienia. Domyśliła się, że mam romans – to akurat było dla mnie jasne. Jednak nie zamierzałam się przed nią tłumaczyć, kając czy wypłakiwać. Może dlatego, że zawsze tak surowo mnie oceniała. A o tym, że nigdy sobie nie wybaczę, jeśli stracę Huberta, sama przecież wiedziałam...

Kiedy mąż brał prysznic, zajrzałam na ulubione forum o wiarołomnych współmałżonkach i tym razem znalazłam aż trzy nowe posty. Pierwszy był krótki i żenująco wulgarny.

Zdrada to największe świństwo, jakie można odpiardolić w związku! Dlatego niech się chuj nie łudzi, że kiedykolwiek mu wybaczę! – napisała W–Qurwiona

–na–Maxa. Kocia Mama zaś pisała:

Narzeczony mojej córki to facet, którego chciałaby mieć za zięcia każda kobieta. Świetnie

wykształcony, przystojny, szarmancki. A jednak na ideale pojawiła się skaza... Przyłapałam go zupełnie przypadkiem, nie widział mnie. Siedział w jednej z raczej niemodnych knajpek na peryferiach miasta. Zaszłam tam ze znajomym, nie planowałam tego piwa. Na widok przyszłego zięcia dosłownie mnie zamurowało – siedział przy barze i obłapiał się z jakąś panienką. Tak, „obłapiał się” to chyba najlepsze określenie. Dłoń trzymał u dołu jej pleców, niemal na pośladku, wargami pieścił jej szyję. Pociągnęłam znajomego w głąb lokalu i przez dłuższy czas przyglądałam się Markowi, nie mając już cienia wątpliwości. Kimkolwiek była ta młoda, wyzywająco ubrana kobieta, mój przyszły zięć z całą pewnością nie omawiał z nią najnowszej powieści Coelho. Pocałował ją, kiedy wychodzili i nie był to niewinny przyjacielski pocałunek. W każdej innej sytuacji od razu powiedziałabym córce prawdę, jest jednak pewien problem – Matylda jest z nim w ósmym miesiącu ciąży. Co mi radzicie? Milczeć i mieć nadzieję, że ten drań okaże się lojalniejszym mężem niż narzeczonym, czy pogonić go od razu i uchronić jedynaczkę przed ślubem z kłamcą? Przeklinam tamten wieczór, kiedy weszłam do tego pubu, bo chyba wolałabym żyć w słodkiej nieświadomości. Moja Matylda tak bardzo go kocha, a ja nie wiem, jak z tego wybrnąć. Jestem złą matką? Czy to tylko on jest złym, nieodpowiedzialnym człowiekiem? Przecież za miesiąc zostanie ojcem! Jak mógł wyciąć nam wszystkim taki numer? – Kocia Mama zakończyła pytaniem, ale forumowiczki nie nadesłały jeszcze na nie żadnej odpowiedzi.

Ostatni post był od użytkownicy, która podpisała się Panna Młoda.

Jestem zrozpaczona!!! W zeszłym miesiącu wyszłam za mąż za kogoś, kogo kocham do szaleństwa, ale okazało się, że w jego życiu od lat jest inna kobieta. To mężatka z sąsiedniego miasteczka, matka ośmioletniej dziewczynki. Jest kilka lat starsza od mojego Szczepana, ale jemu to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie – podobno szalał za nią już wtedy, kiedy była w ciąży ze swoim mężem. Więc niemal dziewięć lat temu. Później się pokłócili i Szczepan wyjechał do Austrii. Poznałam go rok temu, po jego powrocie, nie mając pojęcia, że nadal kocha tamtą. Ożenił się ze mną szybko, jakby chciał pokazać kochance, że jego też stać na poukładanie sobie życia. Szkoda tylko, że moim kosztem. A później do siebie wrócili... O wszystkim dowiedziałam się od kuzynki mojej mamy, która postanowiła wyznać mi prawdę. Nienawidzę jej za to i jednocześnie zawsze będę jej wdzięczna. Bo nikt inny nie potrafił mi powiedzieć, za kogo tak naprawdę wyszłam. Tak, moja mama też ponoć wiedziała...

Dziś siedzę sama w domu, a na kuchence „dochodzi” gulasz. Ugotowałam dla męża obiad, ale wysłał mi kolejnego SMS-a z informacją, że będzie późno. Mąż jego kochanki jest kierowcą tira i często nie ma go w domu. Mieszkają pod lasem, z dala od ludzkich spojrzeń i ocen. Jakie to dla niego wygodne i jakie proste dla niej – wystarczy posłać do spania dziecko i rozłożyć nogi.

Dziś zdałam sobie sprawę, że boję się samej siebie. Nocami nie mogę spać i wyobrażam sobie naprawdę okropne rzeczy. W stodole wujka jest siekiera. Są też widły i kosa. Do wyboru do koloru. Najpierw zaciukałabym ją, nie mam co do tego wątpliwości. On pewnie by się obudził i zaczął mnie błagać o życie. To musiałoby być naprawdę cholernie przyjemne uczucie, patrzeć, jak na jego oczach uchodzi z niej całe to kurewstwo! Najśmieszniejsze jest to, że ta tleniona wywłoka miała tupet przyjąć na nasz ślub, wznosić toasty za naszą pomyślność, złożyć nam życzenia, a nawet zatańczyć ze Szczepanem! A ja, głupia i ślepa,

siedziałam wbita w falbany i cieszyłam się, że takiego przystojnego i zaradnego chłopaka złapałam!

Dziś rano obiecałam sobie, że niedługo mu powiem. Dam mu do zrozumienia, że o wszystkim wiem i każę mu wybierać. A jeśli wybierze ją, spakuję się ciemną nocą i ucieknę daleko z tej zabitej dechami wioski, choćby i do stolicy. W Warszawie nie znam nikogo, oprócz takiego jednego kolesia z Tarchomina, którego zagadałam kiedyś na czacie. Podobno jest masarzem, zawód dobry jak każdy inny. Na razie czekam.

Drewniana chałupa, w której mieszkamy z przygłuchą babcią mojego męża, skrzypi, pojękuje niczym kładąca się do snu stara kobieta. Leżę wsłuchana w obce odgłosy i wyobrażam sobie, że jestem kimś zupełnie innym, gdzieś zupełnie gdzie indziej. A później on wraca do domu. Zazwyczaj jest już grubo po północy, czasem nawet druga nad ranem. Zwała się na łóżko bez prysznic, czuję kwiatowy zapach jej tanich perfum, mdli mnie od niego, skręca... Kiedy Szczepan zaczyna chrapać, bosy schodzę na dół i otwieram szuflady z nożami. Wyjmuję ten największy, do krojenia mięsa i zaciskam palce na jego rękojeści. Nie, nie chcę zabić męża, wysoki sądzie. Tylko tak sobie marzę... Później wracam do naszej niewielkiej małżeńskiej sypialni. On mamrocze coś przez sen i kręci się po swojej stronie łóżka. Nie wiem, czy byłabym w stanie go skrzywdzić. Ale czy upokorzona kobieta nie jest zdolna do najbardziej desperackich czynów?

– Słuchaj, mamy jeszcze jakąś nową szczoteczkę do zębów? Moja jest już w opłakanym stanie. – Przepasany frotowym ręcznikiem Hubert zjawił się w sypialni, kiedy kończyłam czytać ostatniego posta.

Na dźwięk jego głosu aż podskoczyłam.

– Przestraszyłem cię? – Mąż cmoknął mnie w kark i zerknął mi przez ramię. – Co czytasz? – zainteresował się.

– A takie tam babskie forum o kosmetykach przeglądam – zełgałam bez mrugnięcia okiem. – A szczoteczki już nie mamy.

– Trzeba kupić. – Hubert wyjął z szuflady nitkę dentystyczną i wyszedł z pokoju.

Miałam zamiar zamknąć komputer, kiedy Panna Młoda opublikowała jeszcze jednego posta.

Sorry, Dziewczyny, za to powyższe zwierzenie, trochę poniosła mnie wyobraźnia! Spokojnie w każdym razie, to czysta fikcja literacka, a siekiery w życiu nie miałam w ręku. Zresztą męża też nie mam, jeśli już jesteście ciekawe. Zaczęłam pisać pierwszą książkę, mam już nawet tytuł. „Zdradzona” – podoba się Wam? Byłybyście zainteresowane tego typu historią? Zależy mi na Waszych opiniach, bo pisanie sprawiało mi frajdę od dziecka. Pozdrawiam i przesyłam moc buziaków!

– Idiotka – mruknęłam pod nosem i wyłączyłam laptopa.

W sumie nie wiem, czemu aż tak mnie wytrąciła z równowagi cała ta mistyfikacja? Jak dotąd naiwnie wierzyłam, że wszystko, co tu przeczytam, jest prawdą. Wyssana z palca historyjka niejakiej Panny Młodej brutalnie zadała temu kłam...

Rowerem nad pobliski zalew jedzie się jakieś czterdzieści minut. Przejazdźka nie należy więc do najdłuższych, ale kiedy sierpniowe słońce przypieka wręcz niemiłosiernie, zmęczenie przychodzi szybciej niż zazwyczaj. Byłam ubrana lekko i przewiewnie – koszulka na cienkich ramiączkach, króciutkie szorty. Lejący się z nieba bezlitosny żar wysał ze mnie jednak resztkę sił.

– Zwolnij, dziewczyno! Pędzisz na złamanie karku! – krzyknęłam, a jadąca przede mną Patrycja głośno się roześmiała.

– Jeszcze kawałeczek, nie rozczulaj się nad sobą! – usłyszałam.

– Ostatni raz wybrałam się z tobą na rower! – odkrzyknęłam, jednak nawet jawna groźba nie zrobiła na niej wrażenia.

Jechała równym rytmem, nie zamierzając zwalniać, więc chcąc nie chcąc, próbowałam dotrzymać jej tempa. Nad zalew dotarłam spocona, czerwona na twarzy i dosłownie wykończona.

– Będziemy musiały popracować nad twoją kondycją. – Patrycja rzuciła swój rower w trawę i wyjęła z plecaka olbrzymi frotowy ręcznik w kotwice.

– A ty kto, Chodakowska? – mruknęłam i obie parsknęłyśmy śmiechem. – Dziewczyno, prawie padłam w drodze. To pewnie przez ten upał...

– Fakt, mocno grzeje – powiedziała Patrycja i nie przejmując się siedzącymi na jednej z ławek młodymi chłopakami, zdjęła bluzkę, zostając w samych szortach i gorze od bikini. – Poopalałabym się topless, ale trochę tu tłoczno – dodała, rozkładając się na ręczniku.

– Z moją figurą chyba bym się już nie odważyła.

– Czemu? – zdziwiła się sąsiadka. – Jak na czterdzieści trzy lata wyglądasz rewelacyjnie.

– Właśnie, jak na czterdzieści trzy lata – westchnęłam.

– Uwierz mi, masz niezłą sylwetkę. Tylko marną kondycję. Gdybyś w końcu zaczęła ze mną biegać, szybko odzyskałabyś formę.

– Nie wiem, czy jestem fanką joggingu. Kiedy niedługo po naszym ślubie zamieszkaliśmy na krakowskim Prokocimiu, zauroczony parkiem Jerzmanowskich Hubert usiłował mnie namówić na codzienne przebieżki. Skończyło się zwichniętą kostką i złymi wspomnieniami... Skręciłam nogę już trzeciego wieczoru po tym, jak obiecaliśmy sobie regularnie biegać i chociaż uraz był niegroźny i szybko do siebie doszłam, nigdy więcej nie dałam się wyciągnąć mężowi na jogging. Na swoje usprawiedliwienie powiem ci, że Hubert zrezygnował z forsowania się jakieś dwa tygodnie później, można więc powiedzieć, że jesteśmy równie leniwi...

– Szkoda. Liczyłam na to, że dasz się namówić na wspólne babskie bieganie. Dobrze, że chociaż Gapa lojalnie dotrzymuje mi towarzystwa – uśmiechnęła się Patrycja i wyjęła z plecaka krem do opalania. – Posmarowałabyś mi plecy? – Chwilę później obróciła się na brzuch i wyciągnęła w moim kierunku tubkę z kremem.

Przez kolejne pół godziny wymieniałyśmy jakieś banalne uwagi o życiu i związkach, prażąc się przy tym w pełnym słońcu. W końcu Patrycja zarządziła ewakuację i przeniosłyśmy się do cienia nad samą wodą.

– Fajnie, że jeszcze nie wyburzyli tej szopy. – Machnęła ręką w kierunku niewielkiego hangaru na łodzie, w którego cieniu rozłożyłyśmy ręczniki, i dodała, że widzi nieźle zbudowanego faceta. – Tam, nad wodą! Na oko dwudziestopięcioletek, pięknie wyrzeźbione ciało. Aż miło spojrzeć.

Podążyłam za jej wzrokiem, jednak chłopak nie był raczej w moim typie. Zbyt napakowany, jeśli mam być szczerą.

– Zaczynam coraz bardziej gorzko żałować, że przespałam się z Mariuszem – Patrycja gładko zmieniła temat i zaczęła zaplatać włosy we francuski warkocz. – W końcu nie po to się z nim rozwodziłam, żeby teraz znowu zaczął sobie rościć do mnie prawa. A zawsze był cholernie zaborczy – dodała.

Zapytałam, czy ma z nim jakiś problem.

– Nie wiem, czy to już problem, ale zaczął się kręcić pod moim domem. Wydzwania, pyta, kiedy znowu się spotkamy... Zachowuje się dokładnie tak, jak w czasie, kiedy się rozstawaliśmy. Chyba znowu zaczęło mu się wydawać, że ma prawo mnie nachodzić, sprawdzać, osaczać.

– „Osaczać” nie brzmi dobrze – powiedziałam, zaniepokojona tym, co powiedziała.

– Nie znam lepszego słowa, żeby opisać jego zachowanie.

– Mówiłaś, że kogoś ma? Że spotyka się z jakąś młodą dziewczyną...

– Bo miał. Tyle że podobno już z nią nie jest. Twierdzi, że to była nic nieznacząca przygoda, że nadal myśli tylko o mnie – zwierzyła mi się Patrycja.

– Pogadaj z nim, jasno i wyraźnie zaznacz, że nie jesteś zainteresowana dalszym ciągiem. Może zrozumie, że zwyczajnie cię nachodzi. Głupio zrobiłaś, idąc z nim do łóżka. Zwłaszcza po tym, jak zachowywał się podczas waszego rozstania. Śledził cię, zastraszał. Tacy mężczyźni się nie zmieniają, Patrycja. Jestem ostatnią osobą, która chciałaby kogokolwiek pouczać. Ale tego faceta powinnaś trzymać na naprawdę sporą odległość. Pogadaj z nim, spław go, pozbądź się. Dziś „tylko” ci grozi, jutro obudzisz się z limem pod okiem.

– Cóż, to nie byłby pierwszy raz – powiedziała cicho Patrycja.

– Już kiedyś cię pobił? Chryste, dziewczyno!

– Tylko raz, na weselu znajomych. Mariusz był mocno podpity, ja ostro flirtowałam z przyjacielem pana młodego. Poniosło go i uderzył mnie w twarz. Ale wtedy naprawdę podniosłam mu ciśnienie. Wcześniej się pokłóciliśmy, a ja, żeby się na nim odegrać, dosłownie uwiesiłam się na tym koleśku.

– Bronisz go?! Nawet jeśli flirtowałaś z kumplem pana młodego, nie miał prawa...

– Marzena, nie chce mi się o tym gadać. To stare dzieje, zamierzchła historia. A wracając do rozmowy – myślisz, że nie próbowałam? Dziewczyno, to jeden z tych troglodytów, dla których kobiecie „nie” znaczy „może”.

– Cholera, przecież musiałaś wiedzieć, jak to się skończy! Naprawdę musiałaś wylądować z nim w łóżku?! – podniosłam głos.

Powiedziała, że za dużo wypila.

– Trochę czerwonego wina, gorszy dzień i stało się. Czułam się samotna, ten młodszy facet, którego niedawno poznałam, jakoś rzadziej dzwonił, a Mariusz się napatoczył i... Rany, Marzena, co mam ci powiedzieć? Krew nie woda! Ludzie robią tego typu głupoty, tak to już jest. Tobie się nie zdarzyło? – zapytała.

– Mam romans. – Zanim zdążyłam się zastanowić, co ja w ogóle wygaduję, wymusnęła mi się cała

prawda o mnie i o Jacku.

Patrycja leciutko się uśmiechnęła, w milczeniu czekając, aż powiem więcej.

– Jest osiem lat młodszy i chociaż sypiamy ze sobą od miesięcy, na jego widok wciąż miękną mi kolana. Poznałam go tuż przed mikołajkami, o ironio losu, kupując prezent dla męża. Zaiskrzyło, zaprosił mnie na kawę, nie powiedziałam „nie”. A później po prostu się stało. Pocałował mnie, pojechaliśmy do niego, za dużo wypiliśmy...

– Skąd ja znam tę bajkę? – Patrycja posłała mi blady uśmiech i zapytała, czy go Kocham.

– Jacka? Nie, to na pewno nie jest miłość. Pożądanie, dzika namiętność, żądza nowych wrażeń, ciekawość – wszystko, tylko nie miłość. Codziennie obiecuję sobie, że z nim zerwę, a później on dzwoni, a ja do niego biegnę. Najgorsza jest świadomość, że ranię męża. Hubert nie ma o niczym pojęcia, ale jeśli kiedykolwiek się dowie... – Nagle załamał mi się głos, a w oczach błysnęły łzy.

– Posłuchaj, jestem daleka od prawienia ci jakichkolwiek morałów, ale skoro nie potrafisz sobie wyobrazić, że Hubert od ciebie odchodzi, zrezygnuj z tego romansu. Swoje przeżyłaś, zostaną ci wspomnienia. Po co dalej ciągnąć coś, co przynosi ci więcej goryczy niż radości? Bo cierpisz, i to słysząc. Zerwij z nim, Marzena. Bo jeszcze trochę i zrobi się za późno.

– Nie wiem, czy już nie zrobiło się za późno – powiedziałam cicho.

A potem opowiedziałam przyjaciółce o zachowaniu Jacka. O jego ciągłych telefonach, awanturach i scenach zazdrości...

– Szantażuje mnie emocjonalnie, wydzwaniam. W dodatku nienawidzi Huberta z takim zapamiętaniem, że zaczyna mnie to przerażać. Niczego przed nim nie ukrywałam, od początku wiedział, że jestem mężatką. Tyle że zupełnie nie respektuje mojej sytuacji, wręcz przeciwnie, robi wszystko, żeby Hubert w końcu się czegoś domyślił. I może zabrzmiałoby to zbyt paranoicznie, ale czasem tak się zastanawiam, czy powinnam zacząć się bać – szepnęłam.

– Brzmi to marnie, powiem ci. Trafił ci się chyba taki romans *sugar free*. – Patrycja wyraźnie posmutniała.

– Może po piwku, dziewczęta? – Wysoki tyczkowaty chłopak wyrósł przed nami, zanim zdążyłam jej odpowiedzieć.

W rękę trzymał dwie puszkę piwa, na głowę miał zarzucony... ręcznik. Wymieniłyśmy z Patrycją rozbawione spojrzenia, a jego siedzący nad wodą kumple zarechotali, poszturchując się i wykrzykując durne komentarze.

– Sorry, panowie, impreza zamknięta. – Patrycja gładko spławiła smarkacza, który jak niepyszny zawrócił w stronę swojego towarzystwa. – Ten przynajmniej od razu zrozumiał, że nie jesteśmy zainteresowane – roześmiała się i sięgnęła po swoją leżącą w trawie bluzkę. – Lepiej ją włożę, zanim któryś z tych szczyli dostanie zęza.

– A tak swoją drogą, napiłabym się piwa – powiedziałam.

– To może jedźmy do Bosmana? To taka niewielka drewniana knajpa nad samą wodą, po drugiej stronie jeziora. Lubiliśmy tam wpadać z moim pierwszym mężem. Buda sprawia wprawdzie wrażenie mocno zaniedbanej, ale żarcie jest rewelacyjne. Napijemy się piwa, zjemy wczesny obiad. Masz ochotę?

Powiedziałam, że jak najbardziej, i zaczęłyśmy zbierać nasze porzucane na trawie rzeczy. Kiedy wsiadałyśmy na rowery, młodzi chłopacy znad wody wydali z siebie przeciągłe „buuuu”, po czym jeden z nich rzucił w ślad za nami, że gdyby co, wiemy, gdzie ich szukać, i głośno zarechotał. Wybuchłyśmy

śmiechem i wyjechałyśmy na szosę. Byłyśmy mniej więcej w połowie drogi, kiedy niebo nad nami pociemniało, a gdzieś za naszymi plecami rozległ się odgłos nadchodzącej burzy. Od pedałowania bolały mnie łydki, ale nie zwalniałam – Patrycja znowu nadała ostre tempo, widać nie chciała zmoknąć. Pierwsze ciężkie krople letniego deszczu spadły na rozgrzany słońcem betonowy podjazd przed niewielką knajpą, kiedy przypinałyśmy rowery do metalowego ogrodzenia za lokalem.

W Bosmanie było zaskakująco tłoczno, duszno i ciasno. Udało nam się jednak znaleźć stolik w kącie sali i przyciągnąć uwagę starszej kelnerki o siwych włosach w fioletowym odcieniu.

– Co podać? – zapytała, podchodząc do naszego stolika.

Zauważyłam, że ma rozległą bliznę po oparzeniu na lewej dłoni i ładny wisiołek w kształcie wieży Eiffla na szyi. Poprosiłam o łososa z grilla i zestaw surówek. Patrycja, która dość długo nie mogła się na nic zdecydować, wzięła w końcu potrawkę z indyka w jarzynach i frytki. Do tego obie wzięłyśmy po dużym piwie, więc od razu zakręciło mi się w głowie. Pewnie dlatego, że oczekując na zamówienie, zaczęłam pić na pusty żołądek, wykończona skwarem i niecodziennym fizycznym wysiłkiem. Kelnerka stawiała właśnie talerze na naszym stoliku, kiedy za oknem lunęło. Przyszła gwałtowna burza, silny wiatr targał gałęziami rosnącego przed knajpą drzewa, tłukł jedną z rozchybotanych okiennic.

Z apetytem dojadłyśmy obiad i zamówiłyśmy po jeszcze jednym browarze.

– Marnie widzę nasz powrót do miasteczka. – Patrycja zapatrzyła się na zalaną deszczem szybę i zapaliła papierosa.

– Tutaj się nie pali. – Siwofioletowa kelnerka okazała się nad wyraz czujna. Moja przyjaciółka nie zdążyła się jeszcze nawet zaciągnąć, kiedy kobieta zjawiała się przy naszym stoliku i kazała Patrycji zgasić papierosa.

– Fakt, jeszcze puszcę tę skleconą z desek budę z dymem – mruknęła i zdusiła niedopałek w pustej filiżance po kawie, która wciąż stała na niesprzątniętym sąsiednim stoliku.

Kelnerka spiorunowała ją wzrokiem, jednak nie powiedziała już nawet słowa. Na szczęście do knajpy wpadło właśnie trzech przemoczonych do suchej nitki młodych chłopaków, skutecznie odciągając od nas uwagę starszej kobiety.

– Zastanawiasz się czasem, co będzie za pięć, dziesięć lat? Gdzie będziesz, z kim? Czy czekają cię jeszcze jakieś podróże, przygody, niecodzienne okazje? Czy przeżyjesz jeszcze coś, czego nigdy byś się nie spodziewała, czy może życie nie trzyma już dla ciebie w zanadrzu niczego ciekawego? – zapytała nagle Patrycja, bawiąc się paczką papierosów. – Ja czasem tak cholernie się boję, że to już wszystko, co było mi pisane. Dwa krótkie małżeństwa, trochę flirtu i koniec. Samotne wieczory, dom, który pewnie kupiłam już na lata, ta sama sypialnia, pustka po drugiej stronie łóżka, jedna szczoteczka do zębów w łazience.

– Nie żartuj! Znajdziesz sobie w kogoś i to w pięć minut. – Uśmiechnęłam się do niej, nie potrafiąc sobie wyobrazić, że dziewczyna tak wystrzałowa jak ona rozpaczliwie boi się samotności.

Kiedy się poznałyśmy, sprawiła wrażenie przebojowej i pewnej siebie. Okazuje się jednak, że za fasadą trzpiotki i flirciary ukrywa się ktoś spragniony zrozumienia i czułości, pomyślałam, zaskoczona kierunkiem, w którym zmierzała nas rozmowa.

– Prędzej znajdę sobie kogoś na pięć minut, Marzena. Chyba widzisz różnicę? Przygruchać sobie faceta do łóżka to pikuś. Znaleźć takiego, który chciałby zostać na dłużej, to zupełnie inna bajka. Ale

przyznaj sama, boisz się czasem? Przyszłości, niespodzianek losu, zmian? Tego, że coś, co przez lata budowałeś, runie bezpowrotnie, zawali się jak domek z kart?

– Nie kracz – wzdrygnęłam się.

– Po prostu pytam – wzruszyła ramionami.

– Wiesz, w zasadzie jeszcze do niedawna myślałam, że każdy fragment mojego życia jest już gruntownie poukładany. Ale odkąd zaczęłam spotykać się z Jackiem, sama nie wiem... Czasem wyobrażam sobie, jak by mi było bez Huberta. Z jednej strony przeraża mnie myśl, że mógłby zniknąć z mojego życia, z drugiej ta perspektywa wydaje mi się kusząca. Jacek ma krewnych w Niemczech, dość sporo podróżuje. Kocha Kalifornię, marzy, żeby tam jechać. Może któregoś dnia moglibyśmy polecieć do Stanów, wynająć tam samochód i ruszyć na poszukiwanie przygody? Może poniosłoby nas tam, gdzie przenigdy nie dotarłabym z mężem? Hubert jest inny. Spokojny, bardziej zrównoważony, skupiony głównie na pracy. Szpital i dom, te dwa miejsca w zupełności wystarczają mu do szczęścia i czasem mam wrażenie, że się przy nim duszę. Ale prawda jest taka, że stabilizacja, którą mi zapewnia, jest bezcenna. Moje przyjaciółki się rozwodzą, ja mam męża, który nie myśli o innych kobietach. Jest taki godny zaufania, że czasem aż mnie to przeraża. Może gdyby zachowywał się inaczej, czułabym się teraz mniej podle. Ale on jest taki cholernie prawy, niemal idealny.

– Jesteś pewna, że taki z niego ideał? – Patrycja uśmiechnęła się krzywo i wyjęła z paczki papierosa.

– Cholera, muszę zapalić! Idę do łazienki! – dodała.

Kiedy zostałam sama, zastanowiłam się nad jej pytaniem. Nie, nie byłam tego pewna. W końcu wiernością męża nigdy lepiej się nie chwalić. Ale miałam nadzieję, że Hubert nadal mnie kocha, że nadal wyobraża sobie naszą wspólną przyszłość. I tak, ja nadal go kochałam. Tyle że czasem ta nasza wieloletnia miłość była jak wygodne i ciepłe, ulubione pantofle – chętnie noszone, a jednak takie... wyświechtane. Tak, kochałam męża, ale w tej miłości nie było już elementów flirtu czy zaskoczenia. Motyle w brzuchu dawno odleciały, proza życia otuliła nas szarością codziennego dnia...

– W kiblu jest jakaś czuła parka. Kiedy weszłam, zabawiali się w jednej z kabin – powiedziała Patrycja lekkim tonem. – Skończyło się na tym, że wypaliłam papierosa na tyłach knajpy, skulona pomiędzy niemiłosiernie cuchnącymi kontenerami na śmieci.

Przygnębienie, jakie jeszcze przed kilkoma minutami można było zauważyć w jej zachowaniu, bezpowrotnie zniknęło.

– Jest lato, kochana – uśmiechnęłam się i obie wybuchłyśmy śmiechem.

– Miłość kwitnie. Facet w każdym razie musiał zabrać tę lalę do siódmego nieba i z powrotem, bo wydawała z siebie naprawdę teatralne ochy i achy.

– A to nie ta parka, która jeszcze kilka minut wcześniej siedziała przy oknie? Ta brunetka z krótkimi włosami i przystojniaczek koło trzydziestki.

– Nie wiem. Przecież ich nie widziałam – wzruszyła ramionami Patrycja i z wciąż błakającym się w kącikach ust uśmiechem dodała, że niektórzy lubią dreszczyk emocji. – Chciałabym widzieć minę tej starej, gdyby ich nakryła. Mnie kazała zgasić fajkę, a w kiblu hasa czuła parka – dodała. – Czeka, mam pomysł! – Patrycja gwałtownie zerwała się z stołu i ruszyła w stronę stanowiska kelnerów. – W łazience jest szczur – usłyszałam jej głos i po chwili dotarło do mnie, co planuje.

– Ty wredna żmijo! Nie znałam cię od tej strony – roześmiałam się, kiedy z miną zwycięzcy wróciła do naszego stolika.

– Cśśś, po prostu patrz – syknęła, siadając tak, żeby widzieć łazienkowe drzwi.

Starsza kelnerka najwidoczniej nie była z tych strachliwych kobiecieątek, które boją się szczurów, bo uzbrojona w mopa dzielnie weszła na spotkanie z wrogiem. Chwilę później z łazienki dotarły do nas podniesione głosy, a para, którą widziałam przy stoliku pod oknem, wyszła z toalety, zaśmiewając się do łez. Ona miała rozpiętą bluzkę i zmierzwione włosy, on w pośpiechu zapinał pasek i wyglądał na znacznie bardziej zażenowanego niż jego dziewczyna.

– Zbierajmy się, zanim kobita wpadnie na to, że to nie na szczura, ale na węża napatoczyłam się w łazience – roześmiała się Patrycja, wyjmując z plecaka portfel.

– Małpa z ciebie, wiesz? – powiedziałam, chociaż przyznaję, że rozgrywająca się na naszych oczach scena zdołała mnie rozbawić.

Patrycja wzruszyła ramionami i mruknęła, że nic się w końcu nie stało. Tymczasem z łazienki, dierząc w dłoni mopa, wyszła starsza kelnerka, która posłała nam krzywe spojrzenie, ale słowem nie skomentowała całego zajścia.

– Zadzwońię po Huberta. Niech po nas przyjedzie – zaproponowałam. – Na szczęście od niedawna mamy zamontowany bagażnik na rowery.

– Byłoby super. Nadal leje jak z cebra. I skończ z tym drugim facetem. – Patrycja złapała mnie za rękę i zaskakująco zacisnęła palce. – Masz zbyt wiele do stracenia, Marzena. Miałam dwóch mężów i każdy z nich był dupkiem. Hubert wygląda na fajnego, wartościowego gościa. Nie schrzań wszystkiego tylko dlatego, że straciłaś głowę dla jakiegoś przygodnie poznanego koleśia.

– Nie mówmy już o tym – powiedziałam cicho.

– Nie będziemy. Ale przemyśl sobie na spokojnie to, co ci powiedziałam, okay? – poprosiła.

– Patrycja, ja to wszystko wiem. A później słyszę w słuchawce jego głos i od razu tracę rozum...

Koleżanka ze zrozumieniem pokiwała głową i bawiąc się paczką papierosów, zapatrzyła się w okno.

– Do dziś nie miałam pojęcia, że palisz – zmieniłam temat.

– Nie palę. Po prostu czasem nachodzi mnie ochota na papierosa. To samo mam ze słodyczami. W zasadzie nie jem ich jakoś szczególnie dużo, ale czasem zdarza mi się zaszaleć z kaloriami.

– Dzwonię do Huberta – powiedziałam.

– Pójdę za nas zapłacić.

– Dzięki. – Podałam jej pięćdziesiątkę i wybrałam numer męża.

Odebrał po drugim sygnale, widać miał telefon pod ręką.

Słyszac w słuchawce jego spokojny głos, pomyślałam, że jestem wyjątkowo złym człowiekiem i znowu zachciało mi się płakać... *Romans sugar free* – Patrycja trafnie to ujęła. Bo w moim związku z Jackiem trudno się już było doszukać chociażby grama czystej słodyczy...

Wyjeżdżam na kilka dni do Niemiec. Powinienem wrócić w przyszły czwartek. Pozdrawiam!” – SMS-a tej treści dostałam od Jacka następnego dnia tuż przed południem. W pierwszej chwili chciałam oddzwonić. Zapytać, skąd nagle decyzja o wyjeździe i czemu wcześniej słowem się nie zająknął, że wybiera się za granicę. Zdecydowałam jednak, że po prostu wyślę mu lakoniczną wiadomość z życzeniami bezpiecznej podróży. Odpisał po paru chwilach, obiecał, że będzie tęsknić. Nie odpowiedziałam. Skrupulatnie za to wykasowałam obie wiadomości i przeszłam do firmowego barku, gdzie zaparzyłam sobie filiżankę naprawdę szatańsko mocnej kawy.

Hubert zadzwonił kilka minut później, dosłownie jakby podświadomie czuł na karku oddech rywala...

– Cześć, kochanie. Słuchaj, gdybyś miała ochotę, moglibyśmy dzisiaj skoczyć nad wodę. Wczoraj nad zalewem tak sobie pomyślałem, że ostatnio spędzamy ze sobą coraz mniej czasu. Ja wiecznie siedzę w szpitalu, ty masz pracę, nowych znajomych... – zaczął. – To jak? Dasz się namówić na spontaniczny wypad?

Zawahałam się.

– Hubert, nie wiem, czy to jest najlepszy pomysł. Wczoraj dość mocno przypiekłam sobie plecy, a dziś też ostro grzeje. W dodatku zapowiadali kolejną gwałtowną burzę.

– Od kiedy boisz się burzy? – zdziwił się.

– Nie mówię, że się boję. Mówię, że spiekłam się wczoraj na raka. Mam dość upału i wolałabym, żebyśmy raczej...

– Jasne, rozumiem – mąż ostrym tonem wszedł mi w słowo.

– Czemu od razu tak się irytujesz? Możemy się wybrać na długi wieczorny spacer albo urządzić sobie piknik w brzozowym lasku. Zresztą i tak będę w domu dopiero koło siedemnastej.

– A statek? – zapytał Hubert łagodniejszym tonem.

– Co statek?

– Może wybierzemy się na wycieczkę statkiem? Póki po rzece kursują jeszcze te stateczki dla turystów. Po sezonie już ich nie ma. Miałabyś ochotę? Ostatni rejs zaczyna się o dziewiętnastej. Potańczymy, napijemy się piwa...

Powiedziałam, że takie atrakcje wolałabym zaplanować na sobotę.

Hubert rzucił, że na weekend zapowiadali załamanie pogody i dodał, że musi wracać na oddział.

– Kochanie, pogadamy w domu, na spokojnie – usiłowałam załagodzić sytuację, ale mąż burknął tylko „na razie” i szybko się rozłączył.

Wróciłam do pokoju i zasiadłam przed komputerem. Agata posłała wymowne spojrzenie, wskazując na trzymaną przeze mnie komórkę.

– Jest jeszcze kawa? – Mirka wstała i rozmasowała bolący bark, który dokuczał jej od dłuższego czasu.

Powiedziałam, że została jakaś resztką.

– Chyba nasza kolej na uzupełnienie kuchennych zapasów. Dziewczyny z księgowości kupiły ostatnio całkiem sporo rzeczy, w tym cukier i kilka owocowych herbat – dodałam.

– Ostatnio nigdzie się bez niego nie ruszasz – zauważyła Agata cierpkim tonem, nadal wymownie wpatrując się w mój telefon.

– Może dlatego, że pracuję z bardzo wścibskimi koleżankami? – odgryzłam się jej.

– Mnie w to nie mieszaj. – Mira obciągnęła sięgającą jej przed kolano niebieską spódnicę w czarne róże i ruszyła w stronę drzwi. – Jeśli zaraz nie napiję się kawy, padnę na twarz – dodała jeszcze, zanim wyszła.

Agata wciąż otwarcie mi się przyglądała, co nagle zaczęło mnie irytować.

– Posłuchaj, jeśli coś do mnie masz, po prostu powiedz, okay? Pamiętam czasy, kiedy byłaś moją najbliższą biurową koleżanką, ale niestety było, minęło. Posyłasz mi krzywe spojrzenia, rzucasz jakieś aluzje! Wykrztuś wreszcie, o co ci chodzi, albo...

Urwałam, bo w drzwiach pojawiła się pracująca w sekretariacie Kinga. Żadna z nas za nią nie przepadała.

– O czternastej jest zebranie – powiedziała, jak zawsze żując gumę.

Szefowa kilkakrotnie zwracała jej ponoć uwagę, że to niestosowne, ale Kinga uparcie wracała do swoich przyzwyczajzeń.

– Czternasta, słyszycie? Mam nadzieję, że dotrzecie na czas, bo za spóźnienia personelu zazwyczaj obrywa się mnie – dodała nowo przybyła kwaśnym tonem.

– Życie bywa okrutne. – Agata, która od długich miesięcy toczyła z Kingą zażarte boje słowne, obojętnie wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że o czternastej trzydzieści – wtrąciłam się.

– Szefowa przełożyła godzinę. Przekażcie Mirce, dobrze?

– Jasne – obiecałam.

Kinga wyszła chwilę później, a Agata przysiadła na skraju mojego biurka.

– Wracając do twojego pytania. Zaczniemy od tego, że ja nic do ciebie nie mam. To ty ostatnio zupełnie się ode mnie odsunęłaś. Nie chodzimy już razem na zakupy, nie wyskakujemy na lunch... Więc nie mów mi, że to moja wina! – zarzuciła mi.

– Agata, to nie tak, że...

– Co, będziesz mi teraz mydlić oczy?! Przecież widzę, że między nami coś się zmieniło! Ty się zmieniłaś, mówiąc bardziej precyzyjnie. Dystansujesz się, odpowiadasz półsłówkami, wymykasz się do łazienki z zaciśniętym telefonem w dłoni...

– Może mam problemy, nie przyszło ci to do głowy?! – zapytałam ostro.

– Może. Ale od tego są przyjaciele, żeby o nich rozmawiać.

– Pracujemy razem, Agata. A o niektórych rzeczach nie mam ochoty rozmawiać w firmie.

– Nie ufasz mi?

– Nie chcę rozmawiać o pewnych rzeczach, okay? – rzuciłam zmęczonym tonem.

– Masz romans, prawda? Przecież świetnie widzę, jak się miotasz, jak starannie sprawdzasz komórkę, jak...

– Agata, to nie jest twoja sprawa! – krzyknęłam.

– Jasne, wybaczone – powiedziała, odwracając się do mnie plecami.

– Posłuchaj, nie kończmy tej rozmowy w taki sposób. Chodźmy kiedyś razem na kawę, pogadajmy. Tyle że są rzeczy, o których...

– Wiem, wiem. Są rzeczy, o których nagle nie chcesz ze mną rozmawiać – mruknęła Agata, a jej nadąsana mina wymownie świadczyła o tym, że koleżanka nie żywi obecnie wobec mnie jakichkolwiek cieplejszych uczuć.

Wróciłam do pracy. Trzęsły mi się ręce i nie mogłam się skupić, w dodatku Agata nadal co jakiś czas zerknęła w moją stronę, co zaczęło doprowadzać mnie do szału. Na zebraniu było nudno i nijako. Szefowa zaczęła przedstawiać nam politykę fundacji, z którą mieliśmy zamiar podjąć współpracę, ale prawdę mówiąc, kompletnie się wyłączyłam.

Przed szesnastą ponownie zadzwonił Hubert i irytująco oficjalnym tonem oznajmił, że jednak nie spędzimy ze sobą popołudnia, bo musi dłużej zostać na oddziale. Powiedziałam mu, że skoczę w takim razie do galerii, żeby rozejrzeć się za butami dla niego. Niedługo żenił się jeden z jego najlepszych szpitalnych znajomych i już jakiś czas temu obiecałam mężowi, że znajdę pasujące mu do garnituru sznurowane „oksfordki”.

– Jadę do galerii, podrzucić kogoś w tamte rejony? – zapytałam, wyłączając komputer.

– Dzięki, ale dzisiaj umówiłam się w zupełnie innej części miasta – powiedziała Mirka, nie odrywając wzroku od monitora.

– A ja chętnie się z tobą zabiorę. Obiecałam wpaść do siostry, więc nie będę się musiała tłuc autobusem – ucieszyła się Agata.

Otwierałam samochód, kiedy koleżanka zapytała, czy chodzi o kogoś z firmy.

– No wiesz, ten facet... Idę o zakład, że to Darek Hryniewicz! Widzę, jak czasem na siebie patrzycie. On niedawno się rozwiódł, ty ewidentnie przeżywasz jakiś kryzys w związku i pewnie...

– Agata, bredzisz – syknęłam, do reszty tracąc ochotę na jej towarzystwo.

– Skoro tak mówisz – mruknęła, ładując się do mojego samochodu.

Podrzuciłam ją na Bulwarową i chociaż zazwyczaj słuchałyśmy w aucie radia, przekrzykując się nawzajem i przekomarzając, tym razem pomiędzy nami panowało niezręczne wręcz milczenie. Zanim wysiadła, powiedziałam jej coś, co od dawna miałam na końcu języka.

– Pewnie się teraz obrazisz, Agata, ale i tak to z siebie wyrzucę. Wybacz, ale uważam, że jesteś wścibska, nietaktowna i wyniosła.

– Dzięki, miło usłyszeć kilka ciepłych słów od kogoś, kogo miało się za przyjaciółkę. A tak na marginesie – słyszałam, że Hryniewicz ma małego – dodała, wysiadając.

Parsknęłam śmiechem. Co ona sobie uroiła z tym Hryniewiczem? I jakim prawem rozmawia ze mną w ten sposób? Marta zachowywała się podobnie, ale to w końcu moja siostra. Bezcelnych insynuacji Agaty nie miałam zamiaru dłużej wysłuchiwać!

Z auta wysiadłam wściekła. Nawet jeśli firmowa koleżanka w jakiś sposób się o mnie martwiła, i tak moim zdaniem grubo przekroczyła pewne granice. Nie muszę się nikomu tłumaczyć, a już na pewno nie jej! Nasze wypadki na miasto, drinki, lunche, telefoniczne rozmowy – dawniej dość często zwierzałam jej się ze swoich osobistych problemów, co teraz zaczęłam sobie wyrzucać. Miałam do niej żal, że wtrąca się w moje sprawy, ale przecież sama wręczyłam jej swego czasu klucz do mojego prywatnego życia – zrozumiałam.

W centrum handlowym były tłumy i szybko pożałowałam, że w ogóle tam zajrzałam. Słowo się jednak rzekło, ruszyłam więc wzdłuż głównego pasażu, zdobionego donicami z palmami, w poszukiwaniu obuwniczych salonów.

Jacka zauważyłam przypadkiem. Gdybym kątem oka nie zerknęła w stronę jednej z niewielkich herbaciarni, pewnie przesłabym obojętnie. Siedział w towarzystwie wyjątkowo atrakcyjnej młodej kobiety. Miała na sobie czarną sukienkę, rudoblond włosy, piękną twarz i uszmińkowane na krwistoczerwono pełne usta. Zazdrość przyszła nagle, niczym cios pięścią między oczy. W jednej chwili jak wrośnięta w ziemię stałam w pasażu, w drugiej ruszyłam w stronę ich stolika, jakby nogi same mnie poniosły. Pierwszy zauważył mnie on, jednak na jego przystojnej twarzy nie dostrzegłam nawet cienia skruchy – wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie wyjątkowo z siebie zadowolonego.

– Nie powinieneś być teraz w drodze do Niemiec? – warknęłam, kiedy już precisiłam się przez zatłoczoną herbaciarnię.

– Zmiana planów – powiedział.

Towarzysząca mu dziewczyna zmierzyła mnie krytycznym spojrzeniem i pogardliwie wyduła usta.

– Nie przedstawiś nas sobie? – zapytałam lodowatym tonem.

– Oczywiście. Gdzie moje maniery? To jest Wika, a to Marzena, moja dobra znajoma – powiedział z przyklejonym do warg kpiarskim uśmiechem.

Słowo „znajoma” wymówił tak wymownie, że spłonęłam rumieńcem.

– Pójdę już. – Wika nagle straciła humor i nie dojadając swojej szarlotki, gwałtownie zerwała się z stolika.

Byłam pewna, że Jacek będzie ją chciał zatrzymać, ale tylko patrzył, jak dziewczyna przeciska się przez zatłoczoną herbaciarnię i znika w tłumie kupujących po drugiej stronie pasażu.

– Co to za dziunia?! – zapytałam ostro.

– Znajoma. Kiedyś razem pracowaliśmy.

– W warsztacie samochodowym? – zakpiłam.

– Nie od zawsze mam własny biznes, słonko. Kiedyś, jak zresztą powinnaś już wiedzieć, łapałem się różnych dorywczych fuch. Bywałem kurierem, przedstawicielem handlowym, kelnerem, taryfiarzem. Może kiedyś ci opowiem, gdzie poznałem Wikę – mrugnął do mnie i dojadł resztkę szarlotki z zostawionego przez dziewczynę talerzyka.

Milczałam.

– Usiądź, nie stój mi nad głową. Moja matka lubiła tak sterczeć nad ojcem, co zawsze doprowadzało go do szału – mruknął Jacek, zlizując z widelczyka resztki bitej śmietany.

– Nie miałam pojęcia, że jesteś aż takim dupkiem! Po cholere te SMS-y, kłamstwa, mydlenie mi oczu?! Po co piszesz, że wyjeżdżasz, skoro nie zamierzasz ruszać się z miasteczka? W co ty sobie ze mną pogrywasz, Jacek?! – warknęłam, ignorując zaproszenie do stolika.

Siedząca obok starsza kobieta o blond włosach posłała mi zaciekawione spojrzenie i gorączkowo zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem skądś jej nie znam. Co, jeśli to jakaś znajoma Huberta? – przeraziłam się.

Jacek odsunął na bok talerzyk po szarlotce i zabębnił palcami o blat stołu.

– Nie uważasz, że ta cała twoja zazdrość jest zwyczajnie śmieszna? Mam chyba prawo nieco

poflirtować, skoro ty wciąż jesteś z mężusiem? – Mój kochanek krzywo się uśmiechnął i przywołał młodą kelnerkę. – Rachunek proszę – zawołał.

– Myślałam, że jesteś inny – powiedziałam cicho.

– No to wygląda na to, że jesteśmy kwita, kotku! – roześmiał się, wyraźnie rozbawiony.

Powiedziałam, że lepiej będzie, jeśli już pójdę.

Złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

Syknęłam.

– Puszczaj, oszalałeś?!

Siedząca przy sąsiednim stoliku starsza kobieta nie zwracała już sobie nami głowy, byliśmy jednak w zatłoczonym centrum handlowym i czułam się co najmniej niepewnie.

– Wpadnij do mnie wieczorem – poprosił. – Najlepiej tak koło dwudziestej pierwszej.

– Może lepiej zaprosz Wikę? – wycedziłam przez zęby.

– A co? Lubisz trójkąci? – Jacek wysilił się na marny dowcip.

– Puść! – Wyszarpnęłam rękę i ruszyłam do wyjścia.

Kwadrans później kupiłam mężowi eleganckie skórkowe buty i ruszyłam do zostawionego na podziemnym parkingu volva.

Kiedy wróciłam do domu, Huberta jeszcze nie było. Wzięłam więc rekordowo długi prysznic, przemałowałam paznokcie i zjadłam jogurt, cały czas wmawiając sobie, że wcale nie zamierzam jechać do Jacka. Wybiła dziewiętnasta. Z książką w ręku i komórką w zasięgu wzroku usiadłam w fotelu. Lektura była jednak mało wciągająca, a ja zdałam sobie sprawę, że myślę już tylko o kochanku. Kwadrans przed dwudziestą pierwszą zrozumiałam, że nie ma co się oszukiwać i wskoczyłam w nową kwiecistą sukienkę.

Kilka minut później byłam już przed jego drzwiami.

– Jesteś – uśmiechnął się, jednak był to uśmiech... lisa.

Wiedział, że wygrał, bo w końcu przybiegłam do niego, nawet jeśli po południu w pewien sposób mnie upokorzył.

– Wejdz, nie stój w drzwiach. – Chwilę później wziął ode mnie żakiet i wpuścił mnie do środka.

Przyciągnęłam go do siebie i pocałowałam, przygryzając zębami jego dolną wargę. Syknął z bólu. Poczułam w ustach smak krwi i zdjęta nagłą paniką, pomyślałam o HIV. Czytałam przecież niedawno w sieci dramatyczną historię młodej kobiety, którą zaraził niewierny mąż. Co, jeśli to ja narażę zdrowie i życie Huberta? – przeszło mi przez myśl. Jacek wsunął dłoń pod moją sukienkę i podarł na mnie majtki, biorąc mnie na stojąco, opartą o ścianę w korytarzu. Wybiegłam od niego kilka minut później, bez słowa schowałam do torebki podarte stringi i pod osłoną ciemności letniego wieczoru, płonąca z emocji wsiadłam do samochodu.

Na szczęście, kiedy wróciłam, Huberta nie było. Musiał wpaść do domu i ponownie gdzieś wyjść, bo na kuchennym stole znalazłam karteczkę z informacją, że poszedł na ekspresowe piwo ze znajomym lekarzem. Pobiegnęłam pod prysznic i przez długie minuty stałam w strugach gorącej wody. Wracając do domu, miałam wrażenie, że cała jestem przesiąknięta kochankiem, że moja skóra pachnie już tylko nim... Teraz tarłam się szorstką gąbką, jakbym wierzyła, że wystarczy jedna wieczorna kąpiel i znowu będę sobą. Przymknęłam oczy, a wyobraźnia podsunęła mi obrazy z wieczornej randki. Hubert rzadko kochał

się ze mną w jakichś szczególnie wymyślnych pozycjach. Jacek był dziki i nienasycony, mąż czuły i delikatny. Dwaj mężczyźni różni jak ogień i woda, dwa różne oblicza miłostnego teatru żądź. Kim byłam w tym układzie ja? Jeszcze niedawno wmawiałam sobie, że całkowicie panuję nad sytuacją, ale czy nadal w to wierzyłam? Cieszyła mnie władza, jaką mam nad Jackiem. Pożądanie w jego oczach, zamglone spojrzenie. Jednak minęło kilka miesięcy i nagle to on zyskał władzę nade mną, zapanował nad moim ciałem, zmusił je do uległości. Większość moich myśli poświęcam jemu. Czas, który powinnam spędzać z mężem, oddaję kochankowi. Budzę się z jego imieniem na ustach i marząc o nim, zasypiam. Czy naprawdę nadal wierzę, że nad wszystkim panuję? – zapytałam samą siebie, przyglądając się swojej twarzy odbitej w zaparowanym łazienkowym lustrze.

Ręcznik, którym się owinęłam, pachniał wodą kolońską Huberta. Dokładnie taką samą, jakiej używał Jacek. Na myśl o mężu poczułam tak silne wyrzuty sumienia, że zaczęłam płakać. Woda z moich mokrych włosów skapywała na posadzkę, a ja siedziałam na brzegu wanny i nie mogłam przestać szlochać.

Mąż wszedł do łazienki, bezszelestnie otwierając uchylone drzwi.

– Płaczesz? – zdziwił się.

Przyłapana, przerażona stanem, w jakim mnie zastał i spanikowana, otarłam oczy wierzchem dłoni i posłałam mu wymuszony uśmiech.

– Marzenko, co się stało? – zapytał cicho.

– Myślałam o Lidce – szepnęłam.

Hubert pokiwał głową i przyznał, że sam również często myśli o zmarłej kuzynce. Chwilę później włączył suszarkę i delikatnie przeczesując moje włosy palcami, zaczął je suszyć. Rozpłakałam się od nowa, czułam się jak ostatnia szmata. Jak mogłam powiedzieć coś takiego, jak mogłam wplątać w to Lidkę? Kochałam kuzynkę męża, byliśmy sobie bardzo bliskie. Tyle że ona nie знаła mnie takiej, jaką teraz siebie widziałam. Czy nadal byłaby dla mnie taka miła, gdyby wiedziała? A może ona też nie była święta? Może nikt z nas nie jest? Może zadręczam się, zamiast korzystać z życia, które trwa tylko jedną chwilę?

Spojrzałam na męża.

– Gdzie byłeś? – zapytałam.

– Nie znalazłaś karteczki? – odpowiedział pytaniem.

– Znalazłam. Zastanawiałam się tylko... Nieważne.

– Co? O co chciałaś zapytać? Z kim byłem? Chyba nie jesteś zazdrosna? – uśmiechnął się.

Nie odpowiedziałam.

Wzięłam od niego suszarkę i dosuszyłam włosy, starając się jakoś je ułożyć.

– Byłem z Adamem Wolskim, jeśli już musisz wiedzieć. Wypiliśmy po małym piwie i wróciłem prosto do domu. – Hubert mrugnął do mnie, wyraźnie rozbawiony moją niecodzienną dociekliwością.

– Zrobiłbyś mi herbatę? – zapytałam, chcąc pozbyć się z łazienki świadka mojego załamania.

Kiedy wyszedł, przemyłam twarz zimną wodą i kilkakrotnie powtórzyłam w duchu jedno krótkie zdanie: „To wszystko wymyka się spod mojej kontroli...”.

Na forum o niewierności weszłam o drugiej nad ranem. Nie mogłam spać, więc wymknęłam się z sypialni i włączyłam zostawionego w salonie laptopa. Nowy wpis był jeden, autorstwa Koniczynki89.

Znacie to uczucie, kiedy w jednej chwili ziemia dosłownie usuwa się Wam spod nóg? Otóż

ja właśnie je poznałam... Tamtej soboty przeszukiwałam samochód męża, chcąc zlokalizować zgubionego przez naszą córeczkę pluszowego królika, ale zamiast pluszaka, znalazłam szminkę. Leżała pod siedzeniem pasażera i z całą pewnością nie była moja. Ja używam Diora, tak jak moja matka. Oczywiście jakaś część mnie bardzo pragnęła uwierzyć, że to tylko nic nieznaczące nieporozumienie. Że pomadka należy do szefowej męża, może do jednej z koleżanek, które czasem odwozi po pracy. O romansie nie chciałam nawet myśleć. Moja siostra była innego zdania. Powiedziała, że to musi być coś, co trwa od dłuższego czasu i że tamta kobieta podrzuciła tę szminkę specjalnie, po to, żebym ją znalazła. Znalazła i pogoniła męża... Ale ja milczałam.

Pomadkę do ust wyrzuciłam do kubła na śmieci i wróciłam na domu. Córeczka zaczęła mnie szarpać za rękaw, pytając, gdzie jej króliczek i dopiero wtedy dotarło do mnie, że zapomniałam o pluszaku. Wyszłam więc przed dom, wsiałam do samochodu męża i wybuchłam płaczem.

Wieczorem Wojtek długo rozmawiał przez telefon i był dziwnie nieswój. Później wypił dwa piwa i zaszył się na dole, twierdząc, że ma sporo pracy. Do sypialni przyszedł dopiero koło drugiej nad ranem, a ja z bijącym sercem czekałam, aż mnie przytuli. Bo przecież do niedawna zasypialiśmy wtuleni w siebie. Ale tym razem położył się po swojej stronie łóżka i nawet mnie nie dotknął.

Kilka kolejnych dni było koszmarem. Przeszukiwałam jego rzeczy, czytałam SMS-y, grzebałam w biurku, zaczęłam nawet przeglądać poukładane na regałach książki, w nadziei, że znajdę coś, co pomoże mi odkryć prawdę. Ale niczego nie znalazłam. Minał miesiąc i nieco się uspokoiłam. Wmówiłam sobie, że szminka należała do kogoś niemającego żadnego związku z naszym życiem. I wtedy pojawiła się ona. Zadzwoiła do drzwi, zupełnie jak wszyscy inni. Czekałam na kuriera, więc pognałam do przedpokoju i wyszłam przed dom w ulubionym spranym szlafroku w róże, w którym zazwyczaj kręciłam się po domu przedpołudniami.

Pani W.? – zapytała. Skinęłam głową, zastanawiając się, czego może chcieć ta drobna szczupła kobieta o ostrej ptasiej twarzy i cienkich mysich włosach. Przez dłuższą chwilę milczała, w końcu powiedziała, że jest w ciąży z moim mężem. „Prosiłam Wojciecha, żeby w końcu pani powiedział i podjął jakąś decyzję, ale jest zbyt wielkim tchórzem... Dlatego przyszłam...” – powiedziała. Kompletnie zszokowana otworzyłam usta, ale nie wydobyło się z nich nawet jedno słowo. Po prostu zatrzasnęłam jej przed nosem furtkę i niemal biegnąc, dopadłam frontowych drzwi. „Jakaś decyzję będzie w końcu musiał podjąć!” – krzyknęła jeszcze ona, zanim zamknęłam się w środku.

Córeczka przyglądała mi się, ssąc kciuk, była jeszcze w pizamce. Wzięłam ją na rękę i przez dłuższą chwilę napawałam się słodkim zapachem jej niewinności. Wtedy postanowiłam. Nie pozwolę mu odejść! Sama wychowywałam się bez ojca, świetnie pamiętam, jak bardzo mi go brakowało. Przez całą podstawówkę czułam się gorsza, jakby to była moja wina, że zostawił matkę i odszedł. Ale Wojciechowi odejść nie pozwolę! – pomyślałam. Wieczorem powiedziałam mu o wizycie kochanki i kazałam ją pogonić. „Możesz płacić na to dziecko, ale nie będziesz go widywał, zrozumiałeś?!” – krzyknęłam. Rozpłakał się. Zaczął mnie zapewniać, że to było chwilowe zaślepienie, że to ona chciała czegoś więcej i wrobiła go w ciążę. Kazałam mu się zamknąć. Dodałam tylko, że jeśli będzie to kontynuować, puszczę go z torbami. A w naszym związku to zawsze ja byłam tą

z pieniędzmi. Skinął głową i złapał mnie za rękę. „Wiesz, że zawsze kochałem tylko ciebie, prawda, myszko?” – zapytał.

Odkochałam się w nim tamtego wieczoru, jakby ktoś z pomocą magicznej różdżki odmienił moje serce. Ale nadal pragnęłam dobra naszej córki, która nie miała jeszcze przecież nawet trzech lat. Dlatego pozwoliłam mu zostać. Dwa tygodnie temu byliśmy na weselu mojej kuzynki, dziś odebrałam od niej zdjęcia. Na każdej fotce wyglądamy fantastycznie, para idealna. On – przystojny jasnooki blondyn, ja – śniada brunetka z włosami do połowy pleców. Fotograf kazał nam się do siebie przysunąć i mąż objął mnie ramieniem. Uśmiechnęłam się odruchowo, a może zrobiłam to z wyrachowaniem? Wiedziałam przecież, że będzie te zdjęcia oglądać cała moja rodzina. Moje życie od dawna nie jest idealne, ale świetnie wiem, że w dzisiejszym świecie liczą się głównie pozory. Dlatego robię dobrą minę do jego zdradzieckiej gry i udaję, że wszystko jest w porządku. O tym, że kochanka Wojciecha za kilka miesięcy urodzi mu dziecko, wolę nie myśleć. Zresztą jakie to ma znaczenie? Przecież już mi przyrzekł – zostaje z nami!

Cześć, Marzenko! Słuchaj, wpadlibyście do mnie jutro na grilla? – Patrycja zagadnęła mnie, kiedy wyszłam rozwiesić pranie. – I wybaczyć, że tak późno was zapraszam, ale zamarzyła mi się spontaniczna impreza.

Oparta o dzielący nasze ogródki drewniany płotek, czerwona od przedpołudniowego słońca, sąsiadka wyglądała na wypoczętą i zadowoloną z życia. W szafirowo-białym kostiumie kąpielowym, który razem wybierałyśmy, bosa, ze spiętymi w wysoki kucyk włosami, sprawiała zwodnicze wrażenie kogoś, kto nie ma żadnych problemów.

– Opalasz się? – zapytałam, nie mogąc powstrzymać śmiechu na widok zdobiącego jej nos zielonego liścia.

Moja babcia też opalała się w ten sposób, żeby nie spiec delikatnej w tym miejscu skóry.

– Trzeba korzystać z uroków lata. Zresztą to ostatnie dni beztroskiej wolności. Niedługo startuję z własną działalnością – pochwaliła się Patrycja. – I tak zbyt długo zwlekałam z decyzją...

– O, więc jednak kawiarnia? – przypominałam sobie jej wcześniejsze plany.

– Nie. Sklep z rzeczami dla dzieci. Zabawki, pluszaki, gry planszowe, książeczki, ubranka dla najmłodszych i kącik przedszkolaka. Pomyślałam, że w każdy weekend można by zapraszać kogoś, żeby czytał dzieciakom bajki.

– W sensie jakiegoś aktora? – zdziwiłam się.

– Aż tak ambitnie to chyba nie... Ale ludzi nie brakuje. Ważniaki z ratusza, lokalni dziennikarze, lekarze, nauczyciele – każdy będzie mógł dyżurować z książką w ręku, nawet ten pajac prezydent miasta. O ile da się zaprosić, oczywiście.

– Rozumiem, że ja też będę mogła czytać dzieciom?

– W pierwszej kolejności! Wieczory z ciotką Marzeną będą gwoździem programu! – mrugnęła do mnie sąsiadka. – A tak serio – co sądzisz?

– Myślę, że brzmi to całkiem ciekawie, tym bardziej że w miasteczku nie ma większego sklepu z zabawkami. Coś tam można dostać w delikatesach na Krakowskiej, jest też niewielki lokal w galerii, ale to przecież nie to samo. Jeśli stworzysz klimatyczne miejsce z duszą, ludzie na pewno będą do ciebie zaglądać. Tylko na naszej uliczce jest kilkoro dzieciaków w wieku przedszkolnym. Pomnóż to przez całe miasteczko i wyjdzie całkiem imponująca liczba.

– Czyli uważasz, że taki biznes wypali? Zastanawiałam się nad tym trochę i tak sobie skalkulowałam, że na dzieciaki nikt kasy nie żałuje. Wiem, jak to brzmi, staram się po prostu myśleć czysto marketingowo – roześmiała się Patrycja. – A że kiedyś chciałam być przedszkolanką, to prawie na jedno wyjdzie.

– Chciałaś być przedszkolanką? Mnie łapie migrena na samą myśl o takiej pracy.

– Co kto lubi, sąsiadko. To co? Wpadniecie jutro? Start o osiemnastej. Sprawdzałam prognozę pogody, jednak nie powinno lać.

– A tyle trąbili o tym załamaniu pogody – uśmiechnęłam się pod nosem i obiecałam, że z ochotą przyjdziemy na grilla.

Dzień później, z salaterką pełną sałatki z kurczaka i butelką czerwonego wina w ręku, zjawiłam się w bliźniaczo podobnym do naszego ogrodzie sąsiadki.

– Przyniosłaś sałatkę? Dziękuję pięknie! A twój Hubert gdzie? – zapytała Patrycja.

– Bierze prysznic. Wrócił ze szpitala później, niż zakładał. Ale za jakiś kwadrans powinien dotrzeć.

– Świetnie, bo już się bałam, że się nie zjawi.

– A co ci nagle tak zależy na obecności mojego ślubnego? – mrugnęłam do sąsiadki i wymieniliśmy rozbawione spojrzenia.

Chwilę później zjawili się Malinowscy – małżeństwo mieszkające na końcu naszej uliczki, z którym Patrycja zdążyła się już zaprzyjaźnić.

– Masz niezwykły talent do oswajania ludzi – szepnęłam jej na ucho.

– Więc chyba muszę być odpowiedzialna za to, co oswoiłam – roześmiała się sąsiadka, nawiązując zapewne do cytatu z „Małego Księcia”.

Malinowska – wbita w groteskowo ciasną cytrynowożółtą sukienkę, w wysokich szpilkach na nogach, dosłownie grzęzła w ziemi, na naszych oczach zapadając się w trawnik. Trzymała pod ramię męża – przystojnego handlowca, do którego, chyba od zawsze, robiła słodkie oczy mieszkająca naprzeciwko mnie Aldona.

– Cześć, Marzenko. – On przywitał się pierwszy. – A twój Hubert gdzie? Swoją drogą, musisz nam w końcu dać numer jego komórki. Moja dwuletnia siostrzenica choruje na okrągło, a z tego, co słyszałem, twój ślubny jest świetnym pediatrą.

Miałam powiedzieć, że mąż się spóźni, kiedy odezwała się jego ładniejsza połowa.

– Marzenko, kwitniesz, kochana! Co u was słychać? – Alicja Malinowska pocałowała mnie w oba policzki i przesłodzonym tonem powtórzyła, że naprawdę świetnie wyglądam.

Podziękowałam jej za komplement i wzięłam od Patrycji kieliszek białego wina.

Grilla rozpalili panowie – kiedy tylko zjawił się Hubert, stanęli wokół niego niczym rada plemienia dookoła ogniska i zajęli się mięsiwem. Pozytywnie zaskoczył mnie fakt, że Patrycja zaprosiła również pięćdziesięciokilkuletniego owdowiałego księgowego z naszej okolicy, który do tej pory raczej unikał tego typu imprez.

– Chyba tylko w takich chwilach żałuję, że nie jestem już mężatką. – Patrycja ujęła mnie pod ramię i przez chwilę przyglądałyśmy się kręcącym się przy grillu mężczyznom.

– Wiesz, jak mawiają – do trzech razy sztuka – pocieszyłam ją.

– Daj spokój. Gdybym trzeci raz wyszła za mąż, rodzice by mnie wydziedziczyli. Przystojny ten Malinowski – zmieniła temat, przyglądając się trzymającemu podpałkę sąsiadowi.

– Na twoim miejscu nawet bym nie patrzyła w jego stronę. Alicja bywa o niego wściekle zazdrosna – szepnęłam.

– Nie dziwię się.

– Kiedyś miał romans. Tak przynajmniej głoszą okoliczne plotki. Ona się dowiedziała i pojechała do pracy jego kochanki. Wytargała ją za kudły i wyzwała od najgorszych – szepnęłam.

– Żartujesz? – Patrycja parsknęła śmiechem. – Nie zazdroszczę jej, bo to musi być koszmar dowiedzieć się o czymś takim, ale tę publiczną szopkę to chyba mogła sobie darować? Niektóre kobiety za grosz nie mają klasy...

– O kim mówicie? – Ala Malinowska dosłownie wyrosła za naszymi plecami. Na szczęście nie słyszała całej rozmowy.

– O mojej firmowej koleżance. Upiła się ostatnio do nieprzytomności i obrzygała szefowej buty – rzuciłam pierwsze lepsze kłamstwo, jakie przyszło mi do głowy.

– Och, nie ma gorszego widoku niż pijana kobieta. – Ala pokiwała głową ze zrozumieniem i sięgnęła po kieliszek wina. – I jak ci się tu mieszka, kochana? – zwróciła się do Patrycji.

– Na razie rewelacyjnie. Cisza, mnóstwo zieleni, w pobliżu zalew.

– I żadnych minusów? Dyplomatka z ciebie! – roześmiała się Malinowska.

– Minusem są spotkania z pewną wścibską matką trójki drobiazgu – mruknęła Patrycja, a Ala wybuchła śmiechem.

– Chyba nawet wiem, do kogo pijesz! Ja nie rozmawiam z nią od ponad roku, odkąd wyskoczyła do mnie z pretensjami. Robiliśmy wtedy dużą imprezę i jeden z naszych gości zaparkował przy jej furtce. Przyszła do nas z awanturą i nie przebierając w słowach, zażądała przestawienia samochodu. Myślałam, że się spalę ze wstydu przed gośćmi! – Na samo wspomnienie Alicja aż się wzdrygnęła. – Ale kiedy jej rozwydrzone smarkacze przerzucają przez nasz płot papierki po cukierkach i opakowania po chipsach, nie widzi problemu. Ponoć to normalne, że dzieciaki śmieją...

– Patrząc na bajzel, jaki ma w domu, nie powinno cię to dziwić – wtrącił Malinowski, obejmując żonę ramieniem.

– Według mnie ona od zawsze sprawiała wrażenie kogoś, kto kompletnie nie radzi sobie z rolą matki – powiedziała Alicja, krzywiąc się z niesmakiem. – W życiu nie widziałam tak niezaradnej, niepozberanej kobiety! Przecież ona nie robi nic, tylko na te dzieciaki pokrzykuje, i to używając całkiem soczystego języka!

Pokiwałam głową i szybko zmieniałam temat. Wiedziałam, że Malinowscy nie mogą mieć dzieci, ponoć od lat leczyli się w jednej z klinik. Rozumiałam więc niechęć Alicji do kogoś, kto ma ich trójkę, ale kompletnie nie ogarnia własnego życia.

– Poznałam świetnego faceta. – Kilka minut później, kiedy we dwie poszłyśmy do kuchni po sałatki, Patrycja pochwaliła się nawiązaną kilka dni wcześniej znajomością. – Amerykanin polskiego pochodzenia, mieszka na Sosnowej, w tym dużym domu z cegły.

– W tym z altaną w ogrodzie? Słyszałam, że był na sprzedaż.

– Właśnie tam! James ponoć kupił go za całkiem rozsądne pieniądze. Wpadliśmy w każdym razie na siebie niedawno podczas wieczornego joggingu i chyba coś zaiskrzyło. Gość świetnie rokuje – świeżo rozwiedziony z jakąś brytyjską publicystką, tuż przed czterdziestką, w dodatku architekt. Wiem, że to ambitny plan, ale zamierzam położyć łapę na najlepszej partii w okolicy. – Patrycja uśmiechnęła się wymownie i podała mi półmisek z serami. – Wyniesiesz to na dwór? Ja zadbam o pieczywo. Acha, czekaj. Masz może masło czosnkowe? Bo ja oczywiście zapomniałam kupić...

– Mamy, jasne. Hubert namiętnie smaruje nim bagietki.

– A skoczyłabyś po nie? – zapytała Patrycja.

Powiedziałam, że nie ma problemu.

– Daj mi klucze. – Kiedy podeszłam do Huberta, wcinał właśnie grillowaną pieczarkę.

– Źle się czujesz? – zaniepokoił się.

– Nie. Zostałam wysłana z ekspedycją po masło czosnkowe.

– Ja pójdę – zaoferował mąż.

– Jedz, zaraz będę z powrotem. – Pogłaskałam go po plecach.

– Dzięki – mruknął, jakby doceniał fakt, że w czymś go wyręczam, chociaż przecież o nic go nie prosiłam.

Lubiłam u niego tę szarmanckość, zawsze mnie nią ujmował. I chociaż część moich koleżanek uważała, że to żenująco staroświeckie, ja wręcz uwielbiałam, kiedy otwierał mi drzwi od samochodu i pomagał założyć płaszcz.

– Marzena?! Czeka! I jeszcze majonez, gdybyś miała! – Patrycja dogoniła mnie przy furtce. – Cholera, chyba marna ze mnie gospodyni... Uwielbiam przyjęcia, wiesz? Problem w tym, że odrobinę mnie przerasta ich organizacja – roześmiała się.

– Nie przesadzaj, przecież wszystko jest okay – pocieszyłam ją. – Czemu go nie zaprosiłaś? – zapytałam chwilę później.

– Kogo? – zdziwiła się.

Wywróciłam oczami.

– Jamesa, a kogo? Mówiłaś, że coś między wami zaiskrzyło.

– Prawdę mówiąc, zaprosiłam go. Powiedział, że ma dziś ważną kolację z kimś, z kim ma nadzieję zacząć współpracować, więc wygląda na to, że zostałam wystawiona – powiedziała Patrycja. – Myślisz, że zwyczajnie mnie spławił, czy serio ma dziś coś ważnego?

– Czemu miałby cię spławić? Więcej wiary w siebie, laleczko – rzuciłam lekkim tonem.

– Okay, od dziś tylko optymistyczne scenariusze. Jutro pewnie zjawi się u mnie z bukietem róż, padnie na kolana i poprosi mnie o rękę.

– A w najgorszym wypadku zaprosi cię na kolację – roześmiałam się. – Dobra, idę po to masło, zanim Hubert zacznie mnie szukać...

– I majonez, pamiętaj! – przypomniała mi Patrycja.

Uliczka była pusta.

Pchnęłam furtkę i weszłam do naszego ogrodu, kiedy ktoś zawołał mnie po imieniu.

Aldona...

Musiła mnie widzieć ze swojego balkonu. I chociaż nie miałam najmniejszej ochoty na rozmowę z nią, zatrzymałam się w pół kroku i pomachałam w jej stronę.

– Czeka, zejdę do ciebie, bo mam pytanie! – krzyknęła.

Wyszłam więc na chodnik i przysiadłam na masce mężowskiego samochodu, przy okazji przypominając sobie, że we Włoszech potrafią tak przysiąść na zaparkowanych w pobliżu przystanku autach czekający na autobus ludzie.

Sąsiadka pojawiła się na ulicy jakieś trzy minuty później, jak zawsze w wymiętym i upačkanym ubraniu, tyle że tym razem plamy na jej piersi wyglądały na keczup.

– Cześć, co u ciebie? – rzuciłam sztucznie lekkim tonem.

– Gdybyś czasem do mnie wpadała, nie musiałabyś pytać – naburmuszyła się. – Dobrze się bawicie? – Kiwnęła głową w stronę połówki domu Patrycji i zrobiła jeszcze bardziej urażoną minę. – Mnie jakoś

nikt nie zaprosił. Ciekawe czemu? – burknęła.

– Posłuchaj, to impreza Patrycji. Może po prostu...

– Nieważne, zapomnij. Ale trochę mi przykro, wiesz? Wprowadziła się taka zarozumiała pinda i od razu robi kwasy między sąsiadami!

– Aldona, przeginasz! Licz się ze słowami, cholera! – podniosłam głos.

– Ja przeginam?! Zauważyłam, że nawet tego owdowiałego dziwoląga zaprosiła, tylko o mnie jej się zapomniało! – wybuchła.

– Ten owdowiały dziwoląg rokrocznie pomaga wam wypełniać PIT-y, z tego, co wiem – mruknęłam.

– Za darmo tego nie robi!

– Mniejsza z tym, pójdę już – powiedziałam.

Stałyśmy na tyle blisko siebie, że wyczułam od niej alkohol. Nie był to pierwszy raz i zaczęłam się zastanawiać, czy zazwyczaj samotnie użerająca się z trójką dzieci sąsiadka nie ma przypadkiem problemów z piciem.

– Co? Dyplomatycznie tego nie skomentujesz? W sumie całkiem sprytnie – ironizowała Aldona. – Ale ja nie pozwolę tak się ignorować! – podniosła głos.

– Przykre, ale czemu krzyczysz na mnie? To nie moja wina, że nie potrafisz się dogadać z Patrycją – wzruszyłam ramionami.

– Mogłaś mi powiedzieć, że jest impreza! – zarzuciła mi ostrym tonem.

Roześmiałam się nerwowo.

– I co? Przyszłabyś bez zaproszenia? – zapytałam.

W tym samym momencie na balkonie pojawił się pięcioletni Antek, na widok którego Aldona od razu huknęła.

– Wracaj do swojego pokoju, sprzątać miałeś! – wydarła się na syna, ale chłopiec, najwyraźniej przyzwyczajony do wybuchów gniewu matki, tylko obojętnie wzruszył ramionami.

– Pójdę już, czekają na masło.

– Biedaczka nie ma nawet masła, ale gości podejmuje? – wyłośliwiła się Aldona.

Spojrzałam na jej wykrzywioną złością twarz i przez chwilę zrobiło mi się jej żal. Nigdy nie była lubiana w okolicy i raczej nie miała najłatwiejszego życia. Z drugiej jednak strony sama sobie była winna. Skrajnie nieżyczliwa, krytyczna i zawistna, z pewnością nie była idealną kandydatką na bliską przyjaciółkę.

– Cześć, do zobaczenia. – Wyminęłam ją na wąskim chodniku i z ulgą ruszyłam w stronę furki.

– I jeszcze jedno ci powiem. – Ostry ton Aldony skutecznie mnie uziemił. – Ta twoja nowa przyjaciółeczka to zwykła dziwka! Mieszka tu dosłownie od wczoraj, a już całuje się po parku z tym Amerykaninem! Sama widziałam, a...

– Posłuchaj, wróć do domu i zajmij się dziećmi, okay? Jesteś wściekle zazdrosna, Aldona, taka jest prawda! – krzyknęłam.

– Zazdrosna?! O kogo?! O tę zdirę, która...

Przestałam jej słuchać. Po prostu przyśpieszyłam kroku i zatrasnęłam za sobą frontowe drzwi, chyba po raz pierwszy w życiu ciesząc się, że mamy taki niewielki ogródek. Zresztą te kilka metrów też dłużyło

mi się w nieskończoność. Kiedy z masłem czosnkowym w dłoni wyszłam z powrotem na zewnątrz, Aldona była już na swoim balkonie. Na mój widok odwróciła się jednak plecami i wrzasnęła na syna, który dla odmiany pojawił się w ogrodzie.

– Do domu! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś ogarnął ten chlew, w którym żyjesz?! – usłyszałam jeszcze, zanim jej zrzędlawy głos zagłuszyły dochodzące z ogródka Patrycji dźwięki muzyki.

Malinowscy mieli rację, biedne te jej dzieciaki – skrzywiłam się na myśl o Aldonie w roli matki i chociaż grill należał do wyjątkowo udanych, rozmowa z ziejącą nienawiścią sąsiadką odrobinę zwarzyła mi humor.

Kiedy wróciliśmy do siebie, dochodziła północ.

W sypialni było duszno. Otworzyłam na oścież okno i wyjrzałam na zalany księżycowym światłem trawnik. W ogrodzie Patrycji goście wciąż rozmawiali i popijali wino. Muzyka ucichła jakąś godzinę wcześniej i do moich uszu dochodził już tylko perlisty śmiech Ali Malinowskiej.

– Kurka wodna! – Hubert, który rzadko ostro klął, rzucił jedno z tych swoich dziwacznych powiedzonek, bo właśnie zaplątał się w nogawki własnych spodni.

– Jesteś pijany – powiedziałam bardziej z rozbawieniem niż z wyrzutem.

Mąż pił bardzo rzadko i może dlatego przymknęłam oko na jego jednorazowy wyskok.

– Może i jestem pijany... – Hubert ciężko opadł na fotel i włączył małą lampkę.

– Naleci komarów – zaprotestowałam.

– Masz kogoś, prawda? – Pytanie zawisło w ciszy letniego wieczoru i obuchem walnęło mnie w przepoń.

– Co? – wyjąkałam.

Mąż, który zdążył się w końcu uporać z własnymi dżinsami, wstał i ruszył w moją stronę. W bursztynowym świetle nocnej lampki jego oczy zdawały się lśnić złowrogim blaskiem.

– Masz kogoś, Marzena – powtórzył, śmiesznie przeciągając sylaby.

Tym razem zabrzmiało to jednak bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

Zaczęłam krzyczeć. Że chyba kompletnie mu odbiło, że zwyczajnie mnie obraża, że przecież ja nigdy nie zrobiłabym mu czegoś takiego.

W milczeniu pokiwał głową, w końcu odwrócił się na pięcie i wyszedł z sypialni.

Ruszyłam w ślad za nim i zastąpiłam mu drogę.

– Jak możesz wygadywać takie rzeczy?! – krzyknęłam.

Spojrzał na mnie. Pomyślałam, że już dawno nie miał takich smutnych oczu i z trudem powstrzymałam łzy.

– Jak możesz coś takiego mówić, Hubert? – wykrztusiłam przez zaciśnięte gardło.

– Jak mogę?! Masz mnie za kompletnego idiotę?! Nudny, stateczny małżonek z pewnością nie domyśli się prawdy?! Co to za gość, co?! Ktoś z twojej firmy?! – Hubert zacisnął palce na moim ramieniu i zbliżył wykrzywioną wściekłością twarz do mojej twarzy.

Szepnęłam, że to boli, ale nie poluzował uścisku.

Zaczęłam płakać.

– Puść mnie – prosiłam.

Zabrał rękę i lekko się zataczając, ruszył w stronę schodów.

Zamknęłam się w naszej sypialni i wybuchłam płaczem. Zza wciąż otwartego okna nadal dobiegał radosny śmiech Ali Malinowskiej. Przyjęcie trwało jeszcze jakieś pół godziny, w końcu zapadła cisza. Zasypiałam, kiedy tuż przy twarzy zabrzączał mi komar. Machnęłam ręką, chcąc się opędzić od natręta,

ale uparcie atakował. Mnąc w ustach naprawdę grube przekleństwo, wstałam, zamknęłam okno i zapaliłam światło. Intruz siedział na toalecie. Zatłukłam go pantoflem i wróciłam do łóżka. Na dole coś głucho rąbnęło, jakby pijany Hubert zrzucił na podłogę coś znacznie większego kalibru. Wtuliłam twarz w poduszkę, zastanawiając się, czy ta noc nie jest aby przypadkiem granicą definitywnie kończącą nasze małżeństwo. Zasnęłam dopiero nad ranem i śniłam koszmar o Hubercie wyrywającym sobie zęby przed łazienkowym lustrem. Na mój widok odłożył zakrwawione obcęgi na obramowanie umywalki i oskarżycielsko wycelował we mnie palcem. „Zdradzasz mnie, prawda?!” – krzyknął. Z ust chlustała mu spieniona krew, oczy miał atramentowo czarne, nieludzkie. Obudziłam się z krzykiem, złana zimnym potem i do rana nie zdołałam już zasnąć.

Wstałam przed ósmą. Bolała mnie głowa i chciało mi się pić. Na parter zeszałam na palcach, zupełnie jakbym się bała konfrontacji ze śpiącym w pokoju komputerowym mężem. Wyjmowałam z lodówki sok grejpfrutowy, kiedy w kuchni pojawił się Hubert. Odwróciłam się do niego plecami, udając śmiertelnie obrażoną, a serce tłukło mi się w piersi nierównym rytmem. Ależ jestem obłudna! – pomyślałam, z trudem tłumiąc łzy.

– Przepraszam – zaczął skruszonym tonem. – Za dużo wczoraj wypilem, coś mi odbiło. Kotku, przepraszam cię, naprawdę. Nie wiem, co powiedzieć, zrobiłem z siebie kompletnego idiotę – mąż pogłaskał mnie po policzku i opuszkami palców musnął moje ramię. – Masz siniaka.

– Przeżyję – uśmiechnęłam się blado i zmuszając się, żeby spojrzeć mu w oczy, zapytałam, czy ma ochotę na szklanekę soku.

– Prawdę mówiąc, wypilem już połowę piwniczanki. Chyba jeszcze w życiu mnie tak nie suszyło, a Malinowski ostro mi wczoraj polewał. Marzenko, gniewasz się? Masz prawo, wiem. Ja...

– Nie gniewam się. Po prostu nie mogę zrozumieć, skąd przyszło ci do głowy coś tak idiotycznego – powiedziałam, czując się jak skończona hipokrytka.

– Dziwisz mi się? Zmieniłaś się, odsunęłaś ode mnie, zdystansowałaś się. Niby rozmawiamy, kochamy się i mieszkamy pod jednym dachem, ale coś jest nie tak. Nazwij to przecuciem, może rodzajem intuicji, w każdym razie mam wrażenie, że między nami coś się popsło. Chodzisz zamyślona, bywasz nieobecna duchem, drażliwa, wiecznie podenerwowana. Popłakujesz po kątach, źle sypiasz... Jestem z tobą od lat i nigdy cię takiej nie widywałam. Mówisz, że to praca... Że stres, zmęczenie, codzienna bieganina... Bardzo chciałbym ci wierzyć, ale czuję, że kryje się za tym coś więcej.

– Nie mam nikogo, Hubert – powiedziałam, starając się włożyć w to jedno krótkie zdanie cały swój mizerny aktorski talent.

Mąż przyciągnął mnie do siebie i pocałował w czoło.

– Nie potrafiłbym chyba bez ciebie żyć – powiedział cicho, a mnie niemal pękło serce na myśl, że być może któregoś dnia dowie się o Jacku.

– Zaparzę nam kawy – zmieniłam temat, modląc się w duchu, żeby mąż odpuścił.

Nie odpowiedział.

Usiadł za stołem i w milczeniu obserwował, jak krzątam się po kuchni. Na myśl, że mi się przygląda, trzęsły mi się ręce. Wstawiałam wodę na kawę, kiedy przed naszą furtką zatrzymał się pomalowany w kolorowe kwiaty volkswagen garbus.

– A mówią, że epoka dzieci kwiatów bezpowrotnie minęła – mruknął mąż, który w tym samym

momencie podszedł do okna.

Z samochodu wysiadła młoda dziewczyna. Wysoka, ubrana w ciemne ciuchy, z jasnymi dreadami na głowie.

– Czyżby Patrycja robiła poprawiny? – rzucił Hubert.

– Proszę cię. To jakieś dzieciaki. Najwyraźniej zgubiły się w gąszczu tych uliczek – powiedziałam.

– To nie jakieś dzieciaki. To mój syn. – Mąż zmrużył oczy i z niedowierzaniem zapatrzył się na wysiadającego z garbusa chłopaka.

– Konrad? Myślałam, że jest już w Holandii – zdziwiłam się.

– Otworzę im. – Hubert ruszył w stronę przedpokoju.

Nalałam wrzątku do dwóch filiżanek i wyjęłam z kredensu dwie kolejne. A nuż goście będą mieli ochotę na porcję kofeiny.

– Cześć! – Dochodzący z przedpokoju głos mojego pasierba zabrzmiał tego ranka jakoś wyjątkowo energicznie.

Zazwyczaj skwaszony albo ponury, tym razem chłopak sprawiał wrażenie podekscytowanego. Ku mojemu zaskoczeniu, nawet mnie przytulił, chociaż zazwyczaj witał się ze mną jedynie lekkim skinieniem głowy.

– Myślałam, że już wylecieliście. Nie wspominałeś coś przypadkiem o rezerwacji na samolot?

– Zmiana planów. Jedziemy samochodem – rzucił.

– Do Holandii? Tym rzęchem? – Hubert wyglądał na przerażonego.

– Ten rzęch przejechał całą Europę i spory kawałek centralnej Azji – włączyła się do rozmowy dziewczyna, która do tej pory przysłuchiwała się nam w milczeniu.

– Właśnie, poznajcie się. To jest Karen, a to mój ociec i... kurna, jak ja nie znoszę słowa macocha. – Konrad zawahał się, więc podeszłam do dziewczyny i podałam jej rękę.

– Marzena – powiedziałam.

Uśmiechnęła się. Miała ładne niebieskie oczy i aparat na zębach.

Hubert zapytał, co się stało z Paulą.

– Zerwaliśmy. – Konrad wzruszył ramionami i objął dziewczynę.

– Myślałem, że miałaś zamieszkać u jej ciotki pod Kopenhagą – zdziwił się mój mąż.

– Znaleźliśmy z Karen inną miejscówkę. – Konrad rozsiadł się na sofie i dodał, że wpadli się tylko pożegnać.

– Posłuchaj, synu, wolałbym jednak wiedzieć, gdzie zamierzacie się zatrzymać. – Hubert nawet nie ukrywał, że nie podoba mu się niespodziewana niefrasobliwość jedynaka.

– No, mamy metę u takiego jednego didżeja ze Szwecji. Poznaliśmy się jakiś czas temu na koncercie w Berlinie i zgodził się nas przygarnąć. A później się zobaczy...

– Zobaczy się? Chłopaku, jedziesz za granicę i nie wiesz nawet, jak, gdzie i za co będziesz żyć?! – podniósł głos mąż.

Położyłam mu rękę na ramieniu i posłałam wymowne spojrzenie.

– Uspokój się, nie jadą przecież na koniec świata. Gdyby mieli jakiegokolwiek problemy, zadzwonią albo po prostu wrócą – powiedziałam.

– Święte słowa, matulu. – Konrad objął mnie i pocałował w szyję.

Byłam bardzo zaskoczona jego wylewnym zachowaniem. Wiedząc, że prowadziła jego dziewczyna, zaczęłam nawet podejrzewać, że coś pił, chociaż nie wyglądał na wstawionego.

– Będziemy się zbierać – powiedział chwilę później.

Jego nowa dziewczyna zapytała, czy może skorzystać z toalety, i zniknęła w głębi domu.

– Czekaj chwilę, synu. – Hubert wyjął z komody kopertę, w której zazwyczaj trzymaliśmy trochę gotówki na niespodziewane domowe wydatki, i wręczył młodemu kilka stówek. – Masz tutaj od swojego staruszka, na lepszy start. Gdybyś potrzebował więcej, dzwoń. – Klepnął go w ramię i wcisnął mu do ręki pieniądze.

Zauważyłam, że jest wzruszony i zrobiło mi się smutno. Regularnie widywał się przecież z synem dopiero od niedawna, a teraz chłopak wyjeżdżał...

– Karen! Długo jeszcze będziesz w tym kibelku?! – Konrad nagle stracił cierpliwość i wymownie zerknął na zegarek.

– Daj jej chwilę – zbeształam go i wyjęłam z lodówki resztkę przyniesionego od Patrycji ciasta. – Zjedzcie coś, odsapnijcie.

– Sorry, ale naprawdę musimy już jechać. W pobliżu granicy będą na nas czekać znajomi, bo jedziemy w trzy auta.

– O, dobry pomysł. Zawsze to pewniej – ucieszył się Hubert i jeszcze raz klepnął syna w ramię. – Uważajcie na siebie, dzieciaki.

– Jasne – mruknął Konrad.

Chwilę później wypchniona moimi perfumami Karen zjawiała się w salonie, sięgnęła po kawałek ciasta, w locie posłała nam całusa i w ślad za Konradem ruszyła w stronę frontowych drzwi.

– Byłem pewien, że z Paulą to coś na poważnie, a tu proszę, niespodzianka... – powiedział Hubert, kiedy przyglądaliśmy się wsiadającym do volkswagena młodym.

– To jeszcze dzieciaki, zakochują się co pięć minut – wzruszyłam ramionami.

– Może masz rację – powiedział mąż, nie wyglądał jednak na zachwyconego.

– Czego ty znowu chcesz? Wygląda na miłą dziewczynę – broniłam Karen.

Powiedział, że wolał Paulę i pomachał synowi.

– Nie znoszę pożegnań. Byłem pewny, że są już na miejscu. Mieli przecież lecieć parę dni temu, a tu kolejna niespodzianka.

– Zrzedzisz.

– Może troszkę – uśmiechnął się.

Objęłam go w pasie, bardzo starając się nie myśleć o zeszłonocnej wymianie zdań, i przez chwilę w milczeniu obserwowaliśmy pakujących się do samochodu młodych. Konrad przekładał jeszcze coś w bagażniku, Karen ponagliła go urywanym trąbieniem. W końcu odjechali, wolni, beztroscy, a ja znowu poczułam się stara, zmęczona życiem i dziwnie wypalona emocjonalnie...

– Przejdę się do sklepu, potrzebujesz czegoś?! – zapytał Hubert.

– Teraz? – zdziwiłam się, zanim zrozumiałam, że on po prostu chce gdzieś z dala od domu, na spokojnie, przetrwać pożegnanie z synem.

– Tak, teraz. Kupić ci coś?

– Weź mi ze dwa greckie jogurty i to chrupkie razowe pieczywo – poprosiłam.

Wyszedł chwilę później i nieśpiesznym krokiem ruszył w dół ulicy. Zrobiłam sobie kanapkę z dżemem i poszłam na górę. Laptopa włączyłam, żeby sprawdzić prognozę pogody, ale już w następnym momencie przeglądałam nowe wpisy na forum.

Mąż właśnie mnie zdradził – pisała Czerwona Szminka. – I to z kim?! Koń by się uśmieł! Ze swoją była żoną, babą starszą ode mnie prawie dziesięć lat i siwiejącą na skroniach! Tak, wiem, kiedyś wszystkie znajdziemy pierwszy siwy włos. Po prostu nie mogę zrozumieć... Czegoś mu brakowało? Mówił, że dopiero nasze małżeństwo nauczyło go, jak być w związku, jak naprawdę kochać. A później dowiaduję się czegoś takiego! To ona do mnie zadzwoniła, miała czelność odezwać się na moją służbową komórkę. Pewnie wyszukała namiary na mnie w sieci, jestem w końcu doradcą finansowym, nietrudno mnie znaleźć... Powiedziała, że zamierzają do siebie wrócić i że ze względu na ich córki nie powinnam robić trudności. „Miej odrobinę godności i odejź od niego pierwsza” – usłyszałam. Z pracy wybiegłam prosto na deszcz i pognałam do firmy Jarka, którego biuro mieści się dwie ulice dalej. Po drodze złamałam obcas i niemal skręciłam sobie nogę, ale i tak udało mi się tam dokuśtykać.

„Twojej byłej coś się uroiło” – powiedziałam, kiedy wpadłam do jego gabinetu. – „Twierdzi, że do siebie wróciliście” – roześmiałam się, siadając w fotelu naprzeciwko jego biurka. I dopiero w tym momencie zobaczyłam wyraz jego twarzy. Zaczęłam krzyczeć. Jak mogłeś, jak to się stało? Poleciały wyzwiska, wpadła jego sekretarka, on zagroził mi ochroną. Mnie! Kobiecie, z którą jeszcze niedawno chciał mieć dziecko! Wychodząc, straciłam z jego biurka kryształową nagrodę dla najlepszego dewelopera roku i pchnęłam jego asystentkę, trącąc ją ramieniem. Na ulicy, kuśtykając w stronę mojego banku, zdałam sobie sprawę, że nie wiem, kim jest ta wściekła dziewczyna, której odbicie widzę w mijanych witrynach. Nigdy nie byłam agresywna i zawsze potrafiłam odejść z godnością. Kiedy facet dawał mi do zrozumienia, że to koniec, ledwie wzruszałam ramionami i machałam mu na do widzenia. Ale Jarek to nie jakiś tam poznany w klubie Las Vódkas koleś. Jarek to mój mąż! Dlatego postanowiłam, że będę o niego walczyć. „Nie dam Ci rozwodu!” – takiego SMS-a wysłałam mu, zanim jeszcze wróciłam do pracy. Nie odpisał. W domu też się nie pojawił.

Nienawiść przyszła zaraz po rozpaczy, ale jeszcze gdzieś w głębi serca tliła się również resztką nadziei. Dlatego nadal czekałam. W sobotę przyjechał po swoje rzeczy, ona została w samochodzie. Zauważyłam ją przez okno i wpadłam w szal. Zbiegłam na dół w szlafroku i zaczęłam kopać w jego auto. Sąsiadka akurat wyprowadzała psa i chyba ją swoim zachowaniem zszokowała. Przystanęła, rozdziawiła usta i otwarcie mi się przyglądała. „Co?! Koniec przedstawienia!” – warknęłam, bo nigdy babsztyla nie lubiłam. Była żona Jarka wysiadła z samochodu. „Uspokój się, proszę” – zaczęła. Roześmiałam jej się w twarz. „Nie jestem twoją uczennicą, żebyś mi wciskała takie gadki!” – powiedziałam. Zaczęła mówić o tym, że muszę ich zrozumieć. Że zawsze byli dla siebie stworzeni, że nasz związek był jedynie chwilowym kryzysem. „Kryzysem?! Mamy ślub, nie rozumiesz tego?” – wrzasnęłam.

– Cywilny, wielkie mi coś – wzruszyła ramionami.

Obeszłam samochód i zanim zdążyła się zorientować, co najlepszego wyprawiam, uderzyłam ją w twarz. Zaczęła płakać, ktoś coś krzyczał z okna.

– Nie odbierzesz mi go, słyszysz?! – darłam się, okładając ją pięściami.

W końcu udało jej się wślizgnąć do samochodu i zamknąć się w środku. Jarek zbiegł na dół chwilę później i wykręcił mi rękę.

– Oszalałaś? – warknął.

Zanim mnie spacyfikował, rozorałam mu policzek pazurami i wyzwałam od najgorszych. W mieszkaniu postanowiłam, że nie puszczę mu tego wszystkiego płazem, nie ma takiej opcji! Najpierw wrzuciłam do sieci kilka jego nagich fotek, które zrobiłam mu w sylwestra, kiedy kompletnie pijani leżeliśmy na hotelowym łóżku. Teraz umieściłam je na forum dla gejów i podałam numer jego telefonu. Później zaczęłam opisywać na Facebooku rzekome wady konstrukcyjne eleganckich apartamentowców, które budowała jego firma, i jeszcze przez jakieś dwie godziny opluwałam go w sieci. W szkole, w której uczyła jego była żona, rozpuściłam plotkę, że ona jest lesbijką i ma za sobą proces o zniesławienie jakiegoś lewicowego polityka.

Jarek w końcu odkrył, że mu bruźdę, chyba uświadomili go znajomi. Przyszedł do mnie bladym świtem, tuż po szóstej rano.

– Zrób jeszcze raz coś podobnego, a spotkamy się w sądzie! Zdajesz sobie sprawę, że mój brat jest świetnym prawnikiem, prawda?! – zapytał.

– Jest świetny nie tylko w paragrafach – powiedziałam z wymownym uśmiechem, ale nie dał się nabrać.

– Żałosna jesteś – powiedział tylko, zanim wyszedł.

Przechodząc obok lustra, przystanąłam i spojrzałam sobie w twarz. Ohydnie wyglądałam, koszmarnie wręcz! Taka złość w oczach, wygięte w podkowę usta... To koniec – powiedziałam sobie. Nie będę się więcej upokarzać. Zamiast tego sprzedam mieszkanie, w którym wszystko kojarzy mi się z naszym małżeństwem, i zacznę od nowa. Mam dwadzieścia siedem lat, chyba jeszcze nie jest za późno?

Wczoraj kupiłam sobie czerwoną szminkę. Nigdy wcześniej nie malowałam ust na tak odważne kolory, ale nagle zapragnęłam jakiegoś mocnego akcentu. Sprzedawca z drogerii powiedział, że wyglądam oszalamiająco. Tak się właśnie wyraził, przysięgam! Zapytałam, czy miałby ochotę na kawę. Powiedział, że ma dziewczynę. Cóż, życie. Przynajmniej szminka mi została... Dzisiaj umówiłam się z gościem, który jest zainteresowany kupnem mojego mieszkania. Rozmawialiśmy tylko chwilę, przez telefon. Ma ładny głos i znając moje szczęście, również obrączkę na palcu. Ale to nic, tylko bez paniki. Pojadę na trochę do rodziców, nacieszę się plażą i pełnią nadbałtyckiego sezonu, podładuję akumulatory. Jarek wczoraj wysłał mi SMS-a z prośbą o spotkanie. Chce obgadać szczegóły rozwodu. Nie odpisałam. Nie jestem gotowa. Na razie wyjeżdżam, później może pogodzę się z nieuniknionym... Ostatnio koleżanka powiedziała mi, że w sumie to było do przewidzenia.

– Rozwaliłaś ich małżeństwo, weszłaś w nie z butami, więc cóż... Tacy faceci są raczej mało wiarygodni. Odszedł od żony dla ciebie, od ciebie odszedł dla niej... Nie masz chyba po kim płakać – wzruszyła ramionami.

Trochę mną jej słowa wstrząsnęły, bo w sumie gdzieś między wierszami niemal nazwała mnie dziwką, ale chyba miała trochę racji. Jarek to dupek, który sam nie wie, czego chce. Tak się przynajmniej pocieszam...

Otwierałam frontowe drzwi, kiedy z głębi domu doszedł do mnie podniesiony głos Bożeny. Była żona Huberta musiała się u nas zjawić, kiedy byłam u fryzjera. Zastygłam z ręką na klamce. Wyglądało na to, że trafiłam w sam środek awantury, w którą z całą pewnością nie chciałam się mieszać. Z drugiej jednak strony miałam chyba prawo wejść do własnego domu? Przekreśliłam klucz i pchnęłam frontowe drzwi. W korytarzu przystanęłam, niepewna, jak powinnam się zachować. Wydzierali się na siebie w salonie, ona zarzucała mu właśnie, że jest winien wyjazdu Konrada.

– Nigdy nie byłeś dla niego autorytetem! Nigdy, słyszysz?! Każdy inny ojciec umiałby jakoś wpłynąć na syna, ale ty od lat jesteś bezradny! – krzyknęła Bożena.

Musiała nerwowo krążyć po salonie, bo stukot jej obcasów wyraźnie rozbrzmiewał na całym parterze.

– Może gdybyś nie utrudniała nam kontaktów, byłoby inaczej?! Nagle sobie przypomniałaś, że jestem jego ojcem? A co było kilka lat temu?! Robiłaś wszystko, żebym jak najrzadziej widywał syna! Pamiętasz, jak nie pozwalałaś mi się z nim spotykać?! Jak kłamałaś, że jest zatruty albo ma anginę, żebym tylko nie mógł zabrać go na weekend! A kiedy już łaskawie pozwalałaś mi zabrać go do siebie, odbierałaś go zazwyczaj kilka godzin wcześniej albo co chwilę dzwoniłaś, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku! Jestem pediatrą, do cholery, a ty nie potrafiłaś mi zaufać na tyle, żeby zostawić ze mną kilkulatek! Pamiętasz, jak nastawiałaś przeciwko mnie swoich rodziców, a naszemu synowi opowiadałaś o mnie jakieś wysrane z palca bzdury! Pamiętasz, jakie afery robiłaś z zazdrości o Marzenę?! Jak wrzeszczałaś, żeby nie kładła łap na twoim synu, jak ją wyzywałaś! No przyznaj, przypomnij sobie, jak było! – huknął na nią Hubert.

Był zdenerwowany, głos mu drżał i zdałam sobie sprawę, że muszą na siebie pokrzykiwać od dłuższej chwili. Na wzmiankę o mnie lekko się skrzywiłam, chociaż bynajmniej nie byłam zaskoczona. Znałam Bożenę na tyle długo, żeby spodziewać się po niej wszystkiego co najgorsze. Była niczym jedna z tych upiornych kobiet, o których pisze się filmowe scenariusze...

– Zawsze potrafiłeś zwać wszystko na mnie! Ty – wiecznie pokrzywdzony przez los, i ja – wiedźma, która złamała ci życie! Możesz zaprzeczać, ale fakty są, jakie są – nie zrobiłeś nic, żeby powstrzymać go przed tym nieszczęsnym wyjazdem! A to, co mi zarzucasz, jest po prostu śmieszne! Nigdy nie nastawiałam moich rodziców przeciwko tobie. Oni po prostu cię nie lubili! W każdym razie zapamiętaj jedno – jeśli coś mu się w tej Holandii stanie, to będzie tylko i wyłącznie twoja wina, dociera to do ciebie?! – Bożena przystanęła, a po krótkiej chwili znowu rozległ się rytmiczny stukot jej obcasów.

– To dorosły facet, nie rozumiesz?! Ma prawo robić to, co chce! Marzył o tym wyjeździe od dawna, nie możemy mu podcinać skrzydeł! Kiedy ma spełniać marzenia, jeśli nie teraz?! – wrzasnął Hubert.

Przygryzłam usta, zastanawiając się, co robić? Wejść do salonu i przerwać im kłótnię, zanim skoczą sobie do gardeł i to bynajmniej nie w przenośni? A może lepiej się nie mieszać? – wahałam się.

– Znowu zawalił studia, nie obchodzi cię to?! – krzyknęła tymczasem była mojego męża i dodała, że nie po to wydała fortunę na korepetycje, żeby chłopak skończył tylko z maturą.

– A może on po prostu nie miał ochoty ich kontynuować?! A może wyjechał, bo od lat dosłownie go przytłaczasz swoją ciągłą nachalną obecnością, dokładnie tak samo, jak kiedyś przytłaczałaś mnie?! Może ma dość ciągłych pytań, zakazów, pretensji?! Może chce w końcu zacząć żyć po swojemu?! Traktujesz go tak, jakby wciąż miał trzynaście lat, do cholery! Więc nie mów, że to moja wina, słyszysz?!

Nie przelewaj na mnie swoich frustracji i nie zjawiaj się tutaj nieproszona! Ja cię nie nachodzę! – krzyknął Hubert, zupełnie tracąc nad sobą panowanie. – Chryste, właśnie sobie przypomniałem, jak wyglądało nasze małżeństwo! Zawsze wyzwalałaś we mnie wszystkie najgorsze instynkty!

– Może zwyczajnie brakowało ci inteligencji, żeby wydobyć ze mnie to, co najlepsze? – parsknęła Bożena.

– A może nie było czego wydobywać? Może jesteś jak wyeksploatowana kopalnia, w której nie ma już czego szukać!

– Też sobie porównanie znalazłeś! – Bożena roześmiała się pogardliwie.

Stąpając na samych czubkach palców, wślizgnęłam się do niewielkiego pokoju, który szumnie nazywaliśmy biblioteką, i przymknęłam drzwi.

– Zapamiętaj sobie, że jeśli Konrad w coś się tam wpakuje, to będzie tylko i wyłącznie twoja wina! – dodała Bożena podniesionym głosem, po czym w korytarzu rozległ się stukot jej szpilek i trzasnęły frontowe drzwi.

– Dziwka! – mruknął pod nosem Hubert, zamykając za nią drzwi. – Chryste, jak mnie przestraszyłaś! – wykrzyknął na mój widok.

– Przepraszam, naprawdę nie chciałam podsłuchiwać. Po prostu wróciłam w samym środku waszej awantury i zaszyłam się w małym pokoju – powiedziałam.

– Więc pewnie słyszałaś, jakim beznadziejnym jestem ojcem? – rzucił mąż pełnym gorzkości tonem.

– To nie twoja wina, Hubert. I nie róbcie aż takiej tragedii z tego wyjazdu. Chłopak chce iść swoją drogą, to nic strasznego. Pozwólcie mu odsapnąć, zająć się sobą...

– Marzena, ja wiem, że masz rację. Ale powiedz to tej histeryczce! Słyszałaś, w jakie patetyczne tony uderzyła? Wszystko zawsze jest moją winą, wszystko! I jeszcze ta jej niezapowiedziana wizyta! Wychodziłem spod prysznic, kiedy zaczęła wydzwaniać do furtki. Gdyby miała odrobinę kultury, wysłałaby mi chociaż SMS-a...

– Element zaskoczenia to jedna z ulubionych zagrywek byłych żon, kochanie. Nie oglądasz filmów? – uśmiechnęłam się do męża.

– Szlag by trafił! Rzadko kto potrafi mnie wytrącić z równowagi, ale ona... Kiedy byliśmy małżeństwem, robiła takie afery regularnie. Do dziś mam ciarki na wspomnienie pełnych politowania min sąsiadów, z którymi mijałem się na schodach. Patrzyli na mnie jak na ostatniego frajera...

– Nie jesteś frajerem, Hubert. To ona ma poważne problemy ze sobą, zresztą nie od dziś – powiedziałam.

– Myślałem, że najgorsze już za nami, wiesz? Młody jest dorosły, jakoś sobie radzi, ale ona będzie mnie pewnie gnębić, dopóki nie zamknę oczu! I jeszcze sposób, w jaki tutaj wparowała! Prawie zawału dostałem, kiedy zobaczyłem ją przed furtką! Byłem pewien, że coś się stało, a ona po prostu przysłała z pretensjami!

– Nie daj się wpędzić w poczucie winy, słyszysz? Konrad ma prawo decydować o własnym życiu, a ty nie odpowiadasz już za jego wybory.

– Jak widać nie wszyscy potrafią to zrozumieć – skrzywił się Hubert.

Zdjęłam buty i zawiesiłam na wieszaku żakiet.

– Ładnie wyglądasz. Byłaś u fryzjera?

– Od kiedy zauważasz takie rzeczy? – uśmiechnęłam się, a mąż cmoknął mnie w szyję i powiedział, że zrobi sznycle.

– Rozpieszczasz mnie – powiedziałam.

– Przynajmniej ty jesteś zadowolona.

– Zawsze – zapewniłam go, od razu czując się fatalnie.

Naprawdę? Zawsze? – odezwał się w mojej głowie jakiś cichy, złośliwy głos.

Zjedliśmy na ogrodzie. Odkąd Hubert kupił w końcu ładny drewniany komplet mebli, dość często jadaliśmy na zewnątrz.

– Jedźmy gdzieś na weekend – zaproponował mąż. – Do Trójmiasta, Krakowa, Pragi... Gdzie miałabyś ochotę wyskoczyć?

– Kraków... – uśmiechnęłam się, przywołując wspomnienia naszego kilkuletniego pobytu w tym mieście.

– Kraków?

– Czemu nie?

– Autem? Pociągiem? Jak wolisz? Myślę, że lepiej się wybrać samochodem, będziemy bardziej mobilni. Można by w końcu wyskoczyć do Bochni, zawsze chciałaś zobaczyć tamtejszą kopalnię. O, albo Dobczyce. Zamek nad zaporą to idealne miejsce na weekendowy spacer we dwoje – uśmiechnął się Hubert.

– To jakiś podstęp? Nigdy nie byłeś aż tak romantyczny – zażartowałam.

– Zawsze byłem romantyczny, kotku. To ty nigdy tego nie dostrzegałaś. Zawsze chyba wolałaś...

Mąż nie dokończył, bo do ogrodu przed swoją połówką bliźniaka wybiegła wyraźnie wzburzona Patrycja.

– Nie, do cholery! To ty mnie posłuchaj! To, że raz popełniłam błąd, nie znaczy, że możesz do mnie wydzwaniać! – krzyknęła do słuchawki, rozłączając się bez pożegnania. – Rany, przepraszam... Nie zauważyłam was – na nasz widok zaczerwieniła się po cebulki włosów i cisnęła telefon na leżak.

– Mariusz dalej cię nęka? – zapytałam.

– Nachodzi, na okrągło do mnie wydzwania, domaga się kolejnego spotkania...

– Zmień numer.

– Adres też? Marzena, tacy faceci łatwo nie odpuszczają! Mogę zmienić numer, a nawet miasto, a on i tak znajdzie sposób, żeby zatruć mi życie! Przepraszam, nie powinnam się wydierać na ciebie tylko dlatego, że popełniłam idiotyczny błąd – powiedziała.

– Chcesz pogadać? Mogę do ciebie wpaść wieczorem?

– Nie, nie musisz. Koło dziewiętnastej jadę do kina, później chcę pobiegać. Ale dzięki, kochana jesteś – sąsiadka posłała mi blady uśmiech, sięgnęła po swój telefon i zniknęła za rozsuwanymi drzwiami prowadzącymi do niewielkiego salonu.

– Co się dzieje? Kto do niej wydzwania? – zainteresował się Hubert, rozlewając do szklanek resztkę mrożonej herbaty.

– Były mąż ją nachodzi. Gość nie może zrozumieć, że to już naprawdę koniec...

– Myślałem, że Mariusz to już zamierzczyła przeszłość? Skąd ten pajac się nagle urwał?

– Długa historia. I nie jestem pewna, czy powinnam ci ją opowiadać – powiedziałam, biorąc od męża szklanę.

– Uważaj, osa! – Hubert odgonił krążącego przy mojej twarzy owada i odsunął na bok talerze po obiedzie. – Śniła mi się dziś Lidka. Biegaliśmy po sadzie za domem babci. Ona najpierw miała splecione w warkocz włosy, wianek ze stokrotek i długą białą sukienkę. Później zdałem sobie sprawę, że jest zupełnie naga. Odwróciłem się, nie chciałem jej takiej widzieć, a ona zaczęła się śmiać. „Niedługo umrę. A później ty... Nie, czekaj, najpierw Marzena. Marzena będzie przed tobą...” – powiedziała. Obudziłem się zlany potem i do rana nie zmrużyłem już oka. Wiem, to idiotyczne. Koszmarny, nic nieznaczący sen. Nigdy nie byłem przesądny, ale jej słowa...

– Daj spokój, to nic nie znaczy. Tęsknisz za nią, a twój umysł płata ci nocą brzydkie figle. Równie dobrze mogła ci w tym śnie oznajmić, że jutro polecisz na Alaskę z ekspedycją naukową.

– Pewnie tak... – Hubert wzruszył ramionami. – Za dwa tygodnie mam konferencję. Nie będzie mnie trzy dni – zmienił temat. – Kiedyś jeździłaś ze mną na tego typu imprezy, pamiętasz?

– Kiedyś nie pracowałam na etacie – przypomniałam mu.

– No tak, proza życia... Dziwka zawsze człowieka dopadnie – rzucił Hubert filozoficznym tonem.

Wybuchłam śmiechem.

– Od kiedy używasz takich słów jak „dziwka”? – zapytałam.

– Wiem, wiem... Twój stateczny małżonek nigdy dotąd nie kłął. Zwał to na tak zwany kryzys wieku średniego – mrugnął do mnie Hubert, wstając. – Masz ochotę na deser? Została resztką lodów.

– Po sznyclach i sałacie z czosnkowym dressingiem? Nie, dziękuję.

– Nie wiesz, co tracisz, złotko – mruknął mąż, zbierając ze stołu talerze, zmięte serwetki i sztucce.

Zazwyczaj poszłabym pewnie za nim i pomogła mu sprzątnąć kuchnię, ale tym razem nie miałam ochoty podnosić się z wygodnego ogrodowego krzesła. Po kwadransie zjawił się z resztką czerwonego wina, które rozlał do szklanek po mrożonej herbacie.

– Zauważyłaś, że coraz rzadziej urządzamy sobie takie wspólne leniwe popołudnia? – zapytał.

Wstałam, obeszłam stół i usiadłam mu na kolanach.

– Wszystko jest do nadrobienia – szepnęłam.

Pocałował mnie w usta. Smakował winem i czosnkiem, a ja pomyślałam o Toskanii, do której wybraliśmy się niedługo po ślubie. Dom z kamienną podmurówką, chrupiące bagietki z sosem czosnkowym i pomidorami, hektolitry wina i mokra od porannej rosy trawa, na której zdarzało nam się kochać... To były chyba dwa najpiękniejsze tygodnie naszego wspólnego życia...

– Czasem tak cholernie za tobą tęsknię – powiedział.

– Jestem tutaj – szepnęłam i oddałam mu pocałunek, starając się nie myśleć o natarczywym dźwięku telefonu, który rozbrzmiewał w ciszy letniego popołudnia...

– Pamiętasz, jak któregoś dnia kochaliśmy się na stadionie? – szepnął Hubert, wsuwając dłonie pod moją bluzkę.

– Pamiętam – odpowiedziałam.

Dzwoniący w głębi domu telefon na moment ucichł, żeby zaraz ponownie się rozdzwonić.

Pomyślałam o Jacku. O jego szorstkich od zarostu policzkach, niecierpliwych dłoniach, świństwach, które szeptał mi na ucho, kiedy ze sobą byliśmy. Czemu na okrągło o nim myślę? Czemu nie potrafię się już skupić na tym, co mam? Czemu zawsze chcę czegoś więcej? Mocniej. Szybciej. Inaczej...

– Przestań! – usłyszałam swój głos.

– Zrobiłem coś nie tak? – Hubert wyglądał na skrajnie zaskoczonego. – Dalej się gniewasz o to, co powiedziałem po powrocie z grilla?

– Nie, skąd. Po prostu rozboleła mnie głowa – powiedziałam.

Mąż z niedowierzaniem spojrział na mnie, jednak nie dodał nawet słowa. Po prostu poczekał, aż wstanę z jego kolan, przeszedł przez trawnik, wszedł do domu i zasunął za sobą balkonowe drzwi.

Kraków powitał nas upałem, w południe temperatura dochodziła do trzydziestu czterech stopni. Większą część soboty spędziliśmy, odwiedzając stare kąty – park Bednarskiego na Podgórzu, Zakrzówek. W końcu, zmęczeni niemiłosiernym skwarem, usiedliśmy w jednym z kawiarnianych ogródków przy rynku i przyglądając się tłumom podekscytowanych turystów, zjedliśmy po kawałku sernika. Powietrze zdawało się stać, pomimo że miałam na sobie zwiewną sukienkę, odnosiłam wrażenie, że dosłownie topię się z gorąca. Hubert przyłożył mi do szyi puszkę z lodowato zimną colą i powachlował mnie kartą.

– Tylko mi tu nie zemdlej – mruknął, nawiązując zapewne do mojego sławetnego omdlenia w Chorwacji, kiedy to po kilkugodzinnym pobycie na słońcu upadłam i dotkliwie się potłukłam. – Dzwoniłem wczoraj do Olka Frycza – dodał, kiedy czekaliśmy na rachunek. – Powiedział, że będzie dziś na koncercie w Dworku Białooprądnickim. Masz ochotę się z nim spotkać? Wieczorem powinno być chłodniej.

– Czemu nie?

– Nie wyczuwam entuzjazmu – uśmiechnął się krzywo Hubert.

Wzruszyłam ramionami.

– Czego się w końcu spodziewasz, że będę skakać z radości? Olek to twój dawny szpitalny kolega, ja ledwo go znam...

– Marzena, jeśli nie masz ochoty...

– Nie powiedziałam, że nie mam ochoty – weszłam mężowi w słowo.

– Zrobisz ci zdjęcie. Pięknie wyglądasz z kościołem Mariackim w tle – powiedział.

– Pięknie wyglądam z kościołem Mariackim w tle? Jak już ty coś powiesz... – roześmiałam się.

Mąż pstryknął kilka fotek i wziął od kelnera rachunek.

Napiwku nie zostawił, więc wyjęłam z portfela pięć złotych i położyłam obok dwóch wyświechtanych dwudziestek.

– Kiedy zrobiłeś się skąpy? – zapytałam cicho.

– Nie mam drobnych i tyle – mruknął.

Taryfę złapaliśmy na Siennej. Starszy, łysy jak kolano taksówkarz z siwą brodą od razu wkręcił nas w rozmowę o Dubaju, w którym przez kilka lat pracował jako inżynier.

– Tam złotem dosłownie wszystko ocieka, aż kipi od przepychu. A te ich kobiety... W jeden dzień potrafią wydać tyle, ile zarabiałem przez rok, ale wolności nie mają żadnej – nawijał.

Znudzona banałami, które opowiadał, zupełnie się wyłączyłam. Wygrzebałam z torebki telefon

i wysłałam SMS-a do Patrycji, przekazując jej pozdrowienia z Krakowa.

Olek Frycz czekał na nas przy Dworze Kościuszko – sąsiadującym z Dworkiem Białostradnickim, pięciogwiazdkowym hotelu.

– Mają kasyno, gdybyście mieli ochotę zagrać – żartował, podając rękę mojemu mężowi.

Mnie pocałował w policzek i obdarował dość banalnym komplementem. Hubert przyjacielskim gestem klepnął go w ramię i ruszyliśmy w stronę pobliskiej altany, gdzie miał się odbyć koncert muzyki irlandzkiej.

– Basia się spóźni? – zapytałam, a Aleksander posłał mi nieco zmieszane spojrzenie.

– Racja, wy jeszcze nic nie wiecie... Rozwiedliśmy się. Będzie z pół roku, odkąd mieszkam z Aliną – powiedział.

– Żartujesz? – Hubert aż przystanął.

– No niestety... Takie życie. Ale jakoś nam się poukładało. Baśka wyjechała do Niemiec, ma świetną pracę. Ja jestem z fajną młodą laską – mrugnął do mojego męża Olek.

– Tylko nie mów, że związałaś się z jakąś siksą? – mruknęłam.

– Nie no, bez przesady. Alinka ma prawie trzydziestkę. – Aleksander wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i sięgnął po telefon. – Zadzwoń, może dziś do nas dotrze – dodał.

Spojrzałam na Huberta, starając się wysondować, co sądzi o sercowych zawirowaniach Olka, ale mąż miał nieprzeniknioną minę.

Koncert był udany, chociaż nieco szwankowało nagłośnienie.

– To co? Skoczmy jeszcze na Kazimierz? – zaproponował Olek, kiedy kończyliśmy swoje piwo. – Alince łatwiej będzie dotrzeć w tamtą część miasta – dodał.

– Jasne, trzeba wspominać stare czasy – zgodził się z Aleksandrem mój mąż i chwilę później wstawaliśmy się do nowiutkiej terenówki Frycza.

Na Kazimierzu nie zabawiliśmy jednak długo – dziewczyna Olka zadzwoniła do niego z jakimś niecierpiącym zwłoki problemem i nasz dawny znajomy zaczął się zbierać.

– Przepraszam, myślałem, że posiedzimy przy piwie przynajmniej do północy, ale w takim układzie... Cholera, muszę zadzwonić po taryfę, bo ten ostatni browar już nie był bezalkoholowy – dodał, pośpiesznie się z nami żegnając.

– Wygląda na to, że jesteś skazana tylko i wyłącznie na mnie – żartował Hubert.

– A już się cieszyłam, że poznam to niespełna trzydziestoletnie чудо.

– Wyczuwam kąśliwy ton, czy tylko mi się zdaje?

– Zdaje ci się – skłamałam, dopijając swoje piwo.

– Chodźmy się przejść, strasznie tu głośno – poprosił mąż, kiedy przy sąsiednim stoliku zasiadła grupka krzykliwych i mocno podpitych Włochów.

– Pamiętasz, jak kiedyś lubiłaś zapiekanki od Endziora? – przypomniał sobie Hubert, kiedy mijaliśmy plac Nowy.

– Pamiętam, jak poplamiłam sobie keczupem ulubioną białą sukienkę...

– To było tego samego wieczoru, kiedy zapłaciliśmy mandat za picie w miejscu publicznym?

– Tak, chyba tak. Chciałaś iść do pubu, ale miałam plamę na sukience i koniec końców

wyłądowaliśmy na Plantach z butelką taniego wina pod pachą.

– Wspomnień czar. – Hubert złapał mnie za rękę i pociągnął w stronę Miodowej. – Przejdźmy się jeszcze.

Mijaliśmy jedną ze starych zaniedbanych kamienic, kiedy mąż uchylił masywne, drewniane drzwi.

– Chodź – powiedział konspiracyjnym szeptem.

– Zawsze lubiłeś zaglądać do bram – uśmiechnęłam się.

Niewielki dziedziniec pomiędzy kamienicami był pusty i zagracony. Pod odrapaną ścianą piętrzyły się drewniane skrzynki, pośród kłopotów znalazł się nawet rower z powyginanym kołem i stolik z wyrwaną szufladą.

– Bardzo przyjemne miejsce, nie sądzisz? – Hubert oparł mnie o ścianę i wsunął dłoń pod moją letnią kwiecistą sukienkę.

– Daj spokój, ktoś może nas zobaczyć – zaprotestowałam, kiedy rozpinał rozporek.

– Na tym polega cała zabawa, kotku – powiedział.

– Hubert, przestań. Nie mamy kilkunastu lat, żeby...

Nie dokończyłam, bo gdzieś nad naszą głową otwarło się jedno z okien.

– Poszli stąd, ale już! – odezwał się szorstki męski głos. – Nie będą mi tu bezceństw wyprawiać! Tfu, kurewstwo! – wrzasnął przypadkowy świadek naszych niespełnionych amorów.

– Z własną żoną chyba mogę? – zażartował Hubert, w pośpiechu zapinając rozporek.

– Z żoną to się, panie, nikt po bramach nie gzi! – odburknął moralista, zanim zatrzęsnało okno.

W ciemnym, cuchnącym czosnkiem korytarzu oboje wybuchliśmy śmiechem.

– Widziałaś? Stróż moralności publicznej zawsze czujni – szepnął Hubert, całując mnie w szyję. – Może tu skończymy?

– A może na ulicy? Daj spokój – mruknęłam. – Chodźmy stąd, zanim ten dziad zejdzie na dół i pogoni nas kijem.

– W Krakowie są teraz modne maczety – zażartował Hubert. – Swoją drogą, nic się tu nie zmienia. Zaściankowy kocioł – parsknął z pogardą.

– Zaściankowy kocioł? Kiedyś lubiłeś Kraków – przypomniałam mu. – Coś się zmieniło?

– Kiedyś... – wzruszył ramionami.

Do hotelu dotarliśmy kilka minut później.

– Chodźmy na dach, napijemy się jeszcze po drinku – zaproponował Hubert.

– Chodźmy do łóżka. – Wyciągnęłam do niego rękę.

– Rozbierz się dla mnie – poprosił, siadając w fotelu przy oknie.

Zsunęłam ramiączka od sukienki i rozpuściłam włosy. Kwiecista kiecka opadła na bordową wykładzinę i zostałam w samej bieliźnie.

– Dawniej nigdy nie zakładałaś stanika pod tego typu letnie szmatki – powiedział Hubert.

– Dawniej nie robiłam wielu rzeczy, na które teraz mam ochotę...

– Na przykład? – zapytał.

Zdjęłam stanik i podeszłam do Huberta.

– Chodźmy na balkon.

– Co? Marzena, chyba nie chcesz...

– Chodź – rozsunęłam drzwi i wyszłam na zewnątrz.

Wieczór był wciąż gorący, parny. Oparłam się plecami o oszkloną barierkę i wyciągnęłam rękę do męża. Zdjął podkoszulek i rozpiął spodenki.

– Jeśli ktoś nas sfilmuje albo jeśli...

– Przymknij się – powiedziałam.

Kochaliśmy się na ziemi, przyjemny chłód balkonowych płytek koił moje rozgrzane upałem plecy. Na dole ktoś głośno się zaśmiał, trzasnęły drzwiczki samochodu. Seks był krótki i dziwnie nieporadny, miał jednak w sobie coś ekscytującego. A może tylko tak mi się wydawało? Może od dawna powinniśmy jakoś urozmaić tę naszą mdlą codzienność?

– W bramie nie chciałaś, ale na balkonie tak? – mruknął Hubert, w pośpiechu wkładając kraciaste krótkie spodenki, których wyjątkowo nie lubiałam.

– Chyba nie żałujesz? – zażartowałam.

– Ubierz się! – Cisnął we mnie swoim podkoszulkiem i wszedł do pokoju.

– Co? Co znowu zrobiłam nie tak? – zapytałam.

– Nic.

– Hubert, o co ci chodzi?

– Ktoś mógł nas zobaczyć! To środek miasta, pełen ludzi hotel!

– I?

– Nie przeszkadza ci to?

– Nikt nas nie widział, do cholery! A nawet jakby?! Pamiętasz tę parę z Turcji, kochającą się nocą w hotelowym basenie? Ludzie pieprzą się od wieków, nie rób z tego takiej afery!

– Nigdy nie zachowywałaś się w taki sposób...

– W jaki sposób, Hubert? – zapytałam cicho.

Usiadł na łóżku i przeczesał palcami włosy.

– Sam nie wiem, jak to ująć. Ostatnimi czasy jesteś jakaś pazerna.

– Pazerna? – powtórzyłam, jak echo, nie bardzo wiedząc, co on przez to rozumie.

– Chwytasz życie garściami, jakbyś nagle znacznie intensywniej chciała przeżyć każdą chwilę, jakbyś zachłystywała się każdym doświadczeniem, szukała mocniejszych wrażeń, goniła za czymś nowym, innym, nieosiągalnym.

– Bzdury wygadujesz! – prychnęłam.

– Marzena, nie puszczaj teraz focha! Mówię, co widzę!

– Mówisz bzdury! – wycedziłam, odwracając głowę, żeby nie widział wypełzającego na moje policzki, zdradzieckiego rumieńca.

– Zauważyłaś, że ostatnio nie potrafimy ze sobą rozmawiać? – zapytał Hubert.

– Zauważyłam, że stale wynajdujesz jakieś wydumane problemy!

– Okay, rozumiem. Idę pod prysznic – uciął dyskusję mąż.

Kiedy zniknął w łazience, sięgnęłam po moją torebkę i uruchomiłam wyłączony rano telefon. Jednak nie licząc SMS-a od jakiejś wróżki, nie znalazłam żadnych innych wiadomości. Zerknęłam w stronę drzwi, zza których słychać już było kojący szum prysznic. Miałam ochotę zadzwonić do Jacka, wiedziałam jednak, że to fatalny pomysł. W końcu z powrotem wyłączyłam komórkę i położyłam się na szerokim hotelowym łóżku. Pazerna... Więc tak mnie postrzegał mąż. Najgorsze było to, że miał przeciw rację. Tak, nagle zrobiłam się pazerna, jakbym chciała wydrzeć życiu jeszcze więcej, czerpać z niego garściami, odurzać się zakazanymi emocjami i w napadzie jakiejś autodestrukcji deptać wszystko, co przez długie lata tak troskliwie pielęgnowałam.

Marzena? Jak miło, że wpadłaś! Wchodź, tylko uważaj, żebyś się nie pobrudziła! – Patrycja w poplamionych farbą dżinsowych ogrodniczkach malowała właśnie na ścianie drzewo z rozłożystymi konarami. – Nazwałam sklep Pani Sowa i Przyjaciele – uśmiechnęła się.

Rozejrzałam się po zaskakująco przestronnym wnętrzu i stanęłam na jednej z rozłożonych na podłodze gazet. Słońce, wpadając przez olbrzymie sięgające podłogi okno, rozświetlało lokal, dodając mu uroku. Wychodziło na południe, dzięki czemu Patrycja przez większość dnia mogła liczyć na jasne dzienne światło.

– Co powiesz? Myślisz, że sama stworzę tutaj jakiś klimat, czy powinnam zatrudnić dekoratora? Problem w tym, że krucho u mnie z kasą...

– Pani Sowa i Przyjaciele. Podoba mi się – powiedziałam, siadając na stojącym pod ścianą drewnianym taborecie. – Nie miałam pojęcia, że potrafisz malować – dodałam, przyglądając się pełnemu kolorowych liści drzewu, pod którym w najlepszej komitywie siedział kot z niewielką zieloną myszą. – Zielona mysz – roześmiałam się.

– Czekaj, to chyba nawet brzmi lepiej! Jak myślisz? Zielona Mysz, czy Pani Sowa i Przyjaciele? – Patrycja czubkiem dłoni potarła skrzydełko nosa i mruknęła, że od siódmej rano siedzi w smrodzie farby.

– Nie wiem, Pati. Nazwę powinnaś chyba wybrać sama. Zielona Mysz brzmi całkiem nieźle.

– Brzmi zwięźlej, bardziej chwytliwie – przyznała mi rację przyjaciółka. – Z drugiej strony już za późno na zmianę nazwy. Napijiesz się kawy? Od razu mówię, że mam jedynie taką z termosu...

– Kawa z termosu? Kochana, nie zachęcasz – roześmiałam się.

– Dobra, mniejsza z tym. Sowa na tej gałęzi, czy niżej? – zapytała Patrycja, przyglądając się ozdobionej przez siebie ścianie.

– Na niższej – zdecydowałam. – Skoczyć ci po coś do jedzenia? Jest grubo po siedemnastej, a jak cię znam, siedzisz tu pewnie o samej kawie...

– Jadłam kanapkę, zresztą i tak się odchudzam.

– Cel Amerykanin? – zapytałam rozbawiona.

– Niestety... Sytuacja chyba uległa zmianie. Twierdził, że jest rozwiedziony, ale od dwóch dni gości u niego ta Brytyjka.

– Jego była żona przyjechała? Z Londynu? – zdziwiłam się.

– Na to wygląda. Co gorsza, na moje oko chyba wciąż są razem. Wczoraj, biegając, zobaczyłam ich w altanie – jedli kolację przy świecach i byli tak w siebie wpatrzeni, jakby dopiero się poznali.

– Może to nie ona? Może to jakaś inna babka?

– Ona, ona. Któregoś dnia James pokazał mi jej zdjęcia, więc nie ma mowy o pomyłce. Zresztą tę burzę jej ognistorudych włosów poznałabym wszędzie. Oczywiście telefonów ode mnie już nie odbiera, nagle zapadł się pod ziemię. Próbowałam trzy razy, w końcu dałam sobie spokój. Zresztą jakie było prawdopodobieństwo, że taki facet wybierze akurat mnie? – zapytała cicho.

– Jaki facet? Jak dla mnie to zwykły dupek! Okłamał cię, Patrycja. Zwodził, łgał w żywe oczy, wymyślał niestworzone historyjki...

– Jak każdy, który bez zobowiązań chce się dostać do kobiecych majtek – wzruszyła ramionami Patrycja, zabierając się za malowanie siedzącej na gałęzi sowy. – Dobrze chociaż, że nie poszłam z nim na całość. Zawsze to jakaś satysfakcja. Skończyło się na kilku pocałunkach. Było, minęło, następny proszę!

– A co z Mariuszem? – zapytałam.

– Na razie odpuścił, ale o ile go znam, pewnie tylko się przyczaił. Cholera, nie za duża ta sowa?

– Na górnej gałęzi możesz narysować dwie albo trzy mniejsze.

– Rodzina sów?

– Wielodzietna rodzina sów. Pewnie liczyły na to, że zgarną po pięć stówek na każde kolejne dziecko

– mruknęłam i wybuchłyśmy śmiechem.

– A tak à propos dzieci – czemu ich nie macie? O ile mogę zapytać, oczywiście. W tym kraju to zazwyczaj dość drażliwy temat...

– Czy ja wiem? Kiedy poznałam Huberta, miał już kilkuletniego syna. Ja skupiałam się na pracy, on był zestresowany rozwodem i ciągłymi przepychankami z Bożeną, która robiła wszystko, żeby utrudnić mu kontakty z ich jedynakiem. Po moich trzydziestych trzecich urodzinach przez jakiś czas rozmawialiśmy o tym, że może byłoby fajnie mieć wspólne dziecko, ale sprawa rozeszła się po kościach. Później przypadkiem podsłuchałam rozmowę męża z siostrą – Hubert zwierzał się Hance, że ma coraz więcej obaw. Że jesteśmy już nie najmłodszymi kandydatami na rodziców, że może urodzić się chore. „Nie zniósłbym widoku chorego dziecka, myślę, że by mnie to zabiło. Wystarczająco cierpię, patrząc na te, które mam na oddziale” – powiedział wtedy Hance, a ja więcej nie podjęłam tematu. Jakiś czas później zdałam sobie sprawę, że mąż również nie naciska i zanim się obejrzeliśmy, jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Hubert ma syna, ja chyba nigdy jakoś szczególnie nie tęskniłam za rolą matki. Z czasem zrobiliśmy się wygodni, cieszyło nas własne towarzystwo. Wiadomo, że im dłużej się zwleka, tym trudniej zwalczyć własny egoizm – powiedziałam.

– Wow, szczerze aż do bólu! – Patrycja posłała mi uśmiech, po czym dorysowała sowie oko i skrzywiła się, wyraźnie z siebie niezadowolona. – Otwarcie w przyszłą sobotę, a ja nawet nie odebrałam regałów. Dobrze, że chociaż część towaru jest już w garażu. Jeszcze tylko załatwię wszystkie urzędowe sprawy i mogę ruszać.

– Nie możesz, dopóki nie dorysujesz sowiej rodzinki – zażartowałam. – Słuchaj, gdybyś potrzebowała pomocy, mogę wpaść. W weekend można by tu wszystko sprzątnąć, zacząć układać książeczki i zabawki.

– Byłabym wdzięczna. Zawsze raźniej w dobrym towarzystwie – powiedziała Patrycja. – Nie... Cholera, ta sowa wygląda bardziej jak jakiś orzeł – dodała, parszcząc nerwowym śmiechem.

– Potrzebujesz przerwy, dziewczyno. Przebierz się, wyskoczmy coś zjeść. Za rogiem jest świetna kawiarnia, a ja od rana mam ochotę na szarlotkę – powiedziałam.

– Nie wiem, Marzena... – zawahała się przyjaciółka. – Chciałabym jeszcze dziś skończyć tę babraninę. Jestem cała brudna, nawet we włosach mam farbę – dodała.

– Chodź! Godzinka przerwy cię nie zbawi – kusiłam i w końcu zniknęła na niewielkim zapleczu, żeby się przebrać w sukienkę.

Gruszka w Karmelu jak zawsze była zatłoczona, ale udało nam się znaleźć stolik. Czekaliśmy na kelnerkę, kiedy Patrycja powiedziała, że chciałaby mieć dziecko.

– Jeszcze rok temu nie byłam pewna, ale nagle myślę o tym na okrągło... Problem w tym, że na horyzoncie nie widać żadnego kandydata na tatuśka – powiedziała z przekąsem.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? Mnie zawsze przerażała idąca w ślad za tym odpowiedzialność. Nie wiem, może jestem niedojrzała emocjonalnie, ale na myśl o tym, że mam zapomnieć o wszystkich swoich potrzebach i skupić się na tej zaślinionej, wiecznie rozwrzeszczanej kreaturze, dosłownie robi mi się słabo.

– Zaślinionej kreaturze? Kochana, uwielbiam twoje teksty. W moich rodzinnych stronach byłabyś pewnie ulubienicą zdewociałych pań z sąsiedztwa. Jeden taki tekst, a nie dałyby ci żyć...

– Uroki prowincji – wzruszyłam ramionami. – A wracając do dziecka – jeśli czujesz, że to twój moment, działaj! Facetów w końcu nie brakuje.

– Fakt, facetów nie brakuje. Ale mężczyzn przez duże „m” już chyba tak – powiedziała Patrycja. – Ostatnio umówiłam się z jakimś koleśkiem z sieci. Nie wspominałam ci, bo nie było okazji. W każdym razie w kilku mejlach, które wymieniliśmy, przedstawił mi się jako obrotny biznesmen, niezależny i pewny siebie gość. Możesz sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy przyszedł na spotkanie i zaczął bąkać coś o tym, że może mi postawić tylko herbatę, bo marnie u niego z finansami. Później, od słowa do słowa, wygadał się, że mieszka kątem u starszej siostry i pracuje jako nocny stróż. Tacy właśnie „biznesmeni” trafiają się na portalach randkowych. Żeby jeszcze jakoś wyglądał, to może czułabym się pocieszona, ale gdzie tam... Czerwona egzema na pół twarzy, brud za paznokciami i niedopięty rozporek – typowy polski macho na pierwszej randce. W dodatku niemiłosiernie cuchnął potem – skrzywiła się Patrycja.

– Jezusie, potrafisz zarysować obraz sytuacji. Powinnaś chyba pisać thrillery – wzdrygnęłam się.

– Mówię, jak jest – wzruszyła ramionami. – Ach, i jeszcze Czarus... Mówiłam ci o Czarusiu?

– Nie, wal! – zachęciłam ją.

– Zagadnął mnie w parku, kiedy spadł mi łańcuch. Pomógł mi z rowerem, chociaż akurat z łańcuchem radzę sobie sama, ale przynajmniej dzięki niemu nie połamałam paznokci. W każdym razie, zanim odjechałam, zapytał, czy nie miałabym ochoty umówić się z nim na kawę. Ten dla odmiany wyglądał nieźle i równie nieźle pachniał, więc podałam mu mój numer. Zadzwoił jeszcze tego samego wieczoru, kompletnie pijany. „Idę o zakład, że masz nieziemską cipę” – wybełkotał, zanim zdążyłam się rozłączyć. Kobieta z nieziemską cipą, w czym mogę pomóc? – ironizowała Patrycja, chociaż chyba nie było jej do śmiechu.

– Daj spokój, nie zniechęcaj się. Każda z nas trafiała na takich debili, zanim spotkała kogoś wartościowego. Czarus ma pewnie frustrujący problem z postawieniem masztu – rzuciłam konspiracyjnym szeptem.

– Nie wiem, z czym ma problem Czarus. Ale czas leci, a ja wciąż nie mogę znaleźć w nikim oparcia. Wiesz, był już taki okres, że czułam się całkiem nieźle. Było mi dobrze samej, nie potrzebowałam nikogo. Ale nagle naszła mnie taka ochota na dzielenie z kimś każdego dnia, że nie potrafię myśleć o niczym innym. Jakbym dostała jakiejś obsesji...

– Może Pani Sowa i Przyjaciele przyniosą ci szczęście? Wiesz, że nie brakuje atrakcyjnych rozwiedzionych tatuśków? Powkładaj trochę ulotek za samochodowe wycieraczki i czekaj na efekty. Idę o zakład, że niebawem trafi ci się ktoś odpowiedni – powiedziałam.

– Zawsze wiesz, jak mnie pocieszyć – uśmiechnęła się.

– Rok na psychologii nie poszedł w las.

– Studiowałaś psychologię?

– Tak, ale szybko zmieniłam kierunek. Głównie dlatego, że byłam nieprzytomnie i beznadziejnie zakochana w koledze z roku, który na moich oczach migdalił się z blondyną z naszej grupy – powiedziałam, uśmiechając się do wspomnień.

– Co dla pań? – Młoda piegowata kelnerka zjawiała się przy nas, kiedy Patrycja wyciągała z torebki dzwoniący telefon.

Zamówiłam nam po szarlotce z lodami i szklance mineralnej.

– Nie dzwoń do mnie więcej, Mariusz! Ile razy mam ci to powtarzać?! – syknęła moja przyjaciółka do słuchawki, zanim się rozłączyła.

– Zmień numer, Pati. Nie masz wyjścia.

– To bez sensu, Marzena, nie rozumiesz? Zmienię numer, a za parę dni on znajdzie w sieci reklamę mojego sklepu i znowu zacznie wydzwaniać. Wie, gdzie mieszkam. Wie, jak się nazywam. Wie o mnie wszystko. Jak mam mu się wymknąć?

– Idź na policję, na to są paragrafy.

– Dajże spokój! I niby co im powiem? Że były mąż chce się spotkać i pogadać?

– Że były mąż nachalnie się przy tobie kręci i nie przyjmuje odmowy.

– Tak, a później zapytają, jakie łączą nas relacje, wyjdzie na jaw, że niedawno się z nim przespałam i tylko najem się wstydu...

– Patrycja, on nie może tak cię nękać!

– Jak widzisz, może. Nieważne, zmieńmy temat – powiedziała Patrycja, rozglądając się po lokalu. – Patrz, jaki fajny facet. Tam, przy ścianie. Z tą mysią blondyną u boku.

Obróciłam się i zagryzłam usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Znasz go? – zainteresowała się Pati.

– Jasne, chodziliśmy razem do liceum. To Jasio Boroń, ma ksywkę Szybki Johnny. Jak wynika z relacji jego byłych dziewczyn, do szczęścia wystarczą mu jakieś dwie minuty... – szepnęłam.

– Natura potrafi być okrutna – mruknęła Patrycja, nie spuszczać wzroku z Boronia. – Kurczę, a taki przystojny koleś...

– Pozory mylą, kochana.

Zjadłyśmy, paplając o jakichś zupełnie nieistotnych rzeczach. W końcu Patrycja wróciła do swojego lokalu domalowywać sowy, a ja zrobiłam szybkie zakupy i pojechałam do domu.

Huberta nie było. Wystukałam jego numer, ale nie odebrał. Zaczęłam więc sprzątać, byle tylko zająć czymś ręce, byle nie myśleć o Jacku.

Patrycja zadzwoniła przed dwudziestą pierwszą.

– Skończyłam! I nawet ta cholerna sowa wygląda tak, jak powinna. Słuchaj, zapomniałam cię dziś zapytać – skończyłaś w końcu ten idiotyczny romans?

– Nie – powiedziałam.

– Skończ to, Marzena.

– Myślisz, że to takie proste? Myślisz, że...

– Skończ to, zanim skrzywdzisz kogoś tak, że niczego nie będzie już można naprawić – weszła mi w słowo. – Pogadamy kiedy indziej, okay? Chciałam ci tylko powiedzieć, że Hubert nie zasługuje na coś takiego.

– Myślisz, że o tym nie wiem?! – krzyknęłam.

– Nie wkurzaj się na mnie. Wiesz, że życzę ci wszystkiego, co najlepsze. Po prostu skończ tę historię, zanim stracisz męża.

– Nie chcę teraz o tym mówić, okay?

– Obraziłaś się?

– Nie obraziłam się. Po prostu nie lubię, kiedy ktoś przypiera mnie do muru.

– Nie przypieram cię do muru, Marzena. Mówię tylko, że...

– Pati, muszę kończyć. Pogadamy kiedy indziej, dobrze?

– Jak chcesz – powiedziała.

Kiedy się rozłączyła, zrobiłam sobie drinka. Hubert nadal nie oddzwaniał i nagle poczułam strach. Co, jeśli to koniec? Co, jeśli nasze małżeństwo przechodzi właśnie do historii, a ja tylko beczynnym się temu przyglądam?

Dopijając gin z tonikiem, włączyłam laptopa. Na forum o zdradzie był jeden nowy post. Przeczytałam go aż trzy razy, z rosnącym przerażeniem i kołującym w piersi sercem.

Jakiś czas temu wdałam się w romans... – pisała Dziewczyna–ze–smutnej–Bajki. – Poznaliśmy się w pracy, zaiskrzyło. Mój mąż sporo wtedy podróżował, często nie było go w domu, a ja czułam się znudzona szarą codziennością. Pierwszy raz przespałam się z Filipem na szkoleniu. Alkohol lał się strumieniami, puściły nam hamulce. Rano nie robiliśmy z tego dramatu. On był żonaty, ja byłam mężatką, nasze obrączki leżały na nocnej szafce obok pustej butelki po taniej whisky i opakowania prezerwatyw. „Nie powinniśmy tego powtarzać” – powiedział Filip. Nie obraziłam się, nie czułam się odrzucona, wręcz przeciwnie – całkowicie się z nim zgadzałam. Jedna chwila zapomnienia to jeszcze nic, ale romans? Nie chciałam robić czegoś takiego mężowi, przecież wciąż go kochałam. A jednak, niecały miesiąc później, znowu wylądowałam z Filipem w łóżku. Tym razem nie wmawialiśmy sobie, że to tylko nic nieznaczący epizod – zrozumieliśmy, że nas do siebie ciągnie.

Czas mijał. Zaszłam w ciążę, nie mając pojęcia z kim, poroniłam, zerwałam z kochankiem i do niego wróciłam – karuzela emocji, totalny kołowrót... Mąż oczywiście o niczym nie wiedział, zresztą całkiem nieźle nam się układało. Budowaliśmy dom pod miastem, mieliśmy sporo planów. Ale znalazł się ktoś „życzliwy”, ktoś, kto wysłał mojemu ślubnemu zjadliwy anonim i napisał, co wyprawiam na firmowych wyjazdach.

Znalazłam go na strychu, na budowie domu, który już nigdy nie będzie naszym wspólnym gniazdkiem. Powiesił się. Tak po prostu. Żadnej rozmowy, wyrzutów, obrzucania się obelgami. Nie nazwał mnie dziwką, nie zażądał rozwodu, nie spojrzał mi w twarz. Odebrał sobie życie. Ja go zabiłam.

Filip szybko się wycofał z naszego „związku” – jako pogrążona w szoku i rozpaczycy wdowa nie byłam już dla niego tak atrakcyjna jak wcześniej. Zostałam sama, skazana na wyrzuty sumienia, pogrążona w rozpaczycy. Żałoba przypomina mi czasem kleistą czarną maź, w której

ugrzęzłam, i nie potrafię się z niej wygrzebać. Zakopałam się po szyję niczym w ruchomych piaskach. Czy było warto? Odpowiedź jest chyba oczywista...

Wyłączając laptopa, zdałam sobie sprawę, że płaczę. Czy to jedna z grafomańskich opowiadań zagląających na forum mitomanek, czy może ta historia zdarzyła się naprawdę? – zastanawiałam się.

Mąż oddzwonił, kiedy robiłam sobie kolejnego drinka.

– Co chciałaś, kochanie? – zapytał.

– Nic ważnego. Chciałam cię usłyszeć – powiedziałam.

– Masz dziwny głos. Wszystko okay?

– Tak, jasne. Piję gin, zaraz włączę telewizor. Co w szpitalu?

– A jak myślisz? – zachnął się.

– Chciałabym się teraz do ciebie przytulić – szepnęłam.

– To przyjedź. Wsiądź w taryfę, a ja na moment zejdem na dół.

– Mówisz poważnie? – roześmiałam się.

– A czemu nie? Kiedyś odwiedzałaś mnie na dyżurach, pamiętasz?

– Pielęgniarki zawsze wtedy dziwnie krzywo na mnie patrzyły...

– To co? Chce ci się tutaj podjechać, czy zakładasz ciepłe skarpety i ładujesz się do łóżka z książką?

– Przyjadę – obiecałam.

Zanim się rozłączył, powiedział, że mnie kocha. Założyłam jedną z jego ulubionych sukienek w grochy i spięłam włosy w wysokiego koka. Przed szpital dotarłam kilka minut później. Mąż zszedł do mnie na dół, ale od razu zaznaczył, że zaraz musi wracać. Pocałowałam go w usta. Oddał mi pocałunek i pociągnął w stronę dobudówki, której nie było widać z okien jego oddziału. Staliśmy mocno objęci, rozmawiając o minionych wakacjach, kiedy ktoś wezwał Huberta przez pager.

– Koniec zabawy, kotku – powiedział, przeczesując palcami włosy. – Ale dzięki, że wpadłaś. Bardzo miły akcent – dodał, zanim pognął z powrotem na oddział.

Wracając do domu, zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od miesiąca umówiliśmy się z Hubertem na coś w rodzaju randki.

Skąd masz tę bliznę? – zapytałam, muskając palcami długi jasny ślad zdobiący wnętrze uda mojego kochanka.

– Długa historia. – Jacek uniósł się na łokciu i sięgnął po papierosy.

– Nigdzie się nie śpieszę.

– A to nowość – mruknął.

Palił jak zawsze w łóżku, popielniczkę położył sobie na brzuchu. Zaczął mi opowiadać, co się wydarzyło.

– Kiedy miałem jedenaście lat, lubiliśmy się z chłopakami kręcić po opuszczonej ruderze, której właściciel popełnił samobójstwo. Gość powiesił się na strychu. Rodziny nie miał i chałupa przez lata niszczała... Nogę rozciąłem sobie o jakiś przerdzewiały pręt i z płaczem pobiegłem do domu. Niestety, zamiast matki zastałem pijanego ojca. Zanim opatrzył mi udo, złał mnie pasem za włóczęgostwo, jak to określili. Później, zapłakanego i zasmarkanego, wepchnął do piwniczki na węgiel i kartofle. Nie wiem, ile tam przesiedziałem, ale chyba ładnych kilka godzin. I pewnie zostałbym tam dłużej, gdyby nie interwencja matki – przysłała po mnie, kiedy ojciec zapadł w końcu w jeden z tych swoich ciężkich pijackich snów. Pamiętam, że jeszcze przez kilka dni noga paliła mnie żywym ogniem, a stary, ilekroć mnie widział, ścigał pasek. W końcu dał mi spokój. Dopiero kiedy rok później gliniarze złapali mnie i kumpla na dewastowaniu domków na działkach, zbił mnie ponownie i połamał mi żebra. Nie mieliśmy wtedy telefonu, więc matka w nocnej koszuli pobiegła po pomoc do sąsiadów, którzy wezwali karetkę. Ale kiedy przyjechała policja, nie chciała się na ojca poskarżyć. Wyłem z bólu, a ona trzymając mnie za rękę, przysięgała, że spadłem ze schodów... Zmarła niedługo później i chociaż cholernie za nią tęskniłem, przez długi czas nie mogłem jej wybaczyć tego, że zawsze stawiała w obronie tego przekłętogo pijusa – powiedział, kiedy już wypalił papierosa i zdusił niedopałek.

Przysunęłam się do niego i wsunęłam dłoń w jego włosy.

– Tylko się nade mną nie lituj, okay? – mruknął mało sympatycznym tonem. – Wychowywał mnie prawdziwy skurwysyn, ale jakoś sobie radzę. Przyznasz, że jak na syna zapitego nieudacznika, zaszedłem całkiem daleko.

– Twój ojciec jeszcze żyje? – zapytałam.

– Żyje, wyobraź sobie. Jednak to prawda, co mawiają – złego diabli nie biorą. Pół roku temu miał udar, ale ponoć szybko do siebie dochodzi...

– Odwiedzasz go?

– Nie. Ale mój brat czasem tam jeździ. Często się nad tym zastanawiam i dalej nie wiem, po cholere? W dzieciństwie ojciec lał go równie zawzięcie jak mnie.

– Przykro mi – powiedziałam.

Nie odpowiedział.

Sięgnął po swoją komórkę i zabrał się do pisania SMS-a.

Leżałam obok niego w zmiętej pościeli, przypominając sobie barwne i pełne emocji opowieści Huberta. Wakacyjne wyprawy do Włoch i Francji. Elegancka, grająca na pianinie matka, troskliwy

i opiekuńczy ojciec. Tenis, szermierka, karate. Letnie obozy, zagraniczne wyjazdy, korepetytorzy. Dwóch małych chłopców i dwa różne światy. Dwa kompletnie odległe starty w życie, w którym zarówno syn wziętego chirurga, jak i dzieciak sadystycznego alkoholika musieli sobie jakoś radzić...

– Co tak zmarkotniałaś? Użalasz się w duchu nad moim spaprany dzieciństwem? – Jacek odłożył telefon i delikatnie klepnął mnie w pośladek. – Musisz się zbierać, kocie. Mam coś do załatwienia – dodał.

– Odkąd się znamy, nigdy nie kończyłeś naszego spotkania w taki sposób – powiedziałam z lekką urazą w głosie.

– Zawsze jest ten pierwszy raz. No nie bocz się, po prostu muszę gdzieś wyskoczyć.

Wstałam.

Jacek wychylił się zza łóżka i rzucił na fotel moje podniesione z podłogi majtki.

– Zadzwoń jutro.

– Nie dzwoń. Po południu może wpaść moja siostra.

– W takim razie ty zadzwoń – poprosił.

– Zadzwoń – obiecałam.

Zakładałam sukienkę, kiedy odezwał się domofon.

– Cholera, znowu ktoś do ciebie? – spanikowałam, poprawiając ramiączko od stanika.

– Spokojnie, to tylko kumpel. Jedziemy za miasto jego furą. Pośpiesz się – mruknął Jacek, zakładając dzinsy.

Złapałam za swoją torebkę i ruszyłam w stronę drzwi. Lepka od upału, przesiąknięta wonią seksu i ogólnie „zmięta”, marzyłam o prysznicu, ale Jacek już niecierpliwie podzwaniał trzymanymi w rękę kluczami, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że wychodzimy.

Do domu dotarłam koło dwudziestej. Huberta nie było, miał dwudziestoczworogodzinny dyżur. Wzięłam więc gorącą kąpiel i wypłam dwa kieliszki wina. Patrycja zadzwoniła przed dwudziestą drugą. Miała drżący, mocno zdenerwowany głos i brzmiała tak, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

– Co się dzieje, Pati? – przeraziłam się.

– Mogę do ciebie wpaść? Wiem, że jest późno, ale...

– Jasne, już ci otwieram – weszłam jej w słowo.

Zjawiła się w dresie, ze spiętymi w ciasnego kucyka włosami, bez makijażu.

– Jakies dwie godziny temu Mariusz zjawił się przed domem moich rodziców. Był pijany i zaczął się awanturować. Wrzeszczał, że zmarnowałam mu życie, że wychowali głupią, egoistyczną sukę. Później rozbił cegłą reflektory w nowym aucie taty i dopiero kiedy mama zadzwoniła po policję, uciekł. Siedzę i czekam, aż zjawi się u mnie...

– Chryste, to się w głowie nie mieści! Patrycja, musisz to zgłosić, zanim stanie się coś złego! Ten facet to czubek! Siadaj, naleję ci wina.

– Nie chcę wina. Chciałam tylko zapytać, czy mogę spać u was? Skoro Huberta nie ma...

– Jasne, że tak. Pościelę ci w gościnnym pokoju. Zamknęłaś dobrze dom?

– Tak. Dzięki, Marzena. I sorry, że rozklejam ci się na kanapie. Głupia jestem, co?

– Nie wiem, czy głupia. Wszyscy popełniamy błędy – powiedziałam, wyjmując z barku kieliszek.

– Nie chcę wina, daj spokój.

– Zaparzę kawę w takim razie. I tak pewnie szybko nie usniemy...

– O której masz być jutro w pracy?

– O dziewiątej, ale tym się nie przejmuj. Jeśli będzie trzeba, wezmę wolne albo trochę się spóźnię.

Nie mam akurat na głowie niczego niecierpiącego zwłoki, a dziewczyny zawsze mnie kryją, gdyby co...

– Fajnie. Ja będę zdana tylko na siebie. Wpadniesz w weekend? Pomogłabyś mi układać rzeczy na regałach.

– Jasne, że wpadnę. Kiedy otwarcie?

– Nie wiem... Chyba je przełożę. Dobrze, że jeszcze nie wydrukowałam ulotek.

– Coś się pogmatwało?

– Nie, po prostu opadłam z sił.

– Sowy cię wykończyły – zażartowałam.

– Prędeż własna głupota – uśmiechnęła się blado Patrycja.

– Jadłaś coś? Mam świeżą bagietkę, a Hubert zrobił wczoraj pastę jajeczną.

– Pasta jajeczna brzmi prawie jak synonim słowa „kaloryczność”. Ale kawałek bagietki z masłem chętnie zjem. Chyba że masz... – Sąsiadka nie dokończyła, bo rozdzwoniła się jej leżąca na ławie komórka. – Mariusz, ktośby inny!

– Daj mi telefon! – powiedziałam.

Po chwili wahania podała mi natarczywie pobrzękującą komórkę.

– Słuchaj, palancie! Na to, co robisz, są paragrafy! – powiedziałam ostro.

– Ooo, a to niespodzianka. Moja żonka znalazła sobie panią mecenas? – powiedział Mariusz głosem człowieka, który wypił już tyle, że ledwo składa słowa.

– Była żona, pajacu! Trzymaj się z daleka od Patrycji, słyszysz?! Jesteście po rozwodzie, koniec, kropka! – podniosłam głos.

– Lubię ostre babki. Może wypijemy kawę? – wybełkotał.

Rozłączyłam się i wyłączyłam komórkę.

– Jest mocno pijany. Wytrzeźwieje i wróci mu rozum – pocieszyłam Patrycję.

– Obawiam się, że w jego przypadku to nie takie proste – powiedziała moja przyjaciółka i wybuchłyśmy nerwowym śmiechem. – On tu przyjedzie, Marzena. Wsadzi dupę w taksówkę i zacznie się awanturować pod naszymi oknami.

– W takim wypadku wezwiemy policję – wzruszyłam ramionami, starając się nie okazywać podenerwowania.

Patrycja już i tak cała się trzęsła...

– Ledwo się tu wprowadziłam i już taki wstyd – szepnęła.

– Jaki wstyd? To ten burak powinien się wstydzić!

– Marzena, wiesz przecież, jacy są ludzie. Twoja sąsiadka z przeciwka już i tak nazywa mnie dziwką.

– Aldona to idiotka. Zakompleksiona, niedomyta kretynka. Jasne? – Przytuliłam Patrycję, która zaczęła

płakać.

– Zawsze byłam silna, wiesz? Brzytwa, tak mnie nazywali kumple. Zawsze świetnie radziłam sobie sama, nie rozczulałam się nad sobą. Ale ostatnio nie poznaję samej siebie. Dobija mnie samotność, miewam jakieś stany lękowe, boję się jutra... Pewnie dlatego się z tym palantem przespałam. Żeby chociaż na chwilę o wszystkim zapomnieć.

– Nie tłumacz się, Pati. Zwłaszcza mnie. Jestem chyba ostatnią osobą, która mogłaby kogokolwiek oceniać – powiedziałam.

– Fakt – parsknęła śmiechem Patrycja.

Oglądałyśmy jakiś wyjątkowo idiotyczny sitcom. W tle ciągle pojawiały się irytujące salwy sztucznie brzmiącego śmiechu. W pewnym momencie za uchylonym oknem usłyszałyśmy jakiś hałas.

– Przyjechał! Mówiłam, że przyjedzie?! – Patrycja zerwała się z sofy i sięgnęła po mój telefon. – Dzwonię na policję!

– Czekaj, nie panikuj. Zobaczmy, co się będzie działo. – Podeszłam do okna i wyjrzałam na uliczkę.

Mariusz, chwając się i zataczając, uderzał trzymanym w dłoni kijem o sztachety płotu.

– Patrycja, kocham cię! Otwieraj! Otwórz, słyszysz?! Wiem, że tam jesteś! – wrzeszczał.

– Zadzwońię po Huberta. Może na moment uda mu się wyrwać ze szpitala.

– Oszalałaś?! – wykrzyknął, kiedy go o to spytałam. – Nie mogę tak po prostu wyjść z dyżuru! Dzwon po policję albo zaalarmuj sąsiadów. Zresztą, czekaj. Poproszę Wojciecha, niech tam do was podjedzie. Miejmy nadzieję, że jest gdzieś w pobliżu i ma włączony telefon – powiedział mąż, dodając, że musi kończyć.

– Hubert przyśle kumpla – posłałam Patrycji krzepiący uśmiech.

– Lekarza? Lepszy byłby kulturysta.

– Lekarze też nie ułomki, a z Wojtka jest kawał chłopca. Metr dziewięćdziesiąt i solidny biceps. Powinien raz dwa spacyfikować naszego amanta. Przez lata pracował w pogotowiu i wie, jak sobie radzić z awanturującymi się frustratami.

– Oby, kochana.

– Patrycjaaaa! – Mariusz nadal miotał się po uliczce, co musiało w końcu wzbudzić zainteresowanie sąsiadów.

Aldona wyszła na balkon, a mieszkająca obok starsza pani Dobrowolska przyglądała się całej scenie z okna na piętrze.

– Teatr groteska, bilety gratis – mruknęła Patrycja.

Wojtek Milicz zjawił się kilka minut później. Nawet w wątłym świetle ulicznej latarni momentalnie poznałam jego wysoką, zwalistą sylwetkę.

– Wow, faktycznie kawał tura. – Pati, mrużąc oczy, przyglądała się idącemu środkiem ulicy Miliczowi. – Jak dobrze go znasz? Jest wolny? – zapytała po chwili z właściwą sobie kokieterią.

– Żyje na kocią łapę ze starszą od niego o kilka lat pielęgniarką.

– No, no. Lubię facetów doceniających dojrzałe kobiety. Wiedzą, co dobre – powiedziała Patrycja rozbawiona, tymczasem Milicz podszedł do Mariusza i lekko go pchnął.

– Wyjdę na zewnątrz, zanim ktoś kogoś uszkodzi – powiedziałam. – Ty tu zostań i nawet nie myśl o wychyleniu nosa za próg!

Kiedy wyszłam, Mariusz odgrażał się Wojciechowi, używając raczej rynsztokowego słownictwa.

– Idź stąd, człowieku, zanim wezwę policję! – krzyknęłam.

Były mąż Patrycji obrócił się w moją stronę i pokazał mi środkowy palec.

– Uroczo – mruknęłam, stając w uchylonej furtce.

– Wypierdalasz stąd, ale już! – Wojciech pchnął Mariusza i niechciany adorator ruszył w końcu w kierunku wylotu uliczki. – Kurwa, co za koleś! Takiego tłuka dawno nie widziałem – zaklął Milicz, śledząc wzrokiem zataczającego się awanturnika.

– Cześć, Kajtek. Dzięki, że dotarłeś z odsieczą – powiedziałam. – Wejdiesz?

– A wejdę, czemu nie? Chętnie poznam pannę, w której obronie stanąłem.

– Uderzył cię? – Dopiero teraz zauważyłam, że przyjaciel męża ma rozciętą wargę.

– Uwierz mi, szybko tego pożałował. – Milicz dotknął ust opuszkami palców i objął mnie w pasie. – Dobrze wyglądasz, Marzenko. Jak marzenie – rzucił jednym ze swoich wyświechtanych żartów i wszedł za mną do ogrodu.

– Jest mój rycerz! – Patrycja, która zdążyła w międzyczasie rozpuścić włosy i rozpiąć górę od dresu, ukazując ładnie opalony dekolt, wyszła nam naprzeciw.

– Poznajcie się – powiedziałam, przedstawiając ich sobie.

Chwilę później poszłam po piwo, a kiedy wróciłam, Pati siedziała obok Wojciecha i muskając kolanem jego kolano, opowiadała o swoich codziennych przebieżkach po parku. Ku jej rozczarowaniu Wojciech nie zabawił jednak długo. Wypił, zjadł kawałek bagietki i postanowił się zbierać.

– Gdyby ten furiat wrócił, dzwońcie prosto na policję. Miło było cię poznać – zwrócił się do Patrycji, która wyglądała na zawiedzioną jego pośpieszną ewakuacją.

– Przystojny! Cholera, naprawdę fajny koleś! – zachwyciła się, kiedy już zamknęłam za Wojciechem drzwi. – Czemu nigdy na takich nie trafiam? A tak zmieniając temat, dzwonił dziś do mnie James i muszę przyznać, że gość ma tupet. Ledwo odwiózł tę swoją rudą Angielkę na lotnisko, a już się stęsknił...

– Odebrałaś?

– Cóż... Chyba nieco wstyd się przyznać, ale tak. Rozłączyłam się dopiero, kiedy zaczął mi wciskać kity o swojej rzekomej tęsknocie. Powiedz mi, czemu ja przyciągam takich wyrachowanych, zakłamanych drani?

– Nie wiem, kochana. Póki co cieszymy się, że twój eks odpuścił.

– Skurwiel! Tego mu prędko nie daruję! Niech się tylko pojawi z jakimiś kwiatami, to zrzucę fiuta ze schodów!

– Zrzucisz fiuta, a pójdziesz siedzieć za człowieka. Raczej marna perspektywa...

– Fakt – przyznała mi rację Patrycja, ponownie spinając włosy w kucyka. – Jestem już tak zdesperowana, że podrywałam twojego znajomego, wiedząc, że kogoś ma...

– Nie wiem, czy to desperacja. Tak już nas natura stworzyła, żebyśmy lubiły z sobą rywalizować – wzruszyłam ramionami.

– Wiesz co, wyjmij jednak to wino. Coś mi się wydaje, że przegadamy z pół nocy – uśmiechnęła się

sąsiadka, moszcząc się na sofie. – Fajny ten doktorek, cholera! Że też musiała już na nim położyć łapę jakaś kobita! Słuchaj, a może jednak powinnam udawać idiotkę i umówić się z Jamesem? Wiesz, żona żoną, ale w końcu kiedyś świetnie potrafiłam owijać sobie facetów wokół małego palca...

Roześmiałam się.

– Przypomniała mi się Esther Vilar – powiedziałam.

– Kto?

– Niemiecka pisarka argentyńskiego pochodzenia. Twierdziła, że wyzyskujemy mężczyzn, tresując ich tak, jak Pawłow ćwiczył swoje psy. Czytałam o niej ostatnio, chyba w „Wysokich Obcasach”.

– Wyzyskujemy ich? I dobrze! Oni i tak pod każdym względem mają od nas lepiej!

– Czy ja wiem... Różnie można na to patrzeć. Myślę, że bycie facetem też nie jest takie proste. Żyją chyba pod większą presją niż my, może nawet... Cholera, zapomniałam zadzwonić do Huberta – zdałam sobie sprawę.

– Dzwon, niech się nie zamartwia. Zorganizował odsiecz, a teraz pewnie krąży wokół telefonu. – Pati podała mi komórkę i rozlała do kieliszków przyniesione przeze mnie wino.

Mąż nie odbierał. Napisałam mu więc SMS-a i usiadłam obok Patrycji.

– Słuchaj, gdybyś się kiedyś dowiedziała, że pielęgniarka poszła w odstawkę, daj znać. Naprawdę cholernie mi się ten gość spodobał – powiedziała sąsiadka chwilę później.

– Nie lubisz tracić czasu, co? – uśmiechnęłam się.

– Kochana, o swoje trzeba walczyć. Ty masz dwóch facetów, ja obecnie żadnego. Nie widzisz w tym układzie lekkiej dysproporcji? – zażartowała.

Położyłyśmy się dopiero po trzeciej, jednak pomimo zmęczenia nie mogłam zasnąć. Bojąc się powrotu Mariusza, czujnie nasłuchiwałam, przewracając się z boku na bok w szerokim małżeńskim łóżku. A kiedy w końcu zmorzył mnie sen, śniłam o Hubercie goniącym Mariusza z kuchennym tasakiem.

Obudziłam się z pulsującym bólem pod czaszką i piekącymi z niewyspania oczami.

– Zaparzyłam nam dzbanek kawy. Mam nadzieję, że nie się pogniewasz. Grzebałam wam po szafkach – powiedziała Patrycja, która musiała się zerwać o wiele wcześniej ode mnie.

– Zjesz coś? – zapytałam.

– Nie, dzięki. Chyba skoczę pobiegać. Czy to policja? – Pati zmrużyła oczy i odsłoniła kuchenną firankę. – Dzwonią do mnie? – zdziwiła się na widok młodego mundurowego wciskającego dzwonek przy jej furtce.

– Iść z tobą? – zapytałam, kiedy w pośpiechu, zapinając bluzę od dresu, ruszyła w stronę frontowych drzwi.

Kiedy wyszłyśmy na zewnątrz, młodszy z policjantów bardzo oficjalnym tonem poinformował nas, że w nocy ktoś zdemolował wynajęty przez Patrycję lokal.

– Mieszkający w tamtej kamienicy starszy mężczyzna podał mi namiary na panią. Pani wynajęła lokal pod sklep z zabawkami? – upewnił się.

– Ja – przyznała Patrycja ze łzami w oczach.

Kiedy pół godziny później dotarłyśmy na miejsce, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że to jakiś

koszmar. Ktoś, najprawdopodobniej pijany i odrzucony Mariusz, zdewastował wnętrze, zostawiając po sobie odłamki szkła i zachlapanie farbą ściany. Sowy, które tak pieczołowicie malowała Patrycja, przesłaniała czerwona maź – skurwiel musiał się dobrać do puszek z resztą farby!

– Pati, jakoś to wszystko ogarniemy – powiedziałam łamiącym się głosem.

Nie odpowiedziała.

Osunęła się pod ścianę i z ukrytą w dłoniach twarzą zaczęła rozdzierająco szlochać. Uklęłam przy niej i objęłam ją ramionami.

– Okno rozbite, ściany całe pomazane! Pani mi za to wszystko zapłaci! – usłyszałam obcy głos i do lokalu władował się otyły wąsaty pięćdziesięciolatek, najpewniej właściciel.

– Naprawdę teraz chce pan o tym gadać?! – podniosłam głos.

– A kiedy, szanowna pani?! Jak długo żyję, nie widziałem czegoś takiego! Nie wiem, komu panie podpadły, ale ja za to płacić nie będę!

– Porozmawiamy później, dobrze? Chyba jest pan ubezpieczony? – Usiłowałam załagodzić sytuację i w końcu gość się wyniósł.

– Miałaś rację. Dawno powinnam była iść na policję – powiedziała cicho Patrycja.

– Nie myśl teraz o tym, co powinnaś była zrobić, a czego nie... Zajmiemy się lokalem, a później wszystko się jakoś ułoży.

– Jak się ułoży, Marzena?! Jak?! Nie znasz polskich sądów?! Trafi mi się pewnie jakaś podstarzała znudzona sędzina, której nie spodobam się tylko dlatego, że jestem młodsza i szczuplejsza, a później Mariusz pośle jej kilka swoich rozbrajających spojrzeń i skurwiel dostanie wyrok w zawieszeniu!

– Tego nie wiesz. Nękał cię, masz na to świadków. Mogę zeznawać ja, Hubert, Wojtek Milicz.

– Przespałam się z nim, Marzena! Nie chcę przez to wszystko przechodzić. Wiesz, jak nadal traktuje się ofiary gwałtów, prawda? Wmawia im się, że prowokowały, że same tego chciały...

– Nie jesteś ofiarą gwałtu, zresztą to zupełnie inna sytuacja. Przespałaś się z nim, owszem. Ale mimo to on nie ma prawa robić takich rzeczy! Nie ma prawa, słyszysz mnie?! Gdzie masz miotłę? Zamiotę szkło i zadzwonię po szklarza. Trzeba zabezpieczyć sklep, zacząć to wszystko ogarniać – powiedziałam.

– Nie wiem, czy w ogóle mam miotłę. Jest odkurzacz, ale...

– Dobra, zaraz jakąś kupię. Za rogiem jest sklep z tego typu rzeczami. Nie ruszaj się stąd, okay?

– On nie odpuści, Marzena – powiedziała cicho Patrycja. – Nie odpuści, rozumiesz?

To było jedno z tych miejsc, gdzie nigdy bym się nie spodziewała spotkać kogoś znajomego. Wąska wysadzona płaczącymi wierzbami alejka na skraju naszego miasteczka, wzdłuż niej szereg blaszanych garaży i opuszczona piekarnia z ziejącymi czernią otworami w miejscu powybijanych szyb. Stałam oparta o drzewo i śmiałam się z czegoś z odchyłoną do tyłu głową. Jacek obejmował mnie w talii, całował po szyi. Wierzby nad nami otaczały nas baldachimem zieleni, pełen śmieci płytki strumień za moimi plecami cicho szemrał. Przyciągnęłam kochanka do siebie, musnęłam wargami jego usta. Nie pamiętam, jak długo się całowaliśmy, zanim ciszę spokojnego letniego wieczoru przerwało zaciekle ujadanie szarpiącego się na smyczy psa.

– Nie znoszę takich jazgotliwych kundli – syknął Jacek, zerkając w stronę nadchodzących kobiet.

I wtedy ją zobaczyłam.

Hanka...

W kolorowej letniej sukience, roześmiana i radosna, szła w naszą stronę w towarzystwie młodej, szczupłej kobiety z ujadającym jamnikiem na smyczy.

– Odsuń się – syknęłam do Jacka, ale było już za późno...

Zauważyła mnie.

To były sekundy, jednak kiedy nasze oczy się spotkały, miałam wrażenie, że ta niezręczna, koszmarna chwila przeciągnęła się w całą wieczność.

– Znasz je? Co jest? – zapytał Jacek.

Hanka przystanęła pośrodku wylanej nierównym asfaltem alejki i nie spuszczałając ze mnie wzroku, z niedowierzaniem pokiwała głową.

– Cześć – szepnęłam, kiedy do niej podeszłam.

Cofnęła się, jakby nie chciała nawet oddychać tym samym powietrzem co ja, a na jej starannie pomalowanej twarzy wykwitła pogarda.

– Zdradzasz mojego brata? – zapytała obco brzmiącym, ochrypłym głosem.

– Co ty wygadujesz? To kumpel, wygłupialiśmy się tylko – wykrztusiłam, ale ona nie była przecież ślepa.

– Po tylu wspólnych latach, po tym, co razem przeżyliście, ty go zdradzasz?! – krzyknęła.

– Uspokój się, nie możesz się denerwować. – Towarzysząca jej dziewczyna położyła dłoń na jej plecach i posłała mi lodowate spojrzenie. – Lepiej będzie, jeśli pani już pójdzie – powiedziała.

– To publiczna droga – warknęłam, wkurzona jej rozkazującym tonem.

– Tym bardziej nie powinnaś się tu migdalić z tym chłoptasiem! – rzuciła Hanka, zanim odwróciła się na pięcie i zostawiła mnie sam na sam z Jackiem.

– Co to za paniusia? – zapytał mój kochanek, śledząc wzrokiem oddalającą się siostrę Huberta.

Szła szybko, jakby chciała zostawić za sobą wszystko, co widziała, zdystansować się od tego, odrzucić...

– Siostra Huberta – szepnęłam.

– O kurwa – mruknął Jacek, jednak w jego głosie nie wyczułam zdenerwowania.

Wręcz przeciwnie – brzmiał tak, jakby pod wieloma względami cieszyła go nasza wpadka.

– Czyli można powiedzieć, że nasz romans nie jest już sekretem? – dodał.

– Bawi cię to?! – krzyknęłam.

– Czy ja mówię, że mnie to bawi? Mówię tylko, że nasz związek nie jest już sekretem – wzruszył ramionami.

– Związek?! To nie jest żaden związek! Bzykaliśmy się i tyle! – krzyknęłam.

– Uspokój się, Marzena! Niepotrzebnie robisz z siebie widowisko – skwitował Jacek, zerkając na przechodzącego obok starszego faceta.

Chwilę później objął mnie i pocałował w szyję, ale mu się wyrwałam.

– Puść mnie! Muszę z nią pogadać! – powiedziałam, odpychając go.

Skrzywił się, ale nie próbował mnie zatrzymać. Wyjął z kieszeni papierosy i zaczął szukać zapalniczki.

– Hanka! Czeka! – zawołałam, ruszając z jej stronę.

W butach na wysokich koturnach biegło mi się fatalnie, ale wiedziałam, że muszę z nią porozmawiać.

– Hanka, nie możesz powiedzieć Hubertowi, słyszysz? – złapałam ją za ramię, kiedy zdyszana i czerwona na twarzy dopadłam ją za zakrętem.

– Naprawdę uważasz, że zataję coś takiego przed własnym bratem?! – podniosła głos. – Traktowałam cię jak siostrę! Uwielbiałam! Nazywałam najlepszą bratową pod słońcem, a ty się puszczasz?! Jak możesz robić coś takiego Hubertowi?! Wiesz, jak on cię kocha?! Zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo jest ci oddany?!

– Ja też go kocham – szepnęłam.

– Kochasz go?! No wybac, ale chyba kpisz! – krzyknęła.

– Zostawię was same. – Młoda dziewczyna z ujadającym jamnikiem na smyczy skinęła mi głową, objęła Hankę i ruszyła w stronę pobliskiej pętli.

Usiadłam na ławce. Jacek, który jeszcze przed chwilą wołał mnie po imieniu, w końcu gdzieś przepadł. Hanka usiadła przy mnie. Trupio blada, bliska płaczu, z zasznurowanymi w wyrazie skrajnej pogardy ustami.

Zacisnęłam palce na jej dłoni. Miałam lodowate ręce i czułam się tak, jakby pod moimi stopami rozwarła się ziejącą pustką przepaść.

– Nie mów Hubertowi, błagam cię! Zakończę ten romans, więcej się z nim nie spotkam, tylko... – urwałam, wybuchając płaczem.

Szwagierka nie odpowiedziała. Przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, w końcu wstała i bez słowa pożegnania ruszyła w stronę pętli.

– Hanka! – krzyknęłam za nią, ale się nie odwróciła.

W mojej torebce rozdzwoniła się komórka. Dzwonił Jacek, ale nie chciałam z nim rozmawiać. Przez głowę przelatywały mi dziesiątki myśli, a jedna była bardziej czarna od drugiej. Przez cały ten czas, odkąd władowałam się w romans, wmawiałam sobie, że nad wszystkim panuję, że mam to pod kontrolą. Wystarczyło jednak przypadkowe spotkanie w odludnej alejce, a prawda o mnie ukazała się światu,

obnażając moje kłamstwa na oczach kogoś, kogo szczerze kochałam. Hanka... Czemu musiało trafić na nią? Gdybym wpadła na którąś z przyjaciółek, może udałoby mi się zachować tajemnicę. Oczywiście opowiedziałyby o tym kilku najbliższym koleżankom, ale prawda nie dotarłaby do Huberta. Jednak w tej sytuacji nie mogłam chyba liczyć na lojalność szwagierki. Zawsze uwielbiała mojego męża, byli bardzo żywym, kochającym się rodzeństwem. Pewnie dlatego nie miałam cienia wątpliwości, że postawi jego dobro ponad moim.

Wieczór spędziłam w zaniedbanej kawiarni na obrzeżach miasta, zastanawiając się, czy Hanka zadzwoniła do Huberta zaraz po naszym spotkaniu, czy może czeka na sposobniejszy moment, żeby o wszystkim mu powiedzieć.

Do domu wróciłam późno.

Ściągałam właśnie buty, kiedy w przedpokoju zjawił się mój mąż.

– Cześć. Gdzieś ty była tyle czasu? – zapytał.

Nie wie – zrozumiałam. Boże jedyny, on jeszcze o niczym nie wie!

– Marzena? Co się dzieje? Płakałaś?

– Nie, ja... Jestem zmęczona – powiedziałam.

Spojrzał na mnie uważnie, jakby nagle obudził się w nim lekarz.

– Źle się czujesz? Marnie wyglądasz. Kiedy ostatnio robiłaś podstawowe badania? Umówić cię z koleżanką? To świetna internistka.

– Nic mi nie jest, Hubert! Po prostu mam sporo na głowie i chciałabym, żeby...

Nie dokończyłam, bo w salonie rozdzwoniła się jego komórka.

– Oby to był Konrad! Gówniarz prawie się nie odzywa, a ja się zamartwiam! – mruknął Hubert, ruszając w stronę dużego pokoju.

Rozmawiał przez chwilę przyciszonym głosem. Usiadłam na schodach, starając się przygotować psychicznie na przyjęcie ciosu. To musi być Hanka! Zaraz mu powie – powtarzałam sobie, z trudem panując nad mdłościami. Hubert zjawił się w korytarzu chwilę później. Był blady i wyraźnie roztrzęsiony.

– Dzwonił Andrzej. Hanka trafiła do szpitala – powiedział.

– Co? – wykrztusiłam zszokowana.

– Źle się poczuła, zaczęła krwawić. Jędrzek mówi, że wróciła ze spotkania z przyjaciółką roztrzęsiona i zamknęła się w łazience, gdzie dostała silnych skurczów. Boją się, że straci dziecko. Jest w klinice na Akacyjowej. Jedziesz ze mną? – zapytał Hubert, w pośpiechu zakładając swoją ulubioną sztruksową marynarkę.

Na myśl o konfrontacji ze szwagierką znowu mnie zemdliło. Wiedziałam jednak, że muszę tam jechać. Chodziło przecież o dziecko. Na myśl o tej małej, ledwie kiełkującej istotce, zachciało mi się płakać. Hanka poprosiła mnie na matkę chrzestną, a ja sprawiłam, że wylądowała w szpitalu. Nie miałam wątpliwości co do tego, że to naszym spotkaniem tak się zdenerwowała...

W aucie niemal z mężem nie rozmawialiśmy. Zmęczony po dyżurze i nieświadomy tego, co zaszło między mną a jego siostrą, Hubert skupił się na drodze. Przyglądałam się mijanym ludziom, psom i samochodom, mając wrażenie dziwnego odrealnienia. Na zewnątrz nie zmieniło się nic, tylko moje

życie w jednej chwili runęło.

– Hania będzie zdruzgotana, jeśli poroni. Tak się z Jędrkiem cieszyli na to dziecko – powiedział cicho Hubert, kiedy parkowaliśmy na terenie kliniki.

Kiwnęłam głową, nie będąc w stanie wydobyć z siebie słowa.

– Pośpiesz się, chcę jak najszybciej pogadać z jej lekarzem – dodał mąż, kiedy wysiadałam.

Idąc za nim wysypaną żwirem alejką, pomyślałam o Jacku. To koniec, więcej się z nim nie spotkam – zdecydowałam. I chociaż jakaś część mnie już teraz za nim tęskniła, zrozumiałam, że dłużej nie udźwignę ciężaru tego romansu.

– To chyba ten budynek.

– Nie znasz tego szpitala? – zdziwiłam się.

– Niby skąd? Wchodź! – Mąż przytrzymał mi drzwi i ruszyliśmy w stronę windy.

Na drugim piętrze, idąc za Hubertem wzdłuż rozświetlonego, pomalowanego na różowo korytarza, poczułam, że dosłownie nie mogę oddychać.

– Poczekam tutaj – szepnęłam.

– Czemu? Chodź, Jędrzek się ucieszy.

– Nie, ja...

– Marzena, co się z tobą dzieje? – Mąż przetarł zmęczone oczy i zerknął w głąb korytarza.

– Idź sam. Nie znoszę szpitali – rzuciłam pierwszy banał, który przyszedł mi na myśl.

Hubert przez dłuższą chwilę przyglądał mi się z nieodgadzionym wyrazem twarzy, w końcu leciutko wzruszył ramionami i samotnie wszedł do jednej z sal.

Oparłam się o parapet, z trudem łapiąc oddech. Przerażliwy krzyk jednej z rodzących wdzierał mi się pod czaszkę, pulsował w mojej głowie, sprawiał, że przez moment niemal fizycznie poczułam jej ból. W końcu ruszyłam w stronę schodów i zbiegłam na dół. Na zewnątrz lekko się ochłodziło – końcówka sierpnia nie była już tak upalna jak zeszłego roku. Drżąc z zimna, ruszyłam w stronę bramy. Do domu dotarłam pieszo – szłam prawie czterdzieści minut, klucząc pośród labiryntu spokojnych, wysadzanych kasztanowcami uliczek. W naszych oknach było ciemno, u Patrycji również nie paliło się światło. Pomyślałam, że powinnam ją odwiedzić. Wciąż była rozstrojona nerwowo po ostatnich wyczynach pijanego Mariusza. Jednak nie miałam ochoty z nikim rozmawiać, nie chciałam. Marzyłam o zakopaniu się w pościeli i przeczekaniu tego wszystkiego gdzieś, gdzie nikt nigdy nie spojrzy mi w oczy i nie zapyta „dlaczego?”.

Hubert wrócił koło pierwszej nad ranem i położył się na dole.

Bezsennie leżąc w naszym małżeńskim łóżku, wyobrażałam sobie setki ponurych scenariuszy. Jednak rano, kiedy obudził mnie pocałunkiem i postawił na szafce kubek ze świeżo zaparzoną kawą, zrozumiałam, że on nadal o niczym nie wie...

– Jak Hanka? – zapytałam cicho, nie potrafiąc spojrzeć mu w oczy.

– Najprawdopodobniej utrzyma ciążę – uśmiechnął się mąż.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie. Spała. Ale Jędrzek mówi, że lekarze są dobrej myśli. Zresztą doktor Mierzejewski, z którym

przez chwilę pogadałem, mówi to samo.

– Przepraszam cię za wczoraj. Za to, że uciekłam i zostawiłam cię tam samego.

– No właśnie, co się stało? Wróciłaś do domu dziwnie przygaszona, później nagle wybiegłaś ze szpitala. Widziałem cię przez okno – gnałaś tak, jakby goniły cię jakieś demony – powiedział Hubert, siadając na samym skraju łóżka.

I wtedy zrozumiałam.

Nie potrafię dłużej go okłamywać, nie potrafię nadal tego ciągnąć.

– Miałam romans, Hubert. To już skończone, ale nie umiem z tobą być, wiedząc, że nie znasz prawdy – szepnęłam.

Nie odpowiedział.

Wpatrywał się tylko we mnie okrągłymi ze zdziwienia oczami, w końcu wstał i ruszył w stronę drzwi.

Zatrzymał się w progu.

– Ten SMS... Ta obrzydliwa, wulgarna wiadomość, którą znalazłem na stypie, była od niego, prawda? – zapytał.

Przytaknęłam i zacisnęłam palce na kubku z przyjemnie pachnącą kawą. Zapewne ostatnią, jaką on dla mnie zaparzył...

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się w tym momencie tobą brzydzę – rzucił, zanim wyszedł.

Pogarda w jego głosie bolała bardziej, niż zabołałyby mnie policzki. Brzydził się mną... Ale czy zasługiwałam na coś innego? – pomyślałam. Chwilę później usłyszałam trzaśnięcie frontowych drzwi, a zza uchylonego okna doszedł mnie odgłos uruchamianego silnika. Hubert musiał złapać kluczyki i tak jak stał, wybiec z domu. Odstawiłam na nocną szafkę kubek z kawą i wstałam z łóżka. Pulsowało mi w skroniach i kręciło mi się w głowie, najgorszy był jednak ból żołądka. Czułam się tak, jakby ktoś zacisnął pięść na moich trzewiach i ścisnął mocno, coraz mocniej, w nieskończoność... Spojrzałam w lustro, jednak nie rozpoznałam kobiety, którą zobaczyłam. Trupio blada, z podkrążonymi i dziko przerażonymi oczami, w niczym nie przypominała dawnej mnie. Założyłam szlafrok i pognałam na dół. Chwilę później dobijałam się do drzwi Patrycji, ale przyjaciółka nie otwierała. Musiała wyjść na poranną przebieżkę albo siedzieć na leżaku na tyłach domu, gdzie nigdy nie słyszała dzwonka. Wróciłam więc do siebie i weszłam pod lodowaty prysznic. Straciłam Huberta, straciłam Huberta, straciłam Huberta – kołatało mi się po głowie, kiedy drząc w zimnych strugach wody, wyobrażałam sobie moje dalsze samotne życie. I chyba dopiero wtedy do mnie dotarło, że tak naprawdę niczego do Jacka nie czułam. Był tylko zabawką, odskocznią od codzienności. Kimś, kto dał mi tak niewiele, a zabrał wszystko...

Dzień później wpadł z niezapowiedzianą wizytą Wojtek Milicz.

– Słuchaj, wiem, że to niezręczna sytuacja, ale muszę zabrać kilka rzeczy Huberta. Kosmetyki, trochę ciuchów, garnitury, laptopa. Tu masz listę książek, będę wdzięczny, jeśli je przyniesiesz. Nie chcę wam grzebać w biblioteczce – powiedział.

– Co to za fanfaronada?! Zamiast samemu po to przyjść, przysłał ciebie?! – zapytałam ostro.

– Dziwisz mu się, Marzena? Mogę wejść?

– Skoro musisz...

Nie odpowiedział.

Skinął mi głową i ruszył w stronę schodów na górę, najwyraźniej poinstruowany przez Huberta, że większość jego rzeczy znajdzie w szafie w naszej sypialni. Zerknęłam na spisana przez męża listę książek, o które prosił, i starając się nie rozpłakać, zaczęłam przeglądać regał pełen opasłych medycznych podręczników.

– Gdzie jest laptop Huberta?! Ten z czerwoną obudową chyba nie jest jego?! – krzyknął z góry Wojciech.

Spojrzałam na ławę w naszym salonie – notebook męża leżał tak, jak go zostawił. Obok kubek z resztką herbaty, jakieś wydruki z zakreślonymi jaskrawozielonym markerem fragmentami tekstu i talerzyk po maślanych herbatnikach...

– Marzena?! Gdzie jest laptop?! – W głosie Wojtka Milicza usłyszałam pierwsze nutki zniecierpliwienia.

– Tutaj – powiedziałam.

Zszedł na dół z dwoma garniturami Huberta i wypchaną ciuchami torbą.

– Zaniosę to do samochodu. Będę wdzięczny, jeśli przygotujesz te książki. Aha, i jeszcze płyty! Podobno są w osobnym pudełku? – rzucił, nie patrząc na mnie.

Ruszyłam w stronę pokoju, w którym lubił sypiać pasierb męża. Milicz wrócił po chwili i wyraźnie skrępowany niecodzienną sytuacją, przystanął w korytarzu, czekając na mój ruch.

– Książki są tam – powiedziałam, podając mu pudełko z ulubionymi płytami Huberta.

– Dobra, to chyba tyle. Kosmetyki mam, ciuchy są. Aha, dokumenty! Mówił coś o jakiejś czerwonej teczce i pomarańczowych segregatorach.

– Są w gabinecie, na regale za biurkiem.

– Mogę je przynieść? – zapytał.

– Jasne – wzruszyłam ramionami.

Teczke znalazł od razu, segregatory musiałam mu podać. Chwilę później, z malującą się na twarzy ulgą, zakładał już kurtkę. Przyglądałam mu się, stojąc przy drzwiach. Wyglądał na opanowanego, jednak lekko drżały mu ręce. Zanim wyszedł, odwrócił się w moją stronę i spojrzał mi w oczy, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Nie padły jednak żadne słowa. Skinął mi głową i wyszedł, a ja zostałam sama w pustym domu, z którego Hubert za pośrednictwem przyjaciela zaczął właśnie wnosić swoje rzeczy, jakby cegiełka po cegiełce chciał rozebrać całą naszą wspólną przeszłość...

Wieczorem, zmieniając pościel w sypialni, wtuliłam twarz w pachnącą wodą kolońską Huberta poduszkę i wybuchłam gwałtownym płaczem. Do tej pory, nawet jeśli się kłóciliśmy, on zawsze spał w domu. Teraz zabrał swoje rzeczy i wyniósł się do przyjaciół. A jeśli raz odszedł, prędko nie wróci. Nigdy nie wróci – zrozumiałam i dopiero w tej chwili, siedząc na pustym łóżku, zdałam sobie sprawę z nieodwracalności pewnych zdarzeń.

Kilka tygodni po odejściu Huberta, wracając z pracy, spotkałam Hanke. Wpadłyśmy na siebie w centrum, przy ratuszu. Młodsza siostra męża szła chodnikiem z przeciwka i chcąc nie chcąc, musiałyśmy się minąć.

– Haniu, porozmawiajmy – poprosiłam, kiedy mijałyśmy się w wąskim przejściu pomiędzy

zaparkowanymi samochodami.

Nie odpowiedziała.

Odwróciła głowę i wyminęła mnie bez słowa, jakbym była jakąś śmierdzącą nachalną żebraczką nagabującą ją o pieniądze.

– Hanka! Zaczekaj! Proszę cię, nie traktuj mnie tak! – krzyknęłam, zrównując się z nią.

Dopiero wtedy spojrzała mi w oczy. Ze złością, pogardą, może nawet nienawiścią.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, Marzena! – syknęła.

– Przepraszam... Nawet nie wiesz, co ja przeżyłam wtedy, w szpitalu...

– Co TY przeżyłaś?! Przez ciebie prawie straciłam dziecko! – krzyknęła, kładąc ręce na lekko już zaokrąglonym brzuchu.

– Przepraszam – powtórzyłam.

Nie odpowiedziała i z zaciśniętymi w wąską kreskę ustami ruszyła wzdłuż ulicy. Zielony trencz, ciemne rajstopy, zamszowe kozaczki, rozpuszczone włosy – taką ją pewnie zapamiętam. Patrzyłam w ślad za nią, dopóki nie zniknęła mi z oczu. Hanka. Kolejna bliska mi niegdyś osoba, którą straciłam przez własną głupotę...

Nie bardzo pamiętam, na czym tak właściwie minęła mi jesień. Szare, deszczowe i mgliste dni zlały się w mojej pamięci w niekończący się ciąg bezbrzeżnego smutku. Moja siostra, która robiła wszystko, żeby podnieść mnie na duchu po odejściu Huberta, zjawiała się u mnie popołudniami ze słojami pełnymi zup i sałatek. Jednak kiedy tylko zamykały się za nią drzwi, chowałam wszystkie te starannie przez nią dopracowane dania do lodówki i wracałam na sofę, gdzie skulona pod wełnianym pledem na przemian spałam albo płakałam...

Hubert nie szukał ze mną kontaktu, zamilkł na dobre, niemal zapadł się pod ziemię. Za pośrednictwem Wojtka Milicza poprosił tylko, żebym spakowała resztę jego rzeczy i więcej się nie odezwał. Czasem, kiedy budziłam się w środku nocy, mimowolnie szukając na sąsiedniej poduszce kształtu jego głowy, wydawało mi się, że on krząta się po parterze albo samotnie ogląda telewizję w salonie. Ale jego nie było... Znałam go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że czegoś takiego nigdy mi nie wybaczy. Nie on. Jednak nadal, wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi, nadal czekałam na cud. Wróć do mnie – powtarzałam przed snem.

Odpowiadała mi cisza.

Czasem oglądałam nasze stare kolorowe zdjęcia z wczasów nad Bałtykiem i tych kilka idiotycznych wakacyjnych filmów, które nakręciliśmy we Włoszech. Na każdym byłam taka roześmiana. Ta kobieta z ekranu telewizora żyła swoim własnym, o wiele szczęśliwszym życiem. Jakby w przeciwieństwie do mnie potrafiła doceniać to, co dał jej los... Najbardziej lubiłam zarejestrowaną na krótkim filmiku pamiątkę z lotu balonem – stałam wtulona w męża, a mój rozwiewany przez wiatr jedwabny szal pieścił twarz Huberta, tańczył nad naszymi głowami. Wyglądaliśmy na takich beztroskich, jakby naszej dwójki nigdy nie miały dotknąć żadne doczesne, ziemskie problemy. A teraz siedziałam sama w pustym domu i sącząc wino, wpatrywałam się w mężowską twarz na ekranie naszej plazmy...

Na dwa dni przed Bożym Narodzeniem zobaczyłam go w lokalnej telewizji. Ubrany w lekko zmięty, ale śnieżnobiały kitel, mówił o bradykardii zatokowej u dzieci, ale jego słowa ledwo do mnie docierały. Stałam przed telewizorem, chłonąc obraz jego twarzy, a tęsknota, jaką w tym momencie poczułam, niemal zwała mnie z nóg.

– Hubert – szepnęłam, opuszkami palców dotykając ekranu, jakbym wierzyła, że dzięki jakiejś magicznej sztuczce mąż zdoła mnie usłyszeć.

Wpatrywałam się w ekran jeszcze długo po tym, jak Hubert zniknął z wizji. W końcu wyjęłam z szafki gin, znalazłam w spizarce tonik i wypiliśmy dwa drinki na pusty żołądek. Telefon leżał na komodzie, zapomniany, niemal całkowicie rozładowany. Podłączając go do ładowarki, odkryłam dwa nieodebrane połączenia. Patrycja i Marta... Jeszcze tylko zaprzyjaźniona sąsiadka i siostra o mnie pamiętają, pomyślałam. Nie miałam jednak ochoty do nich oddzwaniać. Chciałam się tylko położyć i umrzeć. Ale przecież śmierć zabiera zazwyczaj tych, którzy jej nie wypatrują.

Dopijając drugiego drinka, wybrałam numer męża. Muszę z nim porozmawiać! – powiedziałam sobie. Teraz, kiedy minęło już trochę czasu i nieco opadły emocje, muszę chociaż spróbować zawalczyć o swoje. Tyle że on nie odbierał. Stałam z telefonem przy uchu, licząc sygnały. Osiem, dziesięć, dwanaście... W końcu Hubert odrzucił połączenie, a ja wybuchłam płaczem.

Na zewnątrz lało, jak co roku białe święta mieliśmy obejrzeć jedynie w telewizji. Włożyłam

czerwony płaszcz, w którym mąż zawsze mnie lubił, i nalałam sobie jeszcze odrobinę wódki.

Przed dom Wojtka Milicza dotarłam kilka minut później, z zaróżowionymi od szybkiego marszu policzkami i kielkującą w sercu nadzieją.

– Wojtek, ja muszę z nim pogadać! Nie chcę, żebyśmy po tylu latach rozstali się w taki sposób! Tamtego dnia wyszedł z domu bez słowa, a ja chciałabym mu tyle powiedzieć, wyjaśnić... – powiedziałam, kiedy przyjaciel męża stanął w drzwiach.

– Wyjaśnić? Żartujesz, prawda? – ironicznie zapytał Wojciech.

– Chcę tylko chwilę z nim porozmawiać, Wojtek! Zawołaj go, proszę.

– Nie ma go, Marzena – rzucił kwaśnym tonem, najwyraźniej niezbyt zachwycony moim widokiem.

Zapytałam, kiedy będzie.

– Nie zrozumiałaś mnie. Nie ma go, bo już u mnie nie mieszka. Niecały miesiąc temu wynajął sobie niewielkie mieszkanie w zupełnie innej części miasta – dodał Wojciech.

– Nie wpuścisz mnie? – zapytałam, zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy od początku naszej znajomości Milicz nie zaprosił mnie do środka.

– Piłaś? Zioniesz jak cała gorzelnia – mruknął, niechętnie przepuszczając mnie w drzwiach.

– Co? Męska solidarność? Nagle ledwo ze mną gadasz, bo rozstałam się z Hubertem?! Kiedyś się przyjaźniliśmy, pamiętasz?! – podniosłam głos, ładując się do środka.

Nie odpowiedział.

– Daj mi adres mojego męża – poprosiłam, starając się mówić spokojnym, opanowanym tonem.

– Wkrótce już eksmęża – sprecyzował.

– Nie twoja sprawa! Po prostu powiedz mi, gdzie go znajdę, i zaraz sobie pójdę. Wojtek, mam cię błagać?! Tego właśnie chcesz?! – wybuchłam.

– Wybacz, Marzena, ale nie ma takiej opcji – uśmiechnął się krzywo i ze splecionymi na piersi rękami obserwował mnie z krańca słabo oświetlonego korytarza.

– Chcę z nim pogadać, słyszysz?! – krzyknęłam.

– Tutaj go nie ma.

– To podaj mi ten pieprzony adres! Do cholery, czy ja proszę o gwiazdkę z nieba?! – Ruszyłam w jego stronę, po drodze niemal wpadając na komodę. – Szlag by to trafił! – zakląłam, rozmasowując rękę, w którą się uderzyłam.

– Ileś ty wypila, co? To jest twój plan na przyszłość? Picie do lustra? Czekać, wezwę ci taryfę. – Wojtek Milicz na moment zniknął w salonie, żeby po chwili wrócić do przedpokoju ze słuchawką telefonu w dłoni.

– Nie chcę taryfy! Chcę pogadać z mężem!

– Marzena, powtarzasz się, a ja miałem naprawdę ciężką noc. Więc wybacz, ale będę wdzięczny, jeśli już pójdziesz – powiedział Milicz zmęczonym głosem.

– Zdobędę ten adres, słyszysz?! – wykrzyczałam.

– Być może. Ale nie ode mnie – powiedział Wojciech, podchodząc do frontowych drzwi. – Wezwać ci tę taryfę? Pogoda jest paskudna...

– Przejdę się – burknęłam.

– Jak chcesz – wzruszył ramionami, szerzej otwierając drzwi. – Będę wdzięczny, jeśli nie będziesz mnie więcej nachodzić. Nie mam ci nic do powiedzenia. Miałaś świetne życie i spieprzyłaś je na własne życzenie. Zraniłaś Huberta, naprawdę cholernie go sponiewierałaś, więc nie spodziewaj się, że w jakikolwiek sposób stanę po twojej stronie – dodał.

– Ludzie czasem się ranią. Z tym że niektórzy potrafią wybaczać – powiedziałam, zatrzymując się w progu.

– Wybaczać?! Dziewczyno, sorry, ale za żadne skarby nie wybaczyłbym mojej kobiecie czegoś takiego! Wiesz, co jest najśmieszniejsze? Z tego co wiem, Hubert nigdy cię nie zdradził. A okazji mu nie brakowało, możesz mi wierzyć.

– Ja też nigdy go nie zdradzałam! Dopóki nie poznałam Jacka! Więc nie rób ze mnie jakiejś puszczalskiej wywłoki, dobrze?! – wrzasnęłam.

– Proszę cię, Marzena, skończmy już tę rozmowę. Jesteś mocno pijana, nie kompromituj się więcej – wycedził, zatraskując mi drzwi przed nosem.

Miałam ochotę w nie kopnąć, ale tylko zesłam po mokrych od deszczu schodkach i ruszyłam w stronę furtki.

– Zdobędę ten pieprzony adres – wymamrotałam pod nosem, wydając z torebki komórkę.

Najpierw zadzwoniłam do Anki, pielęgniarki, z którą Hubert pracował od jakichś czterech lat. Nie znałam jej dobrze, ale postanowiłam spróbować szczęścia. Niestety nie chciała ze mną rozmawiać, nawet nie udawała, że mnie rozumie.

– Wybacz, ale nauczyłam się jednego – nigdy, przenigdy nie mieszać się w sprawy skłóconej pary – powiedziała i rozłączyła się, zanim zdołałam coś dodać.

Wybrałam więc numer Sylwii – znajomej męża, z którą czasem widywaliśmy na grillu, ale nie odebrała. W końcu pomyślałam o Jolancie. Nie widziałam jej od tamtego wieczoru w restauracji Bałkańskiej, ale jedno było pewne – ta kobieta znała każdą krążącą po miasteczku plotkę.

– Słuchaj, Jolka, znalazłbyś czas na jakiegoś babskiego drinka? Dawno się nie widziałyśmy i pomyślałam, że trzeba by nadrobić zaległości. Może jutro? – zapytałam, kiedy odebrała.

– Niech zgadnę. Chcesz mnie wypytać o Huberta, prawda? – rzuciła sztucznie przesłodzonym tonem, od którego mnie zemdliło.

– Nie, ja tylko...

– Posłuchaj, Marzena. Rozwodzisz się, to zawsze trudna sytuacja. Ale o Hubercie gadać z tobą nie będę. Mój mąż się z nim przyjaźni, sama rozumiesz. A ty nie musisz już udawać, że kiedykolwiek mnie lubiałaś – powiedziała.

– Chciałam cię tylko zapytać, czy znasz jego nowy adres, to wszystko. Nie musisz być złośliwa.

– Nie muszę. Chcę. I tak, wiem, gdzie się zaszły twój przystojny mąż. Wynajął sobie całkiem przytulne mieszkanie z dużym tarasem. Niedawno byliśmy u niego na kolacji. A w kwestii adresu, zapomnij – dodała.

– Dzięki, miło z twojej strony – powiedziałam.

– Zawsze do usług, kochana – wyszczebiotała Jolanta, zanim dodała, że musi kończyć.

Schowałam telefon do torebki i zawróciłam w stronę szpitala. Ktoś będzie mi musiał powiedzieć, gdzie do cholery znajdę mojego męża, pomyślałam.

Do kliniki dotarłam przemarznięta na kość i bliska płaczu. Na parkingu, tuż obok srebrnego chryslera ordynatora, stało auto Huberta. Wyglądało znajomo, budziło wspomnienia. Miałam ochotę przytulić się do zimnej, zalanej deszczem karoserii i wybuchnąć płaczem. Zerknęłam w stronę wejścia. Z budynku wyszły dwie młode kobiety, chwilę po nich starszy, utykający portier, którego znałam z widzenia. Przemierzyłam parking, pchnęłam ciężkie drzwi i weszłam do środka. W korytarzu znajomo pachniało pastą do podłóg i charakterystyczną dla szpitali wonią środków antyseptycznych. Szłam w stronę wind, kiedy wpadłam na Huberta. Wszedł zza rogu zapatrzonego w trzymaną w dłoni kartę, zamyślony, obcy i znajomy jednocześnie.

– Hubert, porozmawiajmy – powiedziałam, zastępując mu drogę.

Na mój widok stanął jak wryty i wbił we mnie wściekłe spojrzenie. Zupełnie jakby zaszedł mu drogę największy wróg. Ale może w tym momencie tak właśnie było?

– Co tu robisz? – zapytał ostro.

Zauważyłam, że jest lekko opalony i obciął włosy znacznie krócej niż za naszych wspólnych czasów.

– Masz na sobie krawat ode mnie – szepnęłam.

Skrzywił się.

– Cóż... Nie zdążyłem jeszcze wymienić garderoby. Ale tak do twojej wiadomości – nigdy za nim nie przepadałem – mruknął.

– Hubert, chciałam ci powiedzieć, że za tobą tęsknię... Ja...

– Piłaś coś, Marzena?! Masz czelność przychodzić pijana tu, gdzie pracuję?! Przed chwilą tym korytarzem szła matka, której zmarło ośmioletnie dziecko, a ty przytargałaś tu swoją puszczałską dupę?! – warknął. – Wynoś się stąd i nigdy więcej się tu nie pokazuj, słyszysz mnie?!

Wzdrygnęłam się. Kiedy byliśmy małżeństwem, nigdy nie odzywał się do mnie w taki ordynarny sposób. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Człowiek, z którym spędziłam tyle lat, pokazał mi swoją inną, zupełnie odmienną twarz. Ale przecież ja zrobiłam to pierwsza...

Wyciągnęłam do niego rękę. Cofnął się, jakby nie mógł nawet znieść myśli o moim dotyku.

– Hubert, błagam cię! Przecież wiem, że nadal mnie kochasz! Ja zrobię wszystko, żebyśmy zaczęli od nowa, żeby...

– Mam kogoś, Marzena. Więc daruj sobie te łzawe sceny rodem ze szmatławych telenowel – wszedł mi w słowo mąż.

– Masz kogoś? – wykrztusiłam.

– Owszem. A ty wracaj do domu i solidnie się wyśpij. Nie ma żałośniejszego widoku od pijanej kobiety z rozmazanym makijażem. Wyglądasz jak panda – parsknął, niemal rozbawiony.

– Ty draniu... Tak szybko? Po tylu wspólnych latach już kogoś masz?! – krzyknęłam, zupełnie tracąc nad sobą panowanie.

Roześmiał się, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Ty masz pretensje do mnie? – zapytał cicho. – Ty, która gziłaś się z jakimś przygodnie poznanym koleśkiem, masz mi teraz za złe, że sobie kogoś znalazłem?

– Gdybyś mi wybaczył, moglibyśmy jeszcze...

– Idź stąd, Marzena, okay? – rzucił przez zęby.

Oparłam się plecami o ścianę, zaskoczona jego tonem. Głos brzmiał znajomo, ale była w nim niechęć,

pogarda i wrogość – emocje, z którymi nie miałam do czynienia, będąc jego żoną. Zupełnie mi obce, przerażające, bezlitosne...

– Dzień dobry, panie doktorze! – Przechodząca świeżo pomalowanym na zielono korytarzem młodziutka pielęgniarka posłała Hubertowi kokieterijny uśmiech.

Skinął jej głową i zlustrował obleczone jasnymi pończochami szczupłe nogi dziewczyny.

– Hubi, pamiętasz o bilardzie, prawda? – uśmiechnęła się jeszcze do niego, zanim wsiadła do windy, a ja zdałam sobie sprawę, że mam ochotę skoczyć w jej stronę i wydrapać jej oczy.

– To ona?! – zapytałam, kiedy zostaliśmy sami.

– Nie.

– Kto to jest? No powiedz, przecież i tak się dowiem! – krzyknęłam.

– To nie ma żadnego znaczenia – uciął dyskusję Hubert.

– Nienawidzę cię – wycedziłam.

– W to akurat szczerze wątpię – rzucił ze złośliwym uśmieszkiem, zanim poprosił starszego portiera, żeby wezwał mi taksówkę.

– Przejdę się – powiedziałam i nie oglądając się za siebie, wyszłam ze szpitala.

Na zewnątrz nadal mżyło i jeszcze bardziej się ochłodziło.

Przez jakieś pół godziny krążyłam po mieście, szczękając zębami z zimna i wściekłości. W końcu ruszyłam w stronę Targowej, mając nadzieję, że akurat złapię autobus. Byłam jakieś pięćdziesiąt metrów od przystanku, kiedy przecinając ulicę w niedozwolonym miejscu, usłyszałam pisk hamulców.

– Idiotka! Jak leziesz, kobieto?! – Czerwony na twarzy, wściekły kierowca koło pięćdziesiątki, który ledwo zdążył wyhamować, wyskoczył z auta i zwymyślał mnie od kretynek.

Wymamrotałam pod nosem jakieś przeprosiny i skulona pod naporem obcych, wrogich spojrzeń, ruszyłam w stronę przystankowej wiaty. Sto szesnastka podjechała spóźniona i mocno zatłoczona. Wciśnięta pomiędzy grupkę młodziutkich roześmianych dziewczyn w kolorowych puchowych kurtkach, stałam, wbijając sobie paznokcie w dłoń i z trudem tłumiąc łzy. „Mam kogoś, Marzena” – przypominałam sobie w myślach słowa męża, a wyobraźnia kreowała obraz pięknej, szczupłej blondyny, z którą on spędzi kolejne święta, wakacje, lata...

W Wigilię odwołałam kolację u siostry. Nie miałam ochoty na towarzystwo, nawet najbliższej rodziny. Marta mocno, wręcz nachalnie nalegała, żebym do nich przyszła, ale byłam nieugięta. W końcu ustąpiła. Czułam, że ją uraziłam, ale w tym akurat momencie naprawdę miałam to gdzieś... Patrycja pojechała na święta do rodziców, zostawiając mi na głowie Gapę, którą jakimś cudem nadal się opiekowała. Zamiast tradycyjnego barszczu z uszkami i ryby, zjadłam kawałek odgrzanej pizzy, obejrzałam wiadomości i po dwóch znalezionych w spiżarni piwach poszłam do sypialni, gdzie bezsennie przeleżałam do czwartej nad ranem. W końcu, w środku zimnej deszczowej nocy, wyszłam na spacer z psicą i przez prawie godzinę krążyłam po pustym, zalanym marznącym deszczem parku. Samotność to słowo, którego boi się wielu ludzi, ale samotność w Wigilię miała jeszcze bardziej gorzki smak. Wracając w stronę domu, zaglądałam w ciemne okna, przyglądałam się stojącym na podjazdach samochodom i wyobraziłam sobie wszystkie te szczęśliwe, śpiące w swoich sypialniach pary. Na mnie nie czekał nikt, a myśl, że sama zafundowałam sobie taki los, bolała, ćmiła niczym od dawna nieleczonego, zepsutego ząb.

Początkiem kwietnia spędziłam kilka dni nad Bałtykiem. Wybrałam Dziwnów. Może dlatego, że z Hubertem jeździliśmy do innych miejscowości, a wspomnienia szczęśliwych chwil były ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłam... Pogoda trafiła mi się w miarę słoneczna, ale wiało niemiłosiernie. Dni spędzałam, spacerując wzdłuż brzegu, jednak tym razem nawet kojący szum morza nie zdołał uspokoić moich myśli. Przenikliwe krzyki mew nad głową, porywy lodowatego wiatru i pusta plaża – wszystko to potęgowało nękające mnie poczucie osamotnienia. Wyjechałam dwa dni wcześniej, niż planowałam, chociaż wiedziałam, że powrót do pustego domu również nie jest najfortunniejszym pomysłem.

Wysiadając z taksówki, wpadłam na Patrycję. Planowała pobiegać. Miała na sobie ciemnoróżowy dres, którego nigdy wcześniej na niej nie widziałam, i sprawiała wrażenie kogoś, kogo dosłownie rozpiera energia.

– Marzena, hej! – pomachała do mnie. – Myślałam, że wracasz dopiero pojutrze...

– Zmiana planów – powiedziałam, wciągając na chodnik walizkę, którą mało sympatyczny taryfiarz zostawił na środku ulicy. – Co u ciebie? – zapytałam, kiedy już się wyściskałyśmy.

– Nic nowego, niestety... – roześmiała się. – Pamiętasz, że pojutrze ruszam z moim sklepem dla dzieci? – rzuciła pełnym entuzjazmu tonem. – Oczywiście wpadniesz na otwarcie? Start o siedemnastej. Martwiłam się, że nie zdążysz wrócić, ale skoro już jesteś, kamień z serca!

– Pamiętam, jasne, że tak – uśmiechnęłam się. – Jak sobie poradziłaś z ostatnimi przygotowaniami? Trochę mi głupio, że ci nie pomogłam, ale...

– Daj spokój, wystarczająco dużo zrobiłaś! W całym tym chaosie najważniejsze było dla mnie takie zwykłe przyjacielskie wsparcie. I tutaj spisałaś się na medal – zapewniła mnie Patrycja. – A wracając do otwarcia – zamówiłam chyba tonę ciast z cukierni pani Niny, nadmuchałam ponad czterdzieści balonów, zrobiłam kilometry łańcuchów z bibuły i kupiłam bezalkoholowego szampana dla dzieci. Chryste, mam nadzieję, że to wszystko wypali! Przecież wiesz, że po tym, jak Mariusz zdemolował mi lokal, wzięłam jeszcze jeden kredyt.

– A co z nim? Dalej jest w areszcie? – zapytałam.

– Tak, czeka na wyrok.

– I dobrze. Zasłużył sobie!

– Owszem. To co, wpadniesz w sobotę? – zapytała.

– Oczywiście – powiedziałam.

– Super! Mam nieprawdopodobną treść przed publicznym występem, a jednocześnie boję się, że nikt się nie zjawi, wiesz? Tym bardziej że ma lać... – uśmiechnęła się do mnie Patrycja, spinając włosy w kitkę. – Dobra, leczę, bo chyba niebawem znowu się rozpada! Trzymaj się, sąsiadko! – dodała, nieśpiesznym truchtem ruszając w stronę pobliskiego parku.

– Pa – powiedziałam, ale już mnie nie słyszała.

W domu było duszno. Otwierając okna na parterze, zdałam sobie sprawę, że z regałów w salonie zniknęła spora część męzowskich książek, a z komody ulubiona lampa Huberta. Musiał tu wpaść, kiedy mnie nie było, przecież nadal miał swoje klucze – zrozumiałam. Kto dał mu znać o moim wyjeździe, nie miałam pojęcia. Może Aldona? Zresztą jakie to miało znaczenie? – pomyślałam. Rozpakowując się,

zdałam sobie sprawę, że nie mam niczego w lodówce. Zapomniane przez męża piwo, puszka przecieru, resztki majonezu i światełko – tak to mniej więcej wyglądało. Na zakupy wybrałam się do niewielkiego sklepiku na sąsiedniej ulicy. Rzadko tam chodziłam, chociażby z racji tego, że był koszmarnie drogi, a jednocześnie fatalnie zaopatrzone. Tym razem jednak nie miałam wyjścia...

Kiedy weszłam do środka, za ladą stała właścicielka – ruda, wysoka kobieta, mniej więcej w moim wieku. Znałam ją jedynie z widzenia, nigdy nie miałyśmy okazji, żeby bliżej się poznać. Wyglądało jednak na to, że ona całkiem sporo o mnie wie...

– Dzisiaj skromnie – skomentowała zawartość mojego koszyka. – Żadnej szyneczki, kabanosów, piwa... Mąż się wyprowadził, to i zakupy mniejsze – rzuciła.

Zatkało mnie. Kto dał jej prawo komentowania mojego życia?! – skrzywiłam się, tymczasem ona, niezrażona moją kwaśną miną, zapytała, czy szykuje się rozwód!

Nie odpowiedziałam.

Rzuciłam na ladę dwadzieścia złotych i nie żegnając się, wyszłam ze sklepu. W domu się popłakałam. Co za paskudny babsztyl! Przychodzę kupić cholerne bułki na kolację, a ona wściubia nochal w moje prywatne sprawy?! Jedno jest pewne – więcej moja noga tam nie postanie! Teraz już rozumiałam, czemu sklepowa tak dobrze się dogadywała z Aldoną – obie były ulepione z tej samej gliny!

W sobotę lało jak z cebra.

– No zobacz, ja to mam pecha! Ściana deszczu! – Było parę minut po szesnastej, kiedy zjawiłyśmy się w Księżycowych Marzeniach, chcąc zapiąć wszystko na ostatni guzik.

– Pięknie tu – powiedziałam, przyglądając się fototapecie ze skąpanym w księżycowej poświacie zamkiem na brzegu jeziora.

Zasłaniała płamę po czerwonej farbie i drzewo z nieszczęsnymi sówkami, których nie dało się już odratować. I chociaż wyglądała pięknie, pomyślałam, że Pani Sowa i Przyjaciele prezentowali się o niebo lepiej. Nie miałam jednak serca, żeby wspomnieć o tym Patrycji. I tak była cała w nerwach, tak roztrzęsionej jeszcze jej nie widziałam, nawet tamtego wieczoru, kiedy pod jej domem zjawił się pijany Mariusz.

– Aldona ma dziś wpaść – powiedziała, biorąc ode mnie opakowanie plastikowych talerzyków. – Znalazła ulotkę o otwarciu i zjawi się z dziećmi.

– Chryste... – skrzywiłam się.

– No wiem, wiem. Ale przecież jej nie zabronię. Wypytywała mnie ostatnio o ciebie. Pytała, czemu Hubert się wyprowadził. Była pewna, że zostawił cię dla innej.

– No, taka wersja z pewnością by się jej spodobała. Idę o zakład, że ostro mielila ozorem, bo nawet właścicielka tych beznadziejnych delikatesów na Modrzewiowej już wie, że mój mąż się wyprowadził... Swoją drogą, nie miałam pojęcia, że ze sobą rozmawiacie.

– Taki mnie zaszczyt kopnął, wyobraź sobie. Zagadnęła mnie w sklepie. Podeszła i zaczęła rozmowę, jak gdyby nigdy nic... Miesiącami mnie obgadywała, a teraz udaje koleżankę...

– Zawsze była fałszywa – wzruszyłam ramionami.

– Słuchaj, a tak z zupełnie innej beczki... Znowu odezwał się do mnie James!

– Co? – Z zaskoczenia niemal upuściłam szampana.

– Twierdzi, że się rozwodzi. Że tym razem rozstają się na dobre! Ponoć jego żonka już kogoś ma, a on nagle przypomniał sobie o mnie. Wyobrażasz sobie, jaki trzeba mieć tupet? Po tym, jak mnie potraktował, nagle dzwoni i pyta, czy nie poszłabym z nim na kolację! Oczywiście spuściłam go po brzytwie – uśmiechnęła się krzywo.

– I słusznie. Zachował się jak pajac – przyznałam jej rację.

– Ale trochę żałuję, wiesz?

– Patrycja, ten koleś to dupek! Narcystyczny, zadufany w sobie palant! Wiem, że fajnie by było spotykać się z Amerykaninem, ale uwierz mi – tylko byś przez niego płakała – powiedziałam.

– Pewnie tak... W każdym razie kazałam mu spadać – wzruszyła ramionami, po raz kolejny zerkając na zegarek. – Myślisz, że w ogóle ktoś się zjawi? Patrz, jaka ulewa...

– Aldona na pewno przyjdzie. Choćby miała tu dopłynąć, to tej imprezy sobie nie podaruje – zażartowałam i Patrycja wybuchła śmiechem.

– Dzięki, że jesteś. Bez ciebie chyba bym się teraz rozpłakała.

– Ty? Przebojowa, pewna siebie kobieta, boisz się stada dzieciaków? Będzie dobrze, zobaczysz. Wpadną tu, zrobią krajobraz jak po tornadzie, kupią tonę książek, gier i zabawek, a ty niebawem będziesz właścicielką jednego z najlepiej prosperujących biznesów w mieście.

– Masz gadkę, trzeba ci przyznać. Powinnaś zostać coachem.

– Tak, jasne. Coach, który ledwo własne życie ogarnia – parsknęłam śmiechem.

– Szewc bez butów chodzi, jak mawiają. A tak serio – jak Hubert? Odzywa się? Jest szansa, że jeszcze się zejdziecie?

– Żartujesz? Poprosił mnie właśnie o rozwód, więc klamka zapadła. Spotyka się z dwudziestosiedmioletnią finansistką i wygląda na to, że to nie jest jakaś przelotna miłośćka, bo właśnie ze sobą zamieszkali. Tylko nie pytaj, skąd wiem. A zresztą dobra, powiem ci – założyłam sobie lipne konto na Facebooku i śledzę go w sieci. Żebyś widziała, ile przesłodzonych fotek wrzucają! Mój mąż, który przez lata miał hopla na punkcie strzeżenia własnej prywatności, nagle wrzuca na portale społecznościowe migawki z weekendu na Bornholmie, z przeprowadzki, wizyty w kawiarni i cholera wie, czego jeszcze! Ostatnio oznaczyli się w winiarni Stare Forty. Wpadli na degustację, a ona, siedząc mu na kolanach, robiła dzióbki do zdjęcia...

– Marzena, w ten sposób tylko się zadręczasz. Zlikwiduj to konto i przestań się interesować jego życiem. Czas ruszać do przodu, wiesz o tym, prawda?

– A co niby znajdę przed sobą?

– Skąd mam wiedzieć? Słońce, wino i dobrą zabawę! Jeśli masz ochotę, w przyszłym miesiącu mogłybyśmy wyskoczyć do Sopotu.

– Nie mam za wiele kasy, Pati. Ale zawsze możemy zrobić grilla w ogródku. Niebawem ma być ponoć piękna pogoda – uśmiechnęłam się do niej.

Chwilę później zjawili się kilku klientów i z pomocą zatrudnionej na ten wieczór studentki pedagogiki zaczęłyśmy rozkręcać imprezę.

Aldona przyszła jako jedna z pierwszych – wbita w ciemnofioletową, falbaniastą kieckę i buty na koturnach odpowiednie bardziej na sierpień, niż zimny początek kwietnia, nawet się z nami nie przywitała, za to od razu sięgnęła po kieliszek szampana. Do Patrycji podeszła dopiero po jakimś kwadransie, ale nie po to, żeby pogratulować jej sukcesu.

– Możesz to gdzie powiesić? – zapytała tylko, wciskając mojej przyjaciółce swoją znoszoną kurtkę z futrzanym kołnierzem.

O „dziękuję” oczywiście zapomniała. Nałożyła sobie za to na talerzyk dwa olbrzymie kawałki ciasta, a cztery kolejne zawinęła w papierowe serwetki i włożyła do torebki.

– Widziałas to, co ja? – szepnęła mi na ucho Patrycja i wymieniliśmy rozbawione spojrzenia. – Chodź za mną na chwilę do kuchni, chlapiemy sobie czegoś mocniejszego, bo na trzeźwo tego nie wytrzymam – Pati powiesiła na przeładowanym wieszaku starą kurtkę Aldony i pociągnęła mnie na zaplecze.

Whisky, którą wyjęła z szafki, wyglądała na drogą.

– Trzymałam ją na czarną godzinę i oto nadeszła – mrugnęła do mnie, rozlewając alkohol do plastikowych kubków.

– Więc za nasze zdrowie i twój sukces! – powiedziałam!

– Myślisz, że coś z tego będzie? To małe miasto, a ludzie nie mają pieniędzy... Jak sądzisz, dam radę z tego wyżyć i jeszcze coś zarobić? – zapytała, opierając się o brzydki wyszczerbiony blat niewielkiego białego stołu.

– Myślę, że tak. Za jakiś czas na pewno uda ci się to rozkręcić. Zareklamuj się w przedszkolach, przygotuj jakiś miły prezent dla domu dziecka i ludzie powoli zaczną o tobie mówić. Dasz radę, zobaczysz – objęłam się.

– Mam nadzieję, bo jestem zadłużona po uszy i mocno przerażona.

– Będzie dobrze! – pocieszałam ją.

– Bla, bla, bla, powiedzmy, że w to wierzę – mrugnęła do mnie. – Dobra, to jeszcze po jednym, później miętówka i wracamy niańczyć gości. – Patrycja dołała mi odrobinę whisky i stuknęła swoim kubkiem o mój. – Za twarde kobiety sukcesu – powiedziała.

W tym samym momencie w niewielkiej kuchence na zapleczu zjawiała się Aldona.

– No proszę, co lepsze, to schowane. A ja sączę bezalkoholowego szampana dla gówniarzy – syknęła, wyraźnie urażona widokiem flaszki whisky, z której nikt jej nie połał.

Chryste, jaka ta kobieta jest bezczelna! – pomyślałam z niechęcią, ale Patrycja szybko odnalazła się w roli dobrej gospodyni.

– Wybacz, świętowałyśmy parę prywatnych spraw, ale zawsze miło, kiedy ktoś jeszcze wypije nasze zdrowie – powiedziała lekkim tonem, chociaż widziałam po niej, że wiele ją ta uprzejmość kosztowała...

– Niezłe. Pewnie droga ta whisky, co? Pokaż mi tę flaszkę. – Aldona wyjęła z torebki komórkę i cyknęła fotkę butelce. – Powiem Szymkowi, żeby mi taką kupił na urodziny – mruknęła. – Dolej mi jeszcze, ciężki dzień miałam. – Wyciągnęła rękę z kubkiem i zlustrowała wzrokiem niewielką kuchenkę. – Z deka tu obskurnie. Powinnaś przycisnąć właściciela, żeby chociaż przemałował te ściany...

Pedantka się odezwała, pomyślałam. Tymczasem Patrycja z kamienną twarzą naląła jej kolejną porcję alkoholu.

Aldona wypiła jednym haustem i poprawiła sobie ramiączko.

– Pieprzony stanik! – syknęła.

Zapytałam, z kim zostawiła dzieci.

– Ze starą Malinowską – mruknęła. – Będą jakieś prezenty? No wiecie, za przyjście? – zainteresowała się. – Wzięłabym dla chłopaków jakieś gry, a dla młodej może z jedną lalkę, co? – dodała.

Nie wytrzymałam. Po prostu uznałam, że tym razem nie utrzymam języka za zębami!

– Słuchaj, czy tobie się wydaje, że to wszystko jest za darmo?! – zapytałam.

– Marzena, przestań. – Patrycja złapała mnie za rękę, ale dopiero się rozkręcałam.

– Wiesz, ile kosztują tego typu gry?! Jak sądzisz, która z nas jest milionerką – ja czy Patrycja?! Jak można mieć tyle tupetu, żeby w ogóle o coś takiego zapytać?! Właś w siebie, ile zdołałaś, załadowałaś do torebki ciasto i jeszcze prezentów ci się zachciewa?! – rzuciłam.

Roześmiała się.

– To jednak prawda, że jak babę chłop zostawi, to jej frustracja uszami wychodzi – rzuciła mi w twarz, po czym z ironicznym uśmiechem dołała sobie whisky, odwróciła się na pięcie i wyszła, zostawiając po sobie jedynie odorek tanich perfum i potu.

Usiadłam na jednym z rozchybotanych krzeseł w kącie.

– Przepraszam, Pati... Nie wytrzymałam. Ona przez długie lata doprowadzała mnie do szału za każdym razem, kiedy się odezwała, ale dzisiaj...

– Powinam ją przeprosić? – szepnęła wyraźnie podenerwowana Patrycja.

– Żartujesz?! Niby za co? Idź lepiej przypilnuj, czy na odchodnym nie włoży jeszcze czegoś do tej swojej przepastnej torby – mruknęłam i wybuchliśmy śmiechem.

– Wyszła – zameldowała mi Patrycja kilka minut później. – W progu rzuciła jeszcze coś o tym, że nie znalazła tu niczego ciekawego i zabrała zdobną w falbany dupę.

– Nie znalazła niczego ciekawego, no popatrz! Jakby kiedykolwiek w życiu przeczytała dzieciakom chociaż jedną bajkę! Przecież u niej w domu nawet pół książki nie ma! – parsknęłam.

– No i widzisz... Kupi człowiek fajny dom na cichej spokojnej uliczce, a później pojawiają się sąsiedzi – mruknęła Pati, siadając obok mnie. – Ty sobie wyobrażasz, jak ona nas teraz obgada?

– A dajże spokój, przecież ona nie ma wielu znajomych. Pomieli ozorem w sklepie, wygada się Malinowskiej i tyle – wzruszyłam ramionami. – Chodź, powinnaś wracać do gości – dodałam.

Jakieś dwie godziny później, dosłownie brodząc pomiędzy strzępami poprzebijanych balonów, bibuły i kolorowego papieru, zabrałyśmy się za sprzątanie po zabawie, która okazała się całkiem udana. Nie licząc incydentu z Aldoną w roli głównej, atmosfera była fantastyczna, a większość rodziców znalazła dla swoich pociech przynajmniej kilka książek i gier.

– Chodźmy jutro na miasto! W tym starym klimatycznym kinie na Sadowej robią akurat przegląd filmów hiszpańskojęzycznych – zaproponowała Patrycja, chowając reszkę ciasta do niewielkiej lodówki na zapleczu. – Weźmiesz trochę tych słodkości do domu, okay? Jeśli sama to zjem, koniec z moją idealną figurą – mruknęła do mnie.

– O której chciałabyś się spotkać? – zapytałam, rozkładając na talerzyki po kawałku sernika.

– O siedemnastej. Po filmie mogłybyśmy jeszcze skoczyć na drinka. W tej nowej knajpie na Gdańskiej jest dancing w klimacie przebojów z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Zaszalejemy na parkiecie, może poznamy jakichś fajnych ludzi.

– Dancing?

– No! Czemu nie? Raz się żyje! Jak się wyskaczesz w rytm nieśmiertelnych kawałków Abby, to od razu zapomnisz o problemach! Weź ode mnie ten sernik, zjadłam już dzisiaj dwa kawałki!

– To zjesz trzeci – wzruszyłam ramionami, podając jej talerzyk.

– Dobra! Patrz i tyj! – Patrycja sięgnęła po widelczyk i zatopiła go w puszystej serowej masie. – Wpadnę do ciebie jutro o siedemnastej i weźmiemy wspólną taryfę, okay? – zapytała z pełnymi ustami.

– Okay, mnie pasuje. I może masz rację? Może powinnam wyjść w końcu do ludzi – powiedziałam.

– To jesteśmy umówione! – ucieszyła się.

Pół godziny później, kuląc się pod olbrzymim czarnym parasolem, biegłyśmy w stronę pobliskiego przystanku.

– Przekłety deszcz! – mruknęła Patrycja, wpadając w kałużę.

– Czy to nie jest nasz autobus?! – zapytałam.

– To był nasz autobus – sprecyzowała przyjaciółka, przyglądając się odjeżdżającemu właśnie pojazdowi.

– Wiesz co, chrzanić to! Chodźmy pieszo! I tak jesteśmy już całe mokre – powiedziałam.

Na naszą uliczkę dotarliśmy przemoczone do suchej nitki i roześmiane.

– Do jutra! – powiedziała Patrycja, całując mnie na pożegnanie.

– Do jutra – odpowiedziałam.

Szukałam w torebce klucza, kiedy rozdzwoniła się moja komórka. Numeru nie znałam, ale zdecydowałam się odebrać.

– Cześć – odezwał się znajomy męski głos.

Jacek...

– Marzena? Jesteś tam? – zapytał.

– Tak – szepnęłam.

– Słuchaj, śniłaś mi się dzisiaj... Tyle razy obiecywałem sobie, że więcej się do ciebie nie odezwę, ale od rana o tobie myślę. Spotkajmy się, co? Wiem, że fatalnie wyszło to spotkanie z twoją szwagierką. Wiem, że wiele razy zachowałem się jak palant, zdaję sobie z tego sprawę. Ale sporo sobie przez te ostatnie miesiące przemyślałem, wiesz? Zresztą teraz jesteś wolna, możemy zacząć od nowa, bez tej całej konspiracji, której tak nie znośiłem. Powiedz coś, Marzena. Jesteś?

– Jestem, Jacek.

– I? Kolacja? Jeśli tylko znajdziesz czas, będziemy na ciebie czekać – ja i indyk w warzywach. Może jutro koło osiemnastej? W poniedziałek jadę do Niemiec i nie będzie mnie ponad tydzień, ale gdybyś znalazła czas jutro, byłoby idealnie. Proszę, zgódź się. Stęskniłem się za tobą – powiedział.

Stęsknił się... – pomyślałam, sama już nie wiedząc, co ja właściwie czuję.

– Jesteś? – zapytał cicho.

– Ja też się za tobą stęskniłam – szepnęłam.

– Więc będziesz?

– Jutro nie bardzo mi pasuje, ale...

– Marzena, proszę cię! Będę czekał z kolacją. Jutro o osiemnastej – wszedł mi w słowo.

– Okay, odwołam to kino i będę – powiedziałam.

– Będziesz? – zapytał jeszcze, jakby chciał się upewnić.

- Tak – powiedziałam.
- Naprawdę cholernie się za tobą stęskniłem! – powtórzył.
- Muszę kończyć. Sterczę na deszczu. Do jutra – powiedziałam, pośpiesznie się rozłączając.

Zanim weszłam do domu, przebiegłam przez ogród i zadzwoniłam do bramki Patrycji. Otworzyła mi z owiniętym dookoła głowy, różowym ręcznikiem. Pchnęłam furtkę i kuląc się przed deszczem, dobiegłam do drzwi przyjaciółki.

– Co się dzieje? Zgubiłaś klucze? – zdziwiła się. – Chryste, dawno tak nie przemokłam! Kieckę można wykręcać! Wchodź, zaparzę nam herbaty! – dodała.

Gapa radośnie mnie obszczekała i równie szybko straciła mną zainteresowanie.

– Mówiłaś, że masz się nią zająć chwilowo, a jest u ciebie od miesięcy – uśmiechnęłam się.

– Koleżanka się rozwodzi, ma teraz kompletny chaos w życiu. A psica chyba całkiem się u mnie zadomowiła – powiedziała Patrycja. – Wchodź, siadaj! Już robię herbatę! Strasznie zmarzłam, a ty?

– Ja też – przyznałam.

– Więc? Co się dzieje? – zapytała sąsiadka, wyjmując z kredensu dwie filiżanki.

– Dzwonił Jacek. Zaprosił mnie na kolację. Obiecałam, że przyjdę. Idiotka ze mnie, co? – powiedziałam.

– Marzena, nie wiem, czy to jest dobry pomysł. Naprawdę chcesz do niego wrócić? Tyle między wami gorzkich wspomnień...

– Jestem samotna, nie rozumiesz? Wszyscy kogoś mają, tylko nie ja!

– O, przepraszam bardzo! Ja też jestem sama – mruknęła Pati, zalewając filiżanki wrzątkiem.

– Ty znajdziesz sobie kogoś w pięć minut. No, nie patrz tak na mnie, taka jest prawda! Jesteś piękna, młoda i pełna życia. A ja? Czterdzieści kilka lat, nieudane małżeństwo na koncie.

– U mnie w tle dwa nieudane małżeństwa, jeśli już o tym rozmawiamy – przypomniała mi Patrycja.

– Wiem, ale nie o to chodzi. Czuję, że to może być moja ostatnia szansa, rozumiesz?

– Chryste, nie miałam pojęcia, że jesteś aż tak zdesperowana! Ostatnia szansa? Dziewczyno, błagam cię!

– Pati, już zdecydowałam. Idę! Tyle, że to jutro... Przepraszam cię, naprawdę. Głupio mi, że tak cię wystawiam, ale zależy mi na rozmowie z nim.

– Na rozmowie, powiadasz? – Patrycja uśmiechnęła się wymownie i podsunęła w moją stronę filiżankę ze świeżo zaparzoną herbatą. – No dobra, rozumiem. Idź, skoro musisz. Ja podskoczę do tej nowo otwartej galerii, może upoluję jakieś fajne buty. Samej nie chce mi się iść do kina – wzruszyła ramionami.

– Pati, głupio mi... Cieszyłam się na ten film i...

– Idź, Marzena! Nie pogniewam się przecież. Idź i spróbuj zakończyć cyrk z tym facetem. To nie jest gość dla ciebie, słyszysz? Brakuje mu klasy. Jego wybuchy gniewu, zaborczość, chamskie odzywki... Po tym, co mi opowiadałaś, nie jestem nim zachwycona.

– Nikt nie jest idealny, Patrycja. Kto jak kto, ale akurat ty powinnaś chyba to wiedzieć – powiedziałam cicho.

Pokiwała głową, odwracając się w stronę okna.

Zdałam sobie sprawę, że chyba ją uraziłam – w końcu zabrzmiało to tak, jakbym pomiędzy wierszami nawiązała do wyskoków pijanego Mariusza. Herbatę wypiliśmy w milczeniu i szybko się z nią pożegnałam. Idąc w stronę jej furki, pomyślałam o Jacku. Czy jest szansa, że będziemy razem szczęśliwi? I czy na pewno dobrze robię, zgadzając się na tę kolację? – zastanawiałam się, wchodząc do domu.

Następnego dnia rano nie miałam już nawet cienia wątpliwości. Obudziłam się rześka, pełna energii i dziwnie podekscytowana. Jacek! Brakowało mi jego pieścizot, spojrzeń, komplementów. Przed południem bez celu kręciłam się po sypialni, przeglądając ciuchy i słuchając muzyki. Później upichciłam sobie lekki obiad i zaczęłam się robić na bóstwo.

Przed siedemnastą, odstawiona w jedną z najlepszych kiecek, zapukałam do Patrycji.

– Zrobiłam ci owocową sałatkę. Na zgodę – powiedziałam. – I idź do tego kina, tak się cieszyłeś na ten film.

– Nie, nie mam ochoty samotnie utknąć wśród zakochanych par. Podjadę do tej galerii, może kupię coś fajnego – powiedziała. – A ty wyglądasz jak milion nowiutkich polskich złotych – dodała.

– Taki właśnie miałam plan! – roześmiałam się. – Wpadnę do ciebie do sklepu jakoś jutro po pracy, okay? Chcę kupić kilka książeczek dla córeczki koleżanki.

– Super, dzięki! To do miłego – powiedziała.

– Do miłego – rzuciłam lekkim tonem.

Chwilę później myślałam już tylko o Jacku.

Kiedy podjechałam na parking przed jego blokiem, Jacek już na mnie czekał. W spranych dżinsach i nowej koszulce w kratkę, z nieco dłuższymi włosami i kilkudniowym zarostem, wyglądał znajomo i dziwnie obco jednocześnie.

– Dobrze wyglądasz – powiedział, przytrzymując drzwiczki od strony kierowcy.

Więc zaczynamy od takiego banału? – pomyślałam, wysiadając z samochodu.

Na chodniku niemal upadłam, kiedy obcas moich najwyższych i najcieńszych szpilek utknął pomiędzy nierównymi betonowymi płytami.

– Uważaj w tych butach. – Jacek podał mi rękę i mruknął, że od dawna proszą spółdzielnię o remont parkingu.

Wieczór był chłodny, dżdżysty. Zamykając samochód, zdałam sobie sprawę, że ubrałam się zbyt lekko jak na czternaście stopni.

– Chodźmy już, straszny ziąb – odezwał się mój kochanek, narzucając mi na ramiona swoją marynarkę.

Zjedliśmy, słuchając muzyki. Coś, co brzmiało jak folk, miłosiernie tuszowało niezręczną ciszę pomiędzy nami.

– Co u ciebie, Marzena? Rozwodzisz się? Wiem, że doktorek się wyprowadził, ale nie mam pojęcia, co postanowiliście. Jesteście w separacji? Znalazłaś już prawnika? – zapytał w końcu on.

– Zadajesz strasznie dużo pytań – powiedziałam zmęczonym głosem.

– Za to ty nie jesteś dziś zbyt rozmowna...

– Może nie mamy już sobie nic do powiedzenia? Jacek, jakie to ma znaczenie, czy mam już rozwód, czy go nie mam? Coś się między nami zmieni? Po co w ogóle o to pytasz?! – uniosłam się.

– Czemu się wkurzasz? Po prostu sporo ostatnio myślałem. O nas, o tym, czego chcę... Zacznijmy od nowa, okay? Zacznijmy tak na serio, jakbyśmy dopiero co się poznali. Wiem, że wiele razy cię zraniłem, ale ty też nie zawsze byłaś wobec mnie fair.

– Naprawdę chcesz teraz o tym rozmawiać? – zapytałam, wstając zza stołu.

Lniana chusteczka, którą miałam na kolanach, upadła na podłogę, a ja poczułam, że cała się trzęsę.

– Dobra, zrozumiałem. Nie jesteś w nastroju do dyskusji. Zaparzę kawę. Zostaniesz u mnie na noc, czy chcesz wracać?

– Nie wiem, zobaczymy – wzruszyłam ramionami.

– Jak zawsze niezdecydowana – burknął Jacek, zbierając ze stołu talerze. – Wiesz, co jest najbardziej przykre? Im bardziej się staram, tym bardziej cię to drażni – dodał.

– Więc może przestań się starać? – rzuciłam kąśliwym tonem.

Balkon był zagracony i mniejszy, niż go zapamiętałam. Wychyliłam się przez barierkę, lustrując otoczenie. Niewielki, niemal pozbawiony drzew park za blokiem był prawie pusty, tylko na jednej z ławek siedziała młoda, objęta para. Ona miała na głowie czerwoną opaskę i spięte w wysokiego kucyka ciemne włosy. On trzymał w ręku butelkę z piwem, jednocześnie władczy gestem obejmując przytuloną do niego dziewczynę. Wyglądali zabawnie i rozbajająco jednocześnie. Chciałabym mieć

jeszcze raz dwadzieścia lat, pomyślałam i od razu poczułam się jak ostatnia idiotka. Czego niby brakuje mi teraz? – powiedziałam sobie w myślach.

– Proszę. – Jacek zjawił się przy mnie z dwoma kubkami kawy. – Uważaj, gorąca. Miałem za mało mleka...

– Dzięki.

– Gdybym wczoraj nie zadzwonił, odezwałabyś się jeszcze do mnie? Przez ostatnie miesiące mnie ignorowałaś i byłem niemal pewien, że dziś nie przyjdiesz.

– Dziwisz mi się, Jacek? Hanka prawie straciła dziecko po tym, jak się zdenerwowała tamtym spotkaniem z nami! Wiesz, jak się czułam?! Wyobrażasz sobie bardziej upokarzającą scenę?! Siostra męża, z którą od lat się przyjaźniłam, nakryła mnie obściskującą się po krzakach z jakimś facetem!

– Nie po krzakach, tylko w urokliwej alejce nad wodą – mrugnął do mnie Jacek.

– Bawi cię to, prawda? Masz gdzieś Hankę, Huberta, mnie i całą resztę! Czujesz się cholernie męski, bo namieszałeś! Rozdęty od testosteronu, masz w głębokim poważaniu cały cholerny świat! – krzyknęłam.

– Przesadzasz. Ja też czułem się później podle. Może gdybyś odebrała w końcu telefon ode mnie, mógłbym ci o tym powiedzieć. Pocieszyłbym cię, Marzena. Pogadałbym z tobą, podniósłbym cię na duchu – mruknął.

– Z pewnością – powiedziałam.

– I jeszcze jedno, skoro już rozmawiamy. Zauważyłaś, z jaką łatwością od początku robisz tego „złego” ze mnie? Jakbyś sobie nie miała nic do zarzucenia! Ja jestem winny wszystkiemu, ty, biedna ofiara, tylko bezsilnie się miotasz...

– Śmieszny jesteś! – syknęłam.

– Taka jest prawda, Marzena! Obwiniasz mnie o rozpad swojego małżeństwa, a chwilę później do mnie biegniesz! Wmawiałaś mi, że ci się narzucam, a później sama przesiadywałaś nocą przed moimi oknami. Widziałem cię wtedy, wiesz? – powiedział.

– Skąd wiesz, po co przyjechałam? Może chciałam z tobą zerwać!

– Jasne! – roześmiał się. – Chciałaś ze mną zerwać, a później omdlałaś mi w ramionach i znowu wylądowaliśmy w łóżku. Oboje jesteśmy tak samo winni, Marzena. Nie jestem tym, który zwiódł na manowce niewinną dziewczynę! Pamiętasz tamten dzień, kiedy się poznaliśmy? Szukałaś prezentu dla męża, ja niezobowiązująco cię zagadnąłem. Kawę zaproponowałem bardziej z ciekawości, co odpowiesz. Nie liczyłem na to, że się zgodzisz, zdążyłem już zauważyć twoją obrączkę. Ale ty zatrzepotałaś rzęsami i bardzo ochoczo przyjęłaś zaproszenie! Więc nie mów mi, że tylko ja jestem temu wszystkiemu winien!

– To miała być tylko kawa – szepnęłam.

– Nie bądź śmieszna! Taka kawa to zawsze wstęp do czegoś konkretniejszego. Jest niemal jak gra wstępna, pierwsze podchody. Chodźmy stąd, zimno tu. – Kochanek wyjął mi z ręki kubek z niedopitą kawą i weszliśmy z powrotem do mieszkania.

Zamykając balkonowe drzwi, powiedział, że go nie doceniam.

– Mogłem być dla ciebie kimś znacznie ważniejszym, niż byłem – dodał. – Ale ty zawsze widziałaś we mnie tylko i wyłącznie myślącego kutasem, pustego dupka!

– Nie musisz być wulgarny – syknęłam.

– A nie tak to wygląda? – zapytał.

Nie odpowiedziałam.

Podeszłam do niego i wsunęłam dłoń w jego włosy. Nie chciałam się kłócić, byłam zmęczona piętrzącymi się wokół mnie złymi emocjami, pretensjami, żalami... Pocałował mnie w usta, wolno, nieśpiesznie, ledwie wyczuwalnie.

– Smakujesz kawę. Kawę i kobietą – rzucił kolejnym z banałów, którymi tego wieczoru częstował mnie nazbyt hojnie.

Pociągnęłam go w stronę sypialni. Rozpinał moją sukienkę, kiedy w głębi mieszkania rozdzwoniła się jego komórka. Drgnął i nerwowo spojrzął w stronę drzwi, jednak po chwili skupił się tylko i wyłącznie na mnie. Telefon nadal dzwonił, uporczywy dźwięk dzwonka zaczął mnie irytować.

– Odbierz albo wycisz – syknęłam.

– Daj spokój, niech dzwoni – mruknął, całując mnie po szyi.

Jego oddech pachniał miętą, dłonie były ciepłe i nieco szorstkie. Rozpinał mi stanik, kiedy jego telefon odezwał się po raz trzeci z rzędu. Skrzywiłam się, ale nie skomentowałam. Opadaliśmy na łóżko, oplótłam go nogami. Kiedy we mnie wchodził, wyobraziłam sobie, że to Hubert. Ironia losu... Będąc z mężem, potrafiłam myśleć tylko o kochanku, ale kiedy go straciłam, momentalnie pojawił się w moich snach i marzeniach... Jacek przeciągle jęknął, zaciskając palce na moich włosach. Skrzywiłam się z bólu, ale nie zauważył. Jego pchnięcia były coraz mocniejsze, oddech coraz szybszy. W końcu krótko krzyknął i wysunął się ze mnie, szepcząc moje imię. Zawsze lubiłam ten moment tuż po seksie, kiedy rozgrzane, niemal stopione w jedno ciała kochanków przez kilka sekund skupiały się na cofającej się z wolna fali rozkoszy. Jednak tym razem chciałam tylko, żeby on się odsunął i pozwolił mi wstać.

– Pójdę do łazienki – szepnęłam, wysuwając się spod niego.

Odwrócił się na bok i oparty na łokciu zapytał, czy coś nie tak.

– Wszystko okay – powiedziałam.

Kiedy szłam przez pokój, Jacek wyjął z szuflady papierosa. Pstryknęła zapalniczka. Zapaliłam światło w łazience i spojrzałam w lustro. Policzki miałam ładnie zaróżowione, usta jakby pełniejsze, jednak nie czułam niczego. Pustka wewnątrz mnie przypominała od dawna wyschniętą studnię za domem dziadków, którą widywałam w dzieciństwie – ciemną, bezdenną otchłań pochłaniającą papierki od lizaków, które uwielbiałam tam wrzucać...

– Marzena, co jest? – Jacek zjawił się w łazience, kiedy przemywałam twarz zimną wodą.

– Źle się czuję – powiedziałam.

– Tylko nie mów, że znowu masz jakieś moralne dylematy. W końcu jesteś już wolna, nie? – mruknął.

– Boli mnie głowa – powiedziałam.

– Zostaniesz na noc?

– Nie lubię spać w dymie – mruknęłam.

– Zawsze masz jakąś wymówkę, prawda? – zapytał.

Wyminęłam go bez słowa i wróciłam do sypialni. Ubierając się, wyobrażałam sobie, że nieświadomy niczego Hubert dyżuruje w klinice, żeby następnego dnia wrócić do domu. Do mnie.

– Zadzwoń, kiedy wrócę z Niemiec – powiedział Jacek, gasząc niedopałek w kieliszku po winie.

Drugi stał na nocnej szafce i nagle zdałam sobie sprawę, że niedawno musiał mieć gościa.

– Sypiasz z kimś, prawda? – zapytałam, zapinając sukienkę.

– Celibatu nie ślubowałem – mruknął. – Ale to nic ważnego, przygodnie poznana panienka – dodał zaskakująco lekkim tonem.

Hubert nigdy by nie poszedł do łóżka z kimś, kogo ledwo zna, pomyślałam. A może się myliłam? Może teraz, kiedy nieodwracalnie go straciłam, robiłam z niego ideał, niemal stawiając go na piedestale? Przecież tę swoją finansistkę też pewnie ledwo znał, a jednak zdążył już z nią zamieszkać...

– Odprowadzę cię do samochodu. – Jacek założył dzinsy i podkoszulek z napisem „Super macho 2016!”.

– Daj spokój, to parę kroków od klatki – powiedziałam, trzymając rękę na klamce.

– Nie tak sobie wyobrażałem to spotkanie – rzucił.

– Przykro mi...

Wysłałam chwilę później. W aucie, kiedy już rzuciłam torebkę na siedzenie obok i zapięłam pasy, pozwoliłam płynąć łzom. Kogo ja chcę oszukać? Siebie samą? Nie kocham Jacka. Nigdy go nie kochałam, nawet jeśli przez jakiś czas tak mi się wydawało. Chcę powrotu Huberta, ale on już nie wróci... Szukałam w torebce chusteczki, kiedy ktoś zapukał w szybę od strony pasażera.

– Chryste! Przestraszyłeś mnie! – powiedziałam, otwierając drzwiczki.

– Wyjrzałem przez okno i zauważyłem, że nadal tu tkwisz. Płakałaś? Marzena, co się dzieje, do cholery?!

– A jak myślisz?! Usiłuję zebrać do kupy całe moje życie, tak ciężko ci to zrozumieć?! – krzyknęłam.

– Wsiadaj, prześpisz się u mnie – powiedział.

– Właśnie tego u ciebie nie znoszę! Tej twojej nachalności! Chyba pięć razy mówiłam ci, że wolę spać w domu, ale nadal nalegasz! – krzyknęłam, zdając sobie sprawę, że w mój ton wdarły się pierwsze histeryczne nutki.

– Okay, zrozumiałem. Nie będę ci się dłużej narzucać – powiedział.

– Nie no, jasne! Obraż się teraz!

– A nie mam prawa? – zapytał.

– Dobranoc – rzuciłam, zamykając drzwiczki.

Zapalając silnik, zdałam sobie sprawę, że zostawiłam u niego kolczyki, ale nie miałam ochoty wracać do jego mieszkania.

Jacek stał na parkingu, obserwując, jak odjeżdżam. I chociaż jakaś część mnie już tego żałowała, rozumiałam, że więcej się nie zobaczymy. To nie jego chciałam, nie on miał wypełnić panoszącą się wokół mnie pustkę.

Podjeżdżając pod dom, zerknęłam w okna Patrycji. W jej salonie świeciło się światło, więc musiała już wrócić z galerii. Nagle zrobiło mi się przykro. Wystawiłam przyjaciółkę dla tych kilku chwil z Jackiem... Wsiadłam z samochodu i wcisnęłam dzwonek przy sąsiedniej furtce. W głębi domu rozszczękała się Gapa, ale nikt nie pojawił się we frontowych drzwiach. Czekałam prawie pięć minut, w końcu wróciłam do siebie. Obraziła się? – przeszło mi przez myśl, kiedy robiłam sobie herbatę. Nie, chyba nie. To do niej niepodobne. Może po prostu zostawiła zapalone światło? Czasem tak robiła, nie znosiła wracać do pogrążonego w ciemnościach domu. Jej kilkuletniego opla nie było na podjeździe. Wjechała już do garażu, czy nadal kręciła się po galerii? Zerknęłam na zegarek. Nie, centrum handlowe

było już zamknięte. Może poszła na miasto? Ostatnio poznała ponoć w parku sympatyczną dziewczynę w swoim wieku. Pewnie wyskoczyły na drinka, pomyślałam, otwierając frontowe drzwi.

Telefon zadzwonił, kiedy zmywałam makijaż. Pewna, że to Patrycja, pognałam do sypialni, ale to nie była ona. Dzwonił Hubert. Na widok jego imienia momentalnie się rozdygotałam, w tym samym momencie sygnał umilkł. Stałam z telefonem w dłoni, zastanawiając się, czy do niego oddzwonić, kiedy wysłał mi SMS-a. „Wybacz, pomyłka. Źle wybrałem numer”...

– No jasne, pomyłka – szepnęłam, siadając na niezasałanym łóżku, które przestałam ścielić po odejściu męża.

Do Patrycji zadzwoniłam chwilę później, ale nie odebrała. Za ścianą ujadła Gapa. W tym jej nieustannym szczekaniu było coś zacieklego, czego nigdy wcześniej nie słyszałam. Wyszłam na balkon i zerknęłam na ogród. Pusto. Drzwi balkonowe były zamknięte, z sypialnianego okna sączyła się blada poświata światła z korytarza.

Narzuciłam na ramiona kurtkę i wyszłam przed dom. Najpierw przez kilka minut dzwoniłam do furtki, później jeszcze dwa razy wybrałam numer przyjaciółki. Cisza... Może psica jest głodna? – pomyślałam i chociaż czułam się trochę niezręcznie, wyjęłam z kieszeni zapasowe klucze od domu przyjaciółki. Dała mi je na wszelki wypadek i postanowiłam zrobić z nich użytek. Zatrzymałam się dopiero przed frontowymi drzwiami. Co ja najlepszego wyprawiam? – pomyślałam. Pati bawi się pewnie gdzieś na mieście, a ja chcę się jej władować do domu? Przecież to nie o nią się zamartwiam. Chcę pogadać o Jacku, zwierzyć się jej z nieudanego wieczoru, wypłakać się. Cofnęłam się, zamknęłam za sobą furtkę i wróciłam do siebie. Niedopitą herbatę wylałam do zlewu i zrobiłam sobie drinka. A później zaległam przed telewizorem i obejrzałam głupawą amerykańską komedię o biwakujących na odludziu nastolatkach. Zasnęłam przed telewizorem, zmorzył mnie wypity alkohol i zmęczenie po marnie przespanej zeszłej nocy. Obudziło mnie ujadanie Gapy – suczka nadal szczekała, jej głos wyraźnie przebijał się przez ścianę i zaczął mnie drażnić. Zerknęłam na wyświetlacz komórki. Żadnej wiadomości od Patrycji...

„Jesteś na mieście?” – napisałam i wysłałam jej SMS-a.

Nie odpisała.

Wyszłam przed dom i drżąc z chłodu, zerknęłam w jej okna. W salonie nadal świeciło się światło, Gapa nieprzerwanie ujadła. Otworzyłam furtkę. Tylko tam zajrzę i upewnię się, czy wszystko okay – powiedziałam sobie, wkładając klucz do zamka we frontowych drzwiach. W domu panowała cisza. Psica zaszczekała gdzieś na górze, chwilę później z przeciągłym skomleniem zaczęła mi się kręcić wokół nóg.

– Gapa, co się dzieje? Głodna jesteś? Gdzie twoja pani? Gdzie pańcia, co? – Pogłaskałam ją, wyczuwając, że wyraźnie drży. – Pati? Jesteś?! – krzyknęłam.

Odpowiedziała mi cisza.

Psica jeszcze przez moment kręciła się przy mnie, w końcu pognała na górę i zaczęła skamleć. Nagle ogarnęły mnie jakieś złe przeczucia, jakby lodowata dłoń strachu zacisnęła mi się na gardle i nie chciała puścić. Weszłam na piętro. Gapa drapała w łazienkowe drzwi. Dotknęłam dłonią klamki i szybko cofnęłam rękę.

– Patrycja? – szepnęłam.

Cisza.

Pchnęłam drzwi i otworzyłam usta do krzyku. Patrycja leżała w pełnej krwi wannie, jej trupioblada twarz sprawiała wrażenie porcelanowej. Gdyby nie otaczająca ją purpura posoki, można by pomyśleć, że

śpi. Podeszłam do niej na palcach, jakbym się bała, że zakłócę jej sen, i samymi opuszkami palców dotknęłam jej szyi, chociaż świetnie wiedziałam, że już za późno... Żyłka leżała na obramowaniu wanny, obok pustego kieliszek po czerwonym winie. Osunęłam się na podłogę i skulona w kącie łazienki leżałam, dusząc w gardle szloch. Gapa na przemian lizała mnie po twarzy i przeraźliwie skamlała, trącąc czubkiem nosa zwisającą z wanny dłoń swojej martwej pani. Nie pamiętam momentu, kiedy zadzwoniłam na policję. Nie pamiętam nawet, jak zdołałam podnieść się z podłogi, zejść na dół i otworzyć im drzwi. Przyjechali po kilku minutach, kazali mi zostać na dole. Ktoś narzucił mi na ramiona koc, ktoś inny zapytał, kiedy ją znalazłam i kim dla niej jestem. Zapadłam się w fotel, w którym tyle razy piłam kawę w towarzystwie przyjaciółki, i otepiałym wzrokiem wpatrywałam się w ścianę. Po głowie tłukło mi się pytanie „dlaczego?”, ale nie potrafiłam zebrać myśli na tyle, żeby móc je uformować w chociaż jedno konkretne zdanie. Towarzysząca mi młoda ładna policjantka z ciasno spiętymi ciemnymi włosami nie spuszczała ze mnie wzroku, siedząc naprzeciwko, na sofie. Zamknęłam oczy, modląc się w duchu o cud. Boże spraw, żeby to wszystko tylko mi się śniło – powtarzałam w duchu, świetnie wiedząc, że nawet gdyby istniał, Bóg w żaden sposób nie mógłby nam teraz pomóc... Patrycja nie żyła, a ja nie miałam pojęcia, co mogło ją pchnąć do tak desperackiego kroku, jak podcięcie sobie żył.

Dzień później, zakopana w pościeli, przeleżałam w łóżku całe przedpołudnie. Gapa kręciła się po niewielkiej sypialni, obwąchując meble i donice z kwiatami, a ja nadal nie mogłam zrozumieć, czemu Patrycja podcięła sobie żyły. Przecież ostatnio wszystko już było w porządku! Ruszyła z własnym biznesem, Mariusz nadal był w areszcie, a ona wyglądała na całkiem szczęśliwą. Kiedy widziałam ją przed wyjściem na randkę z Jackiem, nic nie wskazywało na to, że ma zamiar targnąć się na swoje życie. Zachowywała się zwyczajnie i z całą pewnością nie sprawiała wrażenia kogoś, kto jeszcze tego samego wieczoru zdecyduje się na tak nieodwracalny krok!

– Co się stało, Pati? – szepnęłam.

Odpowiedziała mi cisza.

Przeanalizowałam w myślach wszystkie nasze ostatnie rozmowy, przejrzałam SMS-y, ale nie znalazłam żadnej wskazówki. Najchętniej przejrzałabym również jej rzeczy, ale policja zaplombowała należącą do niej połowę bliźniaka. Czy jest coś, czego o niej nie wiedziałam? Miała wrogów? Długi? A jeśli to nie było samobójstwo? Może ktoś ją zmusił, żeby odebrała sobie życie i upozorował samobójczą śmierć? Czy takie rzeczy dzieją się tylko w kryminalnych serialach klasy B, czy Patrycję również mogło spotkać coś tak koszmarnego? – zastanawiałam się, leżąc w zmiętej pościeli. Na poduszce obok leżała zapomniana piżama Huberta – znalazłam ją w jednej z szaf i nie potrafiłam wyrzucić. Koło trzynastej wstałam tylko po to, żeby napić się wody i nakarmić Gapę. Kilka minut później z powrotem weszłam do łóżka i zakopałam się pod kołdrą. Mój telefon leżał na nocnej szafce. Nie chciałam rozmawiać z Jackiem, nie chciałam go znać. Marzyłam tylko o tym, żeby usłyszeć Huberta, ale kiedy do niego zadzwoniłam, nie odebrał... Cisnęłam komórkę na fotel i wybuchłam płaczem. W końcu, z trudem zwlekając się z łóżka, wybrałam numer Marty i szlochając, opowiedziałam jej o wydarzeniach z zeszłej nocy.

– Marzena, uspokój się, zaraz u ciebie będę! – obiecała, kiedy już wyrzuciłam z siebie nieskładną i przerywaną płaczem opowieść o samobójstwie przyjaciółki.

Zjawiała się kwadrans później, wyglądała na zdruzgotaną.

– Tak mi przykro, Marzenko... Najpierw Lidka, teraz twoja przyjaciółka... To jakaś czarna seria? – szepnęła, tuląc mnie w drzwiach.

– Wejdz, nie stójmy w progu – powiedziałam.

Miałam na sobie piżamę i musiałam wyglądać jak siedem nieszczęść, bo na mój widok siostra niemal się popłakała.

– Domyślasz się, czemu to zrobiła? – zapytała Marta, kiedy weszliśmy do salonu.

Gapa kilka razy szcęknęła, ale szybko straciła zainteresowanie moim gościem.

– Czemu tak nagle?

– Nie mam bladego pojęcia! Jedyne w miarę logiczne opcje są takie, że coś się wydarzyło wczorajszego wieczoru... Kiedy wpadłam do niej z sałatką, wszystko było jeszcze w jak najlepszym porządku – powiedziałam.

– Ale co? Co takiego mogło się wydarzyć, że postanowiła się zabić?! Zawsze mówiłaś, że tyle w niej radości życia, energii...

– Nie mam pojęcia, co się stało, Marta! Nie rozumiesz tego, że od długich godzin się nad tym zastanawiam?! – krzyknęłam.

– Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Znałam ją tylko z widzenia, ale...

– Położę się – weszłam Marcie w słowo, bo nagle opuściła mnie resztką sił.

– Jadłaś dziś coś? – zainteresowała się moja praktyczna do bólu, nadopiekuńcza siostra.

– Nie jestem głodna.

– To może napijesz się herbaty?

– Nie, ja...

– Marzena, nie możesz teraz do reszty się załamać, ledwo stanęłaś na nogi po rozstaniu! Zrobię nam omlet, pogadamy. Mogę zostać na noc, jeśli chcesz.

– Nie. Nie chcę tu spać – wzdrygnęłam się. – Cały czas myślę o tym, że za tą ścianą Patrycja samotnie wykrwawiła się na śmierć... Nasze łazienki są niemal identyczne, jak to w bliźniaku. I za każdym razem, kiedy patrzę w stronę mojej wanny, mam wrażenie, że zobaczę ją leżącą w tej krwawej wodzie...

– Chryste, to musiało być upiorne! – Siostra rozmasowała mi plecy i usiadła obok mnie na kanapie. – Jeśli chcesz, możesz spać u nas. Zresztą nie tylko dzisiaj.

– Okay – skinęłam głową.

– Zaraz do ciebie wrócę. – Siostra opatulila mnie pledem i poszła do kuchni.

Położyłam się na kanapie z ozdobną poduszką pod głową i niemal od razu zasnęłam, jakby tylko sen mógł mnie odgradzić od całego otaczającego mnie koszmaru. Ale tym razem sen nie przyniósł mi ukojenia... Śniłam o czerwonych od krwi wodach zatoki, po których dryfowały dziesiątki trupów. Brodziłam w posoce, zanurzona po pas, a fale uderzały we mnie, niemal zwalając mnie z nóg. Wiedziałam, że wybuchła jakaś epidemia i że pewnie też umrę, ale nie czułam strachu. Chciałam tylko znaleźć Patrycję, która chwilę wcześniej zniknęła mi z oczu, idąc pod wodę. Nagle zauważyłam olbrzymiego aligatora. Ruszył w moją stronę i zaczęłam biec do brzegu. Wyciągnęli mnie żołnierze, mieli kolorowe hełmy i zarośnięte twarze. Krzyczeli coś w obcym języku, którego nie rozumiałam, i zaczęli mnie obrzucać grudkami błota.

Obudziła mnie Marta, wyglądała na zszokowaną.

– Marzena, patrz! – Szarpała mnie za rękę. – Włączyłam regionalne wiadomości z nadzieją, że czegoś się dowiemy i chyba zaraz będą mówić o Patrycji. O ile to o nią chodzi...

– O czym ty mówisz? – wymamrotałam, wyrwana z koszmarnego snu i na wpół przytomna ze zmęczenia i szoku.

– Patrz! – powtórzyła moja siostra, podkreślając fonię w telewizorze.

Usiadłam na kanapie i zapatrzyłam się w ekran. Wiadomości zaczęły się od zapowiedzi najważniejszych wydarzeń, chwilę później utleniona na platynę spikerka z rdzawopomarańczową szminką na wargach zaczęła mówić coś, czego z początku nie mogłam pojąć...

Dziś w godzinach przedpołudniowych policji udało się ustalić, że znaleziony w podmiejskim lasku opel corsa należał do kobiety, która zeszłego wieczoru popełniła samobójstwo. Według świadków to właśnie ten samochód śmiertelnie potrącił pięciolatek w okolicach Galerii Słonecznej. Wszystko wskazuje więc na to, że Patrycja Z. zbiegła z miejsca wypadku, a później targnęła się na swoje życie

i zrobiła to skutecznie – wczoraj zwłoki sprawczyni tragicznego zdarzenia znalazła zaprzyjaźniona z nią sąsiadka – powiedziała dziennikarka, chwilę później przechodząc do kolejnego tematu.

– Zabiła pięcioletnie dziecko? – Marta była blada jak ściana.

Zerwałam się z kanapy, włączyłam laptopa i weszłam na stronę z lokalnymi wiadomościami. Temat śmiertelnego wypadku był najczęściej czytana informacją. Krajobraz z fotografii przedstawiającej miejsce zdarzenia rozpoznałam od razu, wielokrotnie tamtędy przejeżdżałam.

Pięcioletni Kacper wtargnął na jezdnię za piłką i wbiegł prosto pod koła. Kierująca pojazdem kobieta nie miała szans, żeby zareagować. Za haniebny można jednak z pewnością uznać fakt, że Patrycja Z. uciekła z miejsca wypadku, kiedy tylko zorientowała się, że dziecko nie żyje. Według policji, niedługo później porzuciła uszkodzony samochód w pobliskim lasku, pieszo wróciła do domu i odebrała sobie życie – przeczytałam krótką prasową notatkę, pod którą było ponad czterysta komentarzy. Internauci nie mieli dla Patrycji litości. Słowa „głupia dziwka”, „szmata”, „kretynka” i „idiotka” były najłagodniejszymi określeniami wśród tych, jakimi ją obrzucano.

I nagle do mnie dotarło. To JA zabiłam przyjaciółkę i to JA zabiłam tego chłopca. Przecież gdybym w ostatnim momencie nie wystawiła Patrycji i poszła z nią do tego kina, zamiast pędzić na randkę z Jackiem, byłaby w tamtej chwili w zupełnie innej części miasta, a dzieciak, który wyleciał na jezdnię za piłką, być może nadal by żył...

– To ja zabiłam to dziecko, Marta – powiedziałam.

– Co? Co ty wygadujesz? – Siostra jeszcze bardziej pobladła i wyłączyła telewizor. – Marzena, co ty...

– To ja zabiłam Patrycję! – krzyknęłam.

Chwilę później wybiegłam z domu i popędziłam w stronę pobliskiego nasypu. Siostra dogoniła mnie kilkanaście metrów od naszej uliczki i usiłowała mnie objąć, ale odepchnęłam ją i opadłam na ziemię, tuż obok dużej, pełnej śmieci kałuży.

– To ja ją zabiłam – powtarzałam, kiwając się w tył i przód niczym cierpiące na chorobę sierocą dziecko.

– Marzena, błagam cię, przestań! O czym ty mówisz?! – Marta opadła na kolana i ujęła moją twarz w dłonie. – Przestań, proszę cię! Przerażasz mnie – rozplakała się. – Chodź, wracajmy do domu. Jest zimno i... Marzena, wstawaj! – Szarpnęła mnie za rękę, ale nawet nie drgnęłam.

Kiedy w końcu udało jej się zaprowadzić mnie z powrotem do domu, wyrzuciłam z siebie wszystko, opowiadając jej o mojej randce z Jackiem i ostatnich dniach.

– Gdybym z nią poszła do tego kina, nie pojechałaby do galerii po buty, rozumiesz?! – wyszlochałam.

– To nie twoja wina, Marzena. To koszmarny zbieg okoliczności, który...

– To moja wina, Marta! Od początku do końca! Zobacz, ile mnie ten romans kosztował! Hanka prawie straciła dziecko, a teraz to... Zabiłam Patrycję, słyszysz?! A ten chłopiec... Jezu Chryste, miał dopiero pięć lat.

– To nie twoja wina! To ona go potrąciła, a później uciekła z miejsca wypadku! Kto robi takie rzeczy, jaka kobieta?! Według świadków odjechała z piskiem opon, porzucając go tam, na środku jezdni! Może dlatego się zabiła, bo nie mogła znieść prawdy o sobie!

– Była dobrym człowiekiem! – krzyknęłam.

– Zabiła pięcioletnie dziecko i uciekła z miejsca zdarzenia! Tak zachowują się dobrzy ludzie?!

– Mogła być w szoku, nie rozumiesz?! Zobaczyła go pewnie całego we krwi, zrozumiała, że nic już się nie da zrobić i odjechała – broniłam przyjaciółki, chociaż sama miałam w głowie mętlik.

– I to ją usprawiedliwia?! A gdyby jeszcze żył?! – krzyknęła Marta. – To nie była twoja wina, Marzena. To ona zabiła to dziecko!

– Nie zabiłaby go, gdyby jej tam nie było! Gdybym poszła z nią do tego kina...

Nie dokończyłam, nie byłam w stanie niczego więcej dodać. Siostra tuliła mnie do siebie, głaszcząc po plecach.

– Jedźmy do mnie, nie ma sensu dłużej tutaj siedzieć – powiedziała w końcu. – Pogaszę światła i sprawdzę okna, a ty załóż coś cieplejszego i spakuj trochę rzeczy. Dasz sobie radę? Gdzie masz walizkę?

– W garderobie – szepnęłam. – Wiesz, że musimy zabrać Gape? Nie mam numeru do koleżanki Patrycji, do której należy pies. Kiedyś go znajdę, tylko...

– Nie ma problemu, naprawdę. Dzieciaki się ucieszą – uśmiechnęła się do mnie Marta.

Pół godziny później podjechałyśmy pod dom mojej siostry. Ulokowała mnie w gościnnym pokoju na parterze.

– Prześpij się, zawołam cię na kolację – powiedziała.

Zanim wyszła, pościeliła łóżko i wyjęła z szafy pled. Przyglądałam się jej krzątaninie, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Po prostu opadłam na fotel... W progu Marta przystanąła, odwróciła się w moją stronę i spojrzała mi w oczy.

– Marzena... Obiecuj, że nie zrobisz niczego głupiego.

– Jestem zbyt dużym tchórzem, żeby odebrać sobie życie, jeśli to właśnie insynuujesz – szepnęłam.

– Nawet tak nie mów, słyszysz?! Wiesz, jak cię kocham, prawda?

Skinęłam głową na „tak” i przeniosłam się na łóżko. Czułam się potwornie zmęczona, nie miałam nawet na tyle siły, żeby się schylić i rozsznurować buty. W końcu przeszłam z powrotem na fotel i skulona, z podwiniętymi nogami, zapadłam w płytką, pełną majaków drzemkę.

Obudził mnie telefon, dzwonił Jacek. Odrzuciłam połączenie i wyłączyłam komórkę. A później zapaliłam nocną lampkę i zapatrzyłam się w kwiecisty wzorek na tapecie. Obca ściana, obcy dom, obce łóżko. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej byłam pewna, że panuję nad wszystkim, a teraz, niczym uchodźca, z jedną wciśniętą w kąt pokoju walizką, siedzę i zastanawiam się, co dalej? Do domu nie chcę wracać, nie byłabym już chyba w stanie tam mieszkać. Huberta na pewno nie odzyskam, znam go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nigdy mi nie wybaczy. Razem z nim straciłam miejsce przy stole w jego rodzinie. Nie zobaczę już jego syna, nie utulę Hanki, nie będę trzymać do chrztu jej dziecka. Więc siedzę. Siostra pokrzykuje na chłopców, kręcąc się po kuchni. Piętro wyżej jej Michalina przygotowuje się do testu z chemii, szwagra jeszcze nie ma. Wiem, że mogę na nich liczyć, to w końcu moja najbliższa rodzina. Ale mam też świadomość tego, że na dłuższą metę nie mogę siedzieć im na głowie. Będę musiała stanąć na nogi i zacząć wszystko od nowa z myślą, że zostawiam za sobą gruzy dawnego życia i dwa trupy. Bo chociaż Marta twierdzi, że tragedia tego nieszczęsnego chłopca nie jest moją winą, wiem, że to nieprawda. Gdybym poszła z Patrycją do tego kina, gdybym... Przeszłości nie zmienię, przyszłość jawi mi się w naprawdę ponurych barwach. Tak, przeszło mi już przez myśl, żeby ze sobą skończyć, ale wiem,

że nigdy się na to nie zdobęde. Jestem zbyt dużym tchórzem, zresztą jak mogłabym zrobić Marcie coś tak potwornego? Więc siedzę. Łóżko wygląda na wygodne, telewizor jest nowy, drzwi pomalowanej na ciemnoniebiesko szafy zapraszająco uchylone. Zostanę tu tydzień, może dwa. Nad tym, co będzie dalej, wolę się na razie nie zastanawiać. Na razie muszę zebrać siły, żeby zjawić się na pogrzebie Patrycji i spojrzeć w oczy jej rodzicom. Nie będą wiedzieli, że to przeze mnie ich córka wsiadła tamtego popołudnia do samochodu i pojechała do galerii, ale wystarczy, że ja wiem. Wybacz mi – błagam ją w myślach, ale nie potrafię nawet przypomnieć sobie jej twarzy. Wszystko przesłania jakaś dziwna mgła, nic nie jest wyraźne, oprócz jednej kołaczącej mi się po głowie myśli. To ja ich zabiłam...